

Bliżej

Dalej



M. A. Trzeciak

nowaeraz

Marta Alicja Trzeciak

Bliżej, Dalej

Dla mojego M.

Rozdział 1

Tej nocy zagrzmiało pięć gromów. I pięć piorunów uderzyło w ziemię.

– Mamo, pod naszymi drzwiami siedzi jakaś pijana pani bez majtek.

– Co? Jaka pijana pani? – zdziwiła się Matylda, klnąc w duchu, bo przecież tyle razy powtarzała pracownikom socjalnym, żeby nie podawali jej prywatnego adresu.

– Bardzo ładna... i fajna – odparła Ofelia.

– O nie!

Ja nie wytrzymam! – pisnęła z zachwytem. – Ona ma kolczyk w brwi!

Matylda zaparkowała przed garażem nieco bardziej gwałtownie, niż miała w planach i wysiadła z samochodu.

– Zaraz porozmawiam z tą miłą panią. –

Uśmiechnęła się do córki, chcąc ją pocieszyć, co było zupełnie niepotrzebne, gdyż Ofelia wydawała się raczej zachwycona, niż przestraszona gościem siedzącym poddrzwiami.

Matylda przykleiła na twarz standardowy uśmiech „dla biednych i potrzebujących” i ruszyła przed siebie. Po trzech krokach jednak zwolniła. Po pięciu zwątpiła. Po siedmiu natomiast zatrzymała się całkiem.

– Mati! – krzyknęła ze śmiechem siedząca pod drzwiami kobieta, która ubrana była jedynie w płaszcz. Matylda nie wierzyła własnym oczom.

– Nie, proszę cię, litościwy Boże! Odwdzięcz mi się teraz za wszystkie moje dobre uczynki i spraw, żeby ona zniknęła!

– Mamo, kto to? – spytała Ofelia.

– Mati, nie poznajesz mnie? – zaśmiała się kobieta, wstając.

– Rita...?

– szepnęła Matylda, przeżywająca właśnie kryzys wiaryw Stwórcę.

– No, pewnie, że to ja – podeszła bliżej, klepiąc Matyldę w ramię i bekając mocnym alkoholem, spytała, wskazując na Ofelię: – A to kto? Nie mów, że...

– Jestem jej córką – odparła zachwycona Ofelia.

– Nie chrzań – zaśmiała się Rita, co natychmiast wyrwało Matyldę z odrętwienia.

– Rito! – krzyknęła – Nie życzę sobie takiego słownictwa!

Rita gwizdnęła.

– Miło wiedzieć, że doczekałaś się potomstwa.

Matyldzie zrobiło się duszno, choć starała się trzymać najlepiej, jak potrafiła.

– Skarbie – odezwała się w końcu do córki – zostawisz nas na chwilę? Idź do swojego pokoju.

Ofelia zmarszczyła brwi.

– Nie jestem psem, żeby mnie odsyłać do budy.

– Huhuuu! – zaśmiała się znowu Rita. – Młoda ma gadane.

Matylda rzuciła jednak córce spojrzenie, które nie pozostawiało wyboru.

– Czego chcesz? – spytała Ritę, gdy Ofelia nieco się oddaliła, wprowadzając ją jednocześnie do salonu.

Rita przestąpiła próg pastelowego królestwa Matyldy i odpaliła papierosa, zanim ta zdążyła powiedzieć, że w tym domu się nie pali, a następnie rzuciła:

– Nasz stary nie żyje.

Matylda przemalowała swoją twarz z bieli ściennej na biel porcelanową.

– O czym ty mówisz? Rita opadła na wygodne poduszki piętrzące się w lekkim nadmiarze

Na kremowej sofie, na którą zresztą upadł jej popiół z papierosa.

– Dziś rano dzwoniła Stella. Umarł wczoraj wieczorem.

Matylda także usiadła, łapiąc się za głowę.

– Tatuś?

– Tak, cholera, tatuś – prychnęła Rita.

– Ale to niemożliwe, żeby tatuś nie żył... To jest po prostu... niemożliwe.

Rita kolejny raz zaśmiała się.

– Tak. Też tak uważam. Ale zdaje się, że przyjdzie nam zaakceptować ten cud nad Wisłą.

Rita wyciągnęła w stronę Matyldy rękę uzbrojoną w butelkę alkoholu.

– Masz, dobrze ci zrobi.

– Nie piję alkoholu – odparła jak w transie Matylda.

– Widzę. Dlatego ci go proponuję.

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

– Ta mała, jak rozumiem, jest twoja? – odezwała się w końcu Rita.

– Chyba że zaadoptowałaś ją jak szczeniaka, aby wspomóc kraje trzeciego świata, odbierając im nadliczbowe dzieciaki po to, żeby mogli robić sobie nowe?

– Nie mów tak – skarciła ją Matylda.

– Ofelia jest moją córką.

– Widzę, że jest słabo zorientowana w sytuacji rodzinnej – po raz kolejny sarkastycznie zaśmiała się Rita.

– Spodziewałam się, że rzuci mi się na szyję i powie: „Cioteczko, mamusia tyle mi o tobie opowiadała!”.

Matylda spuściła głowę.

– Ona nie wie o niczym. Nawet o tatusiu.

To znaczy... powiedziałaś jej, że nie żyje od dawna.

Rita zaśmiała się.

– Jesteś jebnięta, Mati.

Dotykasz wszystkiego magiczną różdżką i, jak nie pasuje do twojego obrazka, po prostu sprawiasz, że znika? Świetna sprawa – jak następnym razem wyskoczy mi jakaś krosta na dupie, zwrócę się do ciebie.

– Nie próbuj mnie oceniać, Rito! – spojrzała jej złowrogo w oczy.

– To nie ty wychowujesz samotnie dziecko, nie ty miałaś ojca, który...

Rita zgasła papierosa w doniczce z rododendronem.

– Ojca, słoneczko, miałyśmy tego samego.

A jeśli ktoś tu kogokolwiek ocenia, to właśnie ty. O czym świadczy fakt, że ukryłaś przed własnym dzieckiem połowę życiorysu.

Spokojnie, lata mi to wokół dupy. Przyjechałam tu, żeby ci powiedzieć co i jak, a teraz możesz dalej wieść swoje życie koloru kości słoniowej.

Jeśli natomiast, chcesz jechać na pogrzeb

starego, możesz zabrać się ze mną. Ruszam

dziś wieczorem.

Matylda była blada, jakby to ona sama

właśnie umarła, nie zaś jej ojciec. Rita

klepnęła ją delikatnie w ramię.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim

najśmieszniejsze? Że nasz stary – wieczny

tułacz,

władca

wszystkich

kontynentów

i wszelkich cipek, jakie można na nich znaleźć

– zostanie zagrzebany w ziemi pod własną

chatą, przez własną żonę, z którą widywał się

akurat najrzadziej.

Rozdział 2

Matylda wyrażała pewną niechęć względem

pomysłu, by to Rita prowadziła samochód.

– Absolutnie się na to nie zgodzę! Jesteś

pijana! A poza tym tamten rzęch...

– Właśnie o tego rzęcha chodzi, panno

pruderio. Pożyczyłam go od mojego chłopaka

i nie mam pewności, czy nie jest kradziony. Nie

mogę go na kilka dni zostawić pod twoją

chatą. – Rita wzruszyła ramionami.

Matylda zasłoniła otwartymi dłońmi uszy,

by nadmiar gorszących ją faktów nie zalewał

jej mózgu. Westchnęła głęboko.

– W takim razie ja pojedę swoim, a ty swoim.

Rita przeglądała zawartość domowego barku Matyldy.

– Jak na osobę, która nie pije, masz tu całkiem sporo procentów...

– To prezenty. Od ludzi, którzy byli mi za coś wdzięczni.

– Aha – przytaknęła Rita. – Jasne.

A wracając do tematu, pojedziemy jednym samochodem, Mati, bo droga jest zbyt daleka, by łyknąć ją na raz, z jednym kierowcą.

Potrzebny będzie zmiennik.

Matylda skuliła się i schowała głowę między kolanami.

– Boże, w co ja wdepnęłam? Dlaczego mi się to przytrafiło? Chyba muszę wziąć krople na uspokojenie.

– Tak – prychnęła Rita. – Najlepiej takie, po których zaśniesz za kierownicą. Przestań jęczeć i nie bądź taką cholerną egoistką. To nie ty umarłaś, tylko nasz stary.

– Co ja powiem Ofelii? – Matylda kołysała się. – Muszę szybko coś wymyślić, zostawić ją w domu pod czyjąś opieką, powiedzieć, że jadę

w jakiejś ważnej sprawie... – mówiła do siebie

tonem szaleńca.

Rita

spojrzała

w

górze

schodów

prowadzących na piętro domu. Mrugnęła

porozumiewawczo w tamtą stronę i zaśmiała

się:

– Chyba nie będziesz jej musiała niczego

tłumaczyć. Zdaje się, że już wie wszystko, co trzeba, bo podsłuchuje nas od pół godziny.

Matylda poderwała się na równe nogi,

jakby ktoś ukłuł ją pinezką w dupę.

– Młoda damo – zaczęła złowrogo, lecz

Ofelia, nie zwracając na nią uwagi, zbiegła ze

schodów i spytała Ritę:

– Naprawdę jesteś moją ciocią?

– To zależy według czyjej wersji – odparła Rita, spoglądając na Matyldę. – Według mojej –

tak.

– Super! – pisnęła Ofelia. – Zawsze

myślałam, że mam najnudniejszą rodzinę na

świecie.

Rita

zakrzuszyła

się

luksusowym

burbonem, który wyciągnęła z barku Matyldy.

– Najnudniejszą, powiadasz? W takim

razie twoja matka...

– Rito! – przerwała jej Matylda. – Czy jest

jakaś szansa na zachowanie choćby szczątków

mojego autorytetu i godności?

Rita spojrzała na nią jak na pięcioletnie

dziecko, które domaga się dowodu osobistego.

– Każdy dostaje to, na co sobie przez lata

zapracował, Mati.

– Ach, gdyby tak było... – westchnęła

Matylda.

– Tak, wiem, wtedy miałabyś już dawno

rezerwację na swój własny podnózek u stóp

samego

Ojca

Niebieskiego,

a

dzieciaki

podczas

rekolekcji

dostawałyby

obrazki

z twoją podobizną – warknęła Rita.

– Nie życzę sobie agresji w tym domu. –

Matylda spojrzała na nią złowrogo.

– O ja! – ucieszyła się Ofelia. – Wy

naprawdę musicie być siostrami.

Rozdział 3

W domu trwały przygotowania do pogrzebu.

Stella przyjechała w rodzinne strony, by pomóc swojej matce w organizacji uroczystości.

Przybywszy na miejsce, przekonała się jednak, że Adalena nie potrzebowała specjalnego wsparcia i że radziła sobie z całą sytuacją z tą samą godnością i spokojem, z jakimi szła przez życie, odkąd tylko Stella pamiętała.

– No cóż, mamó. – Uśmiechnęła się do niej łagodnie. – A zatem jesteś wdową.

Matka Stelli dała się przytulić córce.

– Przez całe życie byłam wdową. Tyle że teraz pierwszy raz będę absolutnie pewna, gdzie akurat przebywa mój mąż – zaśmiała się smutno Adalena. – A także tego, że nie

zabawia się akurat z jakąś inną kobietą.

– Nie bądź tego taka pewna. – Stella

uśmiechnęła się. – Może i pod ziemią kogoś znajdzie.

– Och, nie zdziwiłabym się.

Stella wszystkim się zajęła. Poprosiła

matkę, by usiadła spokojnie w fotelu i czekała

na zakończeniu przygotowań do ceremonii.

Adalena była bowiem zdania, że godny

pogrzeb, wraz z zachowaniem wszelkich rytuałów, należy się każdemu, i przysięgła

dopełnić swojego – jak sądziła – obowiązku.

Ciało ojca Stelli dotarło w transporcie,

który

należało

odebrać

i

pokwitować,

rozpoznawszy

zwłoki.

Stella

czuła

się

przedziwnie, stojąc nad ciałem ojca, który po raz pierwszy nigdzie nie uciekał, nie spoglądał

ukradkiem na tyłki kobiet, nie mrugał oczkiem,

nie był czarująco uwodzicielski.

– Co też cię spotkało, tato – westchnęła

Stella, patrząc w jego zastygłe oblicze,
z którym pozwolono jej przebywać w kostnicy.

– Kto by uwierzył w to, że kiedykolwiek
umrzesz? Jak to się stało, że nie udało ci się uwieść anioła śmierci?

Stella przyglądała się twarzy ojca, która
nawet teraz wydawała się dziarska i kpiąca, tyle że miała w sobie więcej błogości niż za życia.

Leżał przed nią – w nienaganej, błękitnej
koszuli z wykrochmalonym – zapewne przez
kogoś z kochanek – kołnierzykiem i w lnianych
spodniach.

Tak,
ta
jego
niewymuszona
elegancja zawsze działała na kobiety. Ten styl,
o który nie musiał się starać, erudycja
i szarmanckie maniery.

Stella
nie
widziała
ojca
od
ponad

dziesięciu lat, a tymczasem ten stary lis nie zmienił się ani odrobinę. Nie przybyła mu ani jedna zmarszczka, żaden ze zwierzęco

mocnych

włosów

nie

opuścił

swego

właściciela, a jedynie posiwiiał z godnością, nadając mu wygląd mężczyzny bogatego

w doświadczenia. Stella pogłaskała łagodnie

lodowatą dłoń ojca, żegnając się z nim w ten sposób na zawsze. Po wyjściu z kostnicy zajęła

się załatwianiem wszelkich niesmacznych

formalności

związanych

z

obracaniem

zmarłego w trybach rytuałów żyjących.

Wróciwszy do domu, zdała matce relację

z przygotowań, usiadła na swoim ulubionym

fotelu na ganku i odpaliła cygaro. Ponieważ dzielnica, w której żyła Adalena, słynęła

z dobrego wychowania jej mieszkańców, dwie

kilkuletnie sąsiadki, przechodząc obok domu,

przywitały się ze Stellą kulturalnie, mówiąc:

– Dzień dobry, proszę pana.

A

Stella

uśmiechnęła

się

do

nich

i odmachwała cygarem. W swoich męskich

butach, spodniach od garnituru i ciemnych

szelkach wciągniętych na elegancką koszulę,

Stella istotnie mogła być mylona z młodym

mężczyzną. Zwłaszcza z cygarem wetkniętym

w usta zdobiące kształtną, przystrzyżoną

krótko, niczym w wojsku, głowę. Odetchnęła

słodkim dymem cygara, chwyciła telefon i wybrała numer do swojej przyrodniej siostry.

– Kapitanie, zgłaszam się – usłyszała

rozbawiony

głos

Rity.

–

Co

słyszać

w trupiarni?

Stella zaśmiała się cicho.

– Dobrze. Wszystko dopracowane. Tato

jest w rękach ludzi, którzy umalują go tak, żeby przestał być podobny do siebie samego

i wkopią pod ziemię, zmuszając tym samym do

pozostania w miejscu po raz pierwszy w życiu.

A co u was? Dotarłaś do Matyldy?

– Jasne, że dotarłam. I nie tylko do niej.

Nasza mała kruszynka ułożyła sobie życie
w rajskim ogrodzie, z którego nas wygnano.

– Rito, przestań tak mówić. I przestań pić,
na Boga! – usłyszała Stella w słuchawce.

– Poznaję naszą malutką – ucieszyła się
Stella. – Nie widziałam jej... od ponad
dziesięciu lat. Prowadzisz samochód, Rita? Jak
tak, to przestań, proszę, pić. Nie mam zamiaru
robić pogrzebu dla dwóch dodatkowych
trupów.

– Trzech – zarechotała Rita. – Mamy tu
kinder-niespodziankę.

– Co masz na myśli?

– To, że jesteś ciotką. Od dwunastu lat –
zaśmiała się Rita, po czym dodała głośnym,

konspiracyjnym szeptem, który miał być słyszalny dla wszystkich: – Historia lubi się powtarzać.

Stella wzięła oddech, by coś odpowiedzieć,

lecz w słuchawce dało się słyszeć krzyki,

szumy, aż w końcu ktoś się rozłączył.

Uśmiechnęła

się,

posmakowała

cygara

i szepnęła do siebie:

– Historie się kończą, opowieść trwa

wiecznie.

Rozdział 4

Matylda spała na tylnym siedzeniu. Za oknami

pędzącego samochodu uciekały przymglone

nocą

światła

autostrady

i

odległych

miasteczek. Rita, która twierdziła, że zdążyła już wytrzeźwieć, siedziała za kierownicą

wpatrzona daleko przed siebie.

– Jaki on był? – usłyszała nagle.

Wzdrygnęła się. Siedząca na miejscu

pasażera

Ofelia

nagle

przebudziła

się

z drzemki. A może nigdy w nią nie zapadła...?

– Młoda, możesz grać w horrorach –

stwierdziła Rita. – Działasz z zaskoczenia.

O co pytałaś?

– Jaki on był? Dziadek... – odpowiedziała

dziewczynka, choć w jej ustach brzmiało to

jakoś kwadratowo, jako że dla niej ten

człowiek w zasadzie nigdy nie istniał.

Rita westchnęła.

– Nie da się na to pytanie tak po prostu odpowiedzieć – odparła i, wskazując swoją

torebkę, poprosiła: – Bądź tak miła i odpal mi

szluga.

Ofelia spojrzała na nią pytająco. Sięgnęła

po torebkę Rity, wyciągnęła z niej paczkę

papierosów, w czeluściach różnych szpargałów odnalazła zapalniczkę.

– Ciociu, ale ja...

– Cholera! – wzdrygnęła się Rita. – Nie

mów tak do mnie, dzieciaku. Jestem Rita.

I niech tak zostanie.

Ofelia uśmiechnęła się.

– Ja nie mogę...

– Co? A, nie palisz. Dobra, wyjmij mi tylko

papierosa i podaj zapalniczkę.

Ofelia wykonała polecenie z poważnym

wyrazem twarzy, jakby asystowała przy

operacji na otwartym sercu. Rita odpaliła

papierosa, zaciągnęła się nim i oddała

siostrzenicy zapalniczkę.

– Twój dziadek... – zaczęła i zawahała się.

– Cóż to zmieni, jeśli ci powiem, że był to kawał sukinsyna i tęgi jebaka, który zaliczał

wszystko, co się rusza? Czy to coś znaczy?

Zaśmiała się i odpowiedziała sama sobie:

– No cóż... Zapewne znaczy to wiele,

zwłaszcza dla kobiet, które go kochały. Do

których należałyśmy także my – jako jego

córki.

Ofelia słuchała jak zaklęta i wpatrywała

się z uwielbieniem w ciotkę.

– Ale powiem ci tak – kontynuowała Rita,

gestykulując

dymiącym

papierosem,

nie

bacząc na sypiący się tu i ówdzie popiół –

niezależnie od tego, co wyprawiał z tymi

wszystkimi laskami, to kiedy mnie odwiedzał...

Cóż, to było święto. W noce takie jak ta, gdy jest ciemno jak w dupie, mój stary zabierał

mnie do samochodu i zawoził, gdzie tylko

chciałam. Sadzał mnie na swoich kolanach

i pozwalał kierować. Jechaliśmy, dokądkolwiek

chciałam, bez żadnych ograniczeń...

Pewnej nocy wyjechaliśmy daleko, daleko

za miasto, aż dotarliśmy na kompletne

pustkowie. Powiedziałam mu, że chcę znaleźć

takie miejsce, gdzie na całej linii horyzontu nie będzie widać ani jednego kształtu – ani

jednego domu, ani jednego drzewa, niczego. –

Rita uśmiechnęła się do tego wspomnienia. –

A on? Po prostu się zgodził. Zjechaliśmy

z drogi i sunęliśmy przez ten step, spełniając marzenie każdego dziecka, by od czasu do

czasu mieć ojca tylko dla siebie. W końcu nam

się udało – znaleźliśmy się na piaszczystym pustkowiu. Nad nami było tylko niebo i miliony

gwiazd, a wokół nas – wiatr i oddechy

niewidzialnych zwierząt. Położyliśmy się na

ziemi na wznak i całą noc nuciliśmy wszystkie

piosenki, jakie nam przyszły do głowy.

Rita ocknęła się.

– Niezła sielanka, co?

Ofelia przytaknęła oczarowana.

– No cóż... Staruszek miał fantazję –

westchnęła Rita – tego nie można mu

odmówić. Wprawdzie to przez niego wszystkie

mamy nieco zryty beret, ale do diabła z tym.

Jak to mówią – jak czegoś nie możesz zmienić,

po prostu to pokochaj.

Zaśmiała się.

– Tak czy inaczej, widzę, że twojej mamuśce i tak odbiło najbardziej. Wesołe masz z nią życie, nie ma co.

– Czy to prawdziwy tatuaż? – spytała Ofelia, wskazując na kark Rity, na którym spod koszulki próbował się wydostać jakiś jaszczur.

– No jasne, że prawdziwy – prychnęła z uśmiechem Rita. – Mam ich więcej – jak będziesz chciała, pokażę ci wszystkie, choć niektóre są odrobinę zboczone. Ale w końcu jesteśmy rodziną, a pomiędzy członkami rodziny chyba nie ma wstydu, no nie? – zaśmiała się.

– Czy to jaszczurka?

– Smok, ty wredny dzieciaku. A każdy, kto mówi inaczej, gównem się zna. Każdy z tych tatuaży był robiony z jakiejś okazji. Ten smok był pierwszy. Zrobiłam go sobie, będąc mniej więcej w twoim wieku. „Po znajomości”, dlatego jest taki brzydki – zachichotała.

– Z jakiej okazji go zrobiłaś?

– Tamtego dnia dostałam swoją pierwszą pracę jako perkusistka. W kapeli, która wtedy

wydawała mi się odjazdowa, a teraz ze wszech

miar godna porzygania.

Zaśmiały się obie.

– No cóż... Tak to już jest. Liderem tej

bandy

gejów

był

chudy

chłopaczek

o

kręconych

włosach,

w

którym

się

podkochiwałam i z którym straciłam oralne

dziewictwo...

– Rita! – dobiegło z tylnego siedzenia.

– Cholera, Mati, przestań mnie straszyć.

Chcesz, żebym nas władowała w samą dupę

karambolu?

Matylda usiadła, poprawiając włosy.

– Chyba na dziś wystarczy tych zwierzeń –

zauważyła.

– Dlaczego?! – spytała buntowniczo Ofelia.

– Dlatego, moje dziecko, że jesteś za

młoda na te historie. W zasadzie... – zawahała

się Matyllda – to nawet ja jestem na nie za młoda.

– Ale ciocia... to znaczy Rita, tak fajnie

opowiada – jęczała Ofelia. – A ty nigdy mi niczego nie opowiadasz o tym, jak byłaś młoda.

– Wydawało mi się, że nadal jestem –

zauważyła Matyllda, uświadamiając sobie jednocześnie, że dla jej córki każdy *homo sapiens* powyżej trzydziestki to starzec.

Rita zaśmiała się.

– Twoja matka odwaliała takie numery, jak

była w twoim wieku, że głowa mała!

– Rito, proszę cię, nie buntuj jej

bezsensownie.

– Czy to prawda? – spytała Ofelia.

– Nie, kochanie, to nie jest prawda –

odparła zdecydowanie Matyllda.

– Cóż, młoda chyba ma pewne podstawy,

by nie do końca wierzyć twoim słowom –

droczyła się nadal Rita.

Matyllda w bezsilnej rozpaczycie zamilkła na

dłuższą chwilę.

– Wracaj do spania, zmienniku kierowcy –

poleciała jej Rita – a ja w zamian za to obiecuję

ci, że przedstawię młodej wersję okrojona
o najciekawsze fragmenty i nie będziesz
musiała interweniować ze swoją dekapitującą
fakty cenzurą.

– A jaka była mama w moim wieku? –

wróciła do tematu Ofelia, kiedy Matylda
ponownie zasnęła.

Rita gwizdnęła.

– Tak naprawdę to zawsze była nudziarą –
zachichotała – ale mnie i Stelli zwykle jakoś
udawało się ją rozkręcić.

– Mieszkałyście razem? – zdziwiła się
Ofelia.

– Nie. Nie byłyśmy nawet z tego samego
miasta.

Twój

dziadek

zaliczał

damskie

rozkroki ze wszystkich czterech stron świata –
zaśmiała się. – Nasze matki mieszkały

w innych częściach kraju. Za to spędzałyśmy razem niemal wszystkie wakacje. Czasami też
jakieś święta i inne takie bajery.

– Skąd się znałyście? – zdziwiła się Ofelia,

wyobrażając sobie, że może i ona ma gdzieś na świecie przybrane rodzeństwo, o którym nie ma pojęcia.

– Ha! To jest dopiero niezła historia!

Odnalazła nas matka Stelli, po tym, jak pewnego dnia twój dziadek, po kilku kolejkach anyżówki wypaplał jej, że ma jeszcze dwa bachory na boku.

– Jakoś za tym nie nadążam...

– Nikt nie nadążał za bzykaniem naszego starego.

Rzecz

w

tym...

Cholera,

nie

zrozumiesz tego, dopóki nie poznasz Stelli i jej

matki – Adaleny. Adalena... nie, nie da się tego

opowiedzieć. Powiem ci tylko – odpal mi

nowego szluga – że Adalena była jedyną

kobietą, z którą twój dziadek związał się

formalnie. Krótko mówiąc – była jego żoną,

którą zresztą zdradzał na prawo i lewo zarówno przed ślubem, jak i po nim. Kupił jej oraz Stelli dom, w którym pomieszkał może

jakieś dwa miesiące. A potem – wolny, rajski ptak – odleciał w siną dal, by odwiedzać coraz

to nowe gniazdko, jeśli wiesz, co mam na

myśli.

Ofelia zerknęła przez ramię, by upewnić się, że Matylda śpi, i spróbowała odpalić Ricie papierosa, co kosztowało ją atak kaszlu, kilka

łez i dwa łyki powietrza, które pomyliło drogi i znalazło się w żołądku. Rita zaśmiała się.

– Umówmy się, że będziesz moim asystentem od podawania, a nie odpalania, co ty na to?

– A zrobisz mi tatuaż? – spytała Ofelia, wycierając łzy zakrztuszenia.

– Spokojnie, młoda – nie bądź taka łąpczywa. Nie możesz zjeść wszystkich deserów naraz, bo się porzygasz.

Ofelia uchyliła okno, by odetchnąć trochę od dymu papierosowego.

– No, to jak to dokładnie było z tą... Stellą i żoną dziadka?

Rita wzruszyła ramionami.

– Adalena, dowiedziawszy się o naszym istnieniu, postanowiła nas odnaleźć i poznać nas ze sobą. Dostawała sraczki na myśl o tym, że jesteśmy siostrami, a się nie znamy. No więc się poznałyśmy. Inna sprawa, że nasze matki nie bardzo chciały poznać Adaleny, co było lekko pojebane, bo to w końcu ona mogła rościć sobie największe prawa względem naszego casanowy. A mimo to właśnie ona

wyciągała

dłoń

do

tych

wszystkich

dupościstych bab.

Rita zaśmiała się.

– Prawda jest taka, że nie raz przychodziło

jej pocieszać kochanki naszego papy, które ten

usatysfakcjonował i opuścił jak stare gacie.

Stella opowiadała mi, że bywały i tak

zakochane w ojcu wariatki, które postanawiały

go za wszelką cenę odnaleźć i nakłonić do

wiekuistej wierności. W ten sposób trafiały na

trop Adaleny. Która... co robiła? Nalewała im kubek gorącego kakao i pozwalała się

wypłakać we własny rękaw. Aż w końcu w jej domu uzbierał się całkiem przyzwoity harem,

tyle że bez samca alfa. Podaj mi tę butelkę burbona, dzieciaku.

Ofelia zawahała się.

– Nie wolno ci prowadzić i pić. Możesz nas

zabić. Albo wpakować w kłopoty.

Rita wywróciła oczyma.

– Nieźle cię wytresowała. Spokojnie,

wyluzuj tę kościstą dupkę. Mam ochotę się

napić i tyłek mi zdrętwiał od prowadzenia, więc robimy kolejną zmianę. Budź matkę.

Jakiś czas temu minęliśmy drogowskaz na

przydrożny

bar.

Zatrzymamy

się

tam

i wepchniemy w gęby jakiegoś cuchnącego,

krwistego kotleta w bułce, co ty na to?

– Nie jemy mięsa – odparła Ofelia.

– Jakie „my”? Ty i twój niewidzialny

przyjaciół?

– Ja i mama. Nie jemy mięsa. Ani nabiału.

Ani tłuszczów pochodzenia zwierzęcego.

– Oż, cholera. To co wam zostało? Żywności

się samą biodegradacyjną srajtaśmą?

Ofelia zaśmiała się.

– Coś w tym stylu. Ale pod warunkiem, że

pochodzi z upraw ekologicznych i nie zawiera

cukru.

Rita westchnęła.

– Skoro tak, to nie dziwię się, że twojej matce odbija. Bez białka nie ma popędu, bez popędu nie ma

motywacji.

Zajechały na parking pod jarzeniowym

neonem

obwieszczającym

bar

szybkiej

obsługi.

– Obudź się, śpiąca królewno – zawołała

Rita. – Czas coś przekąsić. Co powiesz na

suchary z tektury?

Rozdział 5

Stella bujała się w fotelu na ganku swojego rodzinnego domu. Pachniało rzešką nocą, a cykady prześcigały się w szalonym śpiewie.

Okna sąsiednich domów lśniły już od dawna

ciemnością pogaszonych świateł i Stella miała wrażenie, że jest teraz zupełnie sama na

świecie. Patrzyła przez chwilę na swoje

męskie buty – za duże o dwa rozmiary. Buty nie należały do niej, zostały pożyczone od

pewnej osoby, o której Stella nie mogła

przestać myśleć.

– W co ja się znowu wpakowałam? –

zaśmiała się sama z siebie, czując, jak ta nowa

znajomość nie pozwala jej skupić myśli,

doprowadza do szału.

Stella od zawsze cierpiała na bezsenność. Gdy
była młodsza, próbowano jeszcze jakoś temu
zaradzić,
leczyć,
załagodzić.

Teraz
już
wszyscy, łącznie z nią samą, przywykli, że
bywają doby, kiedy Stella po prostu w ogóle nie śpi. Przesiaduje wtedy – tak jak teraz –
w fotelu na ganku lub w oknie swojego
mieszkania. Czasami wybiera się na długie nocne spacerunki, odwiedzając miejskie fontanny
i bary albo tętniące własnym psychodelicznym
rytmem nocne kluby.

To właśnie w jednym z takich obłąkanych
miejsc poznała ostatnio człowieka, przez
którego nie mogła teraz jeść, myśleć, pisać, czytać ani spać. Znowu.

– Rita mnie udusi, jak o nim usłyszysz –
szepnęła Stella.

W przeciwieństwie do Matyldy, która
pewnego dnia... po prostu zniknęła, nie chcąc,

by ktokolwiek ją odnalazł, Rita i Stella przez cały ten czas utrzymywały bliskie, siostrzane stosunki
tak, jakby nigdy nic się nie zmieniło.

Tak jakby ich ojciec wcale od nich nie odszedł

te z górą dziesięć lat temu... Stella nie chciała
teraz o tym myśleć. I nie mogła. Marzyła tylko
o swoim nowym przyjacielu, przez którego
zżerało ją zwierzęce pożądanie, a na samą
myśl o ich ostatnim spotkaniu rumienił się
dekolt i przyspieszał oddech.

– To jest jak trucizna – jęknęła Stella, nie mogąc się doczekać, aż ujrzy Ritę i wszystko jej opowie.

Wstała z bujanego fotela i, najciszej jak
potrafiła, weszła do domu. Było to może nieco
upiorne, lecz Stella od dziecka – odkąd tylko
zaczęły się jej epizody bezsenności – lubiła zakradać się do sypialni domowników i stać
nad nimi przez jakiś czas, obserwując, jak
śpią. Towarzyszyło jej wtedy przedziwne
uczucie – że pogrążeni w nocnych marzeniach
bliscy nie są w stanie pilnować swoich ciał
i w każdej chwili może po nich przyjść śmierć.
Czasami Stella była przekonana, że dopóki stoi
nad nimi, czuwając, dopóty nikt nie upomni się
o ich ostatni oddech.

Zakradła się teraz do sypialni swojej matki
i przyglądała się jej bezbronnyemu oddechom.

W pozostałych dwóch sypialniach spały
dwie przyszywane ciotki Stelli – dawne
kochanki ojca, które kiedyś gnane szaleńczą

miłością do niego, zawędrowały do domu Adaleny, mając nadzieję, że tu go odnajdą i wyblągają jego powrót. Pocieszane przez Adalene, zaprzyjaźniały się z nią i często zostawały na dłużej lub krócej w jej domu, który lubiła nazywać „otwartym”. Adalena, ze swoim wielkim jak wszechświat sercem, zapraszała do siebie wszystkich, którzy tego potrzebowali, ciesząc się, że ma towarzystwo, którego bardzo łaknęła, mieszkając z jedyną córką, która nie mogła jej przecież zastąpić prawdziwej rodziny.

Rozdział 6

Rita
odstawiła
opróżniony
talerz,
zastanawiając się, czy dałaby radę zjeść
jeszcze
jedną
porcję,
jeśli
ta
byłaby
wystarczająco tłusta i przyprawiona.
– To jest ten moment, w którym człowiek

czuje satysfakcję z tego, że pokonał swój

posiłek i nie dał się pokonać jemu – zaśmiała się, wycierając ociekające tłuszczem usta. –

Coś, czego wy, trawożerne króliki nie jesteście

w stanie pojąć. Jedyne, co wam zostaje po

waszym żarciu, to notoryczna sraczka. Założę

się, Mati, że strasznie dużo pierdzisz po tych swoich biofasolach.

Matylda była już coraz bardziej zmęczona

walką z Ritą, której energia zdawała się być niewyczerpana.

Zwłaszcza

jeśli

chodziło

o dogryzanie jej i rzucanie niestosownych

uwag.

– Wyobraź sobie, Rito, że są na tym

świecie osoby, którym bardziej zależy na tym,

by nie zabijać bezbronnych zwierząt, niż żeby

się nażreć satysfakcjonującego żołądek mięsa.

Rita uniosła brwi, zadowolona chociaż

z tego, że Matylda coraz mniej kontroluje swój

język.

– Teraz jeszcze papieroszek, kawusia

i możemy ruszać w dalszą drogę – zaśmiała

się.

– Umrzesz młodo i w cierpieniach –

zawyrokowała Matyllda.

– Powinnaś mi za to podziękować, bo
wtedy ty będziesz mogła do mnie przyjść
i opiekować się kolejną zagubioną owieczką,
potwierdzając tym samym sens swojego
przyjścia na świat. – Rita uśmiechnęła się
złośliwie, dmuchając w siostrę kłębem dymu.

– Nie dmuchaj w moją córkę – powiedziała
zirytowana Matyllda.

Rita zaśmiała się.

– Gdy ty byłaś w jej wieku, pierwszego
papieroska już dawno miałyśmy za sobą.

Pamiętasz, Mati, jak Stella wykradła parę
szługów jednej z kochanek ojca, które
mieszkały wtedy u Adaleny?

Matyllda zarumieniła się i spojrzała kątem
oka na Ofelię, która ani myślała udawać, że nie
słyszcy.

– Nie przypominam sobie – jęknęła.

– A zatem ci przypomnę. – Rita zaciągnęła
się. – Zawinęłyśmy te parę papierosów
w twoją, tak, twoją, Matylldo, chusteczkę
z zajebicie uroczymi kwiatkami i poszłyśmy

jak zwykle, gdy robiłyśmy coś głupiego, nad rzekę. Ja się prawie porzygałam, gdy

połknęłam dym z tego szatana bez filtra. Stella
z godnością wypaliła papierosa, jakby robiła to

już w kołysce. Małpa – zawsze taka była –

wszystko jej wychodziło z lekkością i godną podziwu wprawą. A ty – pamiętasz, Mati?

– Nie – warknęła Matylda.

– A ty wypaliłaś swojego szluga – z trudem

– to prawda. Ale gdy skończyłaś, spojrzałaś na

nas tym swoim łapczywym spojrzeniem

i spytałaś – macie jeszcze jednego? – Rita wybuchła śmiechem. – Zawsze tak z tobą było,

Mati. Nie można cię było do niczego namówić,

ale gdy już coś robiłaś, nie znałaś umiaru.

Zgasiła papierosa i wstała od stolika.

– Idę do kibla, a wy dokończcie szamanie

tej swojej tektury, bo widzę, że jakoś wam nie

idzie.

Gdy odeszła, pomiędzy Matyldą a jej córką

wyrósł mur, którego jakoś nie dostrzegało się przy absorbującej obecności Rity. Teraz

natomiast stał się aż nadto widoczny. Matylda

odetchnęła ciężko.

– Ciężki dzień, co? Dużo się wydarzyło.

Ofelia miała obrażoną minę.

– Raczej dużo się wyjaśniło, mamo.

Matylda dotknęła ręki córki, lecz ta

zabrała ją gwałtownie.

– Wiem, że pewne rzeczy mogą ci się wydawać niezrozumiałe, kochanie... I że nie wszystkie decyzje podejmowane przez dorosłych uważasz za słuszne... Ale jak sama zostaniesz matką, zrozumiesz to wszystko. Ciężko jest w dzisiejszych czasach uchronić dziecko przed złem tego świata.

– Jasne, mamó, lepiej udawać, że go nie ma. Po prostu mnie okłamywałaś przez cały ten czas, taka jest prawda.

– Nie nazwałabym tego w ten sposób – wykręcała się Matyllda. – Są jeszcze sprawy, których nie rozumiesz. Zawsze zależało mi na tym, żebyś nie miała tak pokręconego dzieciństwa, jak ja. Żebyś była dumna z tego, kim jesteś, a nie wstydziła się. Żebyś była szczęśliwa. Ofelia chciała wiele powiedzieć, wyrazić

wszystkie emocje, które teraz odczuwała, ale nie potrafiła jeszcze ubrać swoich uczuć w słowa tak, by odzwierciedlały jej intencję.

– Fajnie, mamó, że zawsze przede mną udawałaś taką świętoszkę. A może ja też bym chciała robić różne rzeczy, które ty robiłaś?

– To były błędy, kochanie. Błędy, których

żałuję. I nie chcę, by spotkało cię to samo.

A poza tym... to były inne czasy.

– Jasne – usłyszały nagle. – Zwłaszcza wtedy, gdy poszłyśmy bez majtek na górkę

obok

torów

kolejowych

i

podnosiłyśmy

sukienki za każdym razem, gdy przejeżdżał

pociąg, pokazując wszystkim pasażerom nasze

gołe tyłki – ryknęła na cały bar Rita. – To dopiero były „inne czasy”.

Matylda schowała twarz w dłoniach.

Naprawdę miała już dość.

Rozdział 7

Na ostatnim odcinku drogi Matylda, ku

własnemu zdziwieniu, nie potrzebowała już

mapy. Doskonale pamiętała trasę, a samochód

prowadził się jakby sam. Rita chrapała na

tylnym siedzeniu. Ofelia, mimo że chciała

pozostać czujna, również w końcu się poddała.

Tymczasem Matylda rozpoznawała teraz

każde drzewo, każdy dom, zakręt... Wiedziała,

że lada moment zobaczy tablicę z nazwą

miejsowości, w której niegdyś spędzała
niemal wszystkie wakacje, niejedne święta;
miejsce, w którym przecież... czuła się taka
szczęśliwa. A teraz panicznie się go bała.

Ręce zaczęły się jej trząść na kierownicy.

Chciała zatrzymać samochód, lecz bała się, że

Rita i Ofelia, obudzone wyłączonym silnikiem, zobaczą, w jakim jest stanie. Matylda zwolniła
tak bardzo, jak tylko było to możliwe.

– Zawracam. Z pewnością zawracam. Nic

mnie nie obchodzi ten pogrzeb. Zabieram

Ofelię i wracamy do domu. Tam, gdzie

jesteśmy bezpieczne. Jakim cudem w ogóle

mogłam się zgodzić, by tu przyjechać? Nigdy tu nie wrócę, nigdy! – krzyczała w myślach. –

Teraz zaparkuję na poboczu. Nie bacząc na opór

Ofelii,

wywlokę

ją

z

samochodu

i uciekniemy. Złapiemy pierwszy pociąg,

autobus – cokolwiek. Dotrzemy do domu,

nieważne po ilu godzinach i jak zagmatwanej podróży. Trzeba uciekać!

Matylda poczuła dłoń na swoim ramieniu.

– Nic z tego, kochanie – szepnęła Rita. –

Tym razem nie pozwolę ci uciec.

Stella brała właśnie prysznic po całonocnym czuwaniu, gdy nagle poczuła znajomy ucisk w żołądku.

– Rita! – wrzasnęła z wnętrza kabiny.

Nie zwracając uwagi na tak wczesną godzinę, wybiegła mokra i naga spod prysznica, potupała przez korytarz i po schodach na parter domu.

– Rita! – krzyczała ze śmiechem.

Adalena wraz z dwoma byłymi kochankami

obecnego

nieboszczyka

przygotowywała

śniadanie w kuchni.

– Rita zaraz tu będzie, mamó! – krzyczała

Stella.

– Och, w takim razie przygotuję więcej

talerzy – oświadczyła z uśmiechem Adalena.

Stella wybiegła na podwórko przed domem, zachwycając sąsiedztwo widokiem

swojego

kształtnego,

szczupłego,

nieco

chłopięcego ciała. Spojrzała na majaczący za drzewami koniec ulicy.

– Wiem, że to ty, Rito. Wiem, że to ty –

powtarzała, wpatrując się w zakręt, zza

którego najpierw dało się słyszeć rżenie

gruchota, a dopiero po chwili pojawił się on sam. Stella wrzasnęła z radości, zaczęła

podskakiwać jak dziecko niemogące się

doczekać niespodzianki, po czym ruszyła

biegiem w stronę nadjeżdżającego samochodu.

– O Boże! – krzyknęła Matyllda, widząc, jak

naga, mokra kobieta rzuca się na maskę ich samochodu.

– To nie Bóg, tylko Stella! – wrzasnęła

Rita. – Zatrzymaj tego rżęcha, Matylldo!

Rita wysiadła z samochodu i rzuciła się

siostrze na szyję. Stella zaś podłożyła rękę pod kolana siostry i uniosła ją na rękach, niczym

pan

młody

przenoszący

swoją

wybranekę przez próg.

– Ty mała jędzo! – krzyczała Stella, niosąc

ją w stronę domu w ten sposób.

Rita ugryzła siostrę w szyję i pozwoliła się zanieść pod sam dom Adaleny, gdzie została

wypuszczona z rąk.

– Nie widziałam cię od ponad miesiąca, ty

małpo – wrzasnęła Rita, postawiona na ziemię.

– Gdzie ty się podziewałaś?

Stella wzruszyła ramionami i spojrzała na

nią porozumiewawczo.

– Nie! Tylko nie to! Znowu się z kimś

puszczasz!

Pokaż

no

się.

O

cholera,

przesadzasz Stella, dostaniesz ode mnie za to

łańsko – orzekła, oglądając ciało Stelli, na którym dało się bez problemu wyróżnić

siniaki, pogryzienia, ślady po klapsach. – Tym razem przesadziłaś...

– Porozmawiamy o tym później – szepnęła

Stella. – Muszę ci wszystko...

– Rita, moja mała córeczko – usłyszały

nagle.

Na ganku stała Adalena w fartuchu

kuchennym.

– Cześć, ciotka – ucieszyła się Rita.

– Chodź no tu, kochanie. Nie dasz mi już

całusa?

– Skoro tak bardzo prosisz... – zaśmiała

się Rita i pozwoliła się ucałować, wykręcając się jednocześnie, jak dziecko od kąpieli.

Adalena

objęła

dłońmi

jej

twarz

i przyjrzała się.

– Moje śliczne kochanie. Jesteś piękniejsza

z każdym dniem.

– Tak, na pewno, ciociu, zwłaszcza że całą

noc prowadziłam samochód, a w dodatku

jestem na kacu.

– Mówiłam ci, żebyś nie piła, jak

prowadzisz – westchnęła Stella. – Mamo, ona to zawsze robi.

– Och, nie bądźmy takie drobiazgowe. –

Adalena wzruszyła ramionami i spojrzała na
coś innego, co przykuło teraz jej uwagę.

Plujący kaszlem samochód wjechał na
podwórko przed jej domem.

– Przywiozłam też dezentera – oświadczyła

Rita.

Obie ze Stellą czekały teraz na to, co

zrobi Adalena. Niegdyś Matylda była dla niej jak trzecia córka – i to prawdopodobnie taka,
która potrzebowała od niej najwięcej wsparcia

i

której

ofiarowano

najwięcej

bliskości

i pomocy. Jeżeli ktokolwiek powinien być za coś komuś wdzięczny, to z pewnością Matylda

Adaleni. Za całą jej czułość i za dobre słowa,

których zaznała jako dziecko i dorastająca

dziewczyna,

za

wyrozumiałość,

za

rozumienie. Tymczasem Matylda... Pewnego

dnia po prostu uciekła bez słowa, nie żegnając

się z Adaleną, nie dziękując za nic, nie dając nadziei na ponowne spotkanie.

Wyrozumiałość Adaleny, jak się zdawało, nie znała granic, obie siostry były jednak przekonane, że będą miały właśnie okazję ujrzeć jej kres. Tymczasem Adalena stała wciąż na ganku, patrząc nieruchomo, lecz z wielkim skupieniem, na samochód i jego pasażerów. Siedząca w środku Matylda również patrzyła na Adalenę, ale paraliżował ją strach i nie miała siły wysiąść.

Adalena

zeszła

z

jednego

schodka

i otworzyła ramiona, Matylda zaś, jakby tylko na to czekała, wysiadła z samochodu i biegiem dotarła do przyszywanej ciotki, która utuliła ją

w

swoich

objęciach.

Adalena

przytuliła

Matyldę najmocniej, jak potrafiła i rozpłakała się.

– Moja córeczka. Biedactwo. Nie płacz,
zabiorę każdą twoją łzę i smutek. Nie martw się.

Matylda

pociągnęła

nosem.

Adalena

rozluźniła na moment uścisk i odsunęła

Matyldę na odległość ramion, by przyjrzeć jej

się dokładnie. Nad jej ramieniem dojrzała

nieśmiało wysiadającą z samochodu Ofelię.

– Jaka piękna – szepnęła, po czym zwróciła

się do Matyldy porozumiewawczo: – Jej ojciec

miał być podobny do twojego, prawda?

A Matylda, niczemu się nie dziwiąc,

przysnęła.

– Opuścił cię, prawda? – spytała łagodnie

Adalena.

Matylda kiwnęła głową.

– Och, kochanie – jęknęła Adalena – jak

bardzo cię ten człowiek zranił... Nie martw

się, to już skończone, chodź.

Rita

i

Stella

spojrzały

na

siebie

porozumiewawczo. Rita pokręciła głową, nie

wierząc w to, co widziała, mimo że przecież tak dobrze znała Adaleny.

– *Fabulas finem, fama in aeternum* –

zaśmiała się, wskazując sentencję, wiszącą

nad wejściem do domu Adaleny, którą ta

przypominała im tak często. – *Historie się kończą, opowieść trwa wiecznie.*

– Nie dziw się niczemu – odezwała się

Stella. – Ostatnio jakiś chłopaczek ukradł jej w sklepie portfel, a gdy uciekał, mama

zawołała za nim, żeby kiedyś wpadł na

ciasteczka i herbatę, to chętnie z nim

porozmawia.

– Widzisz, dzieciaku, jaki tu dom wariatów

– odwróciła się Rita ze śmiechem w stronę

Ofelii, która wciąż stała przy samochodzie.

– Cześć. – Stella uśmiechnęła się do niej

i wyciągnęła dłoń na przywitanie. – Jestem twoją ciotką Stellą.

– Cześć. – Dziewczynka uśmiechnęła się. –

Ofelia.

Rita, widząc zakłopotanie dziewczynki,

klepnęła Ofelię lekko w ramię.

– Chodź, młoda, zapalimy sobie dla

rozluźnienia. A może wolisz coś mocniejszego?

– Mamy świetną anyżówkę – zauważyła

Stella.

Ofelia zaśmiała się.

– No, chyba że wolisz banalne śniadanie –

skwitowała Stella, obejmując dziewczynkę
ramieniem i podprowadzając ją pod ganek. –

Moja matka, wraz z byłymi kochankami ojca,

przygotowała

cynamonowe

omlety.

–

Uśmiechnęła się.

Usiadły

więc

wszystkie

razem

do

śniadania. Adalena trzymała Matyldę za rękę,

ta zaś, ku zmieszaniu swojej córki, nie

przestawała cicho pochlipywać.

– Dziewczynki – zwróciła się Adalena do

Rity i Stelli, jak miała w zwyczaju mimo upływu

lat – po śniadaniu zabiorę Matyldę do swojej sypialni, żeby trochę odpoczęła. Nie chcę, aby

w tym czasie nam przeszkadzano, dobrze?

– Jasne, ciotka – zaśmiała się Rita. – Same
zajmiemy się sobą.

– W to nie wątpię. – Adalena uniosła brew.

Po posiłku Stella chwyciła Ritę za rękę
i zaciągnęła ją na tyły domu, gdzie znajdował
się zarośnięty, nieduży sad, w którym od
dziecka
się
chowały
lub
przez
który
przechodziły, idąc nad rzekę.

–

Ty

lubieżne

suczysko,

opowiadaj

wszystko, nie pomijając żadnych szczegółów –

pogroziła jej Rita i już miały oddalić się od domu, gdy obie usłyszały, jak ktoś zza ich pleców nieśmiało pyta:

– Ciociu... Mogę iść z wami?

W drzwiach prowadzących na tyły domu

stała Ofelia. Zagubiona i porzucona. Stella

zawahała się.

– Jasne, młoda, że możesz – wyręczyła ją

w odpowiedzi Rita. – Bądź tylko tak miła

i przynieś moją torebkę z samochodu, dobra?

Zostawiłam tam papierosy.

Ofelia

uśmiechnęła

się

nieśmiało

i przytaknęła.

– Miałam ci opowiedzieć... – szepnęła

z wyrzutem Stella, gdy zostały same.

– Spokojnie, zбочuszku, wszystko mi

opowiesz.

– Ale... ta nowa znajomość, o której chcę...

Chyba nie nadaje się dla uszu dziewczynki.

– Weź i nie chrzań, Stella. Ja w jej wieku...

– Powiedzmy sobie szczerze, Rito, że

zawsze było z ciebie niezłe kurwiszcze –

zachichotała Stella.

– Odezwała się ta, co nigdy nikomu nie

zrobiła dobrze na zapleczu kawiarni.

Gdy Ofelia wróciła z torebką Rity

w garści, obie jej ciotki tarzały się w trawie jak kocięta, gryząc się i szczypiąc. Rita

wyrwała się z mocnego uścisku wyjątkowo

wysportowanej Stelli.

– Chodź, młoda – wysapała w stronę Ofelii

– nie wiem, czy znajomość z nami dobrze ci zrobi, ale... chyba nie masz innego wyboru.

Twoja ciotka miała mi właśnie opowiedzieć

o jednym ze swoich licznych związków,

w które zawsze angażuje się całym tyłkiem,

sercem i rozumem, którego przecież nie ma

wcale tak dużo.

Stella westchnęła.

– Rito, zawsze musimy kłócić się o to

samo.

Rita

spojrzała

na

Ofelię,

będącą

naturalnym, choć mało świadomym swojej roli,

rozjemcą.

– Twoja szurnięta ciotka przeżywa „tę
jedyną i najprawdziwszą” miłość średnio raz na dwa miesiące.

– Odezwała się ta, co ma zawsze stałego
partnera. – Stella szturchnęła ją.

– Nie. Wiesz, że nie w tym rzecz – odparła

Rita, unosząc palec wskazujący. – Wiesz, że daję na lewo i prawo, a moje trasy koncertowe
znaczą zużyte opakowania po wszelkich
znanych środkach antykoncepcyjnych, ale
właśnie na tym polega różnica, Stel. Ja robię, co chcę, i jestem szczęśliwa. A potem
zabieram swoje majtki ze sobą i zapominam
o całej sprawie. A ty... w każdego faceta
angażujesz się, jakby był jedynym na świecie.

– Bo w danej chwili jest – upierała się
Stella.

Rita pokiwała z niedowierzaniem głową
i zwróciła się do Ofelii:

– Ucz się, dzieciaku. Pobzykać i spadać,

a

nie

zostawiać

wszędzie

podeptane

i rozbebeszone kawałki własnego serca.

Zeszły z niewielkiej góry i ich oczom

ukazał się brzeg rzeki, a wraz z nim miejsce idealne do wszelkich dziecięcych spisków –
osłonięte z obu stron gęstymi krzakami.

Siostry spoczęły na trawie, milknąc na
moment. Stella usiadła w swoim zwyczajowym
męskim rozkroku, zsunęła z koszuli szelki, by
poczuć się swobodnie i odpaliła cygaro.

–

Rito...

–

powiedziała

w

końcu

rozmarzonym głosem. – On jest po prostu...

niesamowity. Ale już w tej chwili wiem, że ponieważ nikogo przed nim nie kochałam tak

bardzo,

to

właśnie

on

zniszczy

mnie

najmocniej spośród nich.

– Cholera, Stel, nie denerwuj mnie. Jest na

to rada, idiotko. Wycofać się, zanim będzie za

późno.

–
Nie
mogę.
Za
bardzo
się
zaangażowałam. Ale żebyś ty wiedziała, co on
mi robi!

– Wystarczy mi, że widziałam twoje siniaki
i pogryzienia. Znowu związałaś się z jakimś socjopata?

– Tak – odparła bezwstydnie.

– Czy ty jesteś upośledzona, Stel? Kręci
cię to, że gość może ci odstrzelić dupę?!

– Tak. – Spojrzała jej w oczy.

Rita uniosła oczy ku chmurom.

– Nie, no to pięknie. O czym my tu w ogóle
gadamy?

Stella westchnęła. Jej twarz zarumieniła
się jak świeże maliny.

– Wcześniej uważałam po prostu, że jest
intrygujący. No i... niezwykle pociągający. Ale od jakiegoś czasu... Sama nie wiem – po prostu
zwariowałam na jego punkcie. To, co z nim robię, jest... niebezpieczne, chore i często
upokarzające. Ale nie mogę już przestać.

Wciąż chcę więcej i więcej. To pożądanie

przerodziło się w uczucie, którego nie potrafię
pohamować.

– Mówiłaś to samo o każdym ze swoich
byłych facetów.

– Tak, bo za każdym razem właśnie tak
czułam. Ale teraz... to jest coś więcej.

Rita spojrzała na Ofelię siedzącą na
brzegu rzeki i wrzucającą kamyki do wody.

– Czym ten psychopata się w ogóle
zajmuje? Daje się wystrzeliwać z armaty?

– Nie. Nie mam pojęcia, czym się zajmuje.

Nigdy o tym nie mówimy. Ale podejrzewam,
że... ma na koncie jakieś ciemne sprawy.

– Przekręty? Kradzieże?

Stella westchnęła.

– Nie wiem, Rito – szepnęła, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Ale wydaje mi się, że coś
poważniejszego. Sądzę, że na jego rękach nie
raz gościła krew. Może... sama nie wiem...
może on jest naprawdę złym człowiekiem...

Rita wbiła w siostrę swój krytyczny wzrok.

–

Skąd

ten

pomysł?

–
spytała

zdeenerwowana.

Stella patrzyła gdzieś przed siebie,

oglądając sceny odtwarzane z pamięci –

niedostępne dla jej siostry.

– Po prostu, kiedy mnie dotyka... gdy jego

dłonie błędzą po moim ciele, czuję, że mają w sobie tyle siły... Siły, którą zyskuje się przerażającą
wprawą. Gdy wodzi palcami po

mojej szyi, wiem, że mógłby je na niej zacisnąć

jak na gardle kurczęcia.

Rita zgasła peta w ziemi. Zerknęła na

siedzącą obok Ofelię.

– Młoda? – zawołała.

Ofelia podniosła wzrok.

– Trafisz sama do domu?

– Tak – odparła, zawahawszy się.

– No, to spadaj – warknęła szorstko Rita.

Ofelia

rzuciła

na

ciotkę

pytające

spojrzenie.

– Raz-dwa – ucięła Rita. – Już cię tu nie ma. Pogadamy później.

Rita podpałała nieco trzęsącą się ręką

kolejnego

papierosa

i

poczekwała,

aż

zawiedziona Ofelia oddali się w stronę sadu.

– A teraz słuchaj, idiotko – westchnęła

i pogładziła się po czole, jakby ją nagle

rozbolała głowa – masz z nim skończyć,

rozumiesz? Wiem, że zawsze miałaś pociąg do

pojebów, ale to już jest przesada, Stel. Masz to zakończyć, i to jak najszybciej. Nie

obchodzi mnie, że na jego widok gacie same opadają ci na podłogę. Masz zebrać do kupy swoje flaki, póki jeszcze są w całości, i odejść.

Rozumiesz?

Stella objęła ustami cygaro i oparła

wygodnie łokcie na kolanach, siedząc wciąż

w swoim męskim rozkroku.

– Nie – odparła, zaglądając Ricie głęboko

w oczy. – Jestem ci wdzięczna za próbę

ratowania mnie, ale nie zamierzam się z tego wycofywać, choćbym miała pójść na samo dno.

Wściekła Rita otworzyła usta, by jej

przerwać, lecz Stella nie pozwoliła na to.

– Jeśli ci to nie pasuje, to trudno –

powiedziała

szybko

i

splunęła

małym

skrawkiem cygara, który odgryzła w trakcie

rozmowy. Położyła się na wznak na trawie,

wkładając ręce pod potylicę. Zamknęła oczy,

a w wyobraźni natychmiast pojawiły się tamte

obrazy.

Gwarna, śmierdząca sala podziemnego

turnieju pokera, w którym Stella brała udział,

niepisane, lecz oczywiste dla wszystkich

zasady, mówiły wyraźnie, że żadna kobieta nie

ma prawa uczestniczyć w tych rozgrywkach.

Tej nocy, w tym miejscu kobiety służyły tylko jako

przystawki

do

dania

głównego

—

roznieglizowane, krążące pomiędzy stolikami,

szepcące cenę za godzinę usług.

Stella odwiedzała to zakazane miejsce co

rok

—
za
każdym
razem
bawiąc
się
w maskaradę, która wydawała jej się jeszcze przyjemniejsza niż sama gra. Ubierała się
w męskie ubrania, wkładała na głowę
elegancki
kapelusz
rodem
ze
starych
kryminałów,
a
pod
nosem
przyklejała
dodającego wytworności sztucznego wąsa.
Przez
całą
noc
uchodziła
za

młodego
mężczyznę, który grał całkiem nieźle, choć
nigdy się nie wybijał. Podobnie jak każdy
z graczy, także i Stella znana była jedynie pod
pseudonimem – rozpoznawalnym, lecz nie
krzykliwym. Wpłacając wyznaczoną kwotę
wpisowego,
przystępowała
do
grona
pozostałych graczy jako „pan Van der Bilt”.
Tej nocy panu Van der Bilt gra szła bardzo
przyzwoicie – w znacznej mierze dlatego, że nie rozpraszały go krążące wokół niczym sępy,
bardziej rozebrane niż ubrane, panie –
przystawki. Dobra passa trwała wystarczająco
długo, by dać panu Van der Bilt nadzieję na skończenie gry z całkiem pokaźną sumą
w portfelu. Nadzieja ta jednak miała okazać się płonna, kiedy do jego stolika przysiadł się
intrygujący jegomość o twarzy człowieka bez
skrupułów, przedstawiający się jako Holdem.
Holdem od samego początku wwierał się w pana Van der Bilt kpiącym wzrokiem,
skupiając się zwłaszcza na jego wąsach, które
ten przez te niepokojące spojrzenia zaczął
podejrzanie często poprawiać w obawie, że
nadmiernie
się

poluzowały.

Wkrótce

zdenerwowanie pana Van der Bilt przełożyło się na poziom jego gry. Jednak w chwili, kiedy pod stołem poczuł na swoim udzie posuwającą się w przód i w tył nieustępliwą dłoń Holdema, cała jego strategia i opanowanie runęły w gruzach.

Stella

westchnęła

rozmarzona,

przypominając sobie wszystko.

– Nie znam nawet jego prawdziwego

imienia. Do tej pory każe mi się nazywać tym pokerowym pseudonimem. Holdem.

Rita wierciła piętą dołek w ziemi. W ciągu niedługiej opowieści Stelli zdołała wykopać dziurę, w którą wsadziłaby nogi do kostek.

Pomachała przecząco głową z najgłębszym niedowierzaniem, na jakie było ją stać.

– Stello – westchnęła. – Jak zwykle nie zostawiłaś

sobie

nawet

grama

siebie.

Wszystko oddałaś. Co ja mam teraz z tobą

zrobić...?

Rozdział 8

Ofelia schowała się za niedużą jabłonką

w sadzie za domem i, skuliwszy się z czołem opartym o kolana, rozplakała się. Kwiliła

cicho, dając upust swoim emocjom. Czuła się porzucona, zapomniana, a przede wszystkim

miała wrażenie, że nie pasuje do tego miejsca,

do przeszłości swojej matki, do rodziny, którą łączy tak wiele wspomnień, o których ona nie ma przecież zielonego pojęcia.

– Dobrze czasem wylać trochę soli

z organizmu, co? – odezwała się zza jej pleców

Adalena i, podszedłszy blisko, położyła Ofelii dłoń na ramieniu.

Dziewczynka

otarła

pospiesznie

łzy,

udając, że wcale nie płakała.

– O czym pani mówi?

Adalena przyjrzała się Ofelii swoimi

klarownymi, przenikliwymi oczyma.

– Czy nie byłoby nam wygodniej, gdybyś

mówiła do mnie „babciu”? Jak każdy człowiek,

także

i
ja
mam
pewne
skrzywienie.

Mianowicie, lubię mieć wrażenie, że wszyscy
moi przyjaciele są członkami mojej rodziny.

Choć nigdy nie miałam okazji cię poznać,
zawsze przeczuwałam twoje istnienie, mimo iż nie łączą nas więzy krwi.

Ofelia pociągnęła nosem.

– Tak, nie wiedziała pani o moim istnieniu,
ponieważ moja mama nie raczyła powiedzieć
wam o mnie, a mnie o was. Przez całe moje życie

wszystko

przede

mną

ukrywała.

Okłamywała mnie.

Adalena zmarszczyła brwi.

– Twoja mama jest bardzo wrażliwą
osobą. Chciałaby, żeby świat był łagodniejszy i próbowała takim właśnie uczynić go dla
ciebie.

– Kłamała – rzuciła z pretensją Ofelia. –

Robiła dokładnie to, czego mi zawsze

zabraniała.

Adalena usiadła obok Ofelii i objęła ją.

Dziewczynce wydało się, że skóra starszej

kobiety jest chłodna, kojąca, jak letnia woda dla rozgorączkowanych policzków.

– Każdy z nas jest tylko człowiekiem.

Ofelia tylko przez chwilę czuła się

skrępowana. W towarzystwie Adaleny nie dało

się pozostawać spiętym przez długi czas.

Objęta i głaskana czule przez tę zupełnie obcą

osobę,

zyskała

poczucie

bezpieczeństwa

i swobody. Westchnęła głęboko.

– Nie mogę sobie znaleźć miejsca –

szepnęła buntowniczo. – Zawsze tak jest.

I wszędzie. Wszyscy się świetnie bawią, a ja stoję w kącie.

Adalena

chwyciła

w

dłonie

głowę

dziewczynki i oceniła dokładnie jej twarz,

przyglądając się w skupieniu architekturze jej

urody.

– To minie. – Uśmiechnęła się w końcu. –

W przyszłości to ty będziesz dla wielu ludzi centrum tego, czego pragną. Cieszę się, że cię
pознаłam,

kochanie.

Choć

w

tak

nieprzyjemnych,

zdawałoby

się,

okolicznościach.

Ofelia prychnęła.

– Wiem, o czym myślisz, malutka –

szeptnęła łagodnie Adalena. – Cóż, trzeba

przyznać, że ta rodzina jest dość specyficzna.

Inaczej przywykłyśmy tu podchodzić do

wielkich tragedii i porażek. Ale też dane nam było udźwignąć więcej niż innym. To dar, a nie

przekleństwo. Zawsze powtarzałam to twoim

ciotkom i matce. Nam – spokrewnionym nie

przez więzy krwi, ale przez Los – kobietom tej

rodziny, rzucono pod nogi znacznie więcej

kłód, niż przypada na przeciętnego człowieka,

ale też ofiarowano więcej siły potrzebnej do ich przeskoczenia. Obserwuję losy tych

wszystkich

kobiet

już

od

wielu

lat,

z nieustającą fascynacją. Każda z nas ma swoją drogę, która niejednokrotnie prowadzi

w przepaść. Ale czy próba uniknięcia upadku zawsze nas przed nim uchroni? Moja rodzona

córka rzuca się w wir namiętności, które być może kiedyś ją zniszczą, ale czy jest w mojej mocy powstrzymanie jej od tego? Odkąd tylko

Stella przyszła na świat, wiedziałam, że

rozsądek nie będzie jej drugim imieniem, że wypije wszystkie soki tego świata, a później da

mu się pochłonać. Czy jednak moim zadaniem

jest powstrzymywanie jej? Odkąd pamiętam,

lepiej wychodziło mi łagodzenie bólu niż

zapobieganie mu.

Ofelia słuchała uważnie Adaleny, choć nie

wszystko była w stanie zrozumieć.

– A jak to było z moją mamą? – spytała

w końcu.

Adalena westchnęła.

– Twoja mama... Bardzo, ale to bardzo

kochała mojego męża. Ojciec był dla niej

najważniejszy i żadnej z nas – ani mnie, ani twoim ciotkom, ani jej własnej matce nie udało

się osłabić tego uczucia choćby w niewielkim stopniu. Nie potrafiła się pogodzić ze stylem życia,

jaki prowadził, z jego kolejnymi

miłościami, z tym, że żadna z nas nie czuła się

jedyną kobietą w jego sercu.

– Nie rozumiem, dlaczego wszystkie tak go kochałyście, skoro był dla was taki okrutny.

Adalena zaśmiała się smutno.

– Ponieważ dla każdej z nas był wspaniały

i wyjątkowy. Traktował nas tak, jak tego

pragnęłyśmy. Tyle że kochał więcej kobiet niż

przeciętny mężczyzna. Wciąż powtarzam

moim córkom, że to nie świadczy o jego

podłości, lecz o pojemności serca. Być może właśnie Stella przejęła to po nim. To, że

angażował się w wiele związków, nie znaczy, że

żadnej

z

tych

kobiet

nie

kochał.

Podejrzewam, iż było dokładnie na odwrót.

Kochał je wszystkie. I dlatego również one go

kochały. Adalena zapatrzyła się w dal,

rozmyślając.

– Twój dziadek dał każdej ze swoich córek

życie.

A

nie

ma

cenniejszego

daru.

Otrzymawszy życie, nie można narzekać, że

nie dane nam było otrzymać więcej. Ponadto, mój mąż dał im wszystkim, także tobie, Ofelio,

coś więcej. Dał im część siebie, część swoich talentów,

swoich

umiejętności,

pragnień;

technął w was swojego ducha, którego

będziecie już zawsze nosić w sobie.

Ofelia zamyśliła się.

– Dlaczego mama od was uciekła?

– Tak naprawdę żadna z nas tego nie wie.

Poza twoją mamą. Ja nawet mam pewne podejrzenia, ale wolałabym ich nie snuć za

plecami Matyldy. To ona musi odpowiedzieć na

twoje pytanie.

– Skoro nie powiedziała mi przez tyle lat, to i teraz zapewne nie puści pary z gęby –

fuknęła urażona Ofelia.

Adalena pogłaskała ją po twarzy.

– O to akurat nie powinnaś się martwić.

Zapewniam cię, że wydarzy się wiele

przełomowych

rzeczy.

Okowy

zostaną

przełamane, a pewne sprawy ujrzą światło

dzienne. Zaufaj mi.

Dziewczynka westchnęła.

– A teraz wejdźmy do środka – powiedziała

Adalena. – Czas przygotować ten dom do

jutrzejszego pożegnania.

Ku zdziwieniu Ofelii w salonie zgromadziły

się już wszystkie domowniczki, w tym także

trzy siostry – z Matyldą włącznie. Każda

z nich, usadowiona wygodnie, przyglądała się najdrobniejszemu ruchowi Adaleny – zupełnie

jakby od jakiegoś czasu czekały na nią. Satriz

– pierwsza z byłych kochanek nieboszczyka –

cudzoziemka z nieznanego kraju – kręciła się przy rozpalonym kominku, na którego ruszcie

obracała

jakieś

przedziwne

małe,

skwierczące prosię, zaś druga z nich – stara

Ide bujała się sennie w fotelu, uśmiechając się do przykrytej kocem Matyldy. Rita wraz ze

Stellą zajmowały wygodną sofę, paląc ze

smakiem – każda swój rodzaj tytoniu.

Adalena

stanęła

na

środku

salonu,

wskazując Ofelii miejsce przy kominku, które ta z chęcią zajęła.

– Moje drogie – odezwała się. – Za każdym

z nas przez całe życie podąża pewna

czarnooka bestia. Wygląda zza zaułka, skrywa

się za zakrętem, śledzi każdy nasz ruch,

podążając tropem woni, jaką roztaczamy. Co

jakiś czas ta czarnooka bestia skrobie do

naszych drzwi. Zazwyczaj jej jednak nie

wpuszczamy. Obawiamy się spojrzeć jej

w oczy, bo przeczuwamy, że zawsze, gdy jej na

coś pozwolimy, ona poprosi o więcej. Zdarzają

się chwile, w których nasze drogi zbliżają się do ścieżek wytyczonych przez bestię, a za

każdym razem, gdy ma to miejsce, ta wyje,

chcąc

poznać

nasze

imię.

My

jednak

strzeżemy go pilnie, boimy się ujawnić

czarnookiej bestii swoje prawdziwe „ja”.

I choć jedni z nas przez całe życie czują na

plecach oddech tej istoty, inni zaś zapominają w ogóle o jej istnieniu, prędzej czy później każdemu z nas spojrzysz ona w oczy, a wtedy będziemy musieli ujawnić jej swoje imię.

To właśnie przydarzyło się mojemu mężowi. Waszemu kochankowi lub ojcu.

Dziadkowi. Całe życie jego tropem podążał ten

czarnooki stwór, sprawiając, że mój mąż czuł

potrzebę

wiecznego

biegu.

Jego

niepohamowana

potrzeba

wolności

oraz

strach

przed

spojrzeniem

czarnookiemu

w ślepią sprawiały, iż biegł przed siebie,

angażując się we wszystko intensywnie

i krótko, by zaraz poderwać się do nowej

gonitwy.

W końcu jednak nie udało mu się umknąć
spokojnej w swej konsekwencji bestii. Został
przez nią dogoniony i rozpoznany. A wtedy
nadszedł jego kres.

Mówię o tym z żalem nie dlatego, że

wierzę, iż mojemu mężowi jest teraz gorzej, niż było za życia, ale z powodu smutku, który pojawia
się zawsze wtedy, gdy obserwuje się kres wolności. Mój mąż był człowiekiem na

wskroś wolnym, i wierzę, iż nadal nim jest –

jedyną stratą jest dla mnie to, że nie mogę koić

swoich myśli wyobrażeniem jego rejsów

w nieznane.

Mój mąż umarł samotnie – towarzyszyły

mu jedynie wspomnienia dawnych kochanek.

Zginął w prozaicznym wypadku, którego opis

uwłaczałby doniosłości tej chwili.

Wszystkie kobiety obecne w salonie przytakiwały niemo, słuchając słów Adaleny.

– Ide – zwróciła się ta do swej przyjaciółki

– czy byłabyś tak miła i przyniosła dla nas wszystkich

poczęstunek?

Moje

drogie,

zapraszam was na ucztę. Możemy siedzieć

całą noc i jeść prażone migdały popijane

najmocniejszą na świecie czarną, gorzką

kawą. Możemy wspominać i rozprawiać,

o czym tylko chcemy. Możemy dziś wyc

i płakać, oszaleć i spłonąć. Bylebyśmy jutro obudziły się oczyszczone. Jutro będziemy

nawzajem

potrzebowały

swojej

siły

i opanowania. Jutro złożymy zwłoki mojego

męża

w

wilgotną,

gęstą

ziemię,

unieruchamiając go po raz pierwszy, odkąd

tylko uformowało się jego ciało. Przypadnie

nam ten pełen powagi obowiązek i wykonamy

go z godnością i poszanowaniem.

Westchnęła, by zrobić sobie przerwę.

W tym czasie Ide wniosła na srebrnej tacy

migdały, kawiarzkę oraz filiżanki.

Adalena podziękowała jej uśmiechem

i kontynuowała:

– Moje drogie. Jutro w te strony zawitają

wszystkie

zbląkane

dusze

tego

świata.

Kochanki mojego męża. Te, które pragnęły być

dla niego jak matka, i te, które chciały nim

zawładnąć; doprowadzone przez niego na skraj rozpacz i histerycznie go nienawidzące.

Wszystkie zaś pogrążone w szalonej chęci

zaprzeczania faktom. Jeśli ktokolwiek ma jutro

zachować godność i dumę, to będziemy to

właśnie my. Poinformowałam o pogrzebie

wszystkie jego kochanki, które potrafiłam

odnaleźć, a także osoby, które mogły coś

o nich wiedzieć. Zamieściłam informację

w

prasie

ogólnokrajowej,

wychodząc

z założenia, że wszystkie te kobiety mają takie

samo prawo do pożegnania się z moim mężem

jak ja czy wy. Pragnę was jednak uprzedzić.

Większość

z

nich

darzy

moją

osobę

nienawiścią, uważając mnie za ladacznicę,

która miała czelność zaakceptować męża

i jego tryb życia. Bądźcie więc przezorne. Nie

dajcie się wyprowadzić z równowagi. Tak,

Rito, głównie do ciebie kieruję te słowa.

Wolałabym, żebyście ze Stellą nie wdały się w żadną, prowokowaną przez ciebie bójkę, by

nikt nikomu nie wrywał włosów ani nie

ubliżał.

Rita bąknęła coś pod nosem, przytakując.

– Pamiętajcie – kontynuowała Adalena – że

jako jego córki jesteście związane z moim

mężem więzami krwi, co sprawia, że byliście mu bliższe niż którakolwiek z kochanek. To

może się stać kolejną przyczyną, dla której zostaniecie obdarzone wzdargą karmioną

nienawiścią. Bądźcie na to gotowe. Jutro

każda z nas zamieni się w posąg nie do

ruszenia,

co

być

może

umożliwi

nam

przeprowadzenie tej ceremonii z należnym jej

szacunkiem.

Adalena podeszła do stoliczka, na którym

ustawiono kawiarkę, i rozdzieliła czarny

aromatyczny

napój

pomiędzy

filiżanki.

Chwyciła

jedną

z

nich

i

z

błogością

skosztowała parującej kawy, którą przełknęła

z zadowoleniem, zagryzłszy migdałem.

Poza Matyldą wszystkie kobiety poszły

w jej ślady.

– Czy rzeczywiście zaprosiłaś wszystkie

jego kochanki, które udało ci się odnaleźć? –

spytała w końcu Stella.

– Tak, kochanie. – Adalena uśmiechnęła

się. – Zarówno te, które obie pokochałyśmy, gdy jeszcze mieszkały w tym domu, jak i te, o których wiemy, że nami gardzą.

– Ciotka, wiesz, że ten pogrzeb to będzie

niezły burdel, prawda? – odezwała się Rita.

– Być może nie da się tego uniknąć –

przypadła Adalena.

Rita zamierzała właśnie powiedzieć, co

konkretnie

myśli

na

temat

zapraszania

niektórych z tych kobiet, lecz przerwało jej ciche pochlipywanie.

Pierwsza pękła Ide. Adalena podeszła do

niej i objęła niemłode już ramiona przyjaciółki.

– Pij, kochanie – powiedziała łagodnie,

podając jej filiżankę z kawą. – Być może

gorycz napoju przełamie słoność twoich łez.

Ide wtuliła się w Adalene.

– Mimo wszystko, bardzo żałuję. Nie mogę

się z tym pogodzić – zachlipała. – Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje.

– Tak – westchnęła Adalena. – Jego siła

zdawała się nie do pokonania.

– Jak mam sobie teraz poradzić? – płakała

cicho Ide. – Zawsze czerpałam siłę z niego.

Z tego, że gdzieś tam jest – taki, jakim go pokochałam. Że oddaje się temu, co w nim

podziwiałam – choć już beze mnie. Mogłam

karmić się wspomnieniami i powtarzać sobie,

że teraz inna kobieta czerpie jego energię.

Tak jest i tak być powinno.

– Wszystkim nam było lżej na duszy, gdy

wiedziałyśmy, że chociaż on jeden na tym

zwariowanym świecie żyje tak, jak chce.

– Nie wszystkim – odezwała się nagle

Matylda ze swojego miejsca pod kocem.

– Kochanie, napij się kawy z kawiarki –

poprosiła ją łagodnie Adalena.

– Nie! – krzyknęła Matylda. – Wiem, co w tej kawie jest!

Adalena uniosła brwi.

– Wszystkie to wiemy. Są w niej zmielone

ziarna prażonej Jemen Matari, odrobina

kardamonu i szczypta soli. Nic ponadto,

kochanie.

Matylda prychnęła.

– Nawet jeśli to prawda, nie wezmę tego

do ust. Znam te wasze sztuczki. Myślisz, że napiję się z wami, popadniemy we wspólny

nastrój refleksyjny, a potem przejdą nam

wszelkie smutki. Nie! Tak nie będzie!

Stella z Ritą wymieniły porozumiewawcze

spojrzenia.

– Pij tę kawę albo idź spać, gówniaro –

odezwała się Rita.

Matylda wyprostowała się nieco na sofie,

wciąż jednak nie ściągając z siebie koca.

– Niczego nie rozumiecie! Jesteście głupie!

Tatuś kochał mnie najbardziej! Mnie! Gdyby

żył, powiedziałby wam to samo! To mnie

zawsze

powtarzał,

że

jestem

jego

Gwiazdeczką, że to ja rozjaśniam mu mrok, że

przy mnie waha się, czy nie zmienić swojego pełnego zepsucia życia! – rozplakała się

Matylda.

– Każdej z nas to powtarzał, idiotko –

warknęła Rita. – Czy tego nie rozumiesz?

Właśnie dlatego wszystkie za nim szalałyśmy.

Bo

dawał

nam

poczucie,

że

jesteśmy

wyjątkowe. Dlatego nigdy nie przebywał

z dwoma z nas jednocześnie, bo wtedy cały

zamysł popadłby w ruinę. Dlatego zawsze to

robił!

Satriz,

choć,

jak

się

zdawało,

nie

rozumiała języka, w którym rozmawiały

siostry,

zgodziła

się

wyraźnie

z

Rita

i z nerwów cisnęła kilka migdałów w żar
paleniska, które na moment rozbuchało się,
jakby ktoś chuchnął w nie benzyną.

– Każdą z nas traktował wyjątkowo –
zachlipała Ide.

– Bo każda z nas była dla niego
wyjątkowa, kochanie – odezwała się Adalena.

– Co nie przeszkadzało mu dupczyć na
prawo i lewo – bąknęła Rita.

– Ojciec miał pojemne serce, ja to
rozumiem – odezwała się Stella.

– Jasne – zaśmiała się Rita. – Kochałam go

jak szalona i jego bzykanka nigdy tego nie zmienia, ale pogódźcie się wreszcie z faktem, że źle
lokalizujecie przyczynę zagadnienia.

Nasz stary nie miał pojemnego „serca”,

„duszy”, „jaźni” czy innego gówna, tylko

wyjątkowo zuchwałego kutasa, czy to nie jest
oczywiste?

– Nie waż się tak mówić o tatusiu! –

wrzasnęła Matylda i wyskoczyła spod koca, by
rzucić się z rozczapierzonymi palcami na Ritę.

Ta jednak była zbyt przyzwyczajona do

ciągłych przepychanek z wyjątkowo silną

Stellą, więc chwyciła siostrę za włosy i za nadgarstki, unieruchamiając ją w ten sposób.

– Ty gówniaro! Jak śmiesz? Zaraz ci
powyrywam wszystkie kudły – syknęła Rita.
– Dziewczynki – westchnęła Adalena.
– Pojedynek rozstrzygnięty – zaśmiała się
Stella. – Jeden zero dla Rity. Pogódź się z tym,

Matyldo, i przyjmij porażkę z godnością.

Matylda uwolniona przez Ritę opadła na
podłogę i zakwiliła cicho.

– Niczego nie wiecie! – krzyknęła znowu.

– Może jednak napijesz się kawy? –
zapropozowała Adalena.

– Nie! Nie i jeszcze raz nie! Tatuś był mój
i to właśnie przez was nie mogłem skończyć
z życiem utracjusza. A dla mnie zrobiłby to –
nie raz mi to powtarzał.

– Ta? – prychnęła kpiąco Rita. – A co
konkretnie ci mówił? Czy może: „Twoje
istnienie nadaje sens mojemu życiu”?

– A może: „Gdy jesteś przy mnie, czuję, że
żyję”? – podchwyciła Stella.

– „Wszystko, co wypełnia moje życie, przypomina mi o tobie?” – odezwała się
ponownie Rita.

– „Z tobą mogłbym pójść na dno” –
zacytowała Ide.

– „Nie mogę bez ciebie żyć”. – Adalena

uśmiechnęła się.

– „Nic nie ma dla mnie znaczenia, gdy ty

jesteś przy mnie” – powiedziała Stella.

– „Jestem twój, a ty moja” – Rita.

– „Nie zmieniłbym w tobie niczego” – Ide.

– „Może spróbowalibyśmy jeszcze raz?” –

Adalena.

– „Tamtą noc na zawsze odmieniła moje

życie” – Ide.

– Kocham cię. Pragnę cię. Potrzebuję cię –

usłyszały

nagle

czyjś

głos,

któremu

towarzyszyło skrzypnięcie drzwi wejściowych.

Stały

w

nich

dwie

kobiety.

Jedna

niesamowicie wysoka i szczupła, druga –

o spieczonej słońcem i wiatrem twarzy.

Adalena wstała z miejsca, uśmiechając się radośnie.

– No proszę – ucieszyła się, otwierając ramiona. – Kto też zawitał do nas w tę wietrzną noc?

– Adaleno! – pisnęła radośnie wysoka chuda i rzuciła się gospodyni na szyję, by otrzymać od niej całusa. Druga kobieta w tym czasie zdjęła z pleców swój ekwipunek wyglądający jak wyposażenie komandosa

i machnęła przyjaźnie do wszystkich siedzących w salonie kobiet.

– Czołem, domatorzy!

– Czołem, łazęgo! – odkrzyknęła Rita

i dodała ciszej do Stelli. – No, kogo jak kogo, ale jej to się nie spodziewałam.

– Kto to jest? – szepnęła Ofelia.

– To Nomada – powsinoga, włóczęga,

nosiciel

wszelkich

zarazków,

a

pewnie

i pasożytów tego świata – zaśmiała się Rita. –

Jebnięta wariatka, która wiele lat temu

„porzuciła cywilizację”, jak mówi.

– A ta wysoka – odezwała się Stella – to Tutsi.

– Nie grzeszy inteligencją. – Rita

zaciągnęła się papierosem. – Nadała sobie ten

pseudonim, sądząc, że to nazwa deseru.

– O matko – pisnęła Tutsi, wachlując się

dłońmi – jak się cieszę, że tu jestem i was widzę. To znaczy – skrzywiła się – to chyba nic

złego, prawda, Adaleno? No, bo przecież on

nie żyje, to może nie powinnam się cieszyć?

– Nic podobnego, Tutsi – odparła spokojnie

Adalena. – Zachowuj się tak, jak czujesz.

– Adaleno, czy mogę rozbić sobie namiot

w twoim sadzie? – spytała Nomada, stając w rozkroku i chwytając w dłonie swój

pakunek.

– Ależ to niekonieczne, kochanie. Mam dla

ciebie wolne łóżko, jeśli zechcesz – odparła Adalena. Nomada machnęła ręką w geście

rezygnacji.

– Wolę spać na wolnej przestrzeni. Trzy

tony cegieł nad głową nie działają na mnie dobrze.

Poza

tym

bezpośredni

kontakt

z ziemią dobrze człowiekowi robi. Łóżka nie pozwalają załapać porozumienia z podłożem.

– No, i wszystko jasne – zaśmiała się Rita.

– Ale, ale – ucieszyła się Nomada – widzę,

że i stawy nam nie zabraknie – to mówiąc, wskazała na małego prosiaka obracanego na

kominku przez Satrizę, która nie uczestniczyła

w rozmowach.

– Zgadza się. – Adalena uśmiechnęła się. –

Jest też kawa i migdały. Zachęcam do

poczęstunku. Zaraz zaparzemy z Ide nową

porcję.

Nomada uniosła dłoń.

– Doskonale. Ale zaraz. Najpierw rozłożę

obozowisko,

a

potem

wrócę

do

was.

Namawiałabym do spotkania pod gołym

niebem, ale skoro wzniecono tu już ogień, nie

ma sensu się przenosić – to mówiąc, chwyciła

swój tobolek i otworzyła drzwi.

– Poczekaj, Nomado – pisnęła Tutsi. –

Poczekajcie. Przywiozłam wam prezenty –

ucieszyła się, machając chudymi palcami

zdobnymi w małe diamenciki przyklejone na

paznokciach.

– Co nam przywiozłaś, Tutsi? – spytała

Rita. – Trochę kokainki, którą wciągacie przed

pokazem?

– Nie – zasmuciła się Tutsi. – Leciałam tu samolotem i mój menedżer powiedział, że

lepiej nie brać takich rzeczy na pokład, bo może być po karierze.

– Coś w tym jest. – Stella uśmiechnęła się.

– Ale za to – ucieszyła się Tutsi na nowo –

mam dla was najnowsze produkty firmy

kosmetycznej, której twarzą jestem od dwóch

miesięcy. Hurra! Zobaczcie, jakie śliczne

błyszczyki.

Nomada, która miała już wychodzić,

podeszła do Tutsi i przejęła od niej różowo-złotą kosmetyczkę wypełnioną błyszczkami.

– Co to jest błyszczyk? – spytała. – Czy to

błyszczki w ciemności? Albo świeci?

Tutsi zmartwiła się.

– Nie. Jest wprawdzie jeden, który daje

efekt rozbłysku, ale nie wiem, czy świeci.

Nomada chwyciła jeden z błyszczków

i odkręciła, badając jego konsystencję.

– To jakiś rodzaj łożu, czy tak? – spytała.

– Nie wiem, co to jest łoż – wzruszyła
ramionami Tutsi – ale pewnie masz rację.

– Przypomina trochę kozi łoż, ale ma inny
kolor... I inaczej pachnie – stwierdziła

Nomada, podziękowała za prezent i wyszła
rozstawiać namiot.

– Mam tego dosyć – jęknęła z wyrzutem

Matylda. – Dosyć, dosyć, dosyć!

– Nie lubisz błyszczków? – zatroskała się

Tutsi. – Mam też pomadki, jeśli wolisz.

–

Zwariuję!

–

wrzasnęła

Matylda

i spojrzała z wyrzutem na Adalenę. – To

uwłacza pamięci tatusia!

– Kochanie... – odparła łagodnie Adalena.

– Nie! Nie! – krzyczała Matylda, chwyciła
swój koc i wybiegła z salonu na schody
prowadzące na piętro.

– Nie przejmuj się, kochanie – zwróciła się

Adalena do Tutsi – Matyllda musi się po prostu

wyspać. Dobrze jej to robi. Rozgość się, ja tymczasem zaparzę nową kawę.

– Ojej, przecież mogła powiedzieć, że nie

lubi błyszczaków. Nie trzeba było od razu

krzyczeć – zdziwiła się Tutsi, szukając

poparcia w oczach Rity i Stelli.

– Przyjechałaś tu... razem z Nomadą? –

zdziwiła się Stella.

Tutsi rozdawała kosmetyczki wypełnione

bibelotami do makijażu.

– Oj, nie. Spotkałyśmy się na postoju

taksówek. Nomada pytała pana kierowcę

o drogę, ale on nie chciał jej pokierować, jeśli

nie wynajmie taksówki. Wtedy Nomada się

zdenerwowała i powiedziała, że pluje na te

wszystkie otwory cywilizacji, czy coś takiego.

Ale całe szczęście – uśmiechnęła się błogo

Tutsi – ja się akurat zjawiłam i pan kierowca mnie do was zabrał.

– I Nomada w końcu wsiadła do środka? –

spytała zdziwiona Ide.

– Och, nie. – Tutsi uniosła swoje

wyskubane brewki. – Biegła za taksówką. No,

ale dzięki temu знаła drogę. Chociaż pan

kierowca próbował ją zgubić, ale mu się nie udało. Akurat oglądał moje majtki.

– Majtki? – zdziwiła się Ofelia.

– Tak, tak. To nowa kolekcja, powiedział, że go to bardzo interesuje, więc musiałam się wypiąć między siedzeniami, żeby mógł je obejrzeć.

Tutsi dopiero teraz zwróciła uwagę na obecność Ofelii, której do tej pory nie poznała.

– Ojejku, jaka ty jesteś słodziutka. Hej, maluszkę – zagruchała.

– Słodziutka? – oburzyła się Ofelia.

– Eee... Tutsi, może nikt ci tego nie powiedział, ale nie do wszystkich ludzi poniżej osiemnastki trzeba się zwracać jak do niemowląt. – Rita odpaliła papierosa.

– Ach, tak? – spytała zmartwiona Tutsi. –

Nie wiedziałam. Myślałam, że tak należy okazywać dzieciom, że się jest miłym.

– Nie jestem dzieckiem – fuknęła Ofelia.

– Ofelia ma dwanaście lat – zaśmiała się

Stella. – Ty w jej wieku zapewne już miałaś podpisany

niejeden

kontrakt

z

firmą

produkującą majtki dla anorektyczek.

– Tak, chyba tak – zastanowiła się Tutsi.

– Hej, drużyno! – zawołała Nomada,

wracając

do

salonu.

–

Obozowisko

rozstawione, prowiant zabezpieczony przed

kojotami i niedźwiedziami.

– Nomado, w tych okolicach nie ma

kojotów ani niedźwiedzi – odezwała się

nieśmiało Ide.

– Nigdy nic nie wiadomo – stwierdziła Rita.

– Błąkają się tu różne podejrzane koty, które zapewne zrobiłyby wszystko, żeby dobrać się

do sucharów, które Nomada nosi przy sobie.

– Otóż to – przytaknęła Nomada, ciesząc

się, że choć jedna osoba wykazuje zdrowy

rozsądek.

Rozdział 9

Następnego ranka salon Adaleny wyglądał tak,

jakby ktoś z ogromnym apetytem pożarł

wszystkie

dziewięć

kobiet,

a

następnie

zwymiotował nimi, sprawiając, iż przypominały

teraz

resztki

pokarmowe

porozrzucane

w dziwnych pozach po wszystkich kątach.

Pierwsza ocknęła się Nomada, postawiona

na nogi przez dziwny niepokój związany

zapewne z tym, że oto właśnie spędziła

pierwszą od ponad dwudziestu lat noc pod

murowanym dachem. Nagle poczuła się słabo,

ogarnęła ją panika. Poczwała, że za moment

wszystkie wytwory cywilizacji – rusztowania,

cement, dachówki, cegły i szklane okna –

spadną na nią, przygniatając jej wolne i żądne

kontakty z naturą ciała. A wtedy ona –

propagatorka pierwotnego stylu życia – umrze

jako męczennica cywilizacji. I może nawet

byłoby to niezłe zagranie...

Nomada usiadła na podłodze, na której
spędziła noc. W głowie jej szumiało od
nadmiaru kawy i migdałów doprawionych
ociekającym tłuszczem prosiakiem, którego
wszystkie kobiety, usiadłszy na ziemi w kucki,
ogryzły do gołej kości około czwartej nad ranem.
Powoli wracały do niej fakty minionego
dnia, wieczoru i nocy. Przypomniła sobie,
w jakim celu tu przyjechała. I znowu ogarnęło
ją uczucie dziwnego niedowierzania: czy to
możliwe, by jej dawny kochanek naprawdę nie
żył? Czy możliwe, że jednak coś go pokonało, że ugiął się pod naporem jakiegokolwiek siły?
Czyżby śmierć dotyczyła także i jego – tego niepohamowanego
samca,
zdolnego
do
kopulacji zawsze i wszędzie? W każdym
wąwozie i w dolinie, pod chmurą burzową, na
drzewie i pośród skał...? Czy możliwe, by ten,
który
pił
rześką
wodę
ze

strumienia,

przyssawszy się do niej jak niemowlę do piersi

matki, w końcu dał za wygraną?

Jeśli tak, Nomada na zawsze już będzie

wielbić ziemię, w której spocznie jego witalne

niegdyś ciało. Obdarzy miłością każdy kamień,

który

przykrywać

będzie

miejsce

jego

pochówku, oraz każdą roślinę, jaka wyrośnie

karmiona jego sokami.

Podniosła się z ziemi, czując ciężar

w brzuchu. Od ponad trzech miesięcy żywiła

się

wyłącznie

korzonkami

i

sucharami,

zrozumiało więc, że pieczony prosiak osiadł jej

na dnie żołądka i ani myślał ruszać dalej.

Rozejrzała się po salonie. Przy kominku, jak strażniczka wypalonego ognia, spała

osmalona i brudna od popiołu oraz tłuszczu

Satriz. Tutsi zasnęła w fotelu, odchyliwszy
głowę do tyłu, z otwartymi ustami, z których wypływała strużka śliny. Ide oparta czołem
o stół jadalny, Ofelia z Adaleną na sofie, a Rita wraz ze Stellą, leżącą na niej niczym kochanek
na swojej brance, u podnóża schodów
prowadzących na piętro.

Nomada
westchnęła
i
postanowiła
sprawdzić stan swojego obozowiska. Pod jej
nieobecność mogło zostać rozniesione przez
kojoty lub inne drapieżniki. Stąpała najciszej, jak potrafiła – tak jak nauczył ją pewien
pustelnik, z którym dawno temu żyła na
odludziu.

Próbowwała
przez
jakiś
czas
rozpracować
konstrukcję
klamki,
która
wydawała jej się nieco zagadkowa, po czym
wyszła na zewnątrz, pozostawiając po sobie

jedynie swojski zapaszek mdłego, sklejonego

z ubraniem potu oraz piżma.

Odetchnęła głęboko i już miała się

kierować w stronę sadu, gdzie czekał namiot, który rozstawiła, gdy nagle coś przykuło jej uwagę.

Dookoła tętniło ciche, spokojne życie

sąsiedzkie,

które

jednak

zakłócało

coś

odległego. Prawdopodobnie znajdowało się to nieco dalej, niż za linią podmiejskiego

horyzontu.

Nomada

nastawiła

swoje

wyczulone na tętent migrującej zwierzyny

uszy i nasłuchiwała. Tak, to musiała być

zwierzyna. Całkiem spore stado. Położyła się na ziemi i przyłożyła do niej ucho. Wiele par kopyt.

No

proszę,

na

przedmieściach

miasteczka można napotkać tak okazałe stado

jakichś

przeżuwaczy...

Choć

jednak...

Dziwne... Im bliżej znajdowało się stado, tym dziwniejszy wydawał się tętent jego kroków.

Jakby, zamiast po miękkim podłożu, szły po

skałach... Albo może to ich kopyta są

wyjątkowo twarde i stukające.

– Co robisz, kochanie? – spytała Adalena,

która właśnie stanęła w drzwiach swojego

domu, przecierając zaspane oczy.

– Nasłuchuję – odparła skupiona Nomada.

– To jakieś wyjątkowo duże stado.

Adalena westchnęła, spojrzawszy w stronę

horyzontu.

– Tak – rzekła ze smutkiem. – I wyjątkowo

hałaśliwe.

Także i Nomada podniosła wzrok.

– Jest coraz bliżej... Lada chwila...

– Chyba lepiej będzie, jeśli jednak

schowasz się w domu – poradziła Nomadzie

Adalena i usiadła na ganku, przyjmując wyprostowaną postawę ciała. W chwilę potem,

nawet bez przykładania ucha do ziemi, dało się

słyszeć odgłos zbliżających się nieubłaganie

kroków. A wraz z nimi dziwny jazgot. Adalena

jęknięła cicho – gotowa na to, co miało nadejść.

Zza linii widnokręgu wyłoniło się dziewięć
głów, potem dwadzieścia. Czterdzieści pięć.

Dziesiątki głów, osadzonych na kobiecych
ciałach, obleczonych w czerń, a zwieńczonych
eleganckimi butami na obcasach, które
stukając w podłogę, przyprawiały o dreszcze.

– Jest! Tam jest! – usłyszała pierwszy
krzyk.

– Tam siedzi! W tamtą stronę.

Wkrótce pod gankiem Adaleny stanęły
dziesiątki eleganckich żałobniczek, które
przekrzykiwały się nawzajem i prześcigały
w postulatach wygłaszanych donośnym lub
piskliwym głosem.

– To ona! Lubieżna ździra! – krzyknęła
paniusia w czarnym bereciku.

– Wydaj nam go! Wydaj nam jego ciało! –
wrzeszczała inna.

Jedna z kobiet – nieco cięższa od
pozostałych – uroniwszy kilka kropli potu,
wspięła się na balustradę Adaleny, by
przemówić do tłumu.

–

Nie

rozumiecie?!

Kobiety,

nie

rozumiecie?! Ta wiedźma kłamie w żywe oczy.

On żyje! Z pewnością nie umarł! Ta dziwka

kłamie, kłamie, by nas zniechęcić! On żyje

i ukrywa się w jej domu!

– Chce uniknąć odpowiedzialności! –

krzyknęła młoda kobieta, której oblicze nie

wyróżniało się z tłumu.

– Nie chce się angażować! – wrzasnęła

inna – ruda i piegowata.

– Ta wiedźma ma z nim układ! –

przemówiła

ponownie

tęższa

pani

na

balustradzie. – Ukrywa go tu, a cała bujda z pogrzebem ma nam zamydlić oczy, drogie

panie! On chce się nam wymknąć! Chce uciec

na zawsze.

– Nie możemy na to pozwolić! – uniosła

pięść blondynka z wielkim cycem. – Pojmać!

Pociągnąć do odpowiedzialności!

Ponieważ wszystkie postulaty wydawały się słuszne, a na nic bardziej odkrywczego

w danym momencie nikt nie wpadł, na krótką chwilę zapadła cisza. Adalena, korzystając z tej rzadkiej okazji, wstała z miejsca i majestatycznie przemówiła z podwyższenia ganku.

– Drogie panie – westchnęła. – Owszem,

miałam z moim mężem pewien „układ”, jak

mówicie. Układ dość formalny. Mianowicie, łączyła nas instytucja małżeństwa. Tak się

jednak składa, że niezależnie od mojej – dobrej

czy złej – woli, mój mąż zmarł. Nie „wydam”

nikomu jego ciała, bo nie jest skazańcem ani mesjaszem.

Nikogo

nie

trzeba

będzie

„pojmać”. Mój mąż został już pojmany przez

śmierć, a to chyba najbardziej nieubłagany

i nieustępliwy ze wszystkich wymiarów

sprawiedliwości na świecie. Zapraszam panie

na smutną ceremonię, którą, mam nadzieję,

uszanujecie tak, jak wszyscy żyjący powinni

uszanować prawa natury, dzięki którym

zostaliśmy stworzeni i zgodnie z którymi
rozstajemy się z tym światem. Tymczasem,
jeśli macie ochotę, zapraszam was na kawę
i prażone migdały. Także po pogrzebie te
z was, które będą miały ochotę, mogą przyjść
na poczęstunek lub rozmowę.

Na moment zapadła cisza, która po chwili
zaowocowała pomrukiem szeptów i szmerów.

Z tłumu wyłoniła się krucha istota o delikatnej
urodzie. Spojrzała Adalenię w oczy i łamiącym
się głosem spytała:

– On się tu przede mną ukrywał, prawda?

Mieszkał tu? Mieszkał?!

Adalena dotknęła jej ramienia.

– Tak, kochanie, mieszkał tu przez dwa

miesiące po naszym ślubie. A następnie wyprowadził się, zostawiając mnie tak samo,
jak was wszystkie.

Krucha osóbką zmarszczyła brwi.

– Kłamiesz. Ukrywał się tu przede mną.

Wiem to! – odwzajemniła gest Adaleny, kładąc
jej rękę na ramieniu, jednak jej palce zaciskały
się na nim kurczowo.

– Nie kłamię, kochanie – westchnęła

Adalena, próbując się uwolnić z uścisku

kruchej istotki.

– Zostawisz moją matkę czy mam ci w tym pomóc? – spytała Stella, która w tej chwili pojawiła się na ganku.

– Ona jest... jego dzieckiem? – spytała krucha.

– To jest jego bękart! – wrzasnęła gruba na balustradzie.

– Dziwkarz! Mnie nie chciał zapłodnić! – krzyknął ktoś z tłumu.

Stella zacisnęła pięści.

– Kochanie, proszę cię o rozsądek – szepnęła do niej Adalena.

– Jestem bardzo rozsądna, mam – odparła Stella przez zaciśnięte zęby. – A teraz – zwróciła się do kruchej – puść moją matkę.

Uścisk na ramieniu Adaleny sprawiał, że powoli zaczęła drętwieć jej ręka. Krucha

istotka zrobiła się czerwona. Na skroni uwidoczniła jej się przekrwiona żyła, a gałki oczne stały się bardziej wylupiaсте.

– Ukrywał się tu przede mną! – krzyknęła w końcu i zamachnęła się na twarz Adaleny pazurami, pozostawiając na jej policzku cztery sznyty.

Stelli nie trzeba było więcej. Dokładnie w momencie, gdy Adalena wydawała z siebie

zdziwiony okrzyk bólu, a opazurzona dłoń
„kruchej” napastniczki schodziła z policzka,
Stella postąpiła krok naprzód, zwinęła prawą dłoń w pięść, przełożyła ciężar ciała na
odpowiednią
nogę,
nabrała
wyuczonego,
krótkiego
zamachu
i
solidnym,
mało
widowiskowym,
lecz
obezwładniająco
skutecznym ciosem uderzyła przeciwniczkę
w twarz. Energia potencjalna zamachu Stelli
przekształciła się w energię kinetyczną ciosu, który
odrzucił
młodą
kobietę
do
tyłu,
sprawiając, że ta zapewne upadłaby, gdyby nie

to, że Stella przytrzymała ją za barki i zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, wymierzyła jej jeszcze krótki cios z główki. Z nosa kobiety trysnęła krew, lecz nikt się tym nie przejął, jako że upadła na ziemię, stając się niewidoczną dla tłumu.

– Stello – jęknęła Adalena. – Prosiłam cię przecież.

Tłum kobiet wydał z siebie głuchy szmer.

Gruba stojąca na balustradzie zaczęła się nieco obficie pocić i spoglądała nerwowo w stronę Stelli.

– Co jest, kluseczko? – usłyszała nagle za swoimi plecami.

Na ganek wyszła groteskowa drużyna

składająca się z Rity uzbrojonej w wałek do ciasta,

Satrzy

dzierżącej

pogrzebacz,

Nomady zaciskającej dłoń na nożu do

patroszenia zwierzyny i Ide stojącej za nimi z patelnią w garści.

– Jakież postulaty? – wydarła się Rita. – Ty,

piegowata, może ty chcesz coś powiedzieć?

Nie? No, to w takim razie ja wam coś wyłożę.

Skupcie swoje ufryzowane łby choć na moment

i zrozumcie – nasz stary nie żyje. Nie-ży-je.

No, chyba że zrobił sobie taki śmieszny żart i od pięciu dni wstrzymuje oddech. Jeśli uda wam się go obudzić, otrzymacie nie tylko moje

gratulacje, ale i Nagrodę Nobla.

– Rito, kochanie – szepnęła błagalnie

Adalena.

– Tak, wiem, ciociu. Pełna kultura.

Adalena

otworzyła

usta,

by

coś

powiedzieć, ale w tym czasie tłum przed jej domem gotował się do odwetu. I wtedy

wszystkie kobiety usłyszały nad głowami donośny pisk drapieżnego ptaka.

– Sokół wędrowny – szepnęła Nomada,

nasłuchując i spoglądając w niebo przez

lornetkę wykonaną ze zwiniętych dłoni.

Adalena podniosła wzrok i zakryła usta

dłonią.

– Sokół chwytający gołębicę – westchnęła.

– No, to mamy pozamiatane.

– Mamo, możesz mówić jaśniej? – spytała

Stella.

– Tak. Nie mamy czasu na oczekiwanie

wyznaczonej godziny pogrzebu. Wychodzimy

tak, jak stoimy. Natychmiast albo ta ceremonia

wcale się nie odbędzie.

Kobiety spojrzały na nią, nie rozumiejąc

w czym rzecz, jednak żadna ze stojących na ganku nie sprzeciwiała się.

– Drogie panie – odezwała się do tłumu

Adalena. – Pogrzeb odbędzie się natychmiast.

Będziecie mogły zweryfikować swoje poglądy

i rozwiązać ewentualne wątpliwości co do

śmierci mojego męża. Idziemy.

Przez

nieduże,

spokojne

zazwyczaj

miasteczko, przetoczyła się czarna, stukająca obcasami

fala

wściekłych,

podejrzliwych

kobiet, na czele których kroczyły: owinięta

w kremowy szlafrok Adalena, Rita w pizamie

imitującej

skórę

węża,

Stella

odziana

w ogromny męski T-shirt ledwo zakrywający

pośladki,

Satriz

w

ponętnej,

jedwabnej

koszulce nocnej, Ide z zarzuconym na plecy

płaszczem oraz Ofelia z Matyldą owinięte

wspólnym

kocem.

Jedynie

Nomada,

zabezpieczająca tyły pochodu, była ubrana

w to samo, co za dnia, jako że od około dwóch

miesięcy nie zdejmowała z siebie ubrań.

Rozdział 10

Matylda pamiętała parę leniwie snującą się

z kubka pełnego herbaty. Wtedy gdy jej ojciec

zabierał ją na przechadzki, które, jak się

zdawało, nie miały końca. Nic nie wyznaczało

ich kresu. Gdy zaczynało padać, a nie wiało mocno, przychodził do niej z ogromnym

parasolem

i

tym

swoim

rozbrajającym

uśmiechem.

– Gwiazdeczko, masz ochotę się przejść? –

pytał wtedy. A ona zawsze ją miała.

Dookoła

unosił

się

zapach

cieplej,

parującej wilgocią ziemi, na powierzchnię

wylegały dżdżownice i ślimaki, a Matylda i jej

ojciec mieli na wszystko czas. Pochylali się z ciekawością nad dwoma winniczkami,

których

drogi

lada

moment

miały

się

skrzyżować, ciekawi, co zrobią, gdy już do

tego dojdzie. Ślimaki zawsze wydawały się być

zaskoczone spotkaniem – jakby dowiadywały

się o obecności tego drugiego dopiero, gdy go

dotknęły.

– Tak właśnie jest w życiu, gwiazdeczko. –

Ojciec uśmiechał się. – Widzimy tych, którzy nas otaczają, ale tak, jakbyśmy ich nie dostrzegali. Dopóki ich nie dotkniemy.

Ślimaki nie wydawały się Matyldzie ani zadowolone ze spotkania, ani nieszczęśliwe – zawsze jakby onieśmiałe – początkowo chowały czułki, by po jakimś czasie przekonać się do siebie.

– One rozmawiają ze sobą – mówiła

Matylda, patrząc na ocierające się mięczaki.

– Kochają się. – Ojciec uśmiechał się.

– Nie kochają. – Matylda marszczyła brwi,

bo oglądali ślimaki już nie pierwszy raz i dziewczynka wiedziała doskonale, że zaraz – po krótkim spotkaniu niedawni przyjaciele rozstaną się. – Będą zaraz szukać nowych ślimaków – mówiła.

Ojciec uśmiechał się.

– Nikogo nie będą szukać. A mimo to

odnajdą. Zapewniam cię.

– Czy one mają dobrą pamięć? – pytała

Matylda.

– A dlaczego cię to ciekawi?

– Czy pamiętają tego, którego spotkały

wcześniej? Gdy już zobaczą nowego?

– Myślę, że jakaś ich część wciąż pamięta.

Ale idą naprzód.

– To głupie – złościła się Matyllda.

Ale jej ojciec reagował na to tak samo, jak na wszystko – uśmiechał się tak, że nie dało się na niego złościć, obejmował ją i dawał całusa we włosy.

– Włosy dziewczynki tak bardzo różnią się

od

włosów

kobiety

–

mówił

z zainteresowaniem. – Pachną zupełnie

inaczej. Wyglądają inaczej. W dotyku są jakby

mniej prawdziwe. Włosów dziewczynki wolno

dotykać – są sklezione watą cukrową, błotem, wiatrem. Dotknięcie włosów kobiety to tabu.

Matyllda patrzyła z miłością na ojca, choć

nie rozumiała, o co mu chodzi.

Dramat

rozgrywał

się

každorazowo

wieczorem, po długim spacerze.

– Tatusiu – prosiła Matylda przed wejściem

do swojego domu. – Zostań u nas.

– Nie, gwiazdeczko. Mam swój własny

dom.

– W takim razie weź mnie ze sobą –

jęczała ze łzami w oczach. – Dlaczego nie

mogę z tobą zamieszkać? Mama tylko ogląda

telewizję i każe jeść obiad. Nie zostawiaj

mnie, proszę.

– Jesteś moją gwiazdeczką. – Ojciec

uśmiechał się, gładząc ją po policzku. –

I dlatego chciałbym ci coś dać.

Wyciągnął

zza

pazuchy

malutkie

zawiniątko. Matylda, wiedzona odruchem

każdego

normalnego

dziecka,

rozerwała

łapczywie opakowanie i dobrała się do tego, co

było w środku. Tam zaś, w pośłaniu

wyścielonym purpurową pierzynką, spała

gwiazdka. Była lśniąca i przy poruszeniu

mieniła się tysiącem niepowtarzalnych barw,

sprawiając, że każdy, kto na nią patrzył,

odczuwał swego rodzaju błogość. Matylda nie

mogła odgadnąć, z czego wykonano ten

przepiękny przedmiot – czy ze szkła, czy

bursztynu,

a

może

z

magicznego,

półprzezroczystego złota?

– Podoba ci się? – Ojciec uśmiechnął się.

– Bardzo! Już nigdy się z nią nie rozstanę!

– krzyknęła Matylda i w jej przypadku była to

dozgonna przysięga.

– Cieszę się. W takim razie zawsze przy

tobie będę. Gdy będziesz się czuła samotna, dotknij tej gwiazdki, a na pewno o tobie
pomyślę.

– Czy to znaczy, że nigdy nie zgodzisz się wziąć mnie do siebie? Żebyśmy zamieszkali

razem?

– Ktoś taki jak ja, gwiazdeczko, nie mieszka z małymi dziewczynkami. Rzadko zostaję w jednym domu dłużej niż miesiąc.

Bywam w różnych miejscach, które często nie nadają się dla córek. – Matylda posmutniała.

– Ale to ty jesteś moją gwiazdeczką, pamiętaj o tym.

Rozdział 11

Nad pochodem kobiet w czerni zerwał się poziomy wiatr, który smagał je po czubkach głów, nie dotykając korpusów i nóg. Adalena z lekkim niepokojem spoglądała na chmury, zastanawiając się nad sobie tylko znanymi sprawami.

– Mój kochany, poczekaj jeszcze moment, nim odejdziesz stąd na zawsze – szepnęła.

Właściciele domu pogrzebowego zdziwili się znacznie wcześniejszym, niż to było umówione, przyjściem żałobników, jednak proszeni usilnie o przyspieszenie czynności pogrzebowych, ulegli namowom. Pograżone w smutku rodziny często zachowywały się nieprzewidywalnie.

Byli

do

tego

przyzwyczajeni.

Żona właściciela domu pogrzebowego

jeszcze przez wiele lat miała opowiadać

o przedziwnej, ogromnej procesji kobiet, które

dzieliły ze sobą nie łyzy i ciszę, lecz wzajemne wyzwiska,

nieustające

kłótnie

i przekrzykiwania.

Adalena, chcąc choć trochę opanować

sytuację, próbowała przegrupować dawne

kochanki swojego męża w taki sposób, by każda mogła podejść do trumny, pozostać przy

niej przez jakiś czas, sprawdzić, czy leżący w

niej

upudrowany

nieboszczyk

to

rzeczywiście ten, którego niegdyś kochały.

Jednak

szarpaninom

nie

było

końca,

a rozjuszone kobiety niełatwo poddawały się
prośbom tej, której zazdrościły i którą
gardziły. Toteż gdy w niewielkiej kapliczce
wystawiono trumnę, tłum rzucił się na nią,
zalewając jej wnętrze do pełna, lecz i tak wszystkie kobiety nie zmieściły się w środku.

– Powoli, idiotki, każda dotknie trupa! –
krzyczała Rita, jednak nawet jej przestano już
słuchać.

Reakcje kobiet były bardzo różne. Jedne,
ujrzawszy nieboszczyka, zalewały się łzami,
inne chwyciły się trumny, nie chcąc dopuścić do niej konkurentek, którym za życia
kochanka nie miały okazji napluć w twarz.

Jeszcze inne prychały, twierdząc, że ten, który
spoczywa w trumnie, nie jest wcale tym,

którego

znały,

a

jedynie

podstawionym

aktorem, przekupionym przez Adalенę, by

doskonale udawać nieżywego lub nawet

zabitym przez nią po to tylko, by ukryć przed

nimi prawdziwego męża.

Nagle okazało się, że na dłoniach dawnego

kochanka znajdowały się pieprzyki, których nie było za życia, że miał włosy innego koloru, że uszy były większe, niż pamiętały, paznokcie w innym kształcie, nos bardziej wydatny, czoło wyższe niż w rzeczywistości, brwi zbyt bujne, skóra nazbyt porowata.

Kobiety

zaczynały

obrzucać

się

wyzwiskami, gdy któraś z nich spędziła przy trumnie dłużej, niż jej się należało, gdy

dotknęła ręk nieżyjącego, choć – jak twierdziły

niektóre z jego dawnych kochanek – on

zapewne by sobie tego nie życzył. Jedna z pań,

bledsza znacznie od leżącego w trumnie

i z wyglądu znacznie mniej od niego żywa,

zakrzyknęła w pewnej chwili, że nieboszczyk

ruszył palcem. Inna doszukiwała się erekcji.

Następna w końcu stwierdziła, że mrugnął.

Do Rity podeszła pewna, dużo rozsądniej

od

pozostałych

wyglądająca,

kobieta

w średnim wieku.

– Jestem z nim w ciąży, dlatego dla mnie szczególnie ważne jest, by wiedzieć, czy żyje, czy nie – oświadczyła tonem poufałości i wspólnie dzielonej tajemnicy.

– Ach, tak? – spytała od niechcienia znudzona Rita. – To zajebicie.

– To swego rodzaju niepokalane poczęcie nastąpiło wczoraj. Wiem to.

Rita

spojrzała

na

wariatkę

z umiarkowanym zainteresowaniem i odpaliła

papierosa w napierającym tłumie, podpalając

niechący włosy kobiety przed sobą, która –

zorientowawszy się, że ma na głowie płonąca pochodnię – ku zdziwieniu wszystkich zerwała

przytwierdzoną do fryzury treskę i ugasiła ją butem, po czym ulokowała ponownie na

czaszce.

– Ciekawe, czy od nieżyjącego też da się

pobrać nasienie – zastanawiała się na głos ta,

która wcześniej krzyknęła w tłumie, że dawny

kochanek nie chciał jej zapłodnić.

– No jasne – spróbuj oralnie – odparła

Rita.

Kobieta

wydała

się

zainteresowana

propozycją, jednak w chwili, gdy już miała

spróbować, czy plan jest wykonalny, Adalena

machnęła

do

mężczyzn

w

żałobnych

rękawiczkach, by zamykali wieko i wynosili

trumnę z kaplicy.

Nie było to łatwe zadanie – niektóre

kobiety oburzały się, że ich szansa jeszcze nie

nadeszła, że inne – grubsze – wypchnęły je z kolejki, że wyższe im zasłaniały, że starsze podstawiały im laską haka.

– To jest jakiś burdel, a nie pogrzeb –

oburzyła się gruba, która wcześniej wspięła

się na balustradę ganku.

– W tej kwestii akurat się z tobą zgadzam,

kluseczko – przytaknęła Rita.

Nieboszczyka wyniesiono na zewnątrz.

Mężczyźni niosący trumnę w zasadzie nie

musieli tego robić, bowiem zalewające ich ze wszystkich stron kobiety same ją niosły,

wyrywając sobie nawzajem uchwytę z rąk,
prawowitych niosących spychając na plan
dalszy.

Miejsce pochówku było niedaleko, toteż

niektóre

kobiety

czuły

się

nieusatysfakcjonowane, jako że inne niosły

trumnę dłużej, a kiedy próbowało się im ją wyrwać siłą, kopały po kostkach obcasami.

Osadzenie bukowej skrzyni w głębokim

dole byłoby z pewnością skazane na porażkę, jako że kochanki wyrywały sobie z rąk sznury

do spuszczenia trumny. Kiedy jednak wszyscy

znaleźli

się

w

wyznaczonym

miejscu

pochówku, wydarzyło się coś dziwnego.

Ze znajdujących się nieopodal wzgórz

zstąpiła

gęsta,

biała

mgła.

Wypełniała

przestrzenie pomiędzy kobietami, czyniąc je

niewidocznymi dla siebie nawzajem. Otoczyła

tłum i trumnę, wdarła się w nozdrza

żałobniczek i pod ich kapelusiki. Wypełniała im

usta swoją gęstą egzystencją, dostała się pod

języki, między zęby i w gardła. Nie dało się pozbyć jej z ust – wypełniała gębę, nie

pozwalając się przeżuć, połknąć ani wypluć.

W sobie tylko wiadomy sposób uniemożliwiła

kobietom wydawanie jakichkolwiek dźwięków.

Nagle nastała cisza.

Pracownicy

domu

pogrzebowego

odetchnęli z nieklamanej ulgą i przystąpili do swych działań. Bojąc się, iż ta błoga chwila niedługo dobiegnie końca, opuścili trumnę

szybko i niemal natychmiast przystąpili do

zasypywania jej ziemią.

Niestety, okazało się, że nie na wszystkich

gęsta mgła podziałała tak, jak należy.

– Zostawcie go! – krzyknęła nagle

Matylda, zbierając dziesiątki nienawistnych

spojrzeń. Inne kobiety wydawały się oburzone

faktem, że one nie mogą pokonać zaklejającej

ust siły, zaś Matylda może.

Przepchnąwszy się przez tłum, Matyllda

zerwała z siebie koc, w którym tu przysła, stając przed wszystkimi w samych majtkach.

– Nie wsadzajcie go tam! Tam jest zimno!

– krzyknęła. Adalena próbowała szepnąć jej

coś do ucha, jednak Matyllda nie dała się

powstrzymać.

– Tam jest dla niego za zimno! On lubi

ciepło! – krzyczała na pracowników domu

pogrzebowego, którzy na te wrzaski, jak na sygnał, zaczęli pracować jeszcze szybciej, by wreszcie zakończyć upiorną ceremonię.

Obezwładnionej

przez

Ritę

i

Stellę

Matyldzie udało się już tylko rzucić koc, by przykryć ciało ojca, który, jak sądziła, będzie marzył, przebywając tak głęboko pod ziemią.

Rozdział 12

– Gdzie jest ten lis? – Skradał się myśliwy.

Rita chichotała, siedząc za pagórkiem

i sądząc zapewne, że wcale jej nie słychać.

– Gdzie ta lisiczka? – mówił do siebie jej ojciec. – Jak ją tylko znajdę...

Wskoczył

za

pagórek

z

donośnym

wrzaskiem.

– Aaaaaa! – pisnęła Rita, zanosząc się

gulgoczącym, dziecięcym śmiechem, i rzuciła

się biegiem po plaży.

– Złapię tego lisa! – śmiał się jej ojciec, goniąc córkę. – Złapię i zjem. A kitę powieszę

sobie nad kominkiem.

Rita biegła co sił w nogach, wzbijając spod

stóp porcje żółtego piasku, jednak śmiech

osłabiał jej siły, zabierając dech potrzebny, by

biec. Nagle poczuła jedną rękę ojca pod

kolanami, drugą pod plecami i wzbiła się

w powietrze, boksując jeszcze przez jakiś czas

nogami w powietrzu.

– Mam cię! – śmiał się ojciec. – Chciałem przyprawić tego lisa i upiec, ale zjem go

żywcem!

– Neeee! – śmiała się do rozpuku Rita.

– Tak! Mniam, mniam, mniam! – mówił

myśliwy, zjadając brzuch córki, która zwijała się od łaskotek.

– Tato, nie mogę już, nie mogę!

Ojciec chwycił Ritę w pasie i podrzucił

wysoko w górę.

– Wskakuj na tamtą chmurę. Rita piszczała ze śmiechu za każdym razem, gdy leciała w górę i zawisała na sekundę w powietrzu, by ponownie opaść w ręce ojca.

– No, wskakuj – śmiał się. – Dlaczego znowu spadłaś? Wrzucę cię na chmurę i spróbujesz, jak smakuje.

Złapał Ritę po raz ostatni i postawił zasapaną i roześmianą na piasku obok siebie.

– Wiesz, jak taka chmura jest słodka?

– Nieprawda, tato.

– Prawda, prawda – śmiał się. – Robią je z waty cukrowej i lodów. Jakbyś wskoczyła, tobyś się przekonała, niedowiarku.

– Kto je robi? – spytała podejrzliwie.

– Stare kobiety. Przędą je ze swoich

miłych

wspomnień.

A

chmury

burzowe

z niemiłych.

Rita patrzyła na niego z otwartą buzią.

– Stare kobiety?

– No, pewnie – przytaknął z uśmiechem.

– Mama na pewno by ulepiła taką

burzową.

Ojciec zaśmiał się.

– Może i tak. Ale bez deszczu, z samymi piorunami. Dostałem od niej nie raz takim piorunem.

– I dlatego sobie poszedłeś? – spytała Rita.

– Nie, lisku – zaprzeczył zdecydowanie.

– Ale dobrze, że z nami nie mieszkasz.

Mama cię nie lubi.

– Za to kiedyś bardzo mnie lubiła – zaśmiał się ojciec.

Rozdział 13

Nie było czasu na zadumę. Nikt nie

przemawiał,

nie

zastanawiano

się

nad

miałością życia ludzkiego, nad powstaniem

z prochu i ponownym obróceniu się w niego.

Trzeba było działać jak najprędzej, by w końcu

trumna z nieboszczykiem spoczęła pod
stosowną warstwą ziemi, a ceremonię można
było uznać za zakończoną.

Tymczasem mgła odbierająca mowę nieco
zelżała i kobiety zaczęły wydawać z siebie
coraz głośniejsze pomruki. Pełne nadziei na
odzyskanie głosu, zaczęły nerwowo się
poruszać, przepychać, podszczypywać bez
wyraźnego celu.

Adalena rozejrzała się z niepokojem,
zastanawiając się przez chwilę, czy nie dojdzie
przypadkiem do próby odkopania trumny.

W tej samej jednak chwili wszyscy żałobnicy usłyszeli przejmujący grzmot.

– W samą porę – wyszeptała Adalena, po
czym zwróciła się do Stelli i Rity: – Okryjcie Matyldę.

Mgła zwiastująca zejście na niziny pogody

ze

szczytu

sąsiedniej

góry

przeminęła,

ustępując miejsca ciemności wywołanej przez burzowe chmury przesłaniające niebo. Na

spaloną papierosem Rity treskę spadła jedna

kropla, na głowę jednego z pracowników

pogrzebowych druga. Zerwał się wiatr

i z nieba lunęła ulewa, która obróciła w ruinę

wszystkie

fryzury

—

zalała

oczy,

uniemożliwiając ich otwarcie, wlała się do

butów i torebek. W ciągu jednej chwili

przemoczyła wszystkie kobiety do suchej nitki,

a następnie spłynęła ze wzniesienia cmentarza

potokiem rozmazanego makijażu, zmytych

lakierów do włosów i perfum.

Rozległ się pisk i rozpoczęło się tupanie.

Niektóre panie próbowały coś zarzucić na

głowę dla zachowania choć resztek godności

elegantek, lecz było to bezcelowe.

I tak w ciągu trzech minut tłum

zgromadzony wokół świeżego dołu w ziemi

rozpłynął się, jakby nigdy go tu nie było, pierzchając do zaparkowanych nieopodal

samochodów, na postoje taksówek, dworce

kolejowe

i

przystanki

autobusowe,

pozostawiając na gołym cmentarzu dziewięć kobiet stojących obok siebie i wpatrujących się w świeżo skopaną ziemię.

Zagrzmiało pięć gromów. I pięć piorunów uderzyło w ziemię.

Rozdział 14

– Zjesz coś, kochanie? – spytała Adalena.

– Nie, dziękuję ci – odparł jej mąż. –

Wpadłem tylko, żeby spotkać się ze Stellą.

– Cieszę się. – Adalena uśmiechnęła się. –

Cieszę się, że ją odwiedzasz. Zawsze bardzo czeka na twoje wizyty, tęskni za tobą. Chce być taka jak ty.

Mężczyzna westchnął, uśmiechając się smutno.

– Chyba lepiej, żeby nie była.

– Nie mów tak – odparła łagodnie Adalena.

Jesteś ulotnym duchem, ona też. Po mnie odziedziczyła tylko wyobraźnię. Reszta jest kalką z ciebie – zaśmiała się.

– Adaleno... – zaczął i zawahał się. –

Cieszę się, że jesteś taka, jaka jesteś.

– Ja też się z tego cieszę, kochanie.

Inaczej byłoby mi bardzo trudno.

Patrzyli na siebie przez jakiś czas, lecz

mężczyzna

uciekł

wzrokiem

przed

spojrzeniem pięknych, jasnych oczu swojej

żony, bojąc się, że gdy tak będzie w nie

spoglądał, coś jednak zatrzyma go tu na

dłużej.

– Jak ci się wiedzie? – spytała łagodnie Adalena. – Czy masz teraz kogoś, kto grzeje twoje serce?

– Ty je grzejesz – odparł.

–

Jesteś

kleptomanem

uczuc.

–

Uśmiechnęła się. – W takim razie powiedz mi chociaż, czy ma ci teraz kto ugotować coś

ciepłego. Dbasz o siebie?

– Nie – zaśmiał się. – Teraz akurat nie.

– Miłość cię wykończy, kochanie –

westchnęła z czułością Adalena i zawołała

Stellę, która chwilę potem zbiegła na parter po drewnianych schodach.

– Tato! – wrzasnęła, widząc ojca w salonie.

– Cześć, robalu.

Stella stanęła na ostatnim schodku,
nabrała rozpędu i wskoczyła na ojca niczym
amazonka na konia.

– O matko – sapnął, łapiąc ją. – Skaczesz coraz dalej i wyżej, co?

– Tak – odparła podekscytowana. –

Pamiętasz tamten tor od krzaka do skałki?

– Jasne, robalu.

– Doskakuję już za drugi kamień – odparła

z dumą. – Ale z rozpędu.

– To jest coś – odparł z uznaniem.

– Porzucamy kamyki do rzeki? – spytała

Stella.

–

No,

pewnie.

Przecież

po

to

przyjechałem.

– Chciałabym mieć psa – oświadczyła

Stella, gdy szli nad rzekę.

– Zapytaj mamę, czy się zgodzi. Jeśli tak, kupię ci. Jakiego byś chciała?

– Myśliwskiego. Chodziłabym z nim na

polowania.

Ojciec zaśmiał się.

– A na co konkretnie chciałabyś polować?

Na myszy?

– Na kaczki – odparła Stella z rękoma

w kieszeniach spodni na szelkach. – Jest taki klub myśliwski i chodzi się tam strzelać z prawdziwej broni!

– Masz dość nietypowe zainteresowania,

jak

na

małą

dziewczynkę,

robalu.

–

Uśmiechnął się i objął ją ramieniem.

– Phi! Nie jestem małą dziewczynką.

W szkole biegam lepiej od chłopaków. I lepiej od nich klnę.

– No, to składam wyrazy uznania – zaśmiał

się.

– I pluję dalej. I lepiej rzucam błotem.

– Dziewczynki zazwyczaj nie rzucają

błotem, bo nie chcą sobie pobrudzić sukienek.

– Uśmiechnął się. – Ale skoro ty i tak chodzisz

tylko w spodniach...

– Mama w końcu zrozumiała, żeby mi nie wciskać tych kościelnych falbanek. I nie

czesząc mnie w kokardki. Z gumek do włosów

to przynajmniej można zrobić procę. Ale te

kokardki są do niczego.

– No jasne, rozumiem – odparł, rzucając

pierwszy kamyczek wprawnym ruchem dłoni –

tak, by ten odbił się od tafli wody jak najwięcej razy.

Stella

nie

wyobrażała

sobie

takiej

czynności, której nie lubiłaby robić razem

z ojcem. Pomijając jednak zawody, wyścigi,

rzucanie kamieni i przepychanki, najbardziej

relaksowało ją siedzenie z nim w łazience

i obserwowanie, jak goli swój twardy, ciemny zarost, który lubił odrastać jeszcze tego

samego dnia po goleniu. Siadała wtedy na

stołku i obserwowała z ciekawością, jak ojciec

robi sobie pianę z mydła, nakłada specjalnym pędzlem białą warstwę na twarz i szyję,

a następnie cierpliwymi ruchami, pociągnięcie

przy pociągnięciu, goli odrastający, szorstki jak papier ścierny, zarost.

Rozdział 15

Kilka dni po pogrzebie kobiety siedziały

zgrupowane

wokół

palącego

kominka.

Matylda spała w swoim pokoju, zdawało się

im, od wielu już lat. Snem leczyła rany

zadawane

samej

sobie

dotychczasowym

życiem. Jedynie obecność dwunastoletniej

w dalszym ciągu Ofelii pozwalała wierzyć, że sen jej matki nie trwa od stuleci.

Jasne oczy Adaleny spotkały się z ognistym

spojrzeniem Satrizy, gdy obie przeszły ten

sam dreszcz. Adalena zerknęła na swoją

córkę, która wraz z Ritą drzemała na sofie obok, zmęczona – podobnie jak jej siostra –

wydarzeniami minionych dni. Z klarownych

oczu matki spłynęła samotna łza, której

ścieżkę biegnącą po policzku pokrytym

szlachetnymi zmarszczkami zauważyła jedynie

Satriz.

Adalena otarła wilgoć z twarzy i szepnęła

do Stelli:

– Spakuj się, kochanie. Weź chociaż

najważniejsze rzeczy. Choć jedno nasze
wspólne zdjęcie. I pierścion – ten, który dałam
ci dawno temu.

– Mamo, o czym ty mówisz? – spytała zaspana Stella.

– Weź to, co pomoże ci zachować choć
promyk ciepła, gdy pogrążysz się w ciemności.

– Ciotka, dobrze z tobą? – ożywiła się Rita,
spoglądając to na Adalena, to na Stellę, która dopiero, zajrzawszy matce głęboko w oczy,
zrozumiała, że ta mówi zupełnie poważnie.

– Nie pytam dlaczego, mamo. Ale powiedz
mi chociaż, co mam wziąć ze sobą.

Adalena poczuła, jak poci się na karku, jak
pot spływa jej pomiędzy łopatkami.

– Biegnij do swojej sypialni i weź to, co uznasz za stosowne – szepnęła smutno
Adalena.

Satriz wstała ze swojego stałego miejsca
przy palenisku, dzierżąc w dłoni pogrzebacz
i patrząc uważnie na Adalena.

– Ciotka, co się dzieje? – denerwowała się
Rita.

Ide, która wraz z Ofelią krzątała się po
kuchni, gotując i rozmawiając z młodszą
towarzyszką,
stanęła

w

progu

salonu

i powiedziała ze śmiechem, pozostałym po

żarcikach z Ofelią:

– Jakiś samochód zajechał na podjazd.

Kiedy jednak na twarzy Ide spoczęło

ciężkie spojrzenie Satrizy, szepnęła do Ofelii:

– Szybciutko, zdejmij wywar z górnej półki i zanieś swojej babci do wypicia.

Ofelia, ze zmrożonym nagle uśmiechem,

wykonała polecenie pospiesznie i z uwagą.

Adalena wypła łąpczywie mętny wywar

i odetchnęła głębiej, prosząc Stellę, by szybko

pobiegła po swoje rzeczy do sypialni.

– Ciotka, natychmiast gadaj, co się dzieje!

– krzyknęła ze ściśniętym gardłem Rita, gdy jej

siostra zniknęła na schodach prowadzących na

piętro.

– To, co zawsze, kochanie – odparła

Adalena – następstwa zdarzeń.

Rita nabrała powietrza w płuca, by

zażądać wyjaśnień, lecz dokładnie w tej chwili

rozległo się donośne, pojedyncze puknięcie do

drzwi wejściowych. Adalena zamknęła oczy

i zwróciła się do Ide zmierzającej w stronę drzwi:

– Nie zapraszaj do środka. Wpuść, ale nie zapraszaj.

Jednak Ide nie musiała nikogo wpuszczać.

Ten,

kto

pukał,

wszedł

bowiem

sam.

Naciskając klamkę, stawiając pewny krok za próg, jakby wchodził do własnego domu.

Oczom kobiet ukazał się postawny mężczyzna

o nieprzeniknionym spojrzeniu. Wysokie,

ciężkie buty myśliwego zbrukały błotem

kremowy

dywan

salonu

Adaleny,

która

siedziała wciąż tyłem do wejścia w swoim

fotelu, nie chcąc spoglądać na przybysza.

– Gdzie jest Stella – huknął tonem rozkazu,

nie zaś pytania.

– Kim ty jesteś, porąbańcu? – Rita

odezwała się jako jedyna. – Pojechało cię?

Włazisz tu jak do własnego domu i wypytujesz

o jakąś Stellę. Nie ma tu żadnej Stelli,

kretynie, i lepiej zabieraj stąd dupę, bo wezwę

policję. Pomyliłeś domy.

– Nie pomylił – odezwała się Stella, stając

na schodach z małym zawiniątkiem w ręce.

Mężczyzna postąpił krok naprzód, rzucił

niechętne spojrzenie w stronę Rity.

–

Holdem

–

szeptnęła

Stella,

jak

zahipnotyzowana. – Jak mnie tu znalazłeś?

– Mam swoje układy – odparł zwięźle

i wbił wzrok w tył głowy Adaleny, która nie spojrzała na niego ani razu, nie odezwała się do niego.

Holdem podszedł do Stelli i zarzucił

ją sobie na ramię jak zdobycz. Odwrócił się na

pięcie i w kilku dudniących krokach opuścił

dom Adaleny.

Wrzucił Stellę do swojego samochodu

i odjechał szybciej, niż którakolwiek z kobiet zdążyła zaprotestować.

Rozdział 16

Czarny cadillac prowadzony jedną ręką ryczał, pozostawiając za sobą tumany kurzu i kłęby słodkich jak zemsta spalin. Holdem trzymał jedną rękę między nogami Stelli. Pewnym uściskiem, jakby znajdował się tam jakiś uchwyt. Gryzł ją w szyję – wcale nie na żarty – jutro w tym miejscu pojawią się u Stelli siniaki.

– Jak mogłaś odejść ode mnie? – sapał jej w miękką skórę. Stella oddychała głęboko, nierównomiernie – ze strachu i z podniecenia.

– Nie odeszłam. Wyjechałam tylko na pogrzeb ojca – zajęczała. Odpowiedział jej głośny pisk opon samochodu nadjeżdżającego z przeciwka, ponieważ nieumyślnie zjechali na jego pas.

– Patrz na drogę – szepnęła. Holdem ścisnął ją mocniej.

– Nigdy nie mów mi, co mam robić, panie Van der Bilt. Jeśli jadę pod prąd, to znaczy, że tak postanowiłem. Jeżeli zdecydowałem, że mamy teraz zginąć, to tak właśnie się stanie.

Rozumiesz?

– Tak – jęknęła.

– Niech cię powącham – warknął i puścił

kierownicę całkowicie.

– Chyba mnie nie zdradzałaś? – spytał

podejrzliwie.

– Nie. Byłam tylko na pogrzebie ojca.

Chwycił ponownie kierownicę, wracając

na odpowiedni pas.

– Wyczułbym to. I już byś nie żyła.

Zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

– Wsiadaj.

Stella posłusznie wykonała polecenie.

Holdem wysiadł za nią. Przycisnął ją do maski

cadillaca.

– Jak myślisz, co teraz zrobię? – spytał

beznamiętnie.

– Nie wiem – szepnęła Stella.

– Boisz się?

– Tak – odparła, bojąc się naprawdę.

Holdem przyłożył jej dłoń do szyi i ścisnął

odrobinę za mocno. Stella kaszlnęła.

– Wiesz, że mógłbym ci teraz zrobić,

cokolwiek bym chciał, prawda?

– Tak – wysapała Stella.

– Zabić cię gołymi rękoma. – Powąchał ją

za uchem.

– Wiem.

Dotknął jej biodra i wyczuł, że w kieszeni Stelli

znajduje

się

jakieś

zawiniątko.

Wyciągnął je wprawnym ruchem. Były to

rzeczy, które zabrała z domu Adaleny.

– Co to jest? – prychnął.

– Nic takiego. Parę rzeczy.

– Ach, tak? – Uśmiechnął się złośliwie,

cofając przedmiot z zasięgu jej rąk. – W takim

razie dlaczego ci tak na tym zależy?

– Och, wcale mi na tym nie zależy.

Holdem błyskawicznie sięgnął ręką do jej

twarzy. Ścisnął jej policzki między kciukiem a pozostałymi palcami.

– Nigdy nie próbuj mnie okłamywać.

I jeszcze jedno. Od teraz ma ci zależeć tylko na mnie. Czy tak jest?

– Tak – jęknęła Stella.

– W takim razie nie będziesz tego

potrzebowała – zaśmiał się i wyrzucił za siebie

zawiniątko,

które

opadło

samotnie

na

pobocze. Stella podążyła za nim wzrokiem, po

czym zamknęła oczy.

– Wszystko jasne?

– Jasne – odpowiedziała bez zawahania,

pocierając kciukiem pierścień od Adaleny,

który nosiła na serdecznym palcu.

– W takim razie – uśmiechnął się –

zabawimy się trochę na tym poboczu. Później czeka nas daleka droga.

– Dokąd jedziemy?

Holdem

zamknął

oczy,

udając

rozdrażnienie.

– Czy nie mówiłem ci już, żebyś mnie nigdy

o nic nie pytała?

– Zgadza się.

Holdem

chwycił

Stellę

za

biodra

i trzymając w ten sposób, patrzył na nią przez jakiś czas.

– Rozumiesz dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego cię zabieram ze sobą?

– Nie.

– Bo za tobą szaleję! Teraz już wiesz –

warknął. – Pojedziemy naprzód. Daleko. Dalej

i jeszcze dalej. Aż pochłonie nas piekło.

Rozdział 17

–

Dobrze,

ciociu,

ale

niekoniecznie

musiałyśmy się godzić na to, żeby jakiś

socjopata uprowadził Stellę sprzed naszych

oczu! – denerwowała się Rita, gdy Adalena

próbowała z nią rozmawiać spokojnie.

– Kochanie, obawiam się, że nie miałyśmy

na to wpływu. Ścieżki czasu krzyżują się

niekiedy w taki sposób, że sytuacja staje się patowa, prędzej czy później.

– Nie wiem, o czym mówisz, ale rzecz

w tym, że ten gość mi się nie podoba! –

wściekała się.

– Rito – odezwała się cicho Ide, odciągając

ją na bok. – Nigdy nie ośmielałam się dawać ci

rad i dlatego proszę o potraktowanie tej jednej

z należytą powagą. Nie dręcz już Adaleny. Czy

nie widzisz, że ona sama ledwo trzyma się na

nogach z powodu nowej miłości Stelli? Czy nie

zauważyłaś, że nie była w stanie nawet

spojrzeć na tego mężczyznę? Dlaczego

jątrzysz jej w ranach?

Rita spojrzała zdziwiona na starą Ide.

Rzeczywiście, ona nigdy do niczego się nie

wtrącała. Rita zaklęła pod nosem.

– Okazuje się, że zgon naszego staruszka to najmniejszy problem – wysapała. – Ciociu, czy w garażu nadal jest perkusja, której kiedyś

używałam?

– Tak, kochanie – odparła Adalena cicho.

– Świetnie. Muszę się jakoś wyżyć.

– Prawdę mówiąc, Rito, miałam nadzieję,

że Adalena zdrzemnie się choć przez chwilę –

odezwała się ponownie Ide. – Jest zapewne

bardzo zmęczona wydarzeniami ostatnich dni,

natłokiem

mało

uprzejmych

żałobników,

pogrzebem i... tak dalej.

– Ależ to nic, kochanie – odparła Adalena.

– Od zawsze świetnie mi się spało przy
dźwiękach perkusji Rity. Sprawia, że zasypiam
jak kamień. – Uśmiechnęła się.

Ide przytaknęła i wróciła do kuchni, by
zająć się osamotnioną nieco Ofelią i razem

z nią ugotować coś, co, jak miała nadzieję, poprawi wszystkim humor. Rita odprowadziła
ją wzrokiem i podeszła bliżej Adaleny,
obejmując ją, niższą od siebie o głowę.

– Ciociu – spytała wyjątkowo, jak na siebie,
łagodnie – czy należy się martwić o Stellę?

Powiedz szczerze.

– Ty nie powinnaś się martwić, kochanie.

– Niby dlaczego?

– Bo jeszcze na to nie pora.

– Ale nadejdzie taki czas? – oburzyła się Rita. Adalena uśmiechnęła się smutno.

– Na wszystko przyjdzie czas. Na razie

niczym się nie martw. Zawsze gdy będzie to potrzebne, podzielę się z tobą swoją skromną
wiedzą. Obiecuję, o to możesz być spokojna.

Nie można jednak całe życie chodzić w kole ratunkowym. Rzuca się je dopiero, gdy ktoś

tonie. Tylko wtedy ma to sens. Rita objęła ją mocniej.

– Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz –

westchnęła, po czym, wróciwszy już do

swojego zwyczajnego tonu, dodała: – No,

ciotka. Idź spać. A ja trochę powalę w gary.

Adalena wspięła się po schodach na piętro, co

przyszło jej z niespotykanym trudem – jakby właśnie zdobywała Koronę Ziemi. Niczego

teraz bardziej nie pragnęła od drzemki, która

choć na chwilę odbierze jej z karku kilka

trosk.

Postanowiła jednak najpierw zajrzeć do

Matyldy, która spędzała teraz większość czasu

w swojej dawnej sypialni. Uchyliła drzwi

najciszej,

jak

potrafiła,

i

zajrzała

do

przyciemnionego

beżowymi

zasłonami

pomieszczenia. W środku wydawało się być bardzo przytulnie. Ciepłe kolory i półmrok

odganiały wszelkie troski. Adalena ujrzała

Matyldę leżącą na łóżku. Nachyliła się nad nią,

by przykryć jej odsłonięte plecy, ta jednak poruszyła się.

– Połóż się obok mnie, ciociu – poprosiła.

– Nie śpisz, kochanie? – spytała łagodnie

Adalena.

– Zwykle śpię. Całe moje życie jest snem,

który sobie sama wymyśliłam.

Adalena położyła się na łóżku obok niej

i objęła jej plecy ramieniem.

– Moja mała dziewczynka. – Uśmiechnęła

się.

– Kłamałam, to prawda. Nazwijmy sprawę

po imieniu – odezwała się nagle Matylda.

– Nie potrzebujesz mojego rozgrzeszenia,

kochanie.

– Ale chcę, żebyś to usłyszała – odparła. –

Kłamałam, bo nie chciałam, żeby Ofelia

przeżywała to samo, co ja. Całe dzieciństwo kochałam cię i nienawidziłam za to, że to ty byłaś jego prawdziwą żoną, a Stellę za to, że pochodziła z prawowitego związku, a ja byłam

jakimś bękartem.

Adalena otworzyła usta, lecz Matylda

przerwała jej.

– Nie zaprzeczaj niczemu, ciociu, i mnie nie rozgrzeszaj. Po prostu chcę ci to opowiedzieć.

Nienawidziłam was tak, jak te wszystkie

kobiety, które zjawiły się na pogrzebie, i tak, jak moja własna matka, choć również

kochałam was, jako jedyne bliskie mi istoty na

świecie. Ale nienawiść jest jak ogień – sieje spustoszenie tam, gdzie się pojawi, i wciąż jest

jej więcej. Moja matka nienawidziła tatusia

i mnie także, bo uważała, że spotkanie go było

największym błędem jej życia. A ja? Co miałam

robić? Przecież widziałam, jak na mnie patrzy,

słyszałam, co do mnie mówi. Poza tym dzieci zawsze wiedzą, kiedy są niekochane. Ty byłaś

jego żoną, więc uważałam Stellę za jego

„najprawdziwszą” córkę. A Rita? Każdy wie,

że zanim jej matka umarła, była dla tatusia największą miłością – może nawet większą niż

ty, ciociu. Przepraszam, jeśli cię to rani.

Miałam więc po obu stronach – prawowite

dziecko i dziecko będące owocem gorącej

miłości. A ja? Głupia pomyłka, która nie

powinna była nastąpić.

Adalena

ucałowała

głowę

Matyldy

z czułością, czując, jak łyzy moczą jej policzek.

Ta zaśmiała się gorzko.

– No i co zrobiłam, gdy dorosłam?

Znalazłam mężczyznę najbardziej podobnego do tatusia, jak to tylko możliwe. Sama nie wiem, czy chciałam w ten sposób odzyskać

jego miłość, czy się na nim zemścić. Rzecz w tym, że oczywiście wiedziałam, iż mnie

porzuci. Głupia – związałam się z nim, a tak naprawdę czekałam tylko, aż ode mnie

odejdzie. Tak jak tatuś od wszystkich swoich kobiet. Idiotka – nie przewidziałam tylko

jednego – że przydarzy mi się dokładnie to samo, co mojej matce – ciąża. Kiedy Ofelia miała przyjść na świat, postanowiłam sobie, że

nie będzie dorastała tak jak ja. W wielkiej rodzinie

pełnej

miłości,

a

pozbawionej

przynależności.

Nie

będzie

się

czuła

zagubionym bękartem, jak ja. Nie pozna mojej

przeszłości i całej tej posranej historii

związków tatusia, ciebie, moich sióstr, wakacji

w tym domu. Odciełam to wszystko, chcąc ją chronić. A tymczasem okazało się, że zrobiłam

dokładnie wszystko, by zranić ją najbardziej, jak potrafiłam. Nigdy sobie tego nie wybaczę i tak samo nigdy nie wybaczę sobie błędów, jakie popełniałam każdego dnia.

Obie płakały teraz rzewnymi łzami tak, że ich plecami wstrząsały dreszcze utrudniające

Matyldzie jej spowiedź, którą mimo to kontynuowała.

– Nigdy nie wyjdę z tego łóżka, ciociu.

Zarosnę tu brudem i roślinami, które pokryją moje ciało jak nawóz. Nie spojrzę już nigdy swojej córce w oczy. Za bardzo się wstydzę.

Rozdział 18

Czarne chmury zebrały się nad starym domem

Adaleny. W sercach wszystkich kobiet zagościł

smutek,

którego

nie

potrafiły

wygnać.

Najbardziej cierpiała Adalena, choć próbowała

uporać się z tym, wspierając innych. Jednak to

właśnie ona miała największe powody do

obaw. Być może dlatego, że jej wiedza na

temat smutnej teraźniejszości oraz mrocznej

przyszłości była największa.

Matylda, zgodnie z tym, co zapowiedziała,

nie wychodziła w ogóle z łóżka. Nie odbierała

telefonów z pracy, nie chciała z nikim

rozmawiać, do sypialni pozwalając wchodzić

jedynie Adalenie. Niemal nic nie jadła, choć przynoszono jej coraz to smaczniejsze dania

na srebrnej, zdobionej tacy.

Jedynie Ofelia, choć czuła się nieco

zagubiona, zdawała się odnajdywać w tym

domu pocieszenie. Nie spodziewała niczego

złego w związku ze Stellą, o którą zarówno Rita, jak i Adalena martwiły się najbardziej.

Odnalazła

nareszcie

swoje

korzenie

i spokojne, kobiece wsparcie babci oraz Ide, z którą bardzo się zżyła. Przesiadywały całymi

godzinami w kuchni, ciesząc się wspólnym gotowaniem, łasuchowaniem, przyrządzaniem

deserów i robieniem przetworów. Ofelia

z wielką chęcią i zapałem uczyła się

przyrządzać tajemnicze mikstury, które pijała Adalena wraz z pozostałymi domowniczkami.

Jedynie Satriz pozostała tajemnicza jak

zawsze. Nie odzywała się ani słowem, nawet

w swoim własnym, nieznanym nikomu języku.

Przesiadywała

przy

ognisku,

grzebiąc
pogrzebaczem w węglach i spoglądając
z niepokojem na Adaleny, myśląc intensywnie
o Stelli.

Satriz nie popłakiwała po kątach jak
reszta kobiet. Czuła się jednak tak samo jak one
przygnębiona.

Gdy
zamykała
oczy,
widziała
w
swoim
brzuchu
wielkiego,
niebieskiego ptaka, który szamocząc się,
sprawia jej ból i przysparza smutków. Satriz pragnęła, by ciężkie ptaszysko poderwało się nareszcie
do lotu i uwolniło ją od żalu, który wypełniał jej wnętrze, nie mogąc znaleźć
ujścia.

Adalena zaczęła źle sypiać. Coraz częściej
można ją było zastać siedzącą samotnie
i myślącą o czymś nieznanym. Najbardziej zaś
doskwierało jej to, że po przynoszącym ulgę śnie przychodziła zawsze jawa, która witała ją
bolesną świadomością, iż to, czego najbardziej się boi, nie jest wcale snem.

Rita spędzała większość czasu w garażu,

wkładając całą swoją energię w grę na starej perkusji. Starła się jak najmniej myśleć o siostrze – ufała bowiem słowom Adaleny, która twierdziła, że jeszcze na to nie czas.

Odebrała już kilka telefonów z pogrózkami od

członków

zespołu,

z

którym

miała

koncertować od zeszłego piątku. Pokłóciła się ze swoim chłopakiem, który był liderem kapeli,

i nie miała teraz w ogóle pewności, czy ona sama jeszcze do niej należy. Mimo to nie

mogła się stąd ruszyć. Coś sprawiało, że nie czuła się na siłach, by powrócić do normalnego

życia po tym wszystkim, co tu zaszło. Po

śmierci i pogrzebie jej ojca, po odejściu Stelli z tym psychopata, o którym nawet nie zdążyła

wszystkiego opowiedzieć. Nawet sprawa
pogrążonej w depresyjnej śpiączce Matyldy
i jej córki leżała Ricie na sercu bardziej, niż można by ją o to podejrzewać.

W chwilach takich jak ta Rita grywała na
perkusji, by się odstresować, a gdy już nie miała siły lub gdy to nie wystarczało, pisała listy do
Stelli.

Rita pisywała do Stelli na skrawkach
papieru, który znalazła pod ręką, w zeszytach,
na kopertach – zależy, co akurat udało jej się znaleźć. Najczęściej były to po prostu strzępki
myśli, które akurat najbardziej kłuły jej głowę
od środka.

Teraz, gdy ramiona już piekły ją z bólu od
ciągłego uderzania w perkusję, Rita wsparła
czoło na kolanach i zapłakała gorzko oraz
skrycie. Nie mając siły na nic więcej, chwyciła
leżący nieopodal długopis i kartkę papieru, na
której naskrobała:

Stello, każda z nas poradziła sobie inaczej.

Ty poddajesz swoje uczucia eksplozjom,
które kiedyś mogą w końcu Cię zabić.

Wiem, że zawsze zarzucałaś mi, że nie
potrafię tego zrozumieć, bo nie mam
uczuć, podobnie jak nie mam sumienia,

lecz to nieprawda, Siostrzo. Moje uczucia

i lęki istnieją, lecz są dużo mniejsze od

Twoich,

lepiej

upakowane,

bardziej

skondensowane. Trzymam je w maleńkim

schowku w swoim wnętrzu i nie pozwalam

ich oglądać nikomu. Tak jest lepiej, Stello.

Boję się o Ciebie, Siostrzyczko, choć

staram się o tym zapomnieć.

Pamiętasz,

jak

kiedyś

nad

rzeką

połknęłyśmy

prawdziwą

dżdżownicę,

dzieląc

ją

między

siebie

na

pół,

i przysięgłyśmy, że pozwolimy jej żyć w naszych brzuchach, żeby łatwiej było

wyczuć, co słyhać u drugiej z nas? Jeśli

dżdżownica poczuje, że druga połowa jej

ciała znajduje się w niebezpieczeństwie,

zapewne poinformuje swojego gospodarza,

by ten wyruszył na ratunek.

Pamiętaj, Stello, daj mi znać, gdy

będiesz mnie potrzebowała. Jeśli tego

pragniesz,

pozwalaj

się

upokarzać

i pomiatać sobą kolejnym psychopatom.

Jeśli tylko tak potrafisz kochać, kochaj.

Jeśli tylko to Cię podnieca, graj w tę grę.

Ale

błagam

—

gdy

będiesz

mnie

potrzebowała, daj mi znać, a przybiegnę.

Jeśli schowają Cię pod ziemię, wykopię

dół i połknę wszystkie kamienie, by się do Ciebie dokopać. Gdy schowają Cię na dnie morza, wypiję całą wodę, by Cię ocalić. Rozdmucham chmury i sprawię, że spłonie wszystko, co żyje, by Cię odnaleźć. Tylko proszę Cię, Siostrze, wezwij mnie, gdy będziesz tego potrzebowała.

Rita schowała twarz w dłoniach, upewniła się, że nikt jej nie widzi, i zapłakała.

Rozdział 19

Ofelia nauczyła się już wykonywać wywar ziołowy, który Ide piła przed śniadaniem, wyciskać sok z dziwnych owoców, jakimi nacierała się Satriz, stojąc nago przed lustrem, i przyrządzać napój, którym Adalena się ostatnio wyjątkowo często raczyła.

Ciepła,
pachnąca
przyprawami

Ide,
opowiadała jej o różnych specyfikach na stołach

u

wielkich

królów,

władców

i czarowników. Dawała jej do powąchania

zawartość tajemniczych fiolek i klaskała

zadowolona w dłonie, gdy Ofelii udawało się zmieszać

w

odpowiednich

proporcjach

składniki potraw.

– Naprawdę, masz do tego ogromny talent,

ślicznotko – cieszyła się Ide. – Gotowanie, a już z pewnością pichcenie, wymaga zwinnych

rąk, sprawnych zmysłów i doskonałego

wyczucia. Nie chwaląc się – zachichotała –

dlatego właśnie ja się tym zajmuję w tym

domu. – Ofelia uśmiechnęła się, dumna

z pochwał.

– Zarówno Adalena, jak i Satriz wspaniale

gotują i czasami dopuszczam je do garnków,

ale nawet Adalena nie ma takiego wyczucia proporcji składników jak ty, moja ślicznotko.

To prawdziwy talent. Przyrządzając pokarmy

dla przyjaciół, daje się im coś więcej niż tylko

strawę. Daje się im swój pot, krew i łzy. Daje

się im swój czas, a zatem część swojego życia,

którą poświęciło się właśnie dla zadowolenia ich. A wreszcie – daje się im część swojego serca i duszy, bo tak jak nie ma dwojga

identycznych ludzi, tak samo nie istnieją dwa takie same dania. Posiłkiem można nakarmić, pocieszyć, wygnać na zawsze, odrzucić oświadczyń. Dając komuś jeść, można go usidlić lub zabić, ale także uratować od śmierci, zbawić od trosk.

Ofelia słuchała jak oczarowana, ugniatając zgodnie ze wskazówkami Ide ciasto z mąki, wody i jajek przepiórczych.

– Oczywiście nie można iść w tym za daleko. Nawet najzwyczajniejszy śmiertelnik wie, że na przykład dobra naleweczka, podobnie jak każdy alkohol, daje zapomnienie. Ale nie można

żyć

bez

ustanku

w

ciągłym

zapomnieniu, nie wolno nim leczyć trosk

i zmartwień. Podobnie działają pozostałe,

znane ci oraz jeszcze nieodkryte składniki,

z których można przyrządzić posiłek. Potrafię stworzyć taką kompozycję ziół, że wszystkie

nasze domowniczkę będą chichotały przy stole jak najęte, lecz czy to rozbawienie nie wywoła

jeszcze większego żalu, gdy już odejdą od

stołu i pogrążają się ponownie w swoich smutkach?

Ofelia zamyśliła się.

– Czy potrafisz przyrzadzić coś, co pocieszyłoby moją mamę?

– Kochane z ciebie dziecko, ślicznotko. –

Ide przytuliła ją do bujnej piersi. – Rzadko myślisz o sobie. Jesteś małą iskierką. Tak – westchnęła

–

potrafiłabym

przyrzadzić

niejedno takie danie, lecz nie chciałabyś, abym

to uczyniła. To jest właśnie to, o czym ci mówiłam. Pewnych rzeczy nie wolno nam

naprawiać, dopóki nie przyjdzie na to

odpowiedni czas. Twoja mama postępowała

tak, że teraz nie jest z tego zadowolona, i być

może kiedyś pomożemy jej nieco otrzeć łzy.

Lecz na to jest jeszcze za wcześnie. Żal

i smutek kłują w serce, łzy szczypią w policzki

jak ostra papryka, lecz mogą być początkiem czegoś ważnego, bez czego nasza stara matka

ziemia nie mogłaby dłużej obracać swojego

cielska wokół własnej osi.

– Rozumiem – odparła zamyślona Ofelia.

– A teraz, ślicznotko – wytarła rękę

w fartuch – jeśli mogę cię prosić, wołaj

domowniczkę do pokoju jadalnego i powiedz, że za piętnaście minut parujące talerze wjeżdżają na stół.

Ofelia przytaknęła z uśmiechem i wyszła

z kuchni, pchnąwszy dwuskrzydłowe drzwi,

które otwierały się niczym w saloonach na

Dzikim Zachodzie. Poinformowała o posiłku

Satrizę, pokazując jej dłonią stół w jadalni, odszukała w garażu Ritę, która miała podejrzanie czerwone i wilgotne oczy.

– Już idę, młoda. No i na co się tak gapisz?

Nigdy nie widziałaś, żeby komuś paproch

wpadł do oczu?

Matyldy nie wołano na posiłki – dostawała

do pokoju porcję, której i tak w zasadzie nigdy

nie

jadła.

Ofelia

przeszukała

więc

pomieszczenia na piętrze domu, by odnaleźć

Adalenę. Nie było jej w żadnej z sypialni.

Zauważyła jednak, że drzwiczki prowadzące

na strych są otwarte. Wspięła się więc wyżej i znalazła wśród prześwitujących promieni

słońca, zapachu drewna i pajęczyn.

Rozejrzała się dookoła, zachwycona tym
tajemniczym miejscem. Po lewej stronie
ujrzała jeszcze jedne uchylone drzwiczki
prowadzące do małego pokoiku, z którego
Adalena czasami korzystała, by w odcięciu od
świata pisać. Ofelia skierowała się w tamtą
stronę, jednak po drodze coś przykuło jej uwagę. U jej stóp spoczywała duża skrzynia –
zdobiona przepięknymi okuciami, z desek
dębowych pokrytych bordową bejcą. Skrzynia
wyglądała, jakby niedawno ktoś ją otwierał –
otarta z grubej warstwy kurzu w okolicy
zamka. Coś sprawiało, że Ofelia nie mogła się
powstrzymać
przed
otwarceniem
wieka.
Przykucnęła, pogładziła powierzchnię skrzyni
i uchyliła ciężkie, skrzypiące w zawiasach
wieko. Spodziewała się ujrzeć w środku
mnóstwo
szpargałów,
interesujących
przedmiotów o nieznanym jej, a tym samym –
tajemniczym

–
pochodzeniu.

Tymczasem

wewnątrz skrzyni znajdował się jedynie obraz

w zdobnej, złoconej ramie. Wyglądał na

malowidło olejne. Przedstawiał tajemniczą

postać – ukazaną od tyłu młodą kobietę

siedzącą

w

wiklinowym

fotelu.

Prawdopodobnie była ona naga. Ramy obrazu

oraz oparcie fotela pozwalały ujrzeć jedynie jej głowę z wysoko upiętymi czarnymi włosami,

smukłą szyję, na której lśnił delikatny złoty łańcuszek oraz nagie, szczupłe łopatki wraz

z ramionami wspartymi na podłokietnikach.

Oczarowana

Ofelia

przyglądała

się

malowidłu przez chwilę. Wreszcie usłyszała

szurnięcie krzesła za uchylonymi drzwiczkami

małego pokoiku, więc głośno spytała:

– Babciu, co to za obraz?

W

pokoiku

szurnięto

głośniej.

W drzwiczkach ukazała się natychmiast

wyraźnie zaniepokojona Adalena.

– Co takiego? – spytała uniesionym głosem.

– Jaki obraz?!

Adalena ujrzała, co dzierży w dłoniach jej

przyszywana wnuczka.

– Ty krnąbrna dziewczyno! – krzyknęła,

sprawiając,

że

Ofelia

zaniemówiła

ze

zdziwienia. – Natychmiast odłóż go tam, gdzie

go znalazłaś, i nie waż się zaglądać tam nigdy

więcej! Zrozumiano?

– Jasne – wyjąkała Ofelia i odłożyła płótno

tak szybko, jak gdyby nagle ją oparzyło. – Nie

musisz krzyczeć.

Adalena spłonęła rumieńcem, zdziwiona

własnym zachowaniem.

– Kochanie – wyszeptała, zasłaniając usta

dłonią – najmocniej cię przepraszam. Zupełnie

nie chciałam na ciebie krzyczeć.

Ofelia przyglądała jej się badawczo.

– Co cię tak wkurzyło? Nie mówiłaś, że nie

mogę tu grzebać – sama mnie zachęcałaś,

żebym sobie „pomyszkowała na strychu”.

– Tak – przytaknęła zakłopotana. – Masz

rację. Ta skrzynia... zazwyczaj stała gdzie

indziej. A teraz znalazła się na strychu. Nie mogłaś wiedzieć, że... nie życzę sobie... –

Adalena wzięła głęboki oddech. – Och,

zapomnijmy już o tej sprawie, dobrze,

kochanie? – spytała, machnąwszy ręką.

Ofelii wydawało się, że jej przyszywanej

babce

podejrzanie

mocno

zależy

na

natychmiastowej zmianie tematu.

– Kto jest na tym obrazie, babciu?

Adalena

wydawała

się

żałować

popelnionego błędu, nie mogła go już jednak cofnąć. Ofelia po raz pierwszy widziała ją zakłopotaną.

–

Kochanie,

domyślam

się,

że

nie

o wszystkich swoich sekretach pragniesz mi opowiedzieć. A już z pewnością nie od razu.

Podobnie jest ze mną. Powiedzmy, że

wolałabym zostawić dla siebie choć parę

tajemnic. Możemy się tak umówić?

– Jasne – odparła Ofelia. – Zostawmy ten

temat – dodała, postanawiając jednocześnie,

że nigdy go nie zostawi.

Adalena skupiła na niej zaniepokojone

spojrzenie, które próbowało przeczytać skryte

myśli dziewczyny. Po chwili jednak ocknęła się,

uznając, że rzeczywiście najlepiej będzie

zostawić tę sprawę, zamiast niebezpiecznie ją

drażnić.

Rozdział 20

Stella trwała pogrążona w bezsenności już
trzecią dobę. Pozwalała sobie jedynie na małe
drzemki pomiędzy seksem z Holdemem
a doskonaleniem dziwnej gry, w którą ją
wciągnął. Nocowali w podrzędnym motelu,
gdzie ciężko było o poczucie bezpieczeństwa.

Stella siedziała w łóżku obok śpiącego
kochanka. Oddychał równomiernie, wciągając
i wypuszczając powietrze ze swych pojemnych
płuc. Był mocny. I nic nie mogło go
powstrzymać.

Choć wydawało się, że Holdem śpi
głęboko, w rzeczywistości zawsze był czujny –
jak kot leżący brzuchem do góry, zdolny
w jednym ruchu poderwać się do skoku
w pełnej gotowości. Sypiał z bronią pod
poduszką. Często wkładał tam rękę, by
upewnić się, że jest na miejscu, że jego palce pamiętają, gdzie znajduje się spust. Często
sięgał po broń, często się nią bawił, pieścił.

I często wyciągał ją, gdy posuwał Stellę – kazał
jej na nią patrzeć lub dotykał nią ciała
kochanki.

Wiedziała, że również teraz byłby w stanie
momentalnie się obudzić i zorientować w sytuacji, mimo że spał tak głęboko. Dlatego

oddychała ciężko ze strachu i miłości.

– Rito, Rito – powtarzała cicho.

Rozdział 21

Rankiem Rita obudziła się z krzykiem. Śniły jej

się koszmary, które osiadły na dnie jej serca gęstym ciężarem. Oddychała przez chwilę ciężko, próbując wrócić do równowagi. Wstała

z łóżka, odruchowo przeczesując splecione po

nocy włosy i... znieruchomiła na moment.

Dotknęła włosów raz jeszcze. Niemożliwe.

Chwyliła kosmyk, by spojrzeć na niego

z bliska. Pobiegła do łazienki, by przejrzeć się

w lustrze.

Zaniemówiła.

Nie bacząc na wczesną porę, bez pukania

wtargnęła do sypialni Adaleny. Spodziewała się

zastać ciotkę śpiącą, jednak ona siedziała na brzegu łóżka, patrząc w okno.

– Ciociu...

– Tak, kochanie? – spytała Adalena, nie

odwracając się nawet w jej stronę.

– Spójrz na mnie.

Adalena odwróciła się.

– Na niebiosa! – krzyknęła, łapiąc się za

głowę.

Legendarne, bujne, zwinięte jak makaron

loki Rity były całkowicie rozprostowane.

Spoczywały na ramionach gładkimi pasmami.

– Jak to się stało? – spytała Adalena.

– Ciotka! Gdybym wiedziała, tobym chyba

tu nie przybiegała!

– Rozprostowałaś je?

– Dobrze wiesz, że żadne zabiegi ani

klątwy nie były w stanie ich rozprostować –

nawet

wtedy,

gdy

przed

studniówką

przysięgam, że zgolę je na łyso, jeśli nie dadzą się rozprostować i uformować w jakąś

normalną fryzurę.

Adalena podeszła do Rity i badała jej włosy

uważnie, przyglądając się im z bliska,

chwytając je w palce, przeczesując.

– Wieczorem jeszcze były normalne?

– No jasne!

Ciotka ze smutkiem pokiwała głową.

– Co ci się śniło? – spytała.

Rita

westchnęła,

próbując

sobie

przypomnieć.

– Nie wiem. Nie jestem pewna.

– Martwiłaś się o Stellę? – Spojrzała jej

w oczy swoim jasnym spojrzeniem.

– Nie – odparła wymijająco Rita. –

O nikogo się nie martwię.

Adalena zajrzała w nią głębiej.

– Dobrze! Oczywiście, że się martwiłam!

A co myślałaś? Martwię się o nią cały czas.

Pojechała z jakimś pojebem, nie wiadomo dokąd i nie wiadomo na jak długo. Żałuję, że nie włożyłam jej w dupę monitoringu, bo

wolałabym już wiedzieć, co to kurwiszcze robi,

zamiast tkwić w tym niepokoju i się

zamartwiać, czy przypadkiem następna chora

przygoda nie skończy się tragicznie.

Adalena wyciągnęła w jej stronę swoje

gościnne ramiona i przytuliła jak dziecko.

– Niedługo nadejdzie czas na działanie –

szepnęła. – A na razie, postaraj się nie

martwić na zapas. Kolejnym etapem jest

siwienie, moje dziecko.

Rita pociągnęła nosem.

– Rozumiem, że mam ci w tej kwestii

zaufać?

Adalena przytaknęła.

– Obiecuję, że gdy nadejdzie odpowiedni

czas, powiem ci wszystko, co trzeba.

Matylda obróciła się z boku na bok. Ostatnie doby pozbawione były dni – noce zaczynały się zmierzchem i nim kończyły. Wnoszono na tacy nowe posiłki, a potem zabierano je prawie nietknięte. Upływający czas odmierzany był jedynie zmianami pizam, które Matylda stale przepacała, przez co przynoszono jej wciąż nowe.

Czuła, że już nigdy nie wróci do

nieprzyjaznego

świata

zewnątrznego

–

przepełnionego

kłamstwami

–
także

jej

własnymi.

Rzeczywistość

poza

jej

przyciemnioną sypialnią była niebezpieczna,

utkana ze złudzeń i porażek. A tu, w łóżku, Matylda nie musiała przynajmniej z nikim

rozmawiać. Nie martwiła się o poszczególne

sprawy, ponieważ całe jej życie było teraz

bajorem zmartwienia, ale miało ten plus, że było jednorodne, i Matylda taplała się w nim, nie pamiętając, co dokładnie ją martwi.

Wyobrażała sobie, jak wraz z upływem

czasu jej ciało zacznie się zmieniać. Jak urosną

jej metrowe, zwinięte paznokcie, jak zaczną

wypadać niemyte zęby. Zmarszczki na jej ciele

– myślała – będą inne od tych, które mają pozostali ludzie – stworzone nie w pozycji

pionowej, lecz poziomej, wywołane nie mimiką,

ale jej brakiem.

Czekała, aż jej włosy zamienią się w długie

trawy, splecione przez czas w warkocze. Aż

zapadnie się w to łóżko, nie musząc już nikomu

patrzeć w oczy ani z niczym się zmagać.

Rozdział 22

Rita obudziła się w środku nocy, trawiona
bezsennością. Bezsennością swojej siostry.

– Stello – szepnęła.

Wstała z łóżka. W całkowitej ciemności,
której nie chciała przełamać, zapalając
jakikolwiek światło, odnalazła na drzwiach
klamkę, nacisnęła ją i wyszła ze swojej sypialni
na korytarz.

– Stello.

Znała doskonale drogę, którą teraz
przemierzała z zamkniętymi oczyma. Po

omacku

poznawała

szorstkość

ściany.

Framuga. Znowu ściana. Następna framuga –

sypialnia Stelli. Weszła do środka. Oczyma

wyobraźni ujrzała kształt żylastego ciała

siostry. Zobaczyła je – ułożone w tę, co

zawsze, pozę, z której trudno było odgadnąć, czy Stella śpi, czy tylko rozmyśla.

– Chcę cię po prostu zobaczyć. Widzę cię

przecież. Spraw, że cię tu naprawdę zastanę –

szepnęła. – Proszę, Stello.

W drgającej ciszy nocy Rita postąpiła krok
naprzód, wciąż nie otwierając oczu. Wzięła
głęboki wdech i poczuła zapach siostry. Ten
szorstki zapach mydła i upranej koszuli.

Zapach czystego potu Stelli – jak potu
zgrzanego dziecka.

Znowu dwa kroki w stronę jej łóżka.

– Chcę usłyszeć twój oddech.

Odwróciła głowę tak, by pierwszym
zmysłem, na jaki trafiają bodźce, było jej ucho.

Odgarnęła swoje czarne jak smoła włosy, by
lepiej słyszeć. Choćby najcichszy szelest
zdradzający obecność.

– Proszę...

Wyteńczyła słuch. Tak, coś słyszała. Tak,
ktoś oddychał. Czując, że może spłoszyć to, czego
tak

pragnęła,

odczekała

chwilę

i upewniła się: rzeczywiście, słyszy oddech.

Podeszła, tym razem tak blisko, że jej nogi
dotknęły łóżka Stelli. W świetle własnego
spojrzenia ujrzała kształt leżący wśród białej pościeli.

Nieśmiało wyciągnęła rękę. I dotknęła.

Żywego ciała, którego nie pomyli z martwym przedmiotem nikt, kto kiedykolwiek dotykał życia.

Rita otworzyła oczy.

– Siostrzyczko.

Usłyszała jęknięcie. Bardzo ciche – przez sen. Przeciągnęła po ciele rękę – biodro – leży na lewym boku – tyłem do Rity.

– Stello – powiedziała, jakby wypowiadała życzenie.

Bezszelestnie położyła się obok siostry, objęła ją ręką, wzięła głęboki wdech. I poczuła zapach Adaleny.

– Rita? – usłyszała.

– Co ty tu robisz? – krzyknęła szeptem, nie odsuwając się jednak.

Adalena

uśmiechnęła

się

smutno

w ciemnościach.

– To samo, co ty. Udaję, że ją widzę. Że tu jest.

Rita zwilżyła oczy łzami goryczy.

– Czyli nie potrafię robić takich rzeczy.

– Jeszcze nie – uspokoiła ją Adalena, nie zmieniając pozycji, wsłuchując się w leżącą za nią, przyszywaną córkę.

– Nie „jeszcze”. Wcale – zagryzła wargi. –

Ty potrafisz. Wiem to. Sprowadź ją tu.

Odpowiedziała jej cisza.

– Sprowadź ją tu. Natychmiast. Wiem, że potrafisz.

– Nie – odparła Adalena. – Ty to zrobisz.

Ale nie w ten sposób. Zaśnij.

Rita poczuła, że jej powieki stają się ciężkie jak z ołowiu. Zasnęła spokojnym snem.

Śnił jej się przepis na życie, na przetrwanie i na zagładę. Ludzie, których nigdy dotąd nie spotkała. Ciężar w mostku i bezcelowe łapanie powietrza w płuca. Śniło jej się, że opada. I ocknęła się.

Spodziewała się ujrzeć światło poranka.

Tymczasem wciąż była ciemna noc. Nadal leżała z Adaleną w łóżku Stelli.

– Mam po nią wyruszyć? – spytała.

– Tak – odparła spokojnie Adalena. – Ale nie tylko. Masz ją odnaleźć.

– Czy to już jest ten moment?

– Tak. Na rozpoczęcie, owszem.

Rita wstała z łóżka, Adalena razem z nią.

Stały naprzeciwko siebie. Rita odnalazła w ciemnościach jasne oczy Adaleny, które w tej chwili mówiły zarazem wszystko i nic.

– Wyruszam – powiedziała.

Szybkim marszem udała się do swojego pokoju. Nie zastanawiając się nad niczym, jakby wykonywała rutynową czynność, która nie może się nie powieść, bo przecież skoro wychodziła zawsze, to wyjdzie i teraz.

Wrzuciła na siebie ubranie, swoje ciężkie buty. Zeszła po schodach do salonu, chwyciła kluczyki od samochodu, nacisnęła klamkę drzwi wyjściowych.

– Rito – usłyszała za sobą.

Obróciła się, spodziewając się Adaleny, ale ujrzała kogoś innego.

– Matylda? Co ty tu robisz, gówniaro? – spytała Rita.

– Weź mnie ze sobą.

– Bardzo śmieszne – odparła Rita, nie uznając za stosowne nawet z nią dyskutować na ten temat, i wyszła z domu. Odgłos pospiesznych kroków dogonił ją jednak na podjeździe.

– Będiesz potrzebowała zmiennika za

kierownicą.

Pamiętasz?

Sama

mi

to

wykładałaś, gdy jechałyśmy tutaj.

Rita otworzyła drzwi gruchota swojego

chłopaka, o którym teraz pomyślała, że

zapewne nie jest już jej chłopakiem. Odwróciła

się na pięcie.

– Nie chrzań, Mati. To nie jest pomoc

dzieciakom, które nie mają zeszytów w szkole.

Nikt ci za to nie postawi pomnika. Nie masz pojęcia, w jakie gówno zamierzam się

władować. Jesteś na to co najmniej o sto lat za

młoda.

Matylda otworzyła usta, by odpowiedzieć,

lecz nie musiała. Ktoś inny stanął w jej

obronie. Adalena wyszła z domu w swojej

długiej koszuli nocnej. Trzymała w dłoniach

jakieś

zawiniątko.

Wręczyła

je

Ricie,

ucałowawszy przeciągle w czoło.

– Weź ją ze sobą, kochanie – szepnęła jej

do ucha.

– Nie ma mowy, ciociu! Przecież ten

dzieciuch się do tego nie nadaje. Puszczą jej nerwy już na pierwszym postoju. Byłaby dla

mnie ciężarem, a nie mogę sobie pozwolić na ciężary. Nie teraz.

Adalena spojrzała Ricie w oczy. Tak, jak

tylko ona potrafiła. Tak, jak czyniła bardzo rzadko. Tak, jak zawsze działało.

– Weź ją. Zrób to dla mnie. Nie jest ci

potrzebna. Jest ci niezbędna.

Rita otworzyła usta, by zaprotestować,

przekląć, wypowiedzieć swoje zdanie. Lecz

coś ją powstrzymało.

Jasne oczy Adaleny stały się jakby

nieobecne. Patrzyła nie na Ritę, lecz przez nią.

Mięśnie

na

twarzy

starej

kobiety

rozluźniły się.

– Ciociu? – spytała niepewnie Rita.

Adalena wzięła głęboki oddech i usiadła na

trawie. Po turecku. Podparła się z tyłu

rękoma. Pozwoliła swoim plecóm wesprzeć się
na podłozu.

– Ciotka! Co ty robisz?

– Weź ją ze sobą, Rito. Jedźcie. To bardzo
ważne. Jeźdźcie natychmiast – szepnęła

Adalena.

I umarła.

Matylda wydała z siebie nieludzki krzyk.

Ricie zakreśliło się w głowie. To nie jest
naprawdę, to się nie dzieje. Za szybko, za dużo. To nie to!

Rita spojrziała w stronę drzwi wyjściowych
domu. Jakiś ruch. To Ide. Biegnie do Adaleny.

Upada przy niej, wyjmuję coś, krzyczy. Coś. To
szklany flakon. Otwiera go z wprawą. Wlewa
zawartość w usta Adaleny. Uderza ją po
twarzy.

A Adalena bierze wdech. Satriz przynosi
nosze – nie wiadomo, skąd je nagle wzięła.

– Raz, dwa, trzy – wsunęły Adaleny na
nosze.

Adaleny czy jej ciało? – zapytało coś
w głowie Rity. Adaleny. Ciało by tak nie
mruęało. Nie oddychałoby.

Ricie wrócił oddech i słuch. Obok niej

wciąż stała Matylda i wciąż wydzierała się
nieładzko. Ze sceny na trawie zniknęli wszyscy

aktorzy. Rita mrugnęła kilka razy. Matylda

wciąż krzyczała. Ritę to rozzłościło, więc ją uderzyła. Matylda zaczęła płakać, ale cicho, co znaczyło
– lepiej.

Z

domu

ponownie

wyszła

Satriz,

w niezrozumiałym języku wyzwała Ritę

i Matyldę, tak że aż im ciarki przeszły po plecach od tej obrazy. Rita zrozumiała

przekaz. „Do domu. Nie róbcie widowiska”.

Wzięła drugi oddech od upadku Adaleny.

I dała się zaprowadzić Satrizie do domu.

Usadzono ją w fotelu i Rita siedziała.

Teraz mowę odbierało jej co innego. Nie

upadek Adaleny, lecz wstyd.

Rita wstydziała się tego, jak zareagowała.

Nie zrobiła niczego. Nie byłaby w stanie

pomóc. Jest słaba, jest żalosna. W życiu by się

o to nie podejrzewała. Po prostu straciła słuch

i rozum. Tylko stała i mrugała. Idiotka.

Matylda za to dostała słowotoku.

– Co to było? Co to było? Co to, Ide?

Satrizo, co to było?

– Hsz! – próbowała ją uciszyć Satriz. –

Hszyt!

Rita rozejrzała się po salonie. Adaleny tu

nie było. W ciągu tej jednej minuty Satriz wraz

z Ide zanosły ją do sypialni na noszach. O co tu chodzi?

– Satrizo! Ide! – krzyknęła Matylda.

Usłyszały kroki Idy na schodach.

– Mati, uspokój się, kochanie. Proszę,

cicho.

– Ide, co się stało cioci? Co ona zrobiła?

Ona... przecież widziałam, czułam. Wiem. Ona

umarła. Na chwilę.

Ide zniecierpliwiła się.

– Jak na chwilę, to się nie liczy. – Machnęła ręką. – Nic się nie stało.

Rita odzyskała mowę.

– Ide – powiedziała wyjątkowo, jak na

siebie, spokojnie – proszę cię, wyjaśnij. Co tu się stało. I dlaczego. Natychmiast.

Ide spojrzała na Ritę z niepokojem. Na

Ritę, która mówiła teraz inaczej, niż mówi się

zazwyczaj.

Tonem

spokojnego

rozkazu,

któremu nie potrafiła się sprzeciwić. Czyżby przejęła to już od Adaleny?

Westchnęła. Czowała się słaba pod czarnym

spojrzeniem Rity.

– Adalena jest trochę chora. Tyle. Nie

chcę mówić więcej, bo mnie o to prosiła. Mnie

i Satrizę. Nie chce, żeby ktokolwiek wiedział

więcej.

– Czy takie akcje się już zdarzały? Jakies upadanie i – do cholery jasnej – umieranie? –

spytała Rita. Ide odetchnęła.

– Tak – odparła smutno. – Zdarzały się.

I zdarzają się coraz częściej. Ale ja i Satriz wiemy dokładnie, co mamy robić. Adalena nie

chciała, żeby...

– Zamilcz, Ide – syknęła wściekła Rita.

Wstała z fotela. Poszła do kuchni,

przyniosła sobie flaszkę mocnego alkoholu,

odkręciła ją i pociągnęła kilka dużych łyków.

Po czym skierowała się na schody, by porozmawiać z Adaleną.

Ide

wstała

ze

swojego

miejsca

z niepokojem.

– Rito – szepnęła. – Proszę cię. Ona jest teraz bardzo słaba. Będzie długo spała.

Rita stanęła u podnóża schodów. Była

wściekła. Na Ide, na Adalenę, na Satrizę. Na Matyldę – za to, że ta nie była wściekła. Na siebie.

–

Proszę

cię,

Rito.

Miej

odwagę

zaakceptować wolę Adaleny.

– Zaaceptować jej wolę? – prychnęła

Rita.

Nagle wyraz jej twarzy zmienił się. Coś jej

się przypomniało. Coś sobie uzmysłowiła.

Błysk tej myśli poraził jej ciało.

– Dobrze – odparła szybko. – Mat,

jedziemy.

– Dokąd? – zachlipała Matylda zza zasłony

łez i smarków.

– Ratować naszą siostrę.

Ide i Satriz wymieniły porozumiewawcze

spojrzenia.

– Jestem na was tak wściekła, że nie chcę

nawet wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć.

Matylda, pakuj się do wozu. Ale już!

Siostra Rity wstała, jakby ktoś poruszał jej ciałem, pociągając za sznurki.

– Nie możemy się nawet pożegnać z Adaleną przed wyjazdem? Zapytać, czy dobrze się czuje?

– Nie – ucięła Rita. Rzuciła po wrogim spojrzeniu w stronę Satrizy oraz Idy. I wyszła z domu.

Matylda poszła w jej ślady. Zanim jednak ostatecznie odwróciła się od przyjaciółek Adaleny, chwyciła Ide za przegub ręki.

– Proszę, zajmij się Ofelią, dopóki nie wrócimy.

– To pewne – odparła łagodnie Ide.

– Jestem najgorszą matką na świecie.

Powiedz jej... że poszłam po rozum do głowy.

Albo że ją kocham. Albo że przepraszam. Nie wiem, co masz jej powiedzieć.

– Po prostu się nią zajmę, nie martw się o to.

Matylda przytaknęła z wdzięcznością i ze wzgardą wobec siebie samej.

– Ide, nie mieszaj jej za bardzo w głowie tymi wszystkimi...

wiesz,

wywarami,

przepisami i takimi różnymi... No, wiesz.

– Zajmę się nią dobrze, nie przejmuj się –

powtórzyła Ide.

Obie siostry wsiadły do starego gruchota,

który przywiózł je na pogrzeb ich ojca.

I odjechały.

Rozdział 23

Rita miała wrażenie, że przeżywa *déjà vu*.

Znowu mknęła przed siebie gruchotem

gitarzysty, znów Matylda spała z tyłu,

posapując niespokojnie.

Lecz tym razem było inaczej. Cel Rity

wyznaczał paniczny strach o Stellę. Dziwne to

wszystko, do cholery – myślała Rita, mając

przecucie, że wszystkie te sprawy, których

w ostatnim czasie dotykała jej świadomość, są

ze sobą jakoś powiązane. Śmierć i pogrzeb jej

ojca, choroba Adaleny, niebezpieczeństwo

grożące Stelli – jak można było upakować tyle

w tak krótkim czasie? Kto za tym stał

i dlaczego? Dlaczego Rita mogła swobodnie

żyć

po

swojemu

przez

tyle

lat,

ze

świadomością tego, że w zasadzie nic się nie zmienia, a teraz nagle cały sufit spada jej na łeb?
Nawet Matylda, nawet ona była przecież

całkowicie

odseparowana

od

jej

życia.

Uciekła, zniknęła, zatarła ślady – spaliła mosty.

A teraz nagle... jedzie na tylnym siedzeniu.

Tak po prostu, tak normalnie... Jej własna

siostra, której nie widziała od ponad dziesięciu

lat. Odkąd ich ojciec pożegnał się ostatecznie.

Rita

pamiętała

dokładnie,

bardzo

dokładnie to ostatnie z nim spotkanie. Może to

właśnie ona miała prawo pamiętać je najlepiej,

bo to podczas spotkania z nią ojciec podjął
decyzję o odejściu na zawsze.

Przyjechał, jak zwykle, a Rita skakała ze
szczęścia na myśl o tym, że go zobaczy. I tak się stało.

Minęło wiele czasu od śmierci matki Rity,
było dawno po tych wszystkich przebojach
z ładowaniem się do kolejnych zespołów,
z upartym poszukiwaniem dla niej angażu
perkusistki

i

dawno

po

spróbowaniu

większości używek.

A jednak było to dzieciństwo.

Tak, dla niej na pewno. Wciąż stawała się
dzieckiem, gdy przyjeżdżał do niej ojciec i tym
dzieckiem mogła być już na zawsze pod
warunkiem, że nigdy jej nie opuści.

Tamtego dnia, tamtego wieczoru, w jednej

godzinie Rita wydorosłała. Nic wielkiego. No właśnie, w tym rzecz. Że nie robili niczego
specjalnego. Ojciec zabrał ją na plażę, rzucali

kamyki, szukali muszli, bawili się w berka, choć Rita wiedziała, że jest już na to

zdecydowanie za stara. Ganiali się jak

szczeniaki, wzbijając porcje piasku spod stóp.

Była od niego szybsza, ale tym razem chciała

dać się złapać. Żeby ojciec miał radochę.

Złapał ją, przewrócili się w piach. Nie

bolało. Ritę szczypał brzuch od śmiechu. Jej ojciec leżał obok i chichotał jak chłopiec, czyli dokładnie tak jak zawsze, bo był wiecznym

chłopcem, choć wokół oczu kwitły mu

promienie zmarszczek, gdy rechotał wesoło.

Rita czuła pod potylicą ubity, lecz sprężynujący

piach. Jej włosy rozpięzchły się w promieniu metra od głowy – jak ramiona słońca – były bowiem bardzo długie. I wtedy właśnie jej

ojciec chwycił jeden z czarnych loków Rity

i dla żartu przyłożył go sobie pod nos. Zobacz,

mam wąsy – miał powiedzieć. Lecz nie zrobił

tego.

Powąchał pukiel włosów Rity i zbladł.

– Co jest, tato? – spytała.

– Nic – odparł jakby nieobecny i ponownie

powąchał jej włosy. – Twoje włosy... pachną już

jak włosy kobiety.

Rita usiadła na piasku, nie rozumiejąc,

o co mu chodzi. Ojciec wsunął palce pomiędzy

czarne loki.

– I w dotyku... też są jak włosy kobiety.

– No i co z tego, tato? Idziemy coś zjeść?

Frytki?

Ojciec odsunął się na krok od córki

i zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Jesteś kobietą, Rito. Nie dzieckiem.

Rita patrzyła na niego krzywo.

– O co ci chodzi, tato?

Zamyślił się.

– Ktoś taki jak ja nie może mieć córek.

Może mieć dzieci. Ale gdy to są kobiety...

Przecież to są kobiety...

Tego dnia Rita widziała swojego ojca po

raz ostatni w życiu.

Matylda ocknęła się na tylnym siedzeniu.

Teraz,

gdy

sny,

jak

fosa,

oddzieliły

teraźniejszość

od

minionych

wydarzeń,

opanovał ją paniczny strach pochodzący

wprost z trzewi. W jakim rodzaju letargu żyła

przez ostatnie dni? Skąd to wszystko się

wzięło? Co ona robi tu – na tylnym siedzeniu gruchota Rity, która wiezie ją – dokąd

w zasadzie? Ratować Stellę? Przecież to jakiś

absurd. Stella pojechała po prostu z jakimś podejrzanym facetem w siną dal, to prawda.

Ale przecież to nie średniowiecze. W każdej chwili – jeśli będzie chciała – zadzwoni. Do nich lub na policję. Napisze maila, wyśle list, no, na Boga, przecież to jakiś absurd. Szukać

Stelli! Gdzie? Stanąc na środku ulicy i pytać

wszystkich po kolei, czy nie widzieli łysej kaskaderki?

Po co ona – Matyllda – się w to wpakowała?

Przecież ma pracę, która daje jej satysfakcję.

Ma córkę. Ma swój dom. To śmierć taty, to ona

wyprowadziła ją z równowagi. Ale przecież

tak naprawdę Matyllda już dawno była

pogodzona z jego odejściem. No, pogodzona to

z pewnością nie, ale jakoś udało jej się zakleić

te rany, które powstały, i tak żyć. Stworzyć nowe życie, nową siebie i ciągnąć to wszystko

jakoś do przodu. W gruncie rzeczy jego śmierć

przecież nie powinna była niczego zmienić. To

Adalena – to jej dom tak na nią wpłynął. Jak mogła spędzić tyle czasu w łóżku, zapominając

o swoich codziennych obowiązkach, o swoim

życiu?

No właśnie, Adalena... Tak, to prawda,
w sercu Matyldy odżyło coś przez spotkanie
z przyszywaną ciotką. Poruszyły się stare
struny, wygrały dawną melodię, ale przecież

odkąd to wszystko się zmieniło, odkąd tatuś odszedł, odkąd puściła się z tamtym facetem, odkąd
urodziła się Ofelia – wszystko się

zmieniło. Jakoś dawała sobie radę przez cały ten czas bez Adaleny. Znowu może tak żyć
i znowu sobie poradzi.

A mimo to... Siedzi na tylnym siedzeniu
rzęcha Rity. To jakaś pomyłka.

– Rito... – odważyła się w końcu odezwać.

Rita zaciągnęła się papierosem, wyrwana
z zamyślenia.

– Czego chcesz, piękna?

– Słuchaj, tak w zasadzie, to skoro... skoro

martwimy się o Stellę, to czy nie rozsądniej byłoby po prostu zadzwonić na policję?

Rita zahamowała gwałtownie. Matyldą
rzuciło między przednie siedzenia, ale po
chwili opadła na oparcie. Samochód zjechał na
pobocze.

– Co ty próbujesz robić, Mat? – spytała

Rita, przechylając się przez swoje oparcie. –

Jeszcze

niedawno

trułaś

mi

dupę,

że

koniecznie chcesz jechać.

– Tak – wyjąkała Matylda – ale teraz do

mnie dotarło, że są inne sposoby, bardziej...

– Cholera, Matylda! – przerwała jej Rita. –

Ty zasrany tchórze, zaraz ci wpiorę! Dlaczego

mnie nie słuchałaś, kretynko, jak ci mówiłam, że nie jadę na wycieczkę krajoznawczą, tylko ładuję się w wielkie gówno, żeby odnaleźć

Stellę? Dlaczego mnie wtedy nie posłuchałaś, tylko gapiłaś się na mnie tępo i koniecznie chciałaś jechać?!

Matylda zapadła się odrobinę w samej

sobie.

– No, bo... to było jakoś inaczej. Wtedy.

W domu Adaleny. Sama nie wiem, co mi odbiło.

Teraz po prostu myślę, że to... głupie.

Rita wzięła głęboki oddech.

– Że to... jakie?!

Matylda wciągnęła się ze swoją wypowiedzią,

mając nadzieję, że uda jej się powstrzymać

Ritę przed eksplozją.

– No, bo cóż my dwie niby możemy? Jeżeli

Stelli

naprawdę

grozi

jakieś

niebezpieczeństwo, to powinniśmy zadzwonić

na policję, czyż nie?

Rita wyszła z samochodu, zatrzasnęła

swoje drzwi, otworzyła tylne i wywlekła na

zewnątrz

Matyldę.

Mierzyła

ją

długo

wściekłym spojrzeniem, co znaczyło, iż jest tak

rozjuszona,

że

brakuje

jej

przekleństw

spośród szerokiego wachlarza epitetów, które

znała. Odetchnęła głęboko.

– Mat, to mnie zawsze zarzucałyście, że

nie chcę korzystać z tego, co wszystkie trzy posiadamy. Z tego, czym się wyróżniamy,

z tego, z czym się urodziłyśmy. Dobrze wiesz,

o czym mówię, nie odwracaj wzroku. Nie

narażę swojej siostry na niebezpieczeństwo

tylko

dlatego,

że

twoje

ekstremalne

tchórzostwo,

które

zwiesz

zdrowym

rozsądkiem, nakazuje robić coś innego, niż

aktualnie robimy. I niestety, słoneczko, ale teraz już ci nie odpuszczę. Wdepnęłaś w to gówna i nie zdziw się, jeśli będziesz

śmierdziała. Skoro Adalena kazała mi cię

wziąć, wezmę cię ze sobą, choćbym cię miała

zakneblować i wieźć w bagażniku, czy

rozumiesz?

Matylda westchnęła.

– Czy mnie rozumiesz, Matyldo?!

– Tak, rozumiem cię – przytaknęła, dziwiąc

się samej sobie.

Czuła, że coś walczy w jej wnętrzu, że

ścierają się tam dwie przeciwne siły, które decydują o wszystkim za nią.

– Pakuj się do środka – rozkazała Rita.

Matylda bała się odezwać przez dobrą godzinę, w końcu jednak ciekawość okazała się silniejsza.

– W takim razie, jaki masz plan? – wydukała nieśmiało.

Rita

zerknęła

na

nią

sceptycznie

w lusterku wstecznym.

–

Najpierw

muszę

odzyskać

swoje

pieniądze. Bez pieniędzy nie znajdziemy Stelli,

choćby siedziała za rogiem. Mój zespół... czy

też były zespół wisi mi kasę za ostatnią trasę koncertową, za którą dostaliśmy pieniądze

zapewne w miniony piątek. Później musimy

uruchomić parę znajomości. Jedyne, co jest
pozytywne w tym całym gównie to to, że
półświatek, w którym taplała się Stella, jest mi
odrobinę znany. A w myśl zasady, że za
pomocą ośmiu znajomych swoich znajomych
jesteś w stanie dotrzeć do każdej osoby na świecie, powinniśmy znaleźć kogoś, kto
będzie wiedział, gdzie szukać Stelli.

– To jakiś absurd, Rita – szepnęła Matylda.

– Przecież nie żyjemy w globalnej wiosce.

Chyba nie zamierzasz pytać wszystkich...

– Może dla ciebie to absurd, Mat –

przerwała jej. – Ale świat ma nieco więcej wymiarów, niż ci się wydaje. Jedyne, co wiem na temat
tego gościa, to okoliczności, w jakich

poznali się ze Stellą. Facet jest graczem.

A gracze nigdy nie przestają grać. Wiem mniej

więcej, w którą stronę uderzyć. To raz. A dwa

– gdybyś pamiętała o swojej, hmm – intuicji, Matyldo, nie wydawałoby ci się to aż tak

niedorzeczne. Ona podpowiada mi więcej, niż

ci się wydaje. Łączą nas ze Stellą więzy krwi,

tego nie da się zamazać. Łączy nas też o wiele

więcej. Wyczuję ją na kilometr, odnajdę ją po zapachu, usłyszę jej głos z drugiej półkuli

ziemskiej, odszukam ją na dnie oceanu. Jeśli tego nie rozumiesz, to znaczy, że nie jesteś godna bycia
tym, kim byłaś kiedyś.

Rozdział 24

Adalena leżała wciąż w swoim łóżku. Rozległo

się nieśmiałe pukanie do drzwi jej sypialni.

– Wejdz, Ide – szepnęła bezgłośnie

Adalena.

Jej stara przyjaciółka podeszła do łóżka,

usiadła

na

nim

delikatnie.

Pogłaskała

z czułością czoło Adaleny.

– Myślisz, że zdążą? Rita z Matyldą.

Adalena zwróciła ku niej swoje jasne oczy.

– Przecież wiesz, że nie, kochanie. O to

nam właśnie chodziło.

– Tak, wiem. Ale gdyby jednak... –

szepnęła Ide.

– Nie ma żadnego „gdyby jednak” –

usłyszały obie zza pleców. W drzwiach stała Satriz. Jej usta nie poruszały się, lecz zarówno

Adalena, jak i Ide wiedziały, o co jej chodzi. Ide otarła smutną łzę.

– Czy możemy coś zrobić, Adaleno, żeby

temu zapobiec?

– Nie – odparła poważnie. – Ale

przygotujemy dziewczynkę. To jedyne, na co

mamy jakikolwiek wpływ.

Rozdział 25

Po dwóch dniach dotarły na miejsce. Rita

wysiadła z samochodu, ukrywając przed

siostrą skrajne zmęczenie. Nie chciała oddać Matyldzie kierownicy – nie tym razem. Bała

się, że ta wykręci jej jakiś numer i na przykład

zawróci z wytyczonej trasy. Taka była wersja oficjalna.

W rzeczywistości zaś Rita nie mogła

ostatnio spać. Wciąż czuła się zmęczona, lecz

gdy przykładła policzek do poduszki, sen po prostu nie pojawiał się pod powiekami.

Mogłaby tak leżeć przez długie godziny, przez

całą wieczność, a i tak nic by to nie dało.

Bezsenna.

Bezsenna.

Bezsenna.

Wiedziała doskonale, że to bezsenność Stelli daje się jej we znaki. Cierpiała z tego powodu,

ale jednocześnie, w jakiś dziwny sposób,

napawało ją to spokojem. Miała wrażenie, że czuje wtedy lepiej, co się dzieje ze Stellą oraz

że

odbierając

jej

bezsenność,

wie

przynajmniej, że siostra żyje.

– Czego tu szukamy? – spytała Matylda,

gdy wysiadły z samochodu.

– Pieniędzy pod pretekstem informacji

oraz informacji pod pretekstem pieneędzy –

odparła Rita, rzucając peta pod nogi. – A ty siedzisz cicho, jakby cię w ogóle nie było.

Matylda

przysaknęła

poddańczo,

spoglądając na różowy neon klubu, przed

którym się właśnie znajdowały. Rita kiwnęła do

ochroniarza

stojącego

przy

wejściu

i przywitała się z nim niedbałym całusem

w policzek.

– To nowa wokalistka – wskazała na

Matyldę. – Chcę ją tylko przedstawić.

– Dla ciebie wszystko, Rita. – Uśmiechnął

się.

– Lemus jest u siebie, prawda? Powiedział,

że tutaj mam ją przyprowadzić.

Ochroniarz spojrział nieufnie w stronę

Matyldy, lecz odparł:

– Jasne. Wejdźcie tylnym wejściem, bo dziś się ukrywa.

Rita kiwnęła na Matyldę, której bardzo nieudolnie szło udawanie. Przechodząc obok ochroniarza,

machała

głową,

jakby

ta

zatknięta została na sprężynie i powtarzała:

– Jestem wokalistką. Wokalistką. Mam być tu nowa. Rita ma mnie przedstawić. Bo jestem wokalistką. Dlatego właśnie tu jestem.

Ochroniarz odprowadził je wzrokiem, wychodząc z założenia, że wszyscy muzycy, którzy grają w tym klubie, mają coś nie tak z baniakiem.

– Miałaś się nie odzywać, idiotko – syknęła

Rita, gdy tylko weszły do środka.

–

Chciałam

się

wydawać

bardziej

wiarygodna. – Matylda wzruszyła ramionami.

– To nie chcesz – warknęła Rita. –

Zwłaszcza teraz. Czekaj przed drzwiami.

Wchodzę sama.

Zeszły schodami z poziomu parteru do

piwnicy. Wąski, klaustrofobiczny korytarz

doprowadził je do obitych czerwonym pluszem

drzwi. Matylda spojrzała na siostrę ze

zdziwionym wyrazem twarzy.

– Nawet nie pytaj – wyszeptała Rita. –

Dobra, Mat, zostajesz tutaj, rozumiano?

Matylda przytaknęła posłusznie, Rita

wzięła głęboki oddech, mamrocząc pod nosem

coś w stylu „nienawidzę tego”. Podeszła do

czerwonych

drzwi

i

zapukała

w

takt

nieznanego Matyldzie rytmu.

– *Entrance!* – usłyszały obie.

Rita przykleiła na twarz coś w rodzaju

uśmiechu uwielbienia i weszła do środka.

Naprzeciwko drzwi zastała białego blondyna
siedzącego za biurkiem, na którym tkwiła
kolekcja przycisków do papieru w kształcie
bohaterów bajek Disneya.

– Rita, maleństwo, jak miło cię widzieć.

– Lemus! – Rita uśmiechnęła się i podeszła
do mężczyzny, który wypalił jej dwa całusy – po
jednym w każdy policzek.

Mężczyzna miał bardzo skrzeczący głos,

który

przywodził

na

myśl

niewprawnie

używane skrzypce.

– Moja serdeczna przyjaciółka. – Lemus

uśmiechnął się, rozkładając gościnnie ramiona,

po czym spoczął wygodnie w swoim fotelu. –

Jakimże okolicznościom zawdzięczam twoją

wizytę, moja piękna? – mówiąc to, mężczyzna

nie raczył nawet udawać, że w trakcie

rozmowy woli spoglądać w kobiece oczy,

zamiast w biust.

– Czysto towarzyska okoliczność, Lemus,

jak zawsze – wyszczerzyła się sztucznie Rita. –

Przecież wiesz, jak lubię twoje towarzystwo.

– I nawzajem, ślicznotko – roześmiał się niewieścio. – No, no, z każdym dniem bardziej seksowna. Te cycki ci puchną, Rita, czy co?

– Nie, zwisają z każdym dniem bardziej – odparła Rita, po czym oboje roześmiali się najsztuczniejszym z możliwych śmiechów.

Lemus klepnął swoje kolano dłonią.

– Chodź no tu, cukiereczku, nie potrafię rozmawiać z kobietą, gdy stoi tak daleko. Nie żałuj mi swojego dekoltu.

Rita przytaknęła z zębościskiem i usiadła we wskazanym miejscu.

– Ależ z ciebie diablica, Rito – syknął

Lemus, jakby się oparzył. – Pewnie chętnie zadźgałabyś mnie tępym gwoździem, co? – spytał, roześmiawszy się ponownie.

– Ależ wiesz, że cię uwielbiam – odparła, zaciskając zęby.

Lemus nie mógł odwrócić wzroku od jej dekoltu

i

nie

omieszkał

skomentować

ponownie:

– Ależ ty masz cyce, Rita, nie wytrzymam.

Mogę sobie dotknąć?

– Jasne, nie krępuj się – roześmiała się

histerycznie Rita.

Mężczyzna zamknął oczy, wprawiając Ritę

w skrajne już obrzydzenie i ścisnął kilka razy jej pierś w dłoni, robiąc przy tym minę eksperta.

– Tak, tak – powtarzał pod nosem.

Rita odchrząknęła.

– Słuchaj, Lemus, nie widziałeś ostatnio

Adana?

– Adana? – Otworzył oczy, czujny jak

jaszczurka. – Ślicznotko, czy mi się wydaje, czy to twój facet, a nie mój?

– Nie jesteśmy już razem. – Machnęła

ręką. – Zastanawiam się nawet nad szukaniem

nowej kapeli. Albo nowego gitarzysty w starej kapeli. Nieważne. Rzecz w tym, że nie wiem, czy już nam zapłaciłeś.

Lemus kaszlnął.

– Cholera, Rita, wiesz, jak nie lubię tego tematu. – Uśmiechnął się złośliwie. – Robię się

bardzo nerwowy, gdy ktoś zacznie mówić

o moich pieniądzach.

Rita chwyciła pośpiesznie jego dłoń

i położyła sobie na drugiej piersi.

– Niczym się nie denerwuj. Wiesz, że nikomu nie wierzę tak jak tobie. Po prostu, gdy ostatnio rozmawiałam z Adanem, mówił mi, że przegrał wszystkie nasze pieniądze w jakimś podziemnym turnieju pokera, co wydawało mi się głupią wymówką, więc postanowiłam zapytać ciebie. Jako najbardziej wiarygodną osobę.

Lemus podskoczył w fotelu.

– A gdzie on niby miałby poznać tych gości od turniejów? Tam nie może się dostać byle jaki kawał śmiecia. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wpuścili tam Adana? Sam staram się od... zresztą nieważne.

Rita wzruszyła ramionami.

– Sama w to nie wierzyłam, widzisz przecież. Bardziej mnie interesuje, gdzie w takim razie przechlał moją kasę.

Lemus pogrążył się we własnych rozmyślaniach.

– Gdzie ten idiota mógłby się do tego

wkręcić? Chyba nie w Depressive Calf?

Rita wypuściła powietrze z ust w celu

wyrażenia powątpiewania.

– Z pewnością nie. Tam nie wpuściliby

takiego frajera.

Lemus jakby się ocknął.

– Nie nadążam za tobą, mała. Jeszcze

niedawno dawałaś mu dupy, a teraz nagle

uważasz go za kawał gówna?

– Nawiał z moją kasą, czego się

spodziewasz? – parsknęła Rita.

Lemus uśmiechnął się obleśnie.

– W takim razie, jak rozumiem, twoje

majtki czekają na mnie?

Rita wstała jak oparzona z jego kolan.

– Na pewno nie wisisz mi jakiejś kasy za

koncert? – spytała prędko.

Lemus wykrzywił twarz w grymasie bólu.

– Nie wkurwiał mnie, mała. Dobrze wiesz,

że...

– Tak – ucięła Rita. – Po prostu muszę

znaleźć tego idiotę Adana.

Odwróciła się do drzwi i dotknęła klamki.

– Cukiereczku, dokąd się tak szybko

wybierasz?

–

spytał

rozczarowany,

z serdecznym uśmiechem na twarzy.

Matylda miała wrażenie, że minęła całą

wieczność, zanim Rita wyszła z dusznego

pomieszczenia na końcu korytarza. Kiedy to

wreszcie nastąpiło, czarne kudły okalały głowę

jej siostry w całkowitym nieładzie, na twarzy pojawił się rumieniec, a w oczach dało się ujrzeć jakąś niezrozumiałą desperację.

– Niech no ja tylko odnajdę Stellę – sapała

cicho Rita, gdy ponownie wspinały się po

schodach na parter. – Niech no ja ją tylko odnajdę, to słowo daję – wybiorę się w trasę kastracyjną i załatwię to wszystko raz na

zawsze.

Splunęła pod nogi.

– Wychodzimy stąd, natychmiast, bo się

uduszę – rzuciła do Matyldy.

Gdy wyszły na świeże powietrze, Rita

sapała ciężko.

– Za dużo powietrza, za mało dymu. Odpal mi fajkę, Mati, natychmiast.

– A zatem, czemu służyła ta cała maskarada? Ta cała wizyta w wątpliwej jakości lokalu? – spytała Matyllda, gdy gruchot znowu mknął przed siebie z Ritą za kierownicą.

– Prosty żołnierzu, wielu spraw nie ogarniasz. Jako zwykły szeregowy, nigdy nie widziałeś na oczy planu pola bitwy. Zostaw sprawę generałowi.

Rita odzyskała nagle dobry humor. Mimo obrzydzenia, jakie malowało się na jej twarzy po wyjściu z klubu, teraz zdawała się być naprawdę zadowolona.

Palila łapczywie papierosa, zmieniając biegi i przyciskając pedał gazu nieco nadgorliwie.

– Rita, jeżeli nie będziesz mnie o niczym

informować, to...

– To tym lepiej dla sprawy – ucięła. –

Musiałam wyciągnąć z tego zboczonego idioty,

w jakim lokalu można spotkać kogoś, kto może

znać kogoś, kto może znać psychopatę Stelli lub któregoś z jego przydupasów.

– To trochę skomplikowane.

– Nie tak bardzo. Wiem, gdzie się znajduje

ten cały Depressive Calf, o którym wspomniał

Lemus. Kiedyś pracował tam jeden z moich...

znajomych. Jeśli będziemy miały szczęście,

nadal siedzi w tej mordowni.

– Dlaczego nie możemy po prostu zapytać,

gdzie znaleźć tego faceta? Albo czy ktoś nie widział Stelli.

Rita huknęła się z plaśnięciem w czoło.

– Error. Pytanie jest zbyt głupie, by na nie

odpowiadać.

Matylda otworzyła usta, by powtórzyć lub

wytłumaczyć, lecz Rita przerwała jej.

– Pojedziemy teraz do mojego faceta,

który zapewne już nie jest moim facetem. Do gitarzysty mojego – zapewne – byłego zespołu,

z którego z pewnością wykopali mnie przez

nieobecność na ostatnich koncertach. Do

właściciela tego rzęcha.

Matylda jęknęła zmęczona.

– Myślałam, że mamy jechać do tego „coś tam calf”.

Rita otworzyła opakowanie gum do żucia i zjadła trzy naraz.

– Cholera, nie mogę się pozbyć obleśnego posmaku tego idioty – mruknęła, po czym

odparła – tak, jedziemy do Depressive, ale ta knajpa jest w innym mieście. Najpierw potrzebujemy pieniędzy, informacji i noclegu.

Wszystko to powinniśmy znaleźć u Adana.

Dziś już i tak nie możemy się wybrać do

Depressive Calf, bo zładowałybyśmy tam rano,

a rano w tego typu knajpach nie da się

załatwić

niczego

poza

wzbudzeniem

niepotrzebnych podejrzeń.

–

Jasne.

–

Matylda

uniosła

ręce

w obronnym geście. – To ty tu jesteś mistrzem
spisku
i
głównym
strategiem
tego
podziemnego świata rozpusty.

Wjechały
do
dzielnicy,
którą
Matylda
natychmiast podsumowała w myślach jednym
słowem: „slumsy”. Może nie była to typowa
menelnia, w której domy zbudowane są
z falowanej blachy, a te gorsze z kartonu, ale z pewnością dzielnica wydawała się nieco
szemrana, i Matylda czuła, że nie miałyby
ochoty zostać tutaj sama. Na przykład
w środku nocy.

– Zapraszam w moje skromne progi –

beknęła dymem Rita, gdy podjechały pod jedną z kamienic. Matylda spojrzała na nią jak matka na córkę, która w dniu ślubu robi sobie tatuaż na całe plecy.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że tutaj mieszkasz?

Rita machnęła ręką.

– Nie do końca. To mieszkanie Adana.

Wprawdzie ostatnio tu pomieszkiwałam, ale przedstawiłam ci już sytuację, w jakiej obecnie tkwię. Wsiadaj.

Zamknęła drzwi rzęcha z trzaskiem. Był to jedyny sposób, w jaki dało się to zrobić skutecznie. Spojrzała na stojący obok malutki czerwony samochodek.

– Nie wierzę – jęknęła, przyglądając mu się z dezaprobatą, po czym otworzyła drzwi na klatkę schodową i wspięła się na drugie piętro krokiem tak szybkim, że Matylda nie mogła za nią nadążyć. Wyciągnęła z kieszeni klucze

i przekręciła je w zamku. Ledwo zajrzała do przedpokoju, zakląła siarczyście, ujrawszy przewieszane przez wieszak na ubrania czerwone getry.

– Nie wierzę – mruknęła znowu, po czym

dodała głośno w stronę mieszkania: – Jeżeli to

beztalencie leży w mojej pościeli, Adan, to słowo daję, że oberwiesz.

Wpadła do sypialni, w której istotnie

odnalazła swojego dotychczasowego partnera

z „tym beztalenciem”.

– Rita – jęknął Adan, zakrywając krocze.

– Rita? – pisnęło „beztalencie”.

– Tak, jasna cholera, to ja – odparła Rita, stając przed nimi w rozkroku i taksując

krytycznym wzrokiem nagie ciało dziewczyny.

– Przecież tyle razy powtarzałeś, że nie

mógłbyś pukać kogoś, kto śpiewa, a zupełnie

nie ma głosu. Tysiące, miliony razy, Adan. A do tego zawsze mówiłeś, że ma obwisłe cycki. Co,

jak widzę, jest prawdą. Mała, zmiataj stąd.

Pościel możesz zachować dla siebie – już i tak

jej nie dotknę.

Dziewczyna spojrzała głupkowato na

Adana, który zachęcił ją gestem, by faktycznie

sobie poszła. Wokalistka owinęła się kołdrą

Rity, zebrała swoje ubrania i z obrażoną miną

wyszła z mieszkania.

– Rita... – jęknął Adan. – Myślałem, że...

– To nie myśl. Adan, przyszedłam po moje

pieniądze.

Gitarzysta spojrzał na Matyldę, stojącą

niepewnie w salonie.

– Na co się gapisz? To moja siostra. –

Pstryknęła palcami, by przykuć jego uwagę. –

Kasa,

Adan.

Wiem,

że

dostaliście.

Rozmawiałam dziś z Lemusem.

Mężczyzna, teraz już nieco bardziej

zrelaksowany, sięgnął po butelkę mocnego

alkoholu, która stała jak zwykle obok łóżka, nie krępując się już wcale swoją nagością,

skoro

niezręczna

sytuacja

z

dwoma

rywalizującymi kochankami przeminęła.

– Myślałem – uśmiechnął się z przekorą –

że nie należysz już do zespołu. Wyjechałaś

niby tylko na pogrzeb ojca i rozplynęłaś się.

Rita

westchnęła

od

niechcenia

i skierowała się do salonu, w którym chwyciła jedną z licznych płyt gramofonowych, by odnaleźć schowane pod nią pieniądze.

– Ej – obruszył się Adan. – To moja tajemna skrytka.

– Zgadza się, geniuszu – zaśmiała się Rita.

– Właśnie widzisz, jaka tajemna. Skoro nie chciałeś mi dać mojej części, biorę całość.

Należy mi się za całą trasę koncertową i za te męki, które musiałam przeżywać, sypiając z tobą – zaśmiała się zaczepnie.

Adan uśmiechnął się.

– Chyba nie było tak źle?

Rita wahała się żartobliwie:

– Może i nie...

– Tęskniłaś za mną? Ja za tobą strasznie.

Parsknęła.

– Tak strasznie, że musiałeś się szybko

„pocieszyć” z tym dupodajłem bez skali głosu?

– Właśnie tak – zaśmiał się.

Rita odwróciła się do Matyldy pod

pretekstem

wyproszenia

jej

z

sypialni

i wcisnęła jej połowę pliku pieniędzy.

– Schowaj to w skarpecie, czy gdzieś –

szeptnęła, po czym dodała na głos. – Możesz spać na kanapie w salonie. Widzimy się rano.

Dobranoc.

Po czym zamknęła drzwi od sypialni, pozwalając Matyldzie słyszeć już tylko jęki

i krzyki.

Matylda spędziła dwie najbliższe godziny na

wysłuchiwaniu się w odgłosy uprawianej

miłości. Wcale nie dlatego, że musiała –

bardzo

chciała,

by

było

to

jej

usprawiedliwieniem, lecz prawda wyglądała

zupełnie inaczej. Miała świadomość, że to, co łączy w tej chwili Ritę i Adana, dalekie jest od romantycznej miłości, od wyższych uczuć w ogóle. Mimo to koiło jej to zmysły i zarazem rozrywało duszę.

Kiedy ostatnio ona – Matylda – zaznała bliskości z kimkolwiek? Ojciec Ofelii – dawne dzieje. Matylda przez wszystkie minione lata wspominała jego sylwetkę, leżąc samotnie w wieczornym, wiejącym chłodem łóżku.

Idealizowała go, wspominając relację, jaka ich łączyła. W gruncie rzeczy wiedziała doskonale

–

i

teraz

właśnie

ta

świadomość

bombardowała ją boleśnie – że nigdy nie

łączyło

ich

nic

szczególnego.

Matylda,

świadomie lub nie, po prostu znalazła

mężczyznę możliwie podobnego do swojego

ojca, a potem... po prostu czekała, aż od niej odejdzie.

Ofelia

była

niechcianym

przypadkiem.

Moje życie nie jest wcale puste, mam

przecież moją córkę – powtarzała sobie, odkąd

Ofelia przyszła na świat, i odnajdywała w tym

nie tyle zaspokojenie instynktów, co zasłonę dymną. Ludzie, nie patrzcie na mnie w ten

sposób. Jestem samotna nie dlatego, że coś ze

mną nie tak – mam przecież córkę, którą

samotnie wychowuję. Czy jednak kiedykolwiek

zaznała bliskości z własnym dzieckiem?

Matylda

pogrążyła

się

teraz

w migawkowych wspomnieniach chwil, gdy

Ofelia była naprawdę mała. Tak, nawet wtedy,

gdy była niemowlęciem, jako matka nie

potrafiła ofiarować jej czułości. Owszem,

kołysała ją w ramionach, gładziła główkę,

szeptała do niej, lecz wszystko to były

zachowania

wyuczone,

naśladowane,

wykalkulowane. Przechadzała się z Ofelią

w spacerówce po parku i przyglądała, jak inni

rodzice traktują swoje dzieci, jak nie mogą przestać ich przytulać, całować, podzuchać.

Każda chwila jest dobra, by dotknąć ich

włosów, drobnych dłoni. Matyllda zaś była

wobec Ofelii zimna.

O Boże, właśnie to do niej dotarło: była

zimna. I nadal jest. Jak zamrożona ryba. Czy kiedykolwiek przytuliła swoją córkę naprawdę

dlatego, że tego pragnęła? Czy choć raz

położyła się z nią w łóżku, by wysłuchiwać jej dorastających szlochów? Tak jak kiedyś robiła

Adalena, gdy Matyllda była znacznie młodsza?

Dlaczego? Skąd we mnie ta bryła lodu?

Dlaczego nie potrafię okazać czułości? To

prawda, że w opiece nad Ofelią nikt jej nie pomagał. I prawda, że matka Matylldy była

skorupą *homo sapiens* manifestującą się serią wyuczonych gestów opartych na nienawiści.

Ale przecież Matyllda zaznała tyle ciepła

od Adaleny, tyle czułości od swego ojca.

Dlaczego nie potrafiła nigdy przekazać tego

dalej? Dlaczego była taka... pusta? Wypruta

z emocji, choć wszyscy sądzili, że jest ich pełna.

Nawet jej praca, nawet ona była sztuką

kamuflażu.

Nie

obchodzą

mnie

ludzie,

pogardzam ich słabościami, nie akceptuję ich.

A zatem w mojej pracy poświęcę się temu,

czego nie potrafię robić w życiu osobistym.

I to się udawało. Ci ludzie... Przecież oni

naprawdę byli jej tak wdzięczni. Za co? Za poświęcenie

im

czasu,

za

pomoc.

W rzeczywistości jednak za uczucia, którymi

obdarzała ich Matylda. A przecież tych uczuć

wcale nie było. Tylko symulacje.

Złapała się za głowę. Rita jęknęła

przeciagle.

Adan

sapał

i

wykrzykiwał

zбереżenia.

Osunęła się na sofę, zdając sobie sprawę,

że nie była z żadnym mężczyzną, odkąd

opuścił ją ojciec Ofelii. Z żadnym. Przecież to jest zakon. A ona sama jest siostrą przełożoną
najsurowszą z możliwych. I moja córka –
myślała teraz w panicznej gonitwie wniosków
– moja biedna córka była w ten sposób
wychowywana...

Kim ja jestem? Gdzie podziała się ta
krwista potęga, którą pamiętam z wakacji
u Adaleny? Gdzie podziałam się ja –
odmieniana za każdym razem, gdy spotykałam
się z moimi siostrami? Gdzie ja – biologiczna, z pulsującą krwią i oddechem przesywającym
warstwy ciała? Czy nigdy taka nie byłam? Czy
całe moje życie to symulacja? Matylde ogarnął
paniczny strach.

Tak, przecież nawet wtedy, gdy odmieniały
mnie kolejne wakacje czy święta u Adaleny –
nawet wtedy były to reakcje wyuczone. Nawet
gdy faktycznie szłam ze Stellą i Ritą
pokazywać
gołe
tyłki
pasażerom
przejeżdżającego pociągu, nawet wtedy działało
się to pod spinającą dupę kontrolą. Pod
ostrzałem krytyków wewnętrznych, którzy kiedyś, dawno temu, ustalili zasady, jakich nie wolno jej
złamać.

Jak to się stało, że Stella i Rita tak bardzo się kochają, choć łączy je dokładnie to samo pokrewieństwo, co ze mną? Dlaczego nie potrafię z nikim, z nikim, nawet z własną córką, którą przecież zbudowałam ze swojego ciała, połam własnym organizmem

–
zbudować prawdziwej bliskości? Jak mam być sobą, skoro jestem nikim?

– Jak mam być sobą, skoro jestem nikim? –
powiedziała nieświadomie na głos.

W drzwiach sypialni stanęła spocona, naga Rita z papierosem w ustach.

– Co ty tam mamroczesz, młoda?
Matylda westchnęła ciężko.

– Rito, jaką ja dla ciebie jestem osobą?
Rita zaśmiała się.

– Jesteś wredną małpą, która zamiast zrobić mi coś do żarcia, siedziała przez cały czas na kanapie i przysłuchiwała się, jak krzyczę „mocniej, mocniej”. Jestem głodna!
Za plecami Rity pojawił się Adan – również lśniący potem i chichoczący rozluźnioną

głupawką.

–

Siostra

Rity,

co?

–

zarechotał,

przechwytyjąc papierosa.

Matylda chciała pociągnąć temat, nad którym się zastanawiała, ale obecność osoby

trzeciej krępowała ją, więc postanowiła wrócić

do niego później.

– Tak – odparła więc tylko.

– Ale nie jesteś zbyt podobna – dmuchnął

dymem nagi Adan.

Matylda odruchowo spojrzała na swoje

odbicie w lustrze wiszącym na ścianie

naprzeciwko. Wstała z kanapy i podeszła do

lśniącej powierzchni. Za pomalowane na

czerwono obramowanie wetknięto liczne

zdjęcia robione polaroidem, na których Rita

i Adan dawali koncert, pili za sceną, palili w oknie. Była też Rita przebrana za prosiaka i Rita na kiblu z zaskoczoną miną.

W lustrze zaś Matylda ujrzała kobietę,

która ubierała się w zgrzebne, rozpinane

pulowerki w gołębiczych kolorach. Włosy miała

zebrane gładko z przodu i uformowane

w niemożliwie ciasne upięcie z tyłu. Twarz, mimo napięcia, pozbawiona wyrazu. Łokcie przy ciele, plecy nienaturalnie wyprostowane.

Wyglądała na dużo starszą, niż w istocie była.

– Ej, ona łapie jakąś fazę – zaśmiała się Rita. – Ja też, bo zaraz zdechnę z głodu. Co masz w lodówce? – spytała, wchodząc do kuchni.

– To samo, co zawsze – odparł, klepnąwszy ją w tyłek, gdy się pochylała.

Rita otworzyła drzwiczki. Z wnętrza

przywitały ją posłuszne rzędy butelek z piwem

oraz opakowanie parówek.

– Aha – zaśmiała się. – W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zarządzić robienie hot dogów.

Zajrzała do szafek kuchennych, które

sama wyposażała. Na dnie jednej z nich

odnalazła żelazny zapas bułek do hot dogów

ściśniętych w hermetycznych opakowaniach,

gdzie dzięki niezliczonej ilości konserwantów mogłyby przeżyć najbliższe stulecia bez zmiany struktury.

– No, to rozumiem – ucieszyła się. –

Komandorze – wskazała brodą Matyldę – bułki

do tosteru. Ja, jako oficer najwyższy rangą, zajmę się obsmażaniem parówek, a ty –

zaśmiała się do Adana – nadajesz się jedynie na stanowisko sosjerki. Wyjmij keczup, musztardę i inne bajery, które znajdziesz.

– Niby gdzie mam tego szukać?

– Jasna cholera, Adan, przecież to twoja

chata. Więc dlaczego to ja wiem, gdzie masz musztardę, a nie ty? – rechotała wesoło, kiepując do umywalki.

– Bo to ty zawsze robiłaś zakupy – odparł, podszczypując ją w brzuch.

Matylda stanęła jak wryta w drzwiach do kuchni. W jej głowie gasła i zapalała się wciąż na nowo, jak motelowy neon, jedna myśl:

„A więc to jest prawdziwe życie”.

– Mati, no, na co czekasz? – spojrzała na nią wreszcie Rita. – Nie umiesz włożyć bułki do tosterka?

Matylda otworzyła usta i wydukała jak automat, który się popsuł:

– Ja... nie jem mięsa... I nie jem żywności przetworzonej... I nie jem... soli i...

– Dobra, rozumiem – przerwała jej Rita. –

W takim razie, przykro mi, ale dziś – tu

sparodiowała

bełkotliwy,

sztywny

styl

wypowiedzi Matyldy – dziś... nie jesz... nic. Bo

niczego... innego... nie ma.

Adan wybuchnął głupkowskim śmiechem.

Matylda pomyślała, że intelektualnie nie

dorasta Ricie do pięt, choć dogadują się

dobrze. A dogadują się dobrze, bo to Rita

obniża swój poziom – dotarło do niej. Bo to Rita zakłada maskę kompletnego lekkoducha,

któremu

na

niczym

nie

zależy.

W rzeczywistości jednak...

– Mat! Ziemia do Matyldy. Nawet jeśli nie

jesz, nie zwalniam cię z dyżuru kuchennego.

Zasadź te buły do tosterka, jasne?

– Jasne – odparła wreszcie Matylda i, z upiorną powolnością i niepewnością ruchów,

w końcu spełniła prośbę.

Obserwowała teraz, jak Rita i Adan

gaworzą ze sobą o głupotach, mieszając sosy w

ogromnych

plastikowych

butelkach

z aplikatorem. Jak popijają razem gin, jak

czynią sobie na pozór złośliwe uwagi, jak

śmieją się ze sobą i z siebie nawzajem.

Rita nieco się zrelaksowała tą wizytą –

pomyślała Matylda. Nawet jeśli jej spotkanie z tym facetem ograniczało się do czysto

fizycznego kontaktu, to Ricie zeszło z barków

parę ton. Tego właśnie brakowało Matyldzie.

Tego zrobić nie potrafiła. Tego... o Boże, jak te

śmierdzące hot dogi przepięknie pachną!

– Adan, zobacz, jak jej się świecą oczy –

zaśmiała się Rita, wskazując na swoją siostrę.

– Dobrze, że to całe żarcie jest dla nas, bo jakby się do niego dorwała, nie zostawiłaby ani

okruszyny.

Matylda uświadomiła sobie właśnie, że od

wczoraj niczego nie jadła. Że w zasadzie od wielu dni nie jadła niczego konkretnego.

Przypomniała sobie nagle tace wnoszone

przez Ide, przez Adalene, przez Ofelię – tace z jedzeniem, którego nie chciała tknąć, na

które nie miała ochoty. Teraz wciągnęłyby to

wszystko nosem, gdyby trzeba było. Bądź co bądź, pierwszy raz od wielu dni ruszyła się z łóżka i teraz dopiero jej organizm obudził się

do życia. Te hot dogi... jak one smakowicie

skwierczały swoim obrzydliwym tłuszczem...

– Teraz z kolei przegięłaś w drugą stronę.

– Rita dmuchnęła dymem, gdy Matylda skończyła piątą parówkę.

– Porzyga się jak nic – stwierdził Adan tonem eksperta.

– Niekoniecznie. Może dostanie sraczki. – Rita pogładziła się po brodzie.

Zaśmiali się oboje. Matylda się nie śmiała.

Przypominała teraz węża trawiącego antylopę gnu. Wszystko stało się obojętne, błogość zawładnęła jej organizmem. Ukryła beknięcie.

Ledwo wstała od stołu, osunęła się na sofę z jęknięciem zadowolenia. Rita parsknęła śmiechem.

– To co, dogrywka? – spytał Adan,

wskazując drzwi do sypialni, gdy już wszyscy się najedli. – Może we trójkę? Siostry masz całkiem niezłe.

Siostry. Ricie ścisnęło brzuch, ścięło

wszystkie białka, odebrało na moment oddech.

Stella.

– Nie – odparła więc szybko, zupełnie odmieniona. – Muszę się przespać i jutro z samego rana wyjeżdżamy.

– Przyjechałaś tylko po pieniądze? A co z zespołem? Co z naszymi koncertami, Rita?

Już i tak straciliśmy mnóstwo kontraktów przez to, że cię nie było.

Rita przygryzła wargi.

– Nie wiem, co z naszymi koncertami, Adan. Nie wiem, co z zespołem. Mam teraz inne sprawy na głowie. Jeśli je załatwię, odezwę się. Jeżeli znajdziecie sobie innego perkusistę... Cóż... nie będę mogła mieć pretensji – prychnęła.

– Jak to? Włożyłaś tyle pracy w tę kapele. Prawie sama ją stworzyłaś. Nie wierzę, że się nie przywiązałaś do...

– Do niczego się nie przywiązuję – przerwała mu nagle ostro.

– Dobra. – Uniósł ręce w obronnym geście.

– Jasne, rozumiem. W takim razie mamy szukać kogoś na twoje miejsce?

– Chuj mnie to obchodzi. – Wzruszyła ramionami.

– W takim razie mnie też. Jeśli znajdziemy
kogoś równie dobrego jak ty, dostajesz kopa w dupę.

– Dobrze wiesz, że nikt taki nie istnieje –
odparła, już nieco łagodniej, trochę zaczepnie.

Adan podchwycił.

– No, a poza tym, niewielu perkusistów ma
cycki. Co jest twoim głównym atutem.

– Na pewno nie głównym – odparła,

drocząc

się,

po

czym

natychmiast

przeskoczyła na inny temat. – Adan, pamiętasz

Corneliusa z Depressive Calf?

– Corneliusa? No jasne, że pamiętam tego

sukinsyna, przez którego kiedyś przechlałem

calutką zapłatę za trasę w jedną noc. W jedną!

–

Nie

wiesz,

czy

dalej

pracuje

w Depressive? – spytała niewinnie.

Adan podrapał się w głowę.

– Chyba tak. Z tego, co wiem, ma tam

jakieś dziwne układy z właścicielem, ale chyba

całkiem nieźle na tym wychodzi. A czego od niego chcesz?

Rita machnęła ręką od niechcenia i na

poczekaniu skonstruowała kłamstewko.

– Niczego nadzwyczajnego. Wisi mi kasę

oczywiście.

Nawet Adan jednak nie był na tyle naiwny,

by nie nabrać podejrzeń.

– Kasa tu, kasa tam... Rita, dlaczego nagle

jej tak bardzo potrzebujesz?

Rita zmrużyła oczy.

– Każdy potrzebuje kasy. Szczególnie swojej własnej. Takie dziwne wydaje ci się to,

że pół roku od pożyczenia pieniędzy temu

imbecylowi chcą je odzyskać?

Adan spojrzał na nią podejrzliwie.

– No dobra, ale właściwie jakie ty masz

teraz

ważne

sprawy

do

załatwiania?

Ważniejsze

niż

zespół?

W

co

ty

się

władowałaś? Ktoś cię szuka? A może ty kogoś?

Rita

syknęła

z

rozdrażnienia.

Nie

zastanawiając się dłużej, spojrzała Adanowi

w oczy, uniosła ku jego twarzy palec

wskazujący i warknęła:

– Milcz. I nie zadawaj więcej pytań.

Adan się zamknął. Rita opuściła rękę

i dodała tym samym tonem:

– Idziemy spać.

I poszli.

Adan sapał równomiernie – błogo ukojony
seksem. Ritę trawiła od wewnątrz bezsenność
siostry.

– Stello, Stello – szeptała. – Dziękuję ci za

ten znak. To jedyne, co mi daje siłę, by cię poszukiwać. Ale też mi ją odbiera. Daj mi się zdrzemnąć
choć raz na parę dni.

W kuchni kapała woda. Popsuta żarówka migąła w kiblu. Rita wiedziała o tym, bo te dwa dźwięki
wyznaczały rytm jej czuwania od

kilku godzin.

Kap, kap, kap. Bzz. Bzzt. Kap, kap, kap.

Bzz. Bzzt.

– Zwariuję.

Wstała z łóżka. Za dnia była zmęczona,

w nocy pobudzona. Jak Stella mogła to

wytrzymywać przez tyle lat? Jak mogła to

lubić? Zapalę, pomoże mi – pomyślała. – Nie, to tylko pogorszy sprawę. Napiję się.

Sięgnęła po butelkę alkoholu, pociągnęła

łapczywie jak lekarstwo. Parówki przewracały

się w jej żołądku w szaleńczym tańcu

obłąkanej miłości. Mogła wskazać, gdzie

dokładnie leżą, jak się układają. Uff... jeszcze ten alkohol.

Wyszła z sypialni. Matylda spała na sofie

z błogą miną śniącego dziecka. Rita stała nad

nią przez jakiś czas, licząc jej oddechy. Nagle

zapagnęła ruszyć na poszukiwanie Stelli już, teraz. W tej chwili! Na co ona w ogóle traci czas? Jak może się tu zabawiać z Adanem,

rechotać

z

jego

żartów,

dyskutować

o jakichkolwiek sprawach, gdy jej siostra

potrzebuje pomocy?

Lecz jeśli wyruszą teraz, nie przyspieszą

niczego. I tak będą musiały poczekać na otwarciu Depressive. I tak trzeba by było

odczekać stosowny czas, by nie wejść tam

natychmiast po otwarciu lokalu, by nie

wzbudzać podejrzeń.

Podziemny światek ma swój własny *savoir-*

vivre – jeśli go nie przestrzegasz, przepadłeś.

To mogłoby zrujnować całą wyprawę. Jeśli

gdzieś, w czyjeś niepowołane uszy, dostałaby się informacja, że jakaś nieznana nikomu

persona, jakaś śmieszna Rita, poszukuje

kogoś, kto może być drapieżnikiem stojącym

wyżej w łańcuchu pokarmowym, całość

skończyłaby się fiaskiem. Rita miałaby na

głowie problemy, z którymi już trudno byłoby jej się zmierzyć. A z pewnością nie pomogłoby

to Stelli.

Należało być ostrożnym – czaić się
w krzakach. Jak wytrawny myśliwy polujący na
mamuta. W ręku mam tylko kupę kamieni, ale
poczekaj,
bestio.

Poczekaj.

Jeszcze

cię

dopadnę.

Rozdział 26

Cornelius leżał na sofie z rękoma podłożonymi
pod głowę. Rytm dnia słyszalny zza zasłon jego
mieszkania
wyznaczał
rytm
jego
życia.

Rankiem,

gdy

wzrastał

gwar

porannej

krzątaniny, warkot silników, pouczenia matek

odprowadzających dzieci do szkoły, Cornelius

przewracał się na drugi bok w swoim łóżku.

Środek

dnia

–

najcichszy,

spokojny

absencją ludzi na ulicach, oznaczał jego

powolne przebudzenie.

Zanim

jeszcze

popołudniowe

odgłosy

powrotów z pracy przedarły się do jego

salonu, zanim sapiące spalinami, wrzeszczące

klaksonami korki samochodowe dały się we

znaki, Cornelius wstawał z łóżka.

Wypijał kawę. Brał prysznic. Śniadania –

czy może obiadu – nie zwykł był jadać. Od ciszy

ludzkiego

zamknięcia

w

domach

z

rodzinami,

aż

do

początku

gwaru

wieczornych wyjść do kin i barów trwało życie

prywatne Corneliusa.

Wzmógł się zaś wieczorny hałas nocnych

klubów był dla niego sygnałem do rozpoczęcia

pracy.

Cornelius pracował w Depressive Calf jako barman już od dłuższego czasu i generalnie

chwalił sobie tę robotę. Z właścicielem miał

nietypowy, ale sprawdzający się układ –

zarabiał prawie tyle, co nic, lecz wszystkie napiwki były do jego wyłącznej dyspozycji.

A napiwki w Depressive przyjęło się dawać

duże.

Bo Depressive Calf nie było zwyczajnym

klubem. Tu nie płacono się za dobrą muzykę czy podświetlony parkiet. Tu płacono się za ślepotę nabytą. Nikt niczego nie widział. Co jakiś czas lokal był wynajmowany w całości

przez takie czy inne szemrane towarzystwo,

które z różnych przyczyn nie miało ochoty, by

o jego poczynaniach dowiedziało się szersze

grono ludzi.

A zatem Cornelius był ślepy. Wzroku miał

tyle tylko, by widzieć, jakie drinki podaje i ile pieniędzy przyjmuje. Dopóki więc wszystko

szło jak należy, goście wynajmujący lokal

płacili chętnie i dużo. Dopóki nie trzeba było interweniować

kijem,

chętnie

rozdawali

marchewki. A Corneliusowi to odpowiadało.

Toteż teraz, gdy do jego uszu dotarły

pierwsze okrzyki ludzi łapiących taksówki

rozwożące ich porcjami do klubów, Cornelius

wstał z kanapy, przeciągnął się leniwie

i wyszedł do pracy.

Rita domyślała się, gdzie Cornelius mieszka.

Nie chciała jednak, by ta wizyta miała

charakter prywatny. Wiedziała, że mogłaby

poprosić Corneliusa niemal o wszystko. I on niemal na wszystko by się zgodził. Ale nie chciała.

Spotkanie

musiało

odbyć

się

w Depressive. Musiało zachować wszelkie pozory. Choć Rita miała świadomość, że to nie będzie łatwe.

Na tę noc nie planowano żadnego zamkniętego spotkania. Szef poinformował Corneliusa, że ma wszystkim wydawać drinki o trzydzieści procent droższe, z czego dziesięć procent będzie jego zarobkiem. Cornelius przytaknął i zabrał się za polerowanie kieliszków. Z jakiejś przyczyny Depressive był bardzo

popularny

również

pomiędzy

spotkaniami zamkniętymi. Może działała tu zasada „zakazanego owocu”, kiedy coś, co jest mniej dostępne dla ogółu, staje się też dla niego bardziej atrakcyjne?

Początek nocy biegł zwyczajnym rytmem –

najpierw piwo, dalej drinki. Faceci ścigający się na wódkę. Trzy małolaty, którym odmówił podania wściekłych psów. Wyniesiono je z klubu. Dziewki z obcej dzielnicy – również wyproszone.

I nagle. Przy barze. Siedząca jak gdyby

nigdy nic. Poprawka – udająca, że siedzi jak gdyby nigdy nic. Cornelius za dobrze znał to zmarszczenie czoła, drobne wydęcie ust. Rita.

Prawdziwa Rita. Ta Rita. Nic się nie zmieniła.

Co powie? Jak usprawiedliwi swoje przyjście?

Po co w ogóle tu przyszła? Po tym, jak przysięgła, jak przeklęła go i zdeptała wszystko, czym kiedyś był. Co powie?

– Gin z tonikiem dwa razy – rzuciła.

Nawet nie uciekała wzrokiem od jego oczu. Ich spojrzenia spotkały się. Pierwszy raz

od dwóch lat ich spojrzenia się skrzyżowały, a ona prosi o gin z tonikiem?

– Gin z tonikiem razy dwa. Już podaję –

odparł sztywno.

Zdziwiła się? Łuki brwi – tak – zaśmiał się

w duchu Cornelius. Łuki brwi odrobinę jej się podniosły. Nigdy nie potrafiła nad tym panować.

– Tak jak ty nie potrafisz panować nad

kącikami ust, Cornelius – odparła już mniej obojętnie. – Przecież widzę, że chcesz się uśmiechnąć.

Jasna cholera, również Rita za dobrze go

znała, by nie zgadnąć, o czym pomyślał. Mimo to brnął dalej. Dwie wysokie szklanki, dwie porcje lśniących kostek lodu. Gin hojnie – do trzech czwartych – masz, Rita, najeb się

i wyznaj mi prawdę. Tonik w osobnej butelce,

odkapslowanej niezauważalnym ruchem.

Nie podał ceny. Chciał ją zdenerwować.

Żeby wiedziała, że to on jej stawia. Udało mu

się. Wkurzyło ją to – zmarszczyła skórę

pomiędzy nosem a czołem. Miała zbyt wiele

godności,

by

zapytać

o

cenę.

Rzuciła

banknotem.

Nie przyjął. Udawał, że nie widzi.

Wkurzyła się jeszcze bardziej. Cornelius

cieszył się torturami dumnego czoła Rity, jakby

to była jakaś wielka rozgrywka, a nie zwykłe podanie drinków.

Obsłużył

dwie

dziewczyny

–

jedną

zarzuciła cycki na bar – specjalnie dla

Corneliusa. Z rozwagą im się przyjrzał.

Wiedział, że Rita będzie chciała okazać swój brak zainteresowania tym faktem, że prychnie

cicho. Prychnęła. Udawał, że nie widzi.

Uśmiechnął się do cycków.

Przyjął banknot od cycków, wydał. Przyjął

napiwek. Odciął dziesięć procent w pamięci,

podliczył.

Rita opanowała złość – udawała teraz, że

sprawy nie było. Cornelius nalał trzy następne drinki. Potem pięć. Obciął w myślach dziesięć procent, podliczył, zapamiętał. Cztery drinki, dwa piwa.

– Nie wiesz, czy mają kogoś na scenę na przyszły tydzień? – spytała Rita.

Obciął
dziesięć
procent,
podliczył,
zapamiętał.

– Chyba mają – odparł.

Cholera, przecież to była Rita. Ta właśnie
Rita, przez którą musiał napinać całe ciało, by
trzymać się w pionie.

Dwa martini. Oliwka, nalał. Przyjął
banknot. Wydał, przyjął napiwek, obciął,
podliczył, zapamiętał.

Rita, która wypruła z niego wszystkie
flaki.

– A na jeszcze następny? – przechyliła się przez bar, krzyknęła.

Dwie krwawe – zrobił, podał, przyjął.

– Nie wiem, chyba nie – odparł.

Wydał,
obciął,
podliczył,
zapamiętał.

Siedziała tu teraz, tak po prostu. A przecież tyle razy wyobrażał sobie, że wróci. Tyle razy,

że aż (dwa piwa – odkapslował, podał, przyjął)

do porzygania. Obciął, zapamiętał.

– Kiedy masz przerwę? – spytała.

Spojrzał na nią. Uciekła wzrokiem.

Uciekła! Ha! Przyłapał ją! Dwa drinki –

szklanka, lód, rzut na śliski bar. Podał, przyjął, obciął. Skoro uciekła wzrokiem, to znaczy, że coś jednak... Albo że chociaż miała wyrzuty

sumienia. Przetarł bar. Podliczył, zapamiętał.

Mieli akurat szczyt – drugi barman zabije go, jeśli teraz wyjdzie na przerwę. Cztery wódki –

czterech facetów – każdy płaci osobno. Nalał,

podał, przyjął. Obliczył, wydał. Obciął dziesięć

procent, podliczył, zapamiętał.

– Teraz – odparł do Rity.

– Idę na przerwę – rzucił do drugiego

barmana i zszedł z baru na tyle szybko, by udawać, że nie słyszy, jak tamten mówi:

„Pojechało cię?!”

Starał się bardzo, by nogi się pod nim nie

uginały. Szedł rozmawiać z Ritą. Z Ritą!

A sądził, że, zgodnie z tym, co mu

wykrzyczała, już nigdy się nie spotkają.

Nagle go zmroziło. To było dwa razy gin

z tonikiem. Z kim tu przyszła? Jak z facetem, to nie wytrzyma. Nie uda mu się dalsza gra.

Rita stała już przy wyjściu z Depressive.

Machnęła na niego, wyszedł za nią. Kiwnął do

ochroniarza. I oto – dokonało się. Stał
naprzeciwko Rity. Blisko niej – na wyciągnięcie
ramienia. Patrzył, jak odpala papierosa –
nerwowa była – nie udało jej się tego ukryć
poprzez wciągnięcie pierwszej porcji dymu. Za dobrze ją znał.

– Dalej palisz? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Chyba widać – prychnęła. – Chcesz? –

Wysunęła do niego paczkę.

– Nie. – Uśmiechnął się. – Mnie aż tak

bardzo nie krępuje ta rozmowa, żebym musiał
czymś zająć ręce.

Rita przygryzła wargę. Zmarszczyła jego
ulubiony obszar czoła. Udało mu się ją
zdeenerwować. Znowu.

– Mówisz więc, że za dwa tygodnie macie
wolną scenę? – spytała.

Cornelius czuł jej zapach, pamiętał go tak
dobrze. Znał zapach każdej części jej ciała.

Spojrzał na jej obojczyki. Znał ich smak.

– Zdaje się, że tak. Dlaczego pytasz o to mnie, a nie szefa?

– Wiesz, że niechętnie wpuszczają kogoś
z zewnątrz – nawet na scenę. Wolałam
najpierw zapytać ciebie, zanim zacznę go

namawiać. Potrzebuję teraz kasy, więc szukam
w miarę dochodowej sceny. Wiem, że tu płacą
przyzwoicie. – Ciekawe, na co ci ta kasa –
pomyślał Cornelius.

– Jasne, mogę go zapytać, ale niczego nie
obiecuję. Za dwa tygodnie jest jakieś
spotkanie
zamknięte.

Wtedy
niechętnie
wpuszczają na scenę nowych. Zwłaszcza jeśli
kapela jest bardziej liczna. Im więcej
świadców, tym gorzej. Ile osób masz teraz

w składzie? – spytał, co miało znaczyć: „Czy nadal jesteś w kapeli z tym zdrajcą, który kiedyś był
moim przyjacielem?”.

– Tyle samo, co zawsze. – Spojrzała na
niego ironicznie. – I tak, nadal jestem
z Adanem.

„Nadal jestem z Adanem... Ale w jakim
sensie?” – pomyślał.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Rita
usiłowała zamaskować zmieszanie. Wzięła
wdech. Zaczęła mówić w tym samym
momencie, co Cornelius. Oboje przestali. Nie dało się już dłużej udawać swobodnej
konwersacji.

– Nie wiesz, kto wtedy będzie wynajmował

lokal? – spytała Rita, próbując wrócić na

narzucone przez siebie tory. – Słyszałam, że ci

pokerzyści dobrze płacą.

Cornelius spojrzał na nią. Na jej dłonie.

Wiedział, że jeśli naprawdę dobrze gra, tylko dłonie mogą ją zdradzić. I właśnie to robiły. Co

ty kombinujesz, Rita? Od kiedy to tak zależy ci

na tym, ile płacą? Zwykle wolisz mniej dostać,

a grać dla lepszych. Dlaczego interesują cię

akurat

pokerzyści?

Zwłaszcza

teraz.

Zwłaszcza

po

moich

ostatnich

z

nimi

przejściach... Dłonie Rity mówiły co innego niż

jej usta.

– Jakoś dziwnym trafem ci nie wierzę,

kochanie. – Uśmiechnął się.

Rita wściekle zmrużyła oczy. Wycelowała

w Corneliusa palec wskazujący.

–

Nie

mów

do

mnie

„kochanie”.

I odpowiadaj na zadane pytania.

Cornelius spojrział głęboko w jej źrenice,

po czym odparł spokojnym tonem:

– Schowaj ten paluszek. Wiesz, że za

dobrze cię znam, by na mnie działał.

Rita warknęła ze zwierzęcą wściekłością.

Rzuciła peta pod nogi, odwróciła się na pięcie

i odeszła od Corneliusa kilka wściekłych

kroków. Nigdy nie poprosi tego sukinsyna

o przysługę! Nigdy się przed nim nie ugnie!

I tak podeptaniem jej godności było przyjscie tutaj.

Nagle ścisnęło jej żołądek. Stella. Wsadź

dumę w kieszeń, Rito. Jesteś tu, żeby ratować

Stellę.

Odwróciła się. Cornelius stał spokojnie,

bawiąc się tym teatrzykiem. Nienawidziła

teraz tego jego opanowania. Zmieniła taktykę.

– Dobrze, to prawda – odezwała się. –

W rzeczywistości chcę wtedy grać na scenie, żeby dowiedzieć się, jak można wkręcić się do turnieju.

– Dobrze wiesz, że nie przyjmują kobiet.

Dłonie Rity były zakłopotane.

– Wiem. Chcę wkręcić znajomego.

Dłonie mówiły, że Rita kłamie.

– Kłamiesz. – Cornelius uśmiechnął się.

– Nienawidzę cię – syknęła Rita.

Nienawidzi mnie – ucieszył się Cornelius.

To dobry znak. Gdy ostatnio ze sobą

rozmawiali – całe stulecia temu – Rita była obojętna. Tak obojętna, że Cornelius miał

ochotę wyć. W jej oczach świeciła tylko

leciutka nuta wzgardy – i nic poza tym. „Nigdy

się już nie spotkamy, rozumiesz? Nigdy”.

– Dlaczego nie powiesz prawdy, Rito? Co

kombinujesz? Wiesz, że jestem jedyną osobą

na świecie, której nie jesteś w stanie okłamać.

– Nie pochlebiaj sobie. – Uśmiechnęła się

złośliwie. – Wiele się zmieniło od... starych czasów.

Miało go to zboleć. I zabołało. Bardziej,

niż się spodziewał. Rito, czy ktoś inny zna teraz topografię wszystkich twoich znamion?

Niech zginie w męczarniach.

Rita zapalała kolejnego papierosa. Już

nawet idiota domyśliłby się, że robi to

z nerwów, których nie potrafi ukryć.

– Dlaczego interesują cię pokerzyści? –

wrócił do tematu.

– Już ci mówiłam – chcę wkręcić dobrego
znajomego na turniej. A żeby to zrobić, muszę
ich spotkać, jakoś się wcisnąć do ich światła.

Jedynym możliwym dla mnie sposobem jest

scena. Jeśli zagramy dla nich, może pozwolą mi się choć odrobinę do siebie zbliżyć –

budowała misterne kłamstwo – cegiełka po

cegiełce, aż przed Corneliussem stanęła

majestatyczna katedra.

Rita stanęła przed swoją katedrą, drżąc

o to, by Cornelius nie zauważył, że jest

tekturową, dwuwymiarową makietą. Udało jej

się wytrzymać jego badawcze spojrzenie. Trzy

uderzenia serca, dwa pociągnięcia dymu.

– Nie wierzę ci – Cornelius jednym

oddechem zdmuchnął katedrę. Bez skrupułów.

Rzuciła w niego wściekłymi obelgami.

Niech zginie, niech sczeźnie, niech na zawsze

będzie przeklęty. Rita go nienawidzi i nim

pogardza! Nienawidzi jego silnych ramion

i

jego

śmiechu,

nienawidzi

wszystkich

związanych z nim wspomnień! Nienawidzi go

za to, że podeptał jej dumę, nie dając się okłamać! A najbardziej nienawidzi go za to, że stoi na drodze do ocalenia Stelli.

Połknęła łyżę wściekłości i wsiadła do samochodu. Przekręciła kluczyk, sprzęgło,

gaz. Odjechać, uciec, ratować Stellę innym

sposobem. Zaraz coś wymyślę, tylko muszę

wymazać z krajobrazu tego... Brak jej było

obelg. Wycofała. Już miała odjeżdżać, gdy do jej uszu dobiegł krzyk Corneliusa:

– Ej! Młoda gniewna! Nie zapomniałaś

o kimś?

Cholera. Matylda. Spojrzała w lusterko

wsteczne. Przy Corneliusie stała jej zagubiona

siostra. Rita zawlokła ją przecież do knajpy, wcisnęła w rękę drinka, ale później kompletnie

o niej zapomniała. Widocznie musiała wyjść za

nimi z lokalu i przyglądać się z bezpiecznej odległości ich rozmowie. Teraz miała minę

porzuconego

szczeniaka.

Rita

wrzuciła

wsteczny, podjechała kawałek. Otworzyła

drzwi pasażera.

– Wsiadaj! – krzyknęła wściekła.

Matylda posłusznie wykonała polecenie.

Cornelius podszedł do samochodu od strony kierowcy. Zapukał w szybę. Nie otworzy mu.

Odjedzie i więcej się nie zobaczą. Udowodni mu, jak bardzo nim pogardza. Cornelius patrzył tym swoim spojrzeniem – łagodnym i kpiącym zarazem. Rita złapała wajchę – przekręciła ją o trzy obroty.

– Czego? – warknęła przez szparę w uchylonej szybie.

– Umówmy się, że ty mi powiesz prawdę, a ja za to obiecuję ci pomoc. Co ty na to? –

Oparł się o uchyloną szybę i uśmiechnął.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Cóż – westchnął Cornelius – jeśli bardziej interesuje cię twoja duma niż los Stelli...

Rita otworzyła szeroko oczy. Rzuciła

gniewne

spojrzenie

na

Matyldę,

która

wzruszyła ramionami.

– Jak mogłaś w ciągu dwóch sekund

wypaplać całą sprawę? Jak to jest, cholera, możliwe, Mat?! Czy ty masz jakiś szczególny dar do wkurwiania mnie?!

Matylda

skryła

się

we

własnych

ramionach.

– Zapytałam go tylko, czy powiedział ci,
gdzie jest Stella. To wszystko. Nie wiedziałam,
dlaczego mnie zostawiasz.

Rita była o krok od zamordowania jej.

– To co, Rito – odezwał się Cornelius –
powiesz mi, o co chodzi, czy sam mam się
domyślać?

Cornelius dał im klucz od swojego mieszkania i obiecał urwać się z pracy najszybciej, jak to możliwe. Rita miała w tym czasie przygotować składną wypowiedź na temat celu swojego przyjazdu. Składną, to znaczy na tyle

prawdziwą, że Cornelius w nią uwierzy. Była tak wściekła na Matyldę, że nie miała już siły bluzgać. Urwałaby jej głowę gołymi rękoma,

gdyby nie to, że właśnie zajęta była

umieraniem ze strachu. Nie przed tym, co

czekało ją w czasie poszukiwania Stelli. Nie przed tymi wszystkimi szumowinami, z którymi

będzie musiała stanąć twarzą w twarz.

Rita panicznie bała się teraz Corneliusa –

jego samego, a może nawet bardziej jego

mieszkania.

Matylda siedziała z ustami zamkniętymi na

cztery spusty, czując, że nawet głośniejsze

westchnienie

może

skutkować

kolejnym

atakem ze strony Rity. Obserwowała siostrę

ze skrywaną ciekawością. O co w ogóle

chodziło w tej całej rozgrywce? Kim był ten facet i dlaczego on i Rita tak dziwnie się do siebie odnoszą? Matylda nigdy nie była dobra

w te klocki. Wyobraźnię i domyślność miała na

poziomie zero przecinek jeden – mniej więcej na tym samym, co ameba.

Rita i ten Cornelius z pewnością się znali,

ale ich powierzchowna nienawiść wydawała się Matyldzie jakaś nietypowa. Dlaczego ten

facet – ten cały Cornelius – dał im klucze od swojego mieszkania i dlaczego teraz, gdy już zaparkowały, Rita ściska je w dłoni i przygląda

się im z tak dziwnym wyrazem twarzy. Gapi

się
na
ten
breloczek
przedstawiający
miniaturową perkusję, jakby to było jakieś
hasło – w niedostępnym dla Matyldy, obcym
języku.

Rita była teraz blada jak duch, ale to
akurat Matylda składała na karb jej troski
o Stellę. Nie zadając żadnych pytań, Matylda postanowiła, niczym kaczątko naśladowujące
każdy ruch mamy-kaczki, iść za Ritą krok
w krok.

Wyszła więc za nią z samochodu. Tak jak
ona, trzasnęła swoimi drzwiami. Podreptała za
nią niemo do drzwi klatki schodowej. Jej
nadgarstek o mały włos wykonałby ten sam
ruch

obrotowy
co
nadgarstek

Rity
przekręcający klucz.

Za Ritą wspięła się na piętro. I razem

z Ritą stała przed drzwiami mieszkania dobre
dziesięć minut, wpatrując się w klamkę, jakby
ona miała się sama nacisnąć pod tym
spojrzeniem.

Matylda

obserwowała

swoją

siostrę

z narastającą ciekawością. Rita otworzyła w końcu drzwi i dziwnie ciężko odetchnęła,
zapalając w środku światło.

Matylda weszła za nią i mimowolnie ją

naśladując, także i ona oddychała tu cicho, rozglądała się jak w zakazanym kościele.

Rita stąpała uważnie, jak zwierzę śledzone

przez myśliwego. Ściskając wciąż w dłoni

klucze, weszła do salonu. Obchodziła go

niczym muzeum, przyglądając się wszystkim

sprzętom,

każdemu

obrazowi,

zdjęciu

w ramce. Matyldzie znudziło się to do tego stopnia, że przestała już naśladować siostrę i sama
zdecydowała się usiąść na kanapie.

Rita tymczasem kontynuowała obchód.

Węszyła w każdym pomieszczeniu – najdłużej

jednak wahała się, nim weszła do sypialni.

Matylda nie pojmowała, dlaczego Rita w ogóle

pragnęła tam wejść. Przecież chciała z tym

całym Corneliusem dojść do porozumienia

w

sprawie

poszukiwania

Stelli,

a

nie

wprowadzić się do jego mieszkania. Trochę to

było też, zdaniem Matyldy, niegrzeczne. Facet

dał im klucze, wykazując się nadspodziewaną

ufnością, a Rita bezczelnie myszkuje po jego mieszkaniu. W końcu weszła do jego sypialni i spędziła tam podejrzanie dużo czasu.

Matyldzie zachciało się siku. Wstała

z kanapy i przeszła z salonu do przedpokoju.

– Czego chcesz? – Rita wyskoczyła nagle

z sypialni.

Matylda spojrzała na nią zdziwiona.

– Niczego – odparła nieśmiało. – Tylko

muszę skorzystać z toalety. Myślisz, że...

– W głąb korytarza. Drugie drzwi po

prawej – ucięła Rita.

Matylda

odruchowo

skierowała

się

w tamtą stronę. Nagle się zawahała.

– Byłaś już tu kiedyś? – spytała.

Rita prychnęła ironicznie i zaśmiała się

gorzko.

– Tak, byłam tu już „kiedyś”.

Rita spojrzała w ślad za siostrą. Wchodząc

tu,

była

tak

zaabsorbowana

własną

ciekawością i strachem, że znowu zapomniała

o jej istnieniu. A Matylda z pewnością

zauważyła... jej dziwne zachowanie. Ale teraz,

znajdując się we wnętrzu tego mieszkania,

Rita miała to w dupie.

Czyli jednak stało się. Znowu się tu

znalazła.

Stała

własnymi,

prawdziwymi

stopami obutymi w ciężkie buty na środku

przedpokoju Corneliusa. Na środku ich
dawnego przedpokoju. Czyli nie przeprowadził
się. Ciekawe. Rita musiała zniszczyć wszystko,
co w jakikolwiek sposób przypominało jej
o nim. Tymczasem Cornelius... był w stanie mieszkać w ich dawnym mieszkaniu. Był
w stanie. Czyli może jednak tak bardzo tego nie przeżył? Może tylko jej się zdawało, że...
Chuj z tym! Nie ma się co rozczulać.

Wiele zmieniło się w mieszkaniu, lecz były
to typowe zmiany, które zachodzą w każdym
miejscu z biegiem kolejnych dni, sezonów,
nowych znajomości, nowych plakatów i płyt
muzycznych. W ciągu dwóch lat zmieniło się tu
statystycznie tyle rzeczy, co w każdym
mieszkaniu przez taki okres. Nie było jednak ich wspólnych zdjęć. Co chyba normalne.

W sypialni nie wisiała rozwieszona na całą
ścianę

czarno-biała

fotografia

szczy

i obojczyków Rity. Ta, którą kiedyś Cornelius sam zrobił i wywołał.

Cieszyło to Ritę czy martwiło? Starła się

wmawiać sobie, że było jej to obojętne. Ale gdyby było, nie przeszukałaby jego mieszkania
niczym detektyw. Z chorobą, skrywaną głębiej od
wszelkich lęków i wstydlivości, uciechą

zauważyła, że na regałach nie stoją zdjęcia innej kobiety. Że na ścianie w sypialni nie wiszą żadne inne obojczyki.

Głupia jesteś, Rito, głupia! Przecież

chciałaś to zakończyć, unicestwić na zawsze, zamazać jakiegokolwiek wspomnienia, zdeptać, opluć, wysrać.

Chciałaś. A zatem i teraz chcesz. Bo

przecież z całą pewnością miał tymczasem

inne kobiety. Miał, tak, ale to nie chodzi o inne ciała. Chodzi o to, czy znalazł „tę” kobietę. Tę, która zajęła dawne miejsce Rity. No, bo

przecież z żadną teraz chyba nie mieszkał,

prawda? A jeśli mieszkał?

Rita rozejrzała się w panice, jakby ta

kobieta miała się tu nagle zmaterializować.

Postanowiła pójść do salonu i popracować nad

zrelaksowanym wyglądem i ułożeniem ciała.

Skup się, Rito, skup się, do cholery! Nie

jesteś tu po to, żeby bełtać w dawnych

wspomnieniach, ale po to, by odnaleźć Stellę, by ją ratować! Nie utracić tego z pola widzenia,

Rito!

Usłyszała, jak ktoś przekręca klucz

w drzwiach wejściowych. Cholera, jeśli to jego

obecna kobieta, zapadnę się pod ziemię.

Uspokój się, gdzie twoja bezczelność, która

zawsze ci pomaga? Gdzie twoja...

W

salonie

pojawił

się

Cornelius.

Uśmiechnął się w ten swój ironiczny, choć przyjazny sposób.

– Coś ty taka spięta? – zapytał, nie oszczędzając jej.

– Nie jestem spięta – warknęła. – Po prostu czekam tu na ciebie.

Cornelius powiesił kurtkę na wieszaku w przedpokoju i – jak jej się zdawało – ignorując Ritę, poszedł do kuchni.

– Chcesz piwo? – spytał.

Tak! Nie. Chcę, ale nie chcę, żeby mi robił łaskę. Ale jak nie, pomyśli, że jestem spięta.

– Nie – odparła dumnie.

– Czyli jednak jesteś spięta – zaśmiał się.

Nienawidzę go, nienawidzę go tak, jak go kiedyś...Cornelius wszedł do salonu z otwartą butelką w ręce. Dopiero teraz, w świetle mieszkania Rita mogła mu się przyjrzeć.

Ciekawe – ścinał teraz włosy krócej niż kiedyś.

Zarost za to miał taki, jakim go zapamiętała –

lekką zapuszczony, ale bardzo seksowny. Rito!

Opanuj się! Stał nad nią teraz – wysoki,

wyprostowany

i

nonszalancki

zarazem.

Ciekawe tylko, skąd to stare limo pod okiem i dawna opuchlizna na boku twarzy? A ona?

Uwięziona na kanapie. Ręce położyć na

kolanach, pod głową, czy jak? Rozeprzeć się tu

jak rozluźnione bydło czy postawą okazać

wyższość?

– Jak się tu czujesz? – spytał, wskazując

wzrokiem

swoje

mieszkanie.

–

Znowu

w starych murach?

– A jak mam się czuć? – prychnęła.

Zapalić! Tak, to jest doskonały pomysł!

Będzie co robić z rękoma i doda dystansu.

– Wolno tu u ciebie zapalić?

Jasna cholera, po co o to zapytała?

Przecież nigdy nie pyta! Nigdy! Zawsze,

wszędzie pali, a jak nie pozwalają, to tym bardziej. Dlaczego mimo wszystko starała się być dla niego miła?

– Nic się w tej kwestii nie zmieniło. Wolno

– odparł.

Rita

wyciągnęła

nerwowym

ruchem

paczkę papierosów, chwyciła jednego, prawie

jej wypadł. Co za wstyd! Dobrze, że Cornelius

tego nie widział.

– Prawie ci wypadł ten papieros, Rita –

zaśmiał się. – Wyluzuj, dziewczyno. Boisz się, że cię zgwałcę?

Do salonu weszła Matylda.

– Niczego się nie boję – warknęła Rita.

Matylda wydała zakłopotane jęknięcie.

– Och, przepraszam pana. Pozwoliłam

sobie skorzystać z toalety.

– Nie ma sprawy, proszę pani. –

Uśmiechnął się. – Chce pani piwa?

Matylda usiadła w fotelu: kolana przy

sobie, kręgosłup jak struna, uprzejmy uśmiech.

Rita zazdrościła jej teraz tej sztywności, bo przynajmniej była dla niej naturalna.

– A wie pan, że chętnie? – Matylda uśmiechnęła się i machnęła ręką, jakby

popępiała mały grzeszek.

Cornelius wyszedł. Rita zabiła Matyldę
wzrokiem. „No co?” – spytała bezgłośnie
Matylda. Wrócił z butelką, którą odkapslował
tym samym, co za barem, niezauważalnym
ruchem. Kapsel podskoczył do góry, zawirował
i wskoczył do jego dłoni. – Żałosne – pomyślała
Rita, mimo że kiedyś ją to bawiło.

– Ależ pan ma sprawne ręce. – Matylda

uśmiechnęła

się,

jakby

mówiła

do

przedszkolaka.

– Ależ dziękuję – odparł uprzejmie, niemal

bez ironii. – Matylda, zgadza się? Pani jest siostrą Rity?

– Owszem – odparła, popijając piwo

łyżkiem godnym herbatki na imieninach cioci.

–

Tak,

jesteśmy

siostrami

przyrodnimi.

Mamy...

miałymy

wspólnego

ojca.

Skomplikowana historia...

– Zdaje się, że znam ją dość dobrze. –

Uśmiechnął się. – Miałem okazję poznać Stellę

oraz Adalenę. Historia waszego ojca jest mi poniekąd znana.

– Ach, tak? – Matylda uniosła wysoko brwi.

–

Nie

miałam

pojęcia.

Przepraszam

najmocniej, sądziłam, że jest pan tylko jednym

ze znajomych Rity. Jestem nieco nieobyta w jej znajomościach, przepraszam.

– Tak – odparł ze złośliwym uśmiechem. –

Niełatwo

się

połapać

w

licznych

„znajomościach” Rity.

– Do czego pijesz? – syknęła Rita. – Jak

masz mi coś do powiedzenia, to powiedz,

Cornel, zamiast uprawiać gierki z Matyldą.

– Mam ci bardzo wiele do powiedzenia.

Ale będę ci dozować tę przyjemność. –

Uśmiechnął się.

Matylda przerzucała wzrok z Rity na

Corneliusa, nie będąc do końca pewną, czy

popęłnia jakąś gafę, czy nie.

– Znam również panią – odezwał się

ponownie

do

Matyldy

–

ale

jedynie

z opowieści. Adalena mówiła mi, że ma trzy przyszywane córki. Że Stella i Rita mają

siostkę.

– Tak. – Matylda spuściła wzrok. – Przez

jakiś czas byłam... nieosiągalna.

– Jak się miewa Adalena? – spytał, żeby nie

ciągnąć niezręcznego tematu.

–

Och

–

zasmuciła

się

Matylda,

przypominając sobie o Adalenie i jednocześnie

rumieniąc się ze wstydu, że zapomniała. –

Prawdę mówiąc, nie najlepiej.

Cornelius rzucił spojrzenie na Ritę. Ritę,

która udawała, że nie słyszy tego fragmentu rozmowy i skupia się na zapalaniu kolejnego papierosa, jakby to był teraz cały jej

wszechświat.

– Czy coś jej dolega? – spytał więc

Matyldę.

– Tak – szepnęła ze smutkiem. – Chyba jest

chora. Prawdę mówiąc... dla nas to również

był szok. I zupełna nowość. Nie miałyśmy

pojęcia... Ale musiałyśmy wyjechać, żeby

ratować Stellę i nie mogłyśmy...

– Matylda! – wrzasnęła Rita. – Znasz tego

faceta od pięciu minut. Właśnie opowiadasz

mu wszystko, czego miałaś nie mówić nikomu!

Matylda zakryła usta dłonią, jakby miało

jej to pomóc.

– Co się dzieje, Rita? – spytał Cornelius, tym razem zupełnie poważnie. – Co jest

z Adaleną? Co ze Stellą?

– Chuj ci do tego – rzuciła gniewnie.

Matylda wzdrygnęła się na dźwięk tej

nieuprzejmości.

– To, że odcięłaś ode mnie całe swoje

życie, nie znaczy, że nie mam prawa wiedzieć,

co się dzieje u Stelli i Adaleny. Lubiłem je nie przez wzgląd na ciebie. Zwłaszcza teraz, gdy widzę, że coś jest ewidentnie nie tak.

Rita milczała, gasząc kolejnego papierosa.

– Dlaczego jesteś taka uparta? – spytał nie ją, lecz siebie. – Przecież umówiliśmy się – ty mi powiesz prawdę, a ja w zamian za to ci pomogę.

– Tak jakbym potrzebowała twojej pomocy

– mruknęła.

– Co dolega Adaleni? – spytał.

– Starość, starość, starość. Co mam ci

odpowiedzieć? Jest stara, dużo starsza, niż

wygląda. Chyba ma już prawo odpuścić sobie

trochę?

– A co ze Stellą? – spytał. – Gdyby ze Stellą

było wszystko w porządku, nie zostawiłabyś

Adaleny. Musiała wdepnąć w jakieś porządne

gówno, skoro się zdecydowałaś pozostawić

Adaleny samej sobie. Szukasz jej? Szukasz

Stelli?

Rita nienawidziła go teraz za jego

inteligencję i domyślność. Fakt, że kawał winy

ponosiła Matylda. Ale gdyby Cornelius był

choć odrobinę mniej błyskotliwy...

– Szukasz jej, ale co z tym mają wspólnego
pokerzyści? – spytał, patrząc na dłonie Rity. –

Jakiś jej nowy facet? Czy tak?

Matylda, nie mogąc wytrzymać, lecz
jednocześnie bojąc się Rity, przytaknęła
bezgłośnie głową.

– Rito – szepnął Cornelius, tym razem

z dziwną czułością. – Dlaczego rzucasz się na tak głębokie wody? Przecież wiesz, że to nie żarty. Ci
ludzie są naprawdę niebezpieczni.

Nie dasz im rady sama. A poza tym – dodał już
innym tonem – widziałem ich dwa tygodnie
temu. I Stelli przy nich z pewnością nie było.

Rita ożywiła się. Wstała z kanapy
i podeszła do Corneliusa. Nie panując nad
swoimi ruchami, złapała go pazurami za
koszulę.

–

Widziałeś
ich?

Widziałeś?!

Byli
w Depressive?

– Tak – odparł, chwytając delikatnie jej
dłonie i odkleszczając je z koszuli.

– Czy był wśród nich facet, którego

nazywają Holdem? – rzuciła, nie zastanawiając

się już nad taktyką gry, nad dobozem intryg.

Cornelius spojrzał na nią bardzo, bardzo

poważnie.

– Tak – odparł.

Rozdział 27

W tym tygodniu szło mu wyjątkowo cienko.

Cornelius wiedział, że czekają go tylko trzy spotkania zamknięte w Depressive, a zatem

trzy główne źródła jego zarobków. Właściciel kamienicy, w której mieszkał Cornelius,

nazywany przez niego Wielkim Buldogiem,

człowiek miłujący jedyne esperanto, które

rozumiał, czyli tak zwaną walutę, trzymał już w swojej tłustej łapie dokumentację, z której wynikało, że Cornelius zalega mu z opłatami za dwa minione miesiące. Wielki Buldog,

nieczuły na to, że Cornelius mieszkał tu już od

czterech lat i wciąż uparcie trzymał się swojej

przytulnej

klitki,

ostatecznie

zawsze

wyrównując

zaległe

rachunki,

zagroził

wykopaniem go na ulicę, jeśli do końca

tygodnia nie zapłaci za wszystko z górką.

– Waluta, dzieciaku, albo wypad! –

krzyczał za każdym razem, gdy przechodził obok mieszkania Corneliusa, łomocząc przy tym od niechcenia pięścią w jego drzwi.

Z niezrozumiałych dla Wielkiego Buldoga powodów Corneliusowi bardzo zależało na tym

mieszkaniu, więc kiedy teraz wiedział, że

sprawa jest poważna, tym bardziej liczył na suty zarobek w Depressive Calf.

Pierwsze spotkanie zamknięte okazało się

totalną klapą. Organizowali je sekciarze

jakiegoś czarnego kościoła, a oni nigdy,

przenigdy nie dawali napiwków. Drugie –

wielki niefart – zostało opłacone z góry przez gości, którzy mieli własnego barmana, więc

Cornelius nie tylko nie zarobił na napiwkach, ale też musiał się pogodzić z obciążeniem części

mizernej stałej wypłaty za przymusowy dzień

wolny.

Ukrywając się przed Wielkim Buldogiem,

siedząc przy zgaszonym świetle, wiedząc, że

właściciel wyjdzie na ulicę, by to sprawdzić, nie otwierał drzwi, nie odbierał telefonów.

Udawał, że nie widzi wciskanej przez szparę pod drzwiami kartki: „Pładź albo wzywam

policję, hóju!”. Koczował przez ostatnie dni niczym wygnaniec, licząc ze wszystkich sił na ostatnie w tym tygodniu i miesiącu spotkanie zamknięte, z którego miał w planie przynieść tłustą sumkę na czysto. Napawał się wizją, jak

rzuca pieniędzmi w twarz Wielkiego Buldoga

albo jak wsuwa mu je w szparze pod drzwiami

z notatką: „Naucz się pisać, pizdo”.

Tego więc dnia – a dokładniej tej nocy – był

w dobrym humorze. Wskoczył w dżinsy

i czarną koszulkę bez żadnych nadruków –

takiego uniformu wymagał jego szef – i różnym

krokiem

poszedł

do

pracy

przy

akompaniamencie

nocnych

programów

odzywających się z telewizorów sąsiadów.

Najciszej, jak potrafił, zamknął na klucz

swoje mieszkanie. Wiedział, że jeśli zostawi je

otwarte, Wielki Buldog ukradnie i sprzeda

wszystkie wartościowe rzeczy pod pretekstem

„włamania złodziei”. Następnie, trzymając

buty w dłoni, zszedł na palcach na parter.

Złapał nocne metro, odmówił drobnych

trzem bezdomnym, nie przyjął propozycji

dziwki odzianej w złotą panterę, oddał swój

„portfel do kradzieży” czterem chłopaczkom

z nożem, którzy następnie uciekli co sił

w nogach do pobliskiego parku.

Dzień jak co dzień. A jednak nie. Coś

bowiem, zwróciło jego uwagę, gdy mijał budkę

telefoniczną stojącą po drugiej stronie ulicy –

naprzeciwko

Depressive

Calf.

Coś

zabłyszczało niecodziennym w tych rejonach

blaskiem. Coś poruszyło w Corneliusie tę nutę

poszukiwacza

skarbów

zakorzenioną

w każdym z nas głębiej, niż sądzimy.

Złoto? Niemożliwe. Cofnął się o krok

i zajrzał do budki telefonicznej. Na półeczce, tuż obok książki telefonicznej spoczywała...

złota papierośnica. Zapewne nie jest złota –

prychnął Cornelius, lecz ciekawość zmusiła go

do sprawdzenia. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że lśniący przedmiot nie jest wcale

papierośnicą, ale – Cornelius zafascynowany

chwycił ją w dłoń – złotym etui na talię kart.

Na

wierzchu

wygrawerowano

asa

pik.

Wewnątrz zaś znajdowała się tylko jedna karta

– joker. Poza jokerem zaś samotna wizytówka.

O ile można w ten sposób nazwać prostokątny

kartonik, na którym nadrukowano jedno

słowo: „Holdem”.

Wiedział, doskonale zdawał sobie sprawę

z tego, jak głupio postępuje, zabierając ten przedmiot ze sobą. Ale dookoła nie było

nikogo, a etui chyba faktycznie wykonano ze złota.

W tej dzielnicy łatwo było opchnąć

absolutnie

wszystko

–

bez

zadawania

zbędnych

pytań.

Cornelius

był

więc

przekonany, że kwota, jaką uzyskałby za

sprzedanie tego przedmiotu – wyjątkowo
przecież cennego i urodziwego – pozwoliłoby
mu zamknąć gębę Wielkiemu Buldogowi choć
na jakiś czas. Nie zastanawiając się dłużej nad
własną głupotą, chwycił lśniący przedmiot
i zamknął jego gładką, chłodną, lecz łatwo się
nagrzewającą powierzchnię, w dłoni.

Przekroczywszy

próg

Depressive,

dowiedział się od drugiego barmana, że „dziś nareszcie

coś

zarobią”.

Klub

wynajęli

pokerzyści

–

znani

ze

swej

hojności

nagradzającej tych, którzy o nic nie pytają i niczego nie wiedzą.

Cornelius zatarł ręce. Pokerzyści chlali

dużo i do oporu. Gdy wygrywali, stawiali

wszystkim kolejki, kiedy przegrywali, pili

niemal

do

śmierci.

Obracali

dużymi

pieniędzmi, do których przywykli się specjalnie

nie przywiązywać. Pokerzyści. Cornelius nagle

poczuł słodki ciężar złotego przedmiotu

w swojej kieszeni. To jasne, któryś z nich musiał dzwonić wcześniej z budki telefonicznej

i zostawić tam etui.

W każdych innych warunkach, Cornelius

zachowałby się inaczej. Zaczniemy od tego, że

nie wziąłby tego złotego etui. Nie dlatego

wcale, że jest taki uczciwy, ale z tego powodu,

że w dzielnicach takich jak ta, nie bierze się niczego za darmo – to zbyt niebezpieczne.

Z kolei nie zrobiłby tego, co ostatecznie

uczynił, gdyby nie fakt, że jednak chwycił

w garść etui na talię kart i czuł je teraz w swojej kieszeni.

Skoro

i

tak

dziś

zarobi...

Skoro

z pokerzystami nie warto zadzierać... Odda

złote etui. Może nawet dzięki temu zyska ich powierzchowną sympatię i będzie mógł dziś

liczyć na więcej napiwków, na więcej kolejek.

Zanim jeszcze wszedł za bar, podszedł do

zagęszczenia stolików na środku lokalu, wyjął

z

kieszeni

złote

etui,

uniósł

je

w wyprostowanej ręce do góry i powiedział:

– Holdem. Tylko taka informacja jest

w środku. Czy to należy do któregoś z was?

W Depressive Calf zapadła najcichsza

cisza, jaką pamiętał ten lokal. Nikt nie

oddychał, nikomu nie biło serce, nikomu krew

nie szumiała w tętnicach. Cornelius zaś stał

w ten sposób, z ręką uniesioną do góry, niczym

karykatura Statui Wolności.

Pokerzyści spoglądali jeden na drugiego,

rzucając w stronę Corneliusa niepewne

spojrzenia. Tylko jeden z nich pozostawał

niewzruszony.

Tylko

jeden

patrzył

Corneliusowi prosto w oczy. Ten właśnie wstał.

Położył prawą dłoń na mostku i uklonił się wirtualnie. W rzeczywistości bowiem nie ugiął tułowia ani o centymetr w dół.

– Za pozwoleniem, Sacerdote. To ja jestem

Holdem. I to ja oczywiście zostawiłem asa

pikowego.

Pozostali pokerzyści rozsunęli się, jakby

nagle odepchnęło ich od Corneliusa jakies

nowo ustanowione prawo fizyczne. Już wtedy wiedział, że coś tu nie pasuje. Cornelius

opuścił rękę uzbrojoną w złote etui.

– Dostojny Sacerdote, jestem zaszczycony

waszą wizytą. Czy mam rozumieć, że w takim

razie...

– Ale – odezwał się Cornelius, a oczy

Holdema zwięzły się gadzio – ja po prostu

znalazłem to etui w budce telefonicznej.

Wszyscy pokerzyści skierowali przerażone

spojrzenia na Holdema.

– Czy chcecie przez to powiedzieć,

Sacerdote, że...

– Właśnie rzecz w tym, że zaszła jakaś pomyłka – odezwał się Cornelius. – Ja nie jestem żaden Sacerdote. Jestem barmanem. Pracuję tutaj, w Depressive Calf, i idąc dziś do pracy, znalazłem to etui. Postanowiłem je więc oddać właścicielowi.

Oczy Holdema były już tak wąskie, że Cornelius nie widział w ogóle jego tęczywek.

– Spytam po raz ostatni, Sacerdote. Jeśli to jakaś próba...

– To nie jest żadna próba – zniecierpliwił się Cornelius i wcisnął złote etui w przerażoną dłoń stojącego najbliżej pokerzysty. – Nie jestem tym, za kogo mnie masz. To tyle.

Holdem zamknął oczy. Wziął głęboki oddech.

– Zapłacisz mi za tę zniewagę.

Nie zrobili Corneliusowi niczego szczególnego. Wiedział, że mogli go zabić. Właściciel Depressive dla dobra lokalu sam zatarłby wszelkie ślady. Wiedział, że mogli go

torturować, poucinać mu to i owo, skoro już i tak zawlekli go na zaplecze. Tymczasem oni po prostu skatowali go do nieprzytomności.

Rozdział 28

– Skąd wiesz, że tu był? – ekscytowała się

Rita. – Skąd masz pewność, że był wśród nich ten Holdem?

– Po prostu to wiem – odparł poważnie, patrząc jej w oczy. – Miałem wątpliwą przyjemność osobistego poznania go.

Rita odsunęła się od Corneliusa na krok.

Raz jeszcze spojrzała na jego twarz – na stare limo pod okiem i zagojoną opuchliznę. Zakryła rękoma usta.

– To? – spytała, przez co ogarnęła ją nagle paniczna czułość.

Chciała przeprosić za wszystko, co

zrobiła,

za

wszystkie

głupoty,

które

kiedykolwiek

wypowiedziała.

Chciała

to

cofnąć, zamazać i naprawić. Jak to możliwe?

Dotychczas wydawało jej się, że nie może

nienawidzić Holdema jeszcze bardziej, niż za to, że zniewolił jej siostrę. Tymczasem teraz...

Z nienawiści było jej aż niedobrze, aż słabo.

Cornelius spojrzał jej w oczy – jakby gniewnie.

– I dlatego wiem, co mówię. To nie są

żarty, Rito. Nie pozwolę ci wpakować się

w poszukiwanie tego gościa.

Nie pozwoli mi, no proszę, jaki opiekuńczy

– pomyślała nagle Rita. Żeby się nie zdziwił!

– Tak się składa, że już za późno –

prychnęła,

odzyskując

swoją

dawną

równowagę.

Cornelius musiał być bardzo zły. Nie

odzywał się teraz ani słowem, a Rita wiedziała

doskonale, że powstrzymuje się od uwag,

stopuje ironię, odpuszcza sobie niestosowne

żarciki tylko wtedy, gdy jest naprawdę

wkurzony.

– Ups – ich rozmowę przerwał nagle

wstawiony chichot. – Zdaje się... Ale wstyd.

No, ale od ponad dziesięciu lat nie piłam ani łyżeczka alkoholu – czknęła Matyllda zza pleców Corneliusa.

– Mati – złapała się za głowę Rita – proszę,
nie teraz. Powiedz mi, że nie upiłaś się jednym
piwem.

–

Prawdę

mówiąc

–

gestykulowała

przesadnie Matyllda – to mi tak zasmakowało,

że – czknęła – muszę przyzzzznać. Że.

Wypiłam jeszcze dwa.

– Co?! Kiedy ty to zrobiłaś?

– No co? – Matyllda wzruszyła ramionami.

– Strasznie mi się pić chciało po tych twoich wczorajszych
parówkach.

Strrrasznie!

W końcu nie jadłam niczego przetworzonego

ani żadnego mięsia – hi, hi – „mięsia”

powiedziałam. Mięsa mi chodziło – od ponad

dziesięciu lat. Hi, hi. Mięsia – chichrała się Matyllda.

Rita przeklęła siarczyście.

– Najmodniej pana przepraszam – uniosła

poważnie palec Matylda – że się tak

zachowuję. Gdy my się dopiero poznalibyśmy

myśmy. Żeśmy poznaliśmy – hi, hi – poznaliśmy

mam na myśli. Ha! Ale mi się zrymowało,

słyszałaś, Rita?

Cornelius mimowolnie się uśmiechnął.

– Tak, idiotko, słyszałam.

Matylda podeszła do Corneliusa i objęła go

za szyję swoim bezwolnym ramieniem.

– Wyznam coś panu – szepnęła teatralnie.

– Rita mnie nie lubi.

Nagle posmutniała.

– Ach, tak? – odparł Cornelius. – Może

usiądzie pani na kanapie, co pani na to?

– Cornelius, przepraszam cię strasznie –

jęknęła Rita.

– Spokojnie, to moja codzienność. Na co

dzień

mam

do

czynienia

z

pijackimi

wyznaniami. – Uśmiechnął się łagodnie.

Matylda zrobiła się czerwona na twarzy i rozplakała się. Dała się zaprowadzić na kanapę, ale pociągnęła Corneliusa za sobą, by usiadł obok.

– Tak, to prawda, nienawidzi mnie –

buczała – ale kto ją może winić?

– Wcale cię nie nienawidzę, kretynko –

wysapała Rita.

Matylda

nie

przestawała

obejmować

Corneliusa za szyję.

– Tak, tak. Ja też siebie nienawidzę –

zasmarkała Matylda. – Wiem, że ona mną

gardzi! Och, ależ pan jest w zasadzie

przystojny – rzuciła nagle, zmieniając ton. –

Muszę pana – polizała Corneliusa po policzku –

posmakować.

Rita krzyknęła z niesmakiem, Cornelius

zaśmiał się z zaskoczenia.

– O Boże! – zakryła usta Matylda. – Ale ze

mnie latawica! Wstydzę się, przysięgam!

Cornelius nie mógł dłużej opanować

śmiechu.

– Najmocniej pana przepraszam, nie wiem,

dłaczego to zrobiłam – jęknęła Matylda, po

czym zawładnął ją histeryczny śmiech.

Rita zamknęła oczy ze wstydu.

– Ojejku – wyszeptała Matylda.

– Do kibla z nią! – wrzasnęła szybko Rita.

– Jakoś mi tak... niedobrze.

Cornelius wstał z miejsca, jak poparzony,

chwycił Matyldę w ręce i pobiegł do łazienki,

zostawiając ją tam Ricie, której zadaniem było już tylko przytrzymywanie siostrze włosów.

– Mati – szepnęła Rita, siedząc już przy

łóżku, w którym leżała jej siostra. – Powiedz mi, proszę. Jakim cudem wyrzygałaś z siebie pięć parówek niemal dobę po ich spożyciu?

Matylda jęknęła boleściwie.

– Powiedz mi, proszę, jak to jest możliwe,

a przysięgam, że nie będę klęła przez

najbliższy rok – kontynuowała Rita, której

udzielił się ten tragicomiczny nastrój.

– Nie wiem – zakwiliła Matylda. – Ojej, źle się czuję, Rita.

– Jeżeli mi powiesz, to może jakoś uda nam się sprzedać ten patent i dostaniemy za to Nagrodę Nobla – zachichotała cicho Rita. –

Jak przemycić przez granicę pięć parówek i ich nie strawić? Sposobem mojej siostry – Matyldy.

Matylda chciała się zaśmiać, ale skurcz brzucha wywołał nieprzyjemne uczucie. Rita pogłaskała siostrę po włosach.

– Nie lubisz mnie, prawda? – spytała

Matylda.

– Jak cię nie lubić, Mat? Rzygasz dalej, niż widzisz – zaśmiała się Rita i ucałowała siostrę w spocone czoło.

Matylda zasnęła w końcu spokojnym, kamiennym snem, który ponownie zmienił ją w małe dziecko. Rita, choć wydawało jej się, że przez moment przymknęła przy siostrze oko, nie mogła jednak spać. Przyglądała się przez krótką chwilę Matyldzie, pozwalając

przewijać się przed oczyma migawkom
wspólnie spędzonych chwil dzieciństwa, po
czym wyszła z sypialni. W salonie zastała
zadumanego Corneliusa, siedzącego w fotelu
i obserwującego ścianę.

– Widzisz tam coś ciekawego? – próbowała
go rozweselić.

– Więcej, niż ci się wydaje. – Uśmiechnął
się
smutno.

–

Właśnie

przećwiczyłem

wszystkie możliwe kombinacje rozmowy, którą
chciałem z tobą odbyć.

– Ach, tak? – zaśmiała się. – No i o czym rozmawialiśmy?

– Próbowałem ci wyjaśnić, używając
różnych sposobów – od prośby do groźby – że
nie jedziesz na poszukiwanie Stelli.

Wyraz twarzy Rity gwałtownie się zmienił.

– A to ciekawe – warknęła, chwyciwszy się pod boki.

– No właśnie, sama widzisz, jak reagujesz

– przytaknął spokojnie. – Mimo że to po mojej
stronie była oczywiście racja, rozsądne

argumenty i przewaga siły fizycznej, nie udało
mi się w trakcie żadnej z tych rozmów
pokonać
twojej
głupoty
oraz
twojej
zawziętości.

Rita zaśmiała się.

– Dziękuję ci bardzo za tak pochlebną
opinię na mój temat.

– To nie opinia, to są fakty. Jesteś jak
terier. Jak już raz uczepisz się szczękami
jakiegoś pomysłu, nie zrezygnujesz, choćby cię
obrywali ze skóry – odparł z zadziornym
uśmiechem.

– A zatem, do jakiejż to konkluzji
doszedłeś? Mam nadzieję, że do jedynej
rozsądnej – że skoro i tak zamierzam
zrealizować swój plan, to chociaż nie będziesz
mi utrudniać i powiesz mi wszystko, co wiesz na
temat
jakichś
namiarów

na

tego

psychopatę. Lub na kogoś, kto może wiedzieć,

gdzie go znajdzie – westchnęła ciężko Rita, po czym dodała – skoro już i tak gramy w otwarte karty.

Cornelius uśmiechnął się wśród swojego niedogolonego zarostu.

– Daleko nam jeszcze do gry w otwarte

karty, Rito. Może nigdy do tego nie dojdzie.

Może nigdy nie przestaniesz przede mną grać.

No już, nie najeżaj się. Przecież wiesz, że jestem

od

ciebie

mądrzejszy

–

dodał

zaczepnie.

– Chciałbyś – wyduła usta.

– Tak czy inaczej – rozparł się w fotelu –

jedyne rozsądne rozwiązanie jest oczywiście

takie, że pojedę z tobą.

Rita uniosła oczy ku niebu, choć nie

spodziewała się zastać tam czegokolwiek,

poza sufitem.

– To już się robi nudne – westchnęła więc tylko. – Czy to jakaś klątwa „dawnych znajomości”, czy co? Nagle spotykam osoby, których nie widziałam przez lata, a one ni z tego, ni z owego proponują mi, że przyłączą się do wycieczki. Kogo jeszcze spotkam po drodze? Wychowawcę z klas jeden – trzy?

Cornelius wzruszył ramionami.

– Myślisz, że mi się chce? Zostawiać teraz robotę, która pewnie nie będzie czekała, aż wrócę? Porzucić ustatkowane, w miarę zadowalające życie, które tu wiodłem, i ruszać w bezsensowną trasę z kobietą, która kiedyś była dla mnie wszystkim, po to tylko, żeby jej udowodnić, że ta wyprawa nie ma sensu?

Rita spoważniała.

– Więc po co to?

– Bo nie puszczę cię samej.

– Taki jesteś cholernie szlachetny? –

spytała, patrząc mu w oczy.

– Nie. Taki jestem cholernie uparty.

Bardziej niż ty. Wiesz o tym dobrze. A poza tym – dodał już ze swoim zwykłym kpiącym uśmiechem – wiesz, jak takie wycieczki działają na „dawne znajomości”... Stara miłość nie rdzewieje, liczę na to, że cię bzyknę.

Rita zaśmiała się. Potrafiła się z tego śmiać – niesamowite – przez minione dwa lata nie potrafiłaby tego potraktować jako żartu.

Dwie godziny temu Cornelius dostałby za to

w twarz. A teraz? Ledwie kilka godzin razem i znowu czuje się przy nim swobodnie, znowu nie potrafi się na niego złościć. Może się już tylko śmiać z tych jego „poważnych żartów”.

Uderzyła go żartobliwie w ramię.

– No co? – spytał poważnie. – Tu nie

trzeba być wielkim psychologiem – wspólnie

dzielone niebezpieczeństwa, przygody, moja

męska i bohaterska postawa pod tytułem „nie

zostawię cię w opresji, możesz na mnie liczyć”

i już widzę, jak rozkładasz przede mną nogi.

– Uważaj, żebyś się nie zdziwił – zaśmiała

się.

Zapadła chwila ciszy.

– To jak? – odezwał się Cornelius. –

Umowa stoi? Ja ci powiem, co wiem, a ty za to

nie będziesz jęczała jak baba i przyjmiesz do wiadomości, że jedziemy razem?

– Ja miałabym jęczeć? Nigdy!

– Jak to nie? Już cię widzę na siedzeniu

pasażera miaucząca: „Daleko jeszcze?”, „Ale

daleko jeszcze?”, „Chce mi się siku”, „Nudzi mi się”.

– Na siedzeniu pasażera – chyba w twoich

snach! Ja prowadzę brykę!

Cornelius uśmiechnął się spokojnie.

– Dobra, dobra, młoda. Nie ekscytuj się

tak bardzo, bo wciąż jeszcze jestem od ciebie

silniejszy.

Ritę bolał brzuch ze śmiechu. Dlaczego?

Przecież nie wybierała się z Corneliusem na przejażdżkę. Jechała odnaleźć Stellę. Przecież tak bardzo martwiła się o Stellę... Tak, ale teraz, gdy Cornelius oświadczył, że jedzie z nią, poczuła – wstyd się przyznać – ogromną ulgę.

– Prześpiemy się dziś i wyruszymy jutro

rano

–

oświadczył

Cornelius.

–

Choć

podkreślam – ta wyprawa ma jeden tylko cel: otworzyć ci oczy. Pokazać, że to, co chcesz osiągnąć, jest do osiągnięcia niemożliwe.

Rita zasępiła się.

– Na pewno nie widziałeś wśród tych

pokerzystów Stelli?

– Na pewno. Wprawdzie zapamiętałem

głównie Holdema, ale reszta to byli sami

faceci. Zresztą – dodał niby to żartem – trochę

trudno się skupić na twarzach, gdy do

czynienia masz głównie z pięściami i kolanami.

–

Cornel...

–

spojrzała

na

niego

z niepokojem – ale o co w tym chodziło?

Dlaczego...?

– Dlaczego dostałem po mordzie? Właśnie

to próbuję ci powiedzieć, Rito. Że sposób postępowania tych ludzi nie jest racjonalny.

Nie bawią się w zastanawianie się: „Hmm, dać

mu po ryju czy nie?”. Zaangażowani są

w mnóstwo ciemnych spraw, o których –

z całym szacunkiem – nie masz pojęcia.

Widziałem

nieraz

takie

rzeczy,

stojąc

w Depressive za barem. Oni prowadzą

podwójne, potrójne życie. Mają szemrane

interesy, które są przykrywką dla jeszcze

bardziej szemranych interesów, które z kolei są przykrywką... i tak dalej. Porozumiewają

się za pomocą zamkniętych, dla nikogo

z zewnątrz niedostępnych małych kręgów,

które przekazują sobie wiadomości-klucze.

Bawią się w hierarchię, której nie pojmujesz ani ty, ani ja. Nawet ich nielegalne turnieje pokerowe są

przykrywką

dla

jakichś

grubszych akcji. Prawdopodobnie to złote etui,

które znalazłem, też miało być czymś

w rodzaju informacji – przekazanej niczym na

słupie ogłoszeniowym – pod warunkiem, że

umiesz ją odczytać. Informacji do konkretnej osoby, która miała zareagować w konkretny

sposób, co z kolei miało oznaczać to i tamto.

Musiałem więc albo pokrzyżować im jakieś

ważne

plany

–

zabierając

hasło-klucz

z istotnego miejsca, a zatem przerywając ciąg

ważnych dla nich informacji, albo po prostu wkurzyć gościa tym, że biorąc mnie za tego całego... Sacerdote, ośmieszył się przed

innymi pokerzystami. A wiesz, że ośmieszenie

się jest dla takiego psychologa najgorszym, co może mu się zdarzyć.

Rita po raz pierwszy poczuła, że to

wszystko ją przerasta. Próbowwała ukryć

strach, który zaświecił jej w oczach.

– Wreszcie to do ciebie dotarło? – spytał
ze smutnym uśmiechem.

Uniosła dumnie podbródek.

– W takim razie powiedz mi, dokąd się
jutro wybieramy, skoro jesteś tak świetnie
poinformowany?

Cornelius pogroził jej palcem.

– O nie. Tego z pewnością nie zrobię. Nie
chce mi się całą noc czuwać i zastanawiać się,
czy nie nawiejesz, mając już wszystkie
potrzebne informacje.

– Nie zrobiłabym tego.

– Dlaczego nie? Znając twój rozsądek,
Rito... Powiem ci o wszystkim jutro, z samego

rana – przy kawie, co ty na to? Będzie urocz

– zjemy śniadanko i wypijemy sielankową
kawkę przed wyruszeniem na poszukiwanie
potencjalnego mordercy i współczesnego
wcielenia zła. Brzmi nieźle.

– Nie ufasz mi? – spytała poważnie.

Cornelius zaśmiał się szczerze.

– Ależ oczywiście, że nie! Po pierwsze

jesteś kobietą...

– Ty szowinisto – wtrąciła.

– ...a po drugie ostatnio też mi uciekłaś

w środku nocy, pamiętasz?

Ricie zmyło uśmiech z twarzy.

– Ha, a widzisz? I też nic tego nie

zapowiadało. Ojej, jaki ja byłem słodki, tak sobie spałem w naszym łóżku, obróciłem się na

drugi bok i wiesz, co zobaczyłem? Swoją

dziewczynę chwytającą za klamkę i jej

spakowaną walizkę.

Rita otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

Cornelius jednak wstał z fotela i, chwyciwszy koc, położył się na kanapie.

– Czy możesz wyłączyć światło, gdy

będziesz wychodziła? – spytał. – Rzadko

zdarza mi się wstawać z łóżka tak wcześnie rano, więc wolałbym się już położyć.

Rita stała na środku salonu z sercem

w

zawieszeniu

pomiędzy

rozpaczą

a nienawiścią. Czowała teraz coś dziwnego –

jakby w środku jej klatki piersiowej kiełkowała

jakaś niepokojąca roślina. Czyżby... Czyżby po

raz pierwszy w życiu czegoś żałowała...?

Rozdział 29

– Babciu – odezwała się Ofelia spod zamkniętych powiek.

– Ćśśś – szepnęła Adalena. – Skup się, kochanie.

– Ale ja...

– Skup się.

Rozdział 30

Rita przesiedziała pół nocy w kuchni, oparta policzkiem o blat stołu, paląc bez przekonania papierosy, obserwując świat z perspektywy horyzontalnej. Matylda chrapała w sypialni Corneliusa, on sam zapewne spał już od dawna w salonie.

Rita zaś spać nie mogła. Świat dookoła niej przechodził w ciche migawki, piszczące przerwami w myśleniu. Rita obserwowała muchę, mucha Ritę. Wiatr wzdął firankę w biały brzuchol, jak bałwana śnieżnego. Rita ugryzła jabłko, zaciągnęła się, zmieszała jedno i drugie w ustach.

Migawki pstryknęły – przeminęło pół nocy.

Rita nie była zmęczona. W transie bezsenności

nie myślała o niczym, gdy nagle...

Hhhhh – wielki wdech, którego nie

zaplanowała wypełnił jej płuca. Papieros

z oderwanym wcześniej filtrem upadł na

podłogę, poturlał się pod szafkę. Znajdą go tam później dwie myszy, które mieszkały

w ścianie. Wdech otworzył jej szeroko oczy.

Zemdlała, będąc przytomną. Z otwartymi

oczyma – nie kładąc się, śniła – nie śpiąc.

Gorąca krew buchała rytmicznie, mieniając się

metalicznym połyskiem. Krew była lepka,

obrzydliwie ciepła, pachniała organicznie.

Rzeka krwi obmywała dno, krzepnąc po

drodze w wielkie kamienie.

Rita wiedziała, że ta krew łączy ją z kimś

innym, że koryto, w którym daje się nieść, prowadzi przez nieznanne jej miejsca do

znajomej osoby. Rytmiczne drgania strumienia

brzmiały jak muzyka, którą Rita знаła na

pamięć. Wzburzone, krzepnące masy dotarły

do zatoki, w której ktoś – pochylony po

zwierzęcemu

–

chleptał

z

okropnym

mlaskaniem rzekę krwi. Rita widziała jego

pysk, zęby, które były bordowe od krwi, strugę

skrzepliny, opadającą z kącika ust soplem

czerwieni. Pił krew, saczył ją, siorbał, ssał tę krew. Robił to z przyjemnością.

Nad brzegiem rzeki przebiegł czarny pies,

coś zwalniało jego tempo w nienaturalny

sposób. Podszedł do tafli krzepnącej na

powierzchni. Rita widziała jego czarny pysk

zbliżający się do parującej gorącym krwi. Pies

węszył, chcąc się napić. Uciekł.

Nie mogła dłużej machać nogami – koryto

rzeki niosło ją gdzie chciało. Ciężki skrzep

osiadł na jej stopach i ściągnął na dno.

Migawka.

Rita mrugnęła. Śniło jej się, choć nie spała.

Chory sen, wstrętny. Rita miała ochotę

przepłukać

usta

po

gorącym

smaku

biologicznej rzeki. Zabzyczała mucha, ocknęła się.

Siedziała w kuchni. Skądś docierało do niej światło. Czy to już dzień? Nie, łuna lampki docierała do kuchni z przedpokoju, a do przedpokoju z... Rita wstała, żeby sprawdzić.

Z łazienki. Drzwi były uchylone, ze środka dobiegał odgłos wody lejącej się ciurkiem z kranu i pocierania. Szorowania. I jęczenia.

Rita zbliżyła zmęczone oko do szpary

w

drzwiach.

Zobaczyła

plecy

Matyldy.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Mati? – odezwała się cicho.

Matylda nie odwróciła się do niej – nadal coś szorowała. Dopiero teraz Rita zdała sobie sprawę z tego, że Matylda jest naga.

– Mat?

Rita podeszła bliżej. Matylda schylała się

nad wanną, dzierżąc w zmarzniętych od lodowatej wody dłoniach białą koszulkę, w której położyła się wcześniej spać.

– Mati, co robisz? – spytała znowu Rita, dotykając delikatnie jej pleców.

– Muszę to wyszorować – odpowiedziała Matylda w obsesyjnym zmęczeniu praczki.

Rita spojrzała na jej twarz – musiała się niedawno obudzić – wciąż była zaspana.

– Co musisz wyszorować?

– Krew – odparła, nie odrywając się od pracy.

Rita chwyciła ją za ramiona i odwróciła twarzą w swoją stronę.

– Jaką krew, Matyldo? Jaką krew?

– Całe łóżko jest we krwi. I moja koszulka.

Musiałam dostać okres.

Rita wyjęła z rąk siostry białą koszulkę.

Była absolutnie czysta.

– Tu nic nie ma, Mati. Żadnej krwi.

Matylda jakby się ocknęła.

– Ale w łóżku jest. Obudziłam się przez to.

Całe łóżko we krwi.

Rita przebiegła przez przedpokój do

sypialni Corneliusa. Zapaliła światło. Biała

pościel była skopana i wymięta, ale nietknięta

żadną plamą. Odchyliła kołdrę – prześcieradło

białe jak śnieg. Poduszka, kołdra od drugiej strony. Wszystko czyste. Wróciła do łazienki.

– Mati, nie ma żadnej krwi.

Matylda stała przy wannie, dzierząc w dłoniach mokrą koszulkę.

– Tak? – spytała nieco przytomniej. –

Musiało mi się to przyśnić.

– Co ci się śniło? – spytała Rita.

Matylda usiłowała sobie przypomnieć.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Wiem tylko, że

obudziłam się z przeświadczeniem, że muszę

uprać wszystko z krwi.

Rozdział 31

– Babciu, jestem już strasznie zmęczona –

jęknęła znowu Ofelia.

– Skup się, kochanie. Tylko się skup.

Rozdział 32

Rita postanowiła nie opowiadać Corneliusowi

o wydarzeniach minionej nocy. Zresztą,

przecież nic się takiego nie stało. Ona

i Matyllda miały trochę koszmarów, co wydaje

się zupełnie zrozumiałe, gdy weźmie się pod uwagę, że martwią się o Stellę. Zmartwienie rodzi
niepokój, niepokój daje koszmary –

tłumaczyła

sobie

Rita.

Choć

w

głębi,

intuicyjnie czuła, że sprawa wcale nie jest tak

gładka, jak próbowała to sobie wmówić.

Ku swojemu zdziwieniu wcale nie musiała

budzić Corneliusa. To raczej on wyrwał ją

z nocnego odrętwienia, wchodząc do kuchni.

– Wyglądasz okropnie – oświadczył,

spojrzawszy na nią.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się złośliwie. –

Bardzo piękne przywitanie.

– Zwłaszcza z tym petem w gębie, Rita.

Przecież to ci już zgasło. – Uśmiechnął się, otwierając chlebak.

– Ach, tak? – Spojrzała na końcówkę

papierosa.

–

Faktycznie.

–

Odpaliła

następnego.

Cornelius

wyjął

chleb,

zaczął

przygotowywać tosty.

– Młoda, nie żeby mnie specjalnie

obchodził twój los, ale trochę przeginasz

z tymi fajkami.

– Niby dlaczego? – Wzruszyła ramionami.

Cornelius odwrócił się do niej, opierając

się swoimi – ślicznymi i bardzo męskimi –

pomyślała skrycie Rita – pośladkami o szafkę.

– A na co wydajesz miesięcznie więcej

pieniędzy – na fajki czy na jedzenie?

Rita nie wahała się ani chwili.

– No jasne, że na fajki.

Cornelius

uśmiechnął

się,

pokazując

gestem: „No właśnie”.

–

No,

ale

gdybym

nie

pałała,

to

wydawałabym najwięcej pieniędzy na alkohol.

Żarcie zawsze pozostanie na szarym końcu. –

Wzruszyła ramionami.

– Zrób kawę – uciął temat Cornelius – to

choć się do czegoś przydasz.

– Będziesz mi rozkazywał, szowinisto? –

zaśmiała się Rita.

– Tak. Zrób kawę, kobieto, albo dostaniesz

klapsa na goły tyłek. – Uniósł brew.

Rita wstała od stołu, nie mogąc opanować

cichego chichotu, i zabrała się do kawowych fusów.

– Tylko mi nie skiepuj do środka – wtrącił

Cornelius. – Nie chcę mieć popiołu w filiżance.

– Się wie.

Usłyszeli kroki nadchodzącej Matyldy.

– Och – jęknęła nieśmiało, widząc, że oboje już wstali.

– Dzień dobry pani. Nie dostanę buziaka?

– droczył się Cornelius.

– Dzień dobry – wydukała Matylda

i

bąknąwszy

w

odpowiedzi

coś

niezrozumiałego, ewakuowała się do łazienki.

– Obie wyglądacie trochę nietęgo –

zauważył Cornelius. – Coś się działo w nocy, gdy ja niewinnie spałem? Zabawialiście się ze sobą?

– Jasne. – Rita zaciągnęła się i zamiast

włączyć czajnik elektryczny, włączyła mikser.

Cornelius spojrział na nią tym razem

uważniej.

– Dobrze się czujesz, Rita? Naprawdę.

Masz strasznie podkrążone oczy – wyglądasz,

jakbyś nie spała od kilku dni.

Rita

w

duchu

zakłęła

siarczyście,

obdarzając Corneliusa za jego domyślność

wiązką intensywnej nienawiści.

– A jak mam się czuć, geniuszu? –

Dmuchnęła mu dymem w twarz. – Moją siostrę

uprowadził psychopata – myślisz, że to dobrze

działa na urodę?

Wzruszył ramionami, rzucając w jej stronę jeszcze jedno nieufne spojrzenie, ale w końcu postanowił porzucić ten temat i wrócić do

swojego zwykłego stylu rozmowy.

– No, ale mogłabyś się dla mnie trochę

upudrować. Wiesz, „wy, kobiety” macie „swoje

sposoby”.

– Wsadź je sobie w dupę – wtrąciła Rita.

– Jeśli nasza wielka, wieczna miłość ma

odżyć, musisz mi się znowu zacząć podobać,

mała. Postaraj się trochę, bo naprawdę będzie

ciężko – zaśmiał się.

– Sorry, ale obawiam się, że powodem

naszego spotkania, wbrew twoim łzawym

oczekiwaniom, nie jest wcale odnowa naszej,

jak mówisz, „wielkiej, wiecznej miłości” –

zaśmiała się Rita. – Chodź, Mati, nie chowaj się jak duch za moimi plecami.

Matylda,

pełna

skrępowania,

stanęła

znowu w drzwiach kuchni.

– Chciałam... Pragnęłabym odnieść się

jakoś do wydarzeń minionego wieczoru...

Mianowicie chodzi mi o to...

– Wiem, wiem, chce pani powiedzieć, że

„wcale nie jest łatwa”? – zaśmiał się Cornelius.

– Ja...

– No, ale mam nadzieję, że podobało się

pani chociaż to, że później przyszedłem do

pani sypialni. To było coś – powiedział

z absolutną, zdawałoby się, powagą.

Matylda

otworzyła

szeroko

oczy

i spojrzała na Ritę.

– Ja... Nie! Nic takiego, Rita, to nie może...

– Dobra, Mati, ja nie wnikam. Dawaj dupy,

komu chcesz. – Rita uniosła ręce, wdając się w tę grę drużynową przeciwko Matyldzie.

– Ale to nie! Nie było!

– Patrz, trochę seksu i cała gramatyka leży

w gruzach. – Rita spojrzała wymownie.

Cornelius przytaknął.

– No, chyba pani nie chce powiedzieć, że

niczego nie pamięta, proszę pani.

Matylda spojrzała na niego przerażona.

Na Ritę. Na niego. I wreszcie zrozumiała.

Roześmiała się wesoło.

– Jasna cholera, Mati, jaka ty jesteś

naiwna – rzuciła Rita, zalewając kawę. – Aż strach się bać.

Cornelius zaśmiał się pod nosem.

– Dzieciaki, myć rączki i do śniadanka –

oświadczył, rzucając pierwsze tosty na talerz.

Rozdział 33

– Odbierz – poleciła spokojnie Adalena.

– Ja? – zdziwiła się Ofelia.

– Tak, kochanie, to tylko telefon. Dzwoni

Rita.

Ofelia nieśmiało podeszła do aparatu,

który

ryczał

zapamiętała

jak

niemowlę

z kolką.

– Halo?

– Młoda? – odezwała się Rita. – Daj mi

Adalenę.

Ofelia wzięła głębszy oddech.

– Babci nie ma.

Ze słuchawki wypłynęła fala przekleństw.

– Jak to – nie ma?

– Nie wiem. Może jest w sadzie – odparła

już bardziej gładko Ofelia.

– Błąka się po sadach, zamiast mi pomóc.

(Już idę, Cornel. Daj mi tylko sekundę.) Młoda,

my jedziemy dalej szukać Stelli. Powiedz

Adalenie, że mnie i Matyldzie śniła się krew.

– Krew?

– Tak. Niech się zastanowi, czy ma mi coś

ważnego do powiedzenia. Niedługo znowu się

odezwę.

– Dobrze – odparła Ofelia profesjonalnym tonem sekretarki.

– Jak ona się czuje? – wtrąciła Rita

podejrzliwie, będąc przekonaną, że Ofelia nie ma pojęcia o ostatniej akcji z Adalena.

– Nie wiem, chyba normalnie – skłamała

lekko. – A jak moja mama?

– Muszę lecieć, wyjeżdżamy. Twoja matka
ma się lepiej, niż nakazuje rozsądek. Na razie.

Ofelia przesłała przez telefon całusa

i

rozłączyła

się.

Odłożyła

słuchawkę

i westchnęła ciężko. Podniosła wzrok na

kobiety, które otoczyły ją półkręgiem. Satriz ze zmarszczonymi do granic możliwości

brwiami. Ide zasłaniająca ze zmartwieniem

twarz dłonią. Ale najważniejsza była Adalena –

ze smutnym zdecydowaniem wypisanym na

twarzy. To rekompensowało Ofelii udrękę

wahania.

Rozdział 34

– Dobra, tajemniczy Don Pedro. – Rita

potrząsała zapalniczką. Złośliwa iskra nie

chciała zaskoczyć. – Powiedz, dokąd nas

powiedziesz.

Siedzieli już wszyscy w samochodzie. Rita

rozparła się w fotelu pasażera, ku zdziwieniu Matyldy,

dając

w

końcu

prowadzić

Corneliusowi.

– Skąd masz tego rzecha? – spytał

Cornelius, odpaliwszy silnik i dotknąwszy

kierownicy, która obrzydliwie się kleiła – nie chciał wiedzieć, od czego.

– Ja pierwsza zadałam pytanie.

Cornelius wycofał. Wpasował samochód

w nieduży rząd pojazdów, by wraz z nimi

podążać teraz w tym samym kierunku – niczym

mrówki zmierzające do wspólnego mrowiska.

– Jedziemy do Casa Sarcedotal, jeżeli

mówi ci to cokolwiek.

– Co to za miejsce? Skąd o nim wiesz? –

spytała Rita, wdzięczna za te informacje

i jednocześnie wściekła, że nie zdobyła ich sama.

– Teraz ty odpowiedz na moje pytanie, Rita

– czyj to wóz?

Rita wzruszyła ramionami.

– Sama do końca nie wiem, czy nie jest

kradziony, ale wzięłam go od Adana.

W głowie Corneliusa wystrzelił piorun.

Usłyszał znienawidzone imię – resztę dnia

można wyrzucić do kosza. Prowadził wóz tego

sukinsyna. Dotykał swoimi dłońmi kierownicy,

którą wcześniej obejmował palcami Adan. Być

może zaraz po tym, jak obmacywał Ritę.

Rzygać mu się zachciało na samą myśl o tym.

Nie z obrzydzenia – ze złości.

Rita coś mówiła, lecz Cornelius jej nie

słuchał. Wzbierała w nim niebezpieczna

pogarda. Wypatrzył drogowskaz na stację

benzynową. Przydusił pedał gazu, zjechał

z drogi. Kupił trzy rodzaje detergentów i nie słuchając ani nie słysząc tego, co mówiła Rita,

zdarł obicia z foteli, wyrzucił je. Umył

kierownicę, deskę rozdzielczą i szyby żrącym w oczy środkiem. Odsunął fotele. Opanował

odruch wymiotny, odnajdując pod nimi zużyte

prezerwatywy. Wyrzucił je. Odkurzaczem

wyczyścił wszystkie zakamarki, uwijając się

w szale zwierząt przed sezonem godowym.

Zatankował. Wjechał do myjni. Nareszcie

zatrzymał się. Wsparł dłonie o biodra.

Odetchnął.

– Teraz możemy jechać.

Rita i Matylda stały naprzeciwko niego

z szeroko otwartymi oczyma.

– Jakiś problem? – spytał Cornelius.

– Nie – odparła szybko Rita i wsiadła do samochodu. – Możemy jechać.

Cornelius nieco się wyluzował, rozparł wygodniej w fotelu kierowcy ogołoconym teraz z obicia. Jechali przy otwartych na oścież oknach, jako że zapach detergentów nie dawał im swobodnie oddychać.

– A zatem – rozpoczął przerwana rozmowę – jedziemy, jak już wspomniałem, do

Casa Sacerdotal. Nie jestem tego w stu

procentach pewien, ale zdaje mi się, że tam możemy znaleźć twojego ulubieńca. Od dawna stara się o aprobatę gościa, którego imieniem zwracał się wtedy do mnie.

– Kto to taki? – spytała łąpczywie Rita.

Cornelius westchnął.

– Ani ja, ani ty nie chcemy tego tak

naprawdę wiedzieć. Zdaje się jednak, że jeśli ktokolwiek jest poinformowany w całym tym podziemnym świecie, to właśnie on – ten

Sacerdote. To właśnie o przyjęcie do jego domu starał się, jak sądzę, Holdem. Skoro

jednak nawet on nie wie, jak facet wygląda –

wziął za niego kogoś tak niepozornego jak ja –

to znaczy, że nie da się tak po prostu dostać do jego chaty. Nie sądzę więc, aby nasza

wyprawa miała jakikolwiek sens. Z tego, co

słyszałem, w tym całym Casa Sacerdotal

odbywa się jakaś grubsza impreza. Może jakiś

ich „wielki turniej”, który jest przykrywką dla

wymiany

informacji,

wymiany

jakiegoś

towaru... Sam nie wiem, Rita. Nie jestem

kryminalistą, gangsterem czy kim tam oni są.

To są tylko podejrzenia zwykłego barmana.

– Czyli w zasadzie nie masz żadnej

pewności, że tam możemy znaleźć Holdema

i Stellę?

– Oczywiście, że nie. Ale to jedyna

poszlaka, jaką dysponujemy. Wiem też, że

teraz wśród pokerzystów wznastają jakieś

napięcia, coś się dzieje, do czegoś się szykują,

Rito. Coś ma się wydarzyć. A skoro tak, nie wierzę, żeby ich pojebany „mistrz” o tym nie wiedział, nie kierował tym. Spodziewam się

zatem, że jeśli coś ma się wydarzyć, to właśnie

w jego chacie.

Rita przytaknęła smutno. Znowu uderzyła

ją, jak obuchem, niepokojąca myśl, że to za wysoki dla nich próg. Że nie da się tak po prostu dostać do Stelli lub do informacji o niej.

Że nie da się jej odnaleźć jak w kryminałach dla dzieciaków.

Cornelius spojrzał na nią, jak zawsze denerwująco dobrze odgadując jej myśli.

– Wiesz co? Powiem ci szczerze, że mój

prawdziwy plan polega na tym, żeby zabrać

cię tam i uzmysłwić ci, że zadanie jest po prostu niewykonalne. Chcę, żebyś to wreszcie

zrozumiała, Rito. Karmisz się mrzonkami.

– W takim razie co twoim zdaniem

powinnam zrobić, panie wszytkowiedzący?!

Pogodzić się z tym, że moja siostra zaginęła?!

– Rita uderzyła pięścią w deskę rozdzielczą przed

sobą.

Huknięta

powierzchnia

zaskrzypiała

pod

ciosem

i

w

odzewie

otworzyła schowek, który znajdował się przy

kolanach Rity. Z jego rozwartego pyska

wypadły poskładane w równe kupki banknoty

i kilka cenniejszych przedmiotów z mieszkania

Corneliusa.

– Co to jest? – spytała Rita.

– Widzisz chyba. – Cornelius wzruszył ramionami.

– Co to za pieniądze, Cornelius? I dlaczego

wzięłeś wszystkie... o cholera, dalej masz tę obrzydliwą „lampę Alladyna”, którą ci kupiłam na pchlim targu?

– Jak widać – odparł, nie odrywając

wzroku od drogi. – Schowaj to wszystko z powrotem.

Rita przyjrzała mu się uważnie.

– Co to za pieniądze, Cornel? – powtórzyła podejrzliwie.

– Moje, a jak myślisz?

– Po co ci tyle kasy?

Cornelius

prychnął

z

ironicznym

rozbawieniem.

– Obudź się, Rito. A jak sądzisz? Skąd

mam wiedzieć, gdzie znajduje się ta cała Casa

Sacerdotal? Myślisz, że znajdę ją na Google Maps? Żeby się dowiedzieć, gdzie znaleźć tę dziupłę, potrzebuję informacji. A informacja

o takich rzeczach kosztuje. Trzeba też

wiedzieć, od kogo ją uzyskać, żeby nie dostać

ostro

w

dupę.

Wziąłem

te

pieniądze

z Depressive, a co myślałaś?

Rita zaniemówiła na moment. Poskładała

fakty w całość.

– Okradłeś kasę?

– Tak, tak to się właśnie nazywa. Możesz

uznać, że wziąłem pożyczkę bezzwrotną.

– Uwielbiałeś tę knajpę. I tę pracę –

szepnęła.

Cornelius zaśmiał się złośliwie.

– No, to już jej nie będę uwielbiał, bo

raczej nie będę mógł do niej wrócić po tym, jak

zajebałem cały utarg.

–

A

te

przedmioty,

które

wzięłeś

z mieszkania... – myślała na głos Rita. –

Cornelius, wziąłeś je, bo wiesz, że już tam nie

wrócisz, prawda?

– No, raczej nie mam już życia w tym

mieście. Jak sobie wyobrażasz? Że wrócę

spokojnie do Wielkiego Buldoga, gdy mój były szef będzie myślał tylko o tym, żeby mi obić nerki za okradnięcie go? Wziąłem garść

rzeczy i zawiąłem się. To tyle z mojego

mieszkania

u

Wielkiego

Buldoga.

Tyle

z mojego życia, Rito, tak – zgadza się.

Był zły. Ale nie na to, o czym do tej pory rozmawiali. Był zły, bo wiedział, że za chwilę Rita uświadomi sobie, że...

– Ale chwileczkę – odezwała się. – To by

oznaczało, że zabrałeś te pieniądze jeszcze

zanim... wróciłeś do domu. A zatem, jeszcze

zanim...

powiedziałam

ci,

co

dokładnie

zamierzam, co się stało.

Cornelius zagryzł zęby. – Tak, to prawda,

Rito – pomyślał ze złośliwą zjadliwością wobec

siebie samego. – To dokładnie to oznacza – że

zdecydowałem się pomóc ci już wtedy, gdy

przyszłaś do mnie, do baru. Już wtedy, gdy zrozumiałem, że coś jest nie tak. Gdy pojąłem,

że zrobisz wszystko, by osiągnąć swój cel. Już

wtedy, Rito, w jednej chwili zdecydowałem się

utopić całe swoje życie, pozostawić wszystko

to, co kochałem, tylko po to, żeby gonić twoje urojenie – żeby nie zostawić cię samej.

Widzisz, jak bardzo jestem żałosny?

– Eli – szepnęła Rita.

– Nie mów tak do mnie – warknął.

Rita zamilkła, nie wiedząc, co myśleć

i czynić. Niezręczną ciszę przerwał w końcu Cornelius.

– Zatem jeśli nadal chcesz znać nasz

„superplan”, to wiedz, że jedziemy teraz do Eskultor.

Jak

zapewne

pamiętasz,

wychowywałem się tam i mieszkałem przez

dość długi czas, więc mam nadzieję na

odnalezienie paru kontaktów i uzyskanie...

– Do Eskultor? – spytała przerażona Rita.

– Zgadza się. A jako że będę potrzebował

trochę więcej czasu na odnalezienie dawnych

znajomości, zatrzymamy się u Tuli – odparł, obserwując bacznie jej reakcję.

Rita przełknęła z przerażeniem ślinę, co

nie mogło ujść uwadze Corneliusa.

– Co jest, Rito? – spytał z lekką dozą

złośliwości. – Czyżbyś nie chciała się spotkać z moją siostrą? Z pewnością bardzo ucieszy

się na twój widok. Przecież byliście sobie tak

bliskie.

Tak, były sobie bardzo bliskie. Rita

uwielbiała Tulę ze szczerą wzajemnością. Tula

jednak zawsze bardzo różniła się od Rity. Była szlachetna, dobra. Była łagodna. Zawsze

zamęczała Ritę pytaniami: „Kiedy zostaniemy

rodziną,

Rito?”

„Kiedy

będiesz

moją

szwagierką?” „Rito, kochanie, kiedy wreszcie

się pobierzecie?”. Dla Tuli sprawa była prosta,

o tak. Miała na temat Rity niezrozumiale

dobrze zdanie, twierdziła, że jest jedyną

kobietą, która poruszyła „zimne jak lód” serce

jej brata. Tak, Tula kochała Ritę. I ufała jej.

A tymczasem Rita po prostu uciekła. Od
Corneliusa, od Tuli. Po prostu sobie poszła.

Rozdział 35

– Ofelio, czy jesteś gotowa?

Wzięła głęboki oddech.

– Tak, babciu.

– Ide, podaj jej miskę.

Rozdział 36

Atmosfera w starym rzęchu zrobiła się tak
ciężka, że można ją było kroić nożem.

Cornelius wciskał pedał gazu może nieco
nazbyt gorliwie, jak na tak rozklekotany
samochód. Matylda spała lub milczała trupio.

Rita

rozpaczliwie

szukała

siły,

by

nie

wybebeszać teraz w myślach swoich dawnych
czynów oraz motywów, które do nich
prowadziły.

Myśleć

tylko

o

Stelli.

O odnalezieniu jej.

Cisza trwała. Nic nie zapowiadało...

Rozdział 37

Adalena ścisnęła Ofelię za kark.

– Uważaj, moje dziecko. Teraz!

Rozdział 38

Z tylnego siedzenia dobiegło nieprzyjemne

bulgotanie. Zakrztuszenie. Odbeknięcie. Rita

odwróciła się do Matyldy, nie zdążyła jednak zapytać, co się dzieje, tak jak chciała. Zamiast tego, usłyszała, jak Matylda krzyczy:

– Zatrzymaj się! Nie wytrzymam!

– Co się dzieje? – spytał szybko, lecz

spokojnie Cornelius. – Nie mogę się tak po prostu zatrzymać, jedziemy po autostradzie.

Rita otworzyła szeroko oczy.

– Nie, nie wierzę. Mati, czy ty...? Cornel,

ona będzie znowu rzygać. Zatrzymaj się, tam jest zjazd – wskazała palcem.

Faktycznie, przed nimi wyrósł zupełnie

niespodziewanie

zjazd

na

parking

przy

autostradzie.

Cornelius

skręcił

szybko,

przerzucając pasażerów siłą odśrodkową na

lewą stronę samochodu. W ostatniej chwili

zdażył się zatrzymać – Matylda wypadła przez

otwarte natychmiast drzwi.

– Wiedziała, że mam jej nie zabierać –

wysapała Rita przez zęby i uniósłszy oczy ku niebu, wysiadła, żeby pomóc siostrze.

Matylda tkwiła zgięta wpół, ale nie

wymiotowała.

– Jak tam? – spytała Rita.

– Nie wiem – jęknęła Matylda. – Było mi

strasznie niedobrze. Ale teraz...

Rita miała już na końcu języka srogie

przekleństwo wobec siostry, gdy nagle... coś ją

tknęło. Jakieś przecucie. Nie, więcej. Silne przeświadczenie o czymś. Tyle tylko, że nie wiedziała o czym.

Dotykała Matyldę kontrolnie po plecach,

którymi

nie

wzdrygały

już

konwulsje,

i odwróciła się za siebie. Na drugim końcu parkingu dostrzegła dwie ciemne postaci. Przy samochodzie.

Coś w żołądku ścisnęło również i Ritę, tak

jakby chciało jej się wymiotować. Jednak Rita potrafiła, w przeciwieństwie do Matyldy, rozpoznać to uczucie.

Postąpiła dwa kroki w stronę dwojga ludzi

i zauważyła, że o coś się kłócą. Podeszła

jeszcze bliżej. Były to dwie kobiety. Krzyczały

do siebie, jednak Rita nie rozumiała, co

konkretnie. Nagle jedna z nich zamachnęła się

na drugą i uderzyła ją z całej siły otwartą dłonią.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś być tak głupia?!

Ty idiotko!

Rita

postąpiła

krok

naprzód,

lecz

zobaczyła kątem oka, że Cornelius, który zapewne także widział cios zadany jednej

z kobiet, wysiada z samochodu i podchodzi do

ich towarzyszek z drugiego końca parkingu.

– Dzień dobry – odezwał się podejrzliwie.

Kobiety dopiero teraz zwróciły uwagę na

to, że nie są same. Po krótkiej, urwanej

szarpaninie obie spojrzały na Corneliusa.

– Dobry – odparła ta, która uderzała.

– Czy wszystko w porządku? – spytał,

patrząc na drugą z nich.

– Nie pana sprawa – rzuciła ta, która

wcześniej oberwała. Teraz już Cornelius

widział na jej twarzy malinowy ślad po

spoliczkowaniu.

– Zamkniesz się czy nie? – syknęła na nią uderzająca, po czym zwróciła się z dziwnym

uśmiechem do Corneliusa. – Wie pan co?

Szczerze

mówiąc,

nie

wszystko

jest

w porządku. Zabrakło nam paliwa. A musimy

koniecznie dostać się do miasta.

– Jedziecie do Eskultor? – spytał Cornelius,

przyglądając im się badawczo.

– Zgadza się.

Rita podeszła do Corneliusa. Kobiety

spojrzały na nią niechętnie. Żadna nie chciała przywitać się pierwsza, a zatem nie przywitały się wcale. Rita trzymała się za bolący, czy

raczej pulsujący brzuch. Gdzieś tutaj było źródło tego pulsowania. W tych kobietach...

Nie.

Raczej...

w

tej

ogromnej

torbie

podróżnej, którą jedna z nich trzymała

w rękach, obejmując ją zachłannym gestem.

Rita zmrużyła oczy. Tak, nie wiedziała

jeszcze, o co chodzi, ale czuła, że coś jest na rzeczy.

– Możemy was podwieźć do miasta –

odezwał się Cornelius.

– Och, tak? Byłybyśmy bardzo...

– Oczywiście nie za darmo – przerwała jej

Rita.

Kobieta

spojrzała

na

nią

złowrogo.

Cornelius z brakiem zrozumienia.

– Tak się składa, że gotówka jest nam
teraz bardzo potrzebna, a nie mamy ani
grosza – wyjaśniła Rita. – To chyba dość
uczciwy układ? Zwrot kosztów za paliwo, co
wy na to?

– My też nie mamy przy sobie pieniędzy. –
Rzuciła w stronę Rity gniewne spojrzenie.

– To nie muszą być pieniądze.

– Rita, o czym ty... – próbował się przebić

Cornelius.

– To może być cokolwiek choć odrobinę
wartościowego, co uda nam się sprzedać
w Eskultor.

Cornelius nie miał pojęcia, do czego Rita zmierza. Ona sama też nie. Wiedziała jednak,

że

ten

trop

jest

właściwy,

intuicja

podpowiadała jej, iż po takich właśnie torach powinna się toczyć ta rozmowa.

– Przykro mi – odezwała się uderzona. –

Ale nie mamy niczego takiego.

Druga kobieta stuknęła ją lekko pod

ramię.

– Musimy się dziś dostać do Eskultor.

Dobrze o tym wiesz.

Rita wzruszyła ramionami.

– Przykro mi, ale taki jest dzisiejszy świat.

Darmowe przysługi nie istnieją. Ale skoro nie macie ani grosza...

–

Może

być

bizuteria?

–

spytała

uderzająca.

Uderzona

spojrzała

na

nią

z niedowierzaniem. Rita opanowała szal

ciekawości i ekscytacji, jaka w niej wzbierała.

Coś ją ciągnęło do tej transakcji, coś

sprawiło, że z każdym słowem czuła się

bliżej...

–

Sama

nie

wiem

–

odparła

z wystudiowaną obojętnością. – Czemu nie?

Bizuterię powinno nam się udać sprzedać

w

jakimś

lombardzie

bez

większych

kłopotów... Dobra, może być, a co macie?

Kobiety spojrzały na siebie z dziwnym porozumieniem.

– Chwileczkę – powiedziała uderzająca. –

Weźmiemy tylko swoje rzeczy z samochodu.

Rita przytaknęła. „Co ty robisz?” –

powiedziały

bezgłośnie

usta

Corneliusa.

Zignorowała

je.

Była

zbyt

skupiona.

Obserwowała każdy ruch obu kobiet, ich

ukradkowe

spojrzenia,

wzajemne

poszturchiwania. Zgadza się – podejrzenia

Rity potwierdziły się. Kobiety poszły do

samochodu po to tylko, żeby bez skrępowania

pogrzebać w torbie podróżnej, którą i tak

miały już wcześniej przy sobie. Wyciągnęły

z niej maleńki przedmiot.

– Mamy tylko ten pierścionek. Chyba

wystarczy? Jest bardzo cenny, ale nie mamy

niczego innego.

Czas zwolnił. Rita zobaczyła, klatka po

klatce, mrugnięcie po mrugnięciu, jak kobieta wyciąga zamkniętą dłoń w jej stronę, jak ją otwiera. Jak jej oczom ukazuje się złoty

pierścień z rubinem.

Rita

czuje

ścisk

w

żołądku,

natychmiastowy zastrzyk krwi do głowy,

mrowienie, gorąco, zimno. Drętwienie. Udaje

jej się zapanować nad reakcją. Zachowuje

zimną krew i od niechcenia wyciąga rękę

w stronę przedmiotu – pod pretekstem oceny jego wartości. Trudniej jest, gdy już go dotyka.

Gdy czuje jego ciężar. Znajomą gładkość

i chropowatość.

Trzyma właśnie w dłoni pierścień Stelli.

– Tak – mówi obojętnie. – Myślę, że to

wystarczy.

Rozdział 39

– Satrizo, kochanie, pomóż mi – szepnęła

Adalena, chwytając zmęczoną Ofelię pod

pachy. – Chwyć ją za nogi. Wniesiemy ją do łóżka, żeby trochę odpoczęła.

– Czy to wystarczy, babciu? – spytała cicho

Ofelia.

Adalena uśmiechnęła się do niej smutno.

– Musi, kochanie. Teraz wszystko jest

w ich rękach.

Rozdział 40

Rita czuła, że pod jej czaszką wrze gotująca się substancja. Co robić, co robić? Siedziała z przodu, obok Corneliusa, który zerkał na nią

podejrzliwie, gdy próbowała grać na zwłokę i,

udając lekkie zamyślenie, w gruncie rzeczy

rozpracowywała

gorączkowo

scenariusz

działania.

Z tyłu zaś, obok ich nowych towarzyszek

podróży, zabawiała się w najlepsze Matyllda.

Naiwna, irytująca Matyllda, której teraz Rita nienawidziła za jej niewiedzę i beztroską

znajomość, którą zawierała z ich pasażerkami.

– Naprawdę?! – chichotała Matyllda. – Nie

miałam pojęcia, że oni też się t a m depilują, a to dobre!

Rita westchnęła. Złapała się jedyne

pomysłu, który przyszedł jej do głowy.

– Nie wiem, czy ten pierścionek jest

cokolwiek wart – odezwała się niby od

niechcenia do Corneliusa, po czym zwróciła się

do dwóch kobiet: – Skąd go macie?

Ta, która wcześniej wymierzała cios

swojej towarzyszce – Arila – jak dowiedziała się

Matyllda

–

zmrużyła

chyttrze

oczy

i spojrzała na Ritę.

– Na pewno jest wart więcej niż należność

za paliwo – wycodziła przez zęby.

Nie odpowiedziała, skąd go mają –

pomyślała Rita. Zapytać znowu? Ewidentnie to

ukrywa. Ale może wciąż nie zorientowała się,

że zależy mi na tej informacji.

– Oj, Rita, przestań być taką materialistką

– zaśmiała się nagle wyjątkowo zrelaksowana

Matylda, której Rita jeszcze nigdy nie widziała

tak otwartej na kontakty międzyludzkie. Pod

fotelem znalazła flaszkę alkoholu. Wyciągnęła ją z zadowoleniem i zaproponowała:

– Arila, Noa, dziewczyny, może sobie

golniemy, co?

– Golniemy? – parsknęła Rita. – Od kiedy

ty pijesz?

– Odkąd mam dobre towarzystwo –

roześmiała się Matylda. – No, dalej –

zachichotała

głupkowato

i

wychyliła

ogromnego łyka, po którym zakrzuszyła się jak

nastolatka.

Noa, która wydawała się nieco mniej

spięta, ale i trochę głupsza, roześmiała się wesoło na ten widok i z ochotą sięgnęła po podaną jej butelkę.

– Chyba możemy sobie na to pozwolić? –

Uśmiechnęła się przymilnie do Arili, która

łaskawie zezwoliła jej i sobie samej na picie. –

Byle nie za dużo – oświadczyła.

– Jasne, że nie za dużo – chichrała się

Matylda. – Sama stosuję tę zasadę i bardzo dobrze się sprawdza, muszę powiedzieć.

Rita

układała

w

głowie

możliwie

najbardziej beztrosko sformułowane pytania

dotyczące pierścienia. Tego pierścienia –

pierścienia Stelli! Który spoczywał na jej palcu

– jak dawno temu? Kto go zdjął? Stella czy ktoś inny? Dlaczego?

Rita nie podejrzewała, żeby te kobiety

miały coś wspólnego z Holdemem, ale była

przekonana, iż wyciągnięcie z nich informacji,

skąd mają pierścień, przybliżyłoby ją do celu, dało chociaż jakąś poszlakę...

– Nad czym ty się tak intensywnie

zastanawiasz? – spytał Cornelius, który cały czas ją obserwował.

– Ja? Ależ nad niczym – obruszyła się,

może nieco nazbyt gorliwie.

Westchnęła. Może by tak spróbować od drugiej strony.

– A co was sprowadza do Eskultor? –

rzuciła niedbale.

– Sprawy osobiste – odparła Arila i wzięła

kolejnego łyka. – A was?

– Jedziemy odwiedzić rodzinę – odparła

Rita, rozmyślnie uciekając wzrokiem przed kpiącym,

jak

była

pewna,

spojrzeniem

Corneliusa.

– Oj, co ty je tak nagabujesz? – wybuchła beztróskim śmiechem Matylda. – Przepraszam

was, dziewczyny, za moją siostrę, ona jest

nieco spięta.

Cornelius mimowolnie zaśmiał się na te

słowa. Matylda otworzyła usta, by coś

powiedzieć, lecz zamiast tego, beknęła

siarczyście.

– Ojoj! Mnie już wystarczy na dzisiaj

picia – wysapała niewyraźnie. – Bo to bby

bbyło za za duuużo. Rita, to gojjja. Goja, Rito to – wybełkotała i... osunęła się głową na

oparcie.

Rita odwróciła się natychmiast i ujrzała na tylnym siedzeniu trzy trupy. Arila i Noa leżały z zamkniętymi oczyma, za to z otwartymi ustami. Wsparte o siebie jak przewrócone kręgle. Obok Matyllda, która zaczęła donośnie chrapać.

– Co do cholery?! – wrzasnęła Rita. –

Niemoz... Ale to niemożliwe!

– Co się dzieje? – spytał Cornelius,

ogładając się przez ramię i z trudem pilnując drogi z powodu Rity, która zaczęła się przeciskać między siedzeniami do tyłu.

– Sama chciałabym wiedzieć. Niemożliwe.

– Dotknęła delikatnie Matylldę pogrążonej w nagłym, kamiennym śnie.

Potrząsnęła nią. Ta nie zareagowała.

Dotknęła Arili i Noy. Żadnego odzewu. Rita wybuchła salwą śmiechu.

– Nie wytrzymam! Mati! No, o to cię nie podejrzewałam, do cholery jasnej!

– Czy mogłabyś mi powiedzieć, co się dzieje,

Rito?

Mamy

zwłoki

na

tylnym

siedzeniu?

Rita w odpowiedzi tylko śmiała się na całe

gardło. Przerzucona wpół pomiędzy tyłem

a przodem samochodu, chwyciła butelkę

alkoholu. Odkręciła ją, powąchała. Nic.

– I tak jest bezwonna – mruknęła pod

nosem, zadowolona jak dziecko.

Potrząsnęła butelką i... tak... jeśli się wie,

na co patrzeć... Na dnie dostrzegła bardzo

delikatny osad, który formował się w wir, gdy wprawiało się płyn w ruch.

– Ha! – krzyknęła z zadowoleniem. –

Cornel, czy byłbyś tak miły i zatrzymał się w najbliższym możliwym miejscu?

Cornelius westchnął.

– Nie, dopóki nie powiesz mi, o co chodzi.

Rita wróciła na siedzenie pasażera.

– A to sprytna małpiatka! No, nie

spodziewałam się tego po niej, przyznaję –

zaśmiała się, po czym, widząc spojrzenie

Corneliusa, dodała: – Czy słyszałeś, co

Matylda powiedziała, zanim... zasnęła?

– Pewnie słyszałem, ale nie zwróciłem

uwagi na nic szczególnego pośród tego

bełkotu.

– Powiedziała: „Rito, to goja”. Goja, rozumiesz? Dosypała goi do tego alkoholu.

A to oznacza...

– Czego?

– Och, Adalena zawsze dawała nam trochę „przydatnych ziół”, gdy ją odwiedzałyśmy.

Różnych. Na niestrawność, na przeziębienie, na...

– Usypianie przypadkowych pasażerów – dokończył Cornelius. – Świetnie, mogłem się tego spodziewać.

– No właśnie. Ale to oznacza, że Matylda, ten niepozorny małpiszon, zorientowała się, podobnie jak ja, że one mają pierścień Stelli.

– Aha – westchnął Cornelius, który nie miał pojęcia, o czym Rita mówi.

– Mało tego! Zorientowała się i nie pisnęła ani słówkiem! W przeciwieństwie do mnie, zamiast próbować z nich wyciągnąć, skąd go mają, po prostu dodała trochę goi do alkoholu, wychodząc jednocześnie z założenia, słusznie zresztą, że jeśli sama nie wypije z nimi, nabiorą podejrzliwości. Sprytna mała! Widać, że to moja siostra.

Cornelius rzucił w stronę Rity krytyczne spojrzenie.

– Świetnie. No i co w związku z tym zamierzasz?

Rita wzruszyła ramionami.

– Oczywiście przeszukam ich rzeczy w poszukiwaniu jakiejś wskazówki.

Cornelius znalazł w końcu miejsce postoju.

Rita wystrzeliła na zewnątrz jak pocisk.

– Nie wiem, ile im dała – w każdej chwili mogą się obudzić.

Otworzyła tylne drzwi i wyrwała torbę podróżną z histerycznie troskliwych objęć

Arili. Zgrzytnęła zamkiem błyskawicznym.

Paszczą

obszernej

torby

rozwarła

się,

ukazując Ricie skarby rodem z dziecięcych

marzeń o skrzyni piratów. Cała torba

wypełniona była kosztowną biżuterią – złotą, ze szlachetnymi kamieniami lub perłami.

Koliami

i

bransoletami,

naszyjnikami

i kolczykami.

Rita gwizdnęła.

– No ładnie. Ktoś tu chyba miał małą

przygodę.

Rita przeszukała boczne kieszenie torby,

wewnętrzne skrytki, przerzuciła biżuterię we wszystkie strony. Lecz nie znalazła żadnej

wskazówki. Operując bezwładnymi ciałami

podróżniczek,

przeszukała

szczegółowo

kieszenie ich płaszczy, spodni. Zajrzała do

butów i staników. Nie znalazła jednak niczego.

Żadnej

kartki,

żadnych

zapisków,

tylko

bezużyteczne dokumenty osobiste, ale i w nich

nie

było

nic

interesującego.

Matylda

zachrapała przeciągle.

– Cornel, czy mógłbyś mi pomóc otworzyć

bagażnik? Strasznie się zacina.

Zdezorientowany

Cornelius

wysiadł

z samochodu i chwycił klapę.

– No, ale chyba nie chcesz władować ich

do środka? – zażartował.

– Nie, za kogo ty mnie masz? – zachnęła

się. – Ale w środku jest zwój sznura. Musimy je związać.

Cornelius miał pewne wątpliwości co do tego, czy Rita zachowuje się jak człowiek zdrowy na umyśle. Nie był również pewien, czy wiązanie obcych niewinnych ludzi, którzy nagle stają się zakładnikami, jest dokładnie tym, na co miał ochotę.

Mimo to zgodził się i nawet pomógł Ricie, która biegała ze sznurkiem jak szalona pajęczycyca, krępując nogi i ręce Arili oraz Noy.

Ukończywszy swoje dzieło (może nie do końca doskonale – dało się zauważyć, że Rita jest zawodową perkusistką, nie zaś porywaczką), stanęła w rozkroku nad owiniętymi sznurem, śpiącymi w najlepsze kobietami i odetchnęła z dumą.

– No. – Otrzepała ręce i odpaliła sobie papierosa.

– Świetnie – westchnął Cornelius, wsparty o maskę samochodu. – I co teraz? Zamierzasz zażądać za nie okupu? Nie wystarczy ci to, co masz w torbie?

– Nic z tych rzeczy. – Uśmiechnęła się obłąkańczo. Endorfiny musiały jej strzelić do łba, bo chichrała się teraz jak wariatka.

– Po prostu poczekam, aż się obudzą i zadam im parę pytań.

– Aha. Super. A jak nie odpowiedzą? Mam

przygotować

rozzarzone

szczypce?

Czy

wystarczy ci pilnik do paznokci?

Rita dmuchnęła mu w twarz z uśmiechem.

– Odpowiedzą. Już ja się o to postaram.

Cornelius znalazł w kieszeni gumy do

żucia. Poczęstował Ritę, nie chciała. Wziął

jedną z nich, przeżuł w zamyśleniu.

Guma straciła smak. Podobnie jak wszystkie

pozostałe z opakowania, minęły bowiem trzy

godziny. Ricie skończyły się papierosy, więc zaczęła krążyć dookoła uśpionych kobiet jak

sęp.

– Dlaczego się nie budzą? Dlaczego? Ile ta

idiotka im tego dała?

Cornelius ziewnął i rozejrzał się. Fajnie by

było, gdyby teraz na parking ktoś przyjechał.

Zastałby jego i Ritę czekających Bóg wie na co, dwie związane, odurzone zakładniczki

i drzemiącą Matyldę. Pięknie.

Zaczęło się ściemniać. Rita leżała na

masce samochodu. Jej emocje zdążyły już

opaść. Cornelius krążył dookoła samochodu,

znudzony jak dziecko podczas deszczu.

– W sumie moglibyśmy tutaj spędzić resztę życia, prawda? – odezwał się z drugiego końca parkingu.

–

Zobacz,

ile

rzeczy

ludzie

wyrzucają do śmietników! Moglibyśmy się nimi

żywić. Patrz, Rita, w tej paczce są jeszcze chrupki. Chcesz?

– Mnie to nie bawi, Cornel.

– Paprykowe. Wiem, że lubisz.

– Znajdź mi jakąś paczkę papierosów, to chętnie wezmę.

– Mogą być same filtry?

Rita westchnęła. Niebo zaczęło mrugać do niej kolejnymi gwiazdami. W gruncie rzeczy było to nawet piękne.

– Od czasu do czasu może udałoby nam się upolować

jakiegoś

szczura

czy

kota.

Upieklibyśmy go nad podpalonym śmietnikiem.

Mielibyśmy trochę wieści ze świata, bo

zawsze ktoś tu w końcu przyjedzie –

kontynuował

rozważania

Cornelius.

–

Mylibyśmy się w tamtym kanale, srali gdzie

popadnie, żeby nie było nudno. A resztę czasu

przeznaczylibyśmy na seks, co ty na to?

– Brzmi kusząco – rzuciła od niechcienia

Rita. – Zwłaszcza to sranie.

Matylda zachrapała.

– Jak tylko się obudzi, uduszę ją – jęknęła znudzona Rita. – Ile razy Adalena powtarzała,

że

wystarczy

szczypta?

Czy

ona

tam

władowała całą garść, do cholery?

– Ja myślę, że one wszystkie udają. Po

prostu chcą się zdrzemnąć, korzystając

z twojej naiwności. Na ich miejscu też bym się

nie budził, gdybym wiedział, że...

– Musimy je wziąć ze sobą – przerwała mu

Rita.

Cornelius zaśmiał się bez cienia wesołości.

– Nie ma innej opcji. Nie mogą opóźnić

naszych poszukiwań.

– Rita, brakuje ci glukozy w mózgu, czy

co? Już ci mówiłem, że w tamtym śmietniku

znajdziesz coś do jedzenia.

– Bierzemy je ze sobą, Cornel –

zignorowała jego słowa. – Jeśli się ockną po drodze, urządzę im przesłuchanie.

– Aha. A jeśli nie? Rozumiem, że zakładasz

taką wersję?

– Nie no, spokojnie. – Rita machnęła ręką.

– W końcu muszą się obudzić. Chyba.

Rozdział 41

Tula kąpała swoją córkę. Spędziła z nią

bardzo przyjemny, wręcz idylliczny dzień.

Mała prawie w ogóle nie płakała i Tuli

przyjemnie się słuchało jej gaworzenia.

Wyciągnęła śliskie, różowe stworzenie

z

małej

wanienki

i

przemawiając

do

niemowlęcia cicho, wycierała do sucha jego

ciało. Przygotowywanie dziecka do snu

zajmowało Tuli dwie godziny i kiedy wreszcie udało jej się ułożyć je w łóżeczku, była tak zmordowana, że sama zwykle zasypiała razem

z córką.

Oczy małej zamknęły się już z senną

ciężkością, Tula wymruczała jeszcze kilka nut

z kołysanki i jej świadomość zaczął obejmować

blogi świat marzeń sennych.

Dojrzała obłoki formujące się w miękkie

kształty, które odpływały powoli... Usłyszała

kroki na klatce schodowej. Dwie pary nóg,

które ciężko stąpały, jakby czymś obciążone.

Jedne z nich wydawały jej się znajome... Jedne

z nich należały do...

– Cornelius – szepnęła Tula, otwierając

oczy.

Zerknęła na swoją córkę i wyszła z pokoju na palcach, zamykając za sobą drzwi. Wizyta Corneliusa – niespodziewana, o tak późnej

porze. Ciekawe – w dodatku nie był sam –

myślała Tula, idąc do drzwi wyjściowych, by otworzyć je, nim ktoś zapuka lub użyje

dzwonek – nie chciała zbudzić córki. Chwyła

klamkę, słysząc za drzwiami posapywania

i przyciszoną kłótnię.

Otworzyła drzwi. I ujrzała swojego brata

oraz jego dawną wielką miłość – niegdysiejszą

przyjaciółkę Tuli, Ritę. A pomiędzy nimi –

zwłoki jakiejś kobiety, przytrzymywane przez

Corneliusa za kostki, przez Ritę zaś pod

pachami.

– Tula – odezwał się uśmiechnięty

Cornelius.

–

Wpuść

nas

do

środka.

W samochodzie mamy jeszcze dwie takie.

Rita otarła pot z czoła. Strasznie chciało jej się

palić. Pomogła Corneliusowi wtaszczyć na

górze ciało trzeciej kobiety i z bolącym

kręgosłupem, stanęła pośrodku salonu Tuli.

Dopiero teraz poczuła, że naprawdę się poci.

Tula dyskutowała o czymś z Corneliusem

w kuchni, rzucając w niego przyciszonymi

obelgami.

– Nie mów, że „trzy obce kobiety”, bo

jedna z nich jest siostrą Rity i wcale nie jest obca – wyszeptał Cornelius.

Wnoszenie bezwładnych ciał trzech kobiet

i chęć ukrycia przed sąsiadami całej akcji

odjęła na moment z pola widzenia Rity kwestię

samego spotkania z Tulą. Dopiero teraz

uświadomiła sobie, gdzie w ogóle się znajduje.

Z trudem opanowała pierwszy odruch –

wzięcia nóg za pas. Wiedziała bowiem, że za moment, gdy tylko Tula skończy dyskutować

z Corneliusem, zwróci uwagę na samą Ritę. Co

wtedy powie? Spoliczkuje ją? Trudno – Rita

była na to gotowa. A może nie będzie się do niej odzywać?

– Rito? – usłyszała nagle przyciszony głos.

Tula wyszła z kuchni. Rita spodziewała się,

że padną jakieś znamienne słowa – pełne

wzgardy czy miłosierdzia – to już bez

znaczenia. Tymczasem Tula zapytała tylko:

– Chcesz się napić kawy?

– Eee... Pewnie, chętnie – odparła

zdezorientowana.

Nienawidziła się tak czuć. Skrępowana.

Uprzejma. Speszona. Nie znosiła tego! Już

lepiej, żeby rzucono w nią obelgami, z tym bowiem potrafiła sobie bardzo dobrze radzić.

Lepiej, żeby jej nienawidzono, bo wtedy ona –

Rita – będzie umiała jakoś odnaleźć się

w sytuacji.

Cornelius wychylił się z kuchni.

– Nie przyjdiesz do nas, Rito? Chodź,

zjemy coś. Założę się, że jesteś tak głodna, że

z

melancholią

wspominasz

te

resztki

paprykowych chipsów.

– Jakie resztki? – spytała Tula.

– Och, nic takiego. Koczowaliśmy parę

godzin na parkingu przy autostradzie, a nie mieliśmy nic do jedzenia, więc...

– Młody, chcesz mi powiedzieć, że

wygrzebałeś sobie jedzenie ze śmietnika? –

spytała Tula, sięgając do lodówki.

– A co miałem robić? Jak już Rita związała

te kobiety, trzeba było się czymś zająć, a na seks podobno nie miała ochoty.

Tula

dopiero

po

chwili

wybuchła

tłumionym śmiechem. Zawsze dawała się

nabierać Corneliusowi na poważny ton jego

żartów.

Mimo

że

znała

go

od

najwcześniejszego dzieciństwa, zwykle to ona

ostatnia orientowała się, że stroił sobie z niej niegroźne żarty.

Tula wstawiła do piekarnika brytfannę

z napoczętym pieczonym kurczakiem.

– Może być? Edrian wyjechał na kilka dni

na jakąś konferencję, a ja z przyzwyczajenia zrobiłam wielki obiad, więc jest tego mnóstwo.

Cornelius przytaknął, sięgnął do lodówki,

wyciągnął sobie piwo. Otworzył, rzucając

otwieraczem w kapsel, który podskoczył

i zawirował w powietrzu.

– No dobrze – odezwała się Tula,

wstawiwszy

kurczaka

do

piekarnika

i wsparłszy ręce na biodrach. – A teraz

poproszę

o

szczegółowe

wyjaśnienie

zaistniałej

sytuacji,

bogate

w

rozsądne

argumenty.

Cornelius wziął łyk chłodnego napoju.

– No więc tak – odezwał się. –

Przedwczoraj wieczorem przyjechała do mnie

Rita i błagając mnie na kolanach, liząc moje stopy i tak dalej (nie chcesz znać szczegółów),

poprosiła mnie o wybaczenie i powiedziała, że

jeżeli tylko chcę, to odtworzymy nasz cudowny

związek. Mówiąc to, ściągnęła majtki, z czego

nie omieszkałem skorzystać.

Zapadła chwila ciszy.

– Naprawdę? – spytała Tula.

Rita rzuciła w stronę Corneliusa wściekle,
ale i zawstydzone spojrzenie.

– Nie – odparła. – Tulo, ja... Nie wiem, jak
mam ci to wszystko wytłumaczyć.

Tula trzepnęła brata po uchu.

– Młody! Nie denerwuj mnie, tylko wyjaśnij, o co chodzi. Chyba mam prawo
wiedzieć, dlaczego w moim domu leżą trzy
trupy, gdy za ścianą śpi moje dziecko!

– Już ci mówiłem, że to nie trupy – one
tylko śpią.

Dziecko?! – wykrzyczała Rita w myślach.

Widziała Corneliusa poruszającego ustami,
widziała ewolucję mimiki Tuli. Ich gesty,
spojrzenia. Czuła upływ czasu, gdy Tula
niechętnie, ale jednak, przytakiwała ruchem
głowy. Lecz myślami Rita była gdzie indziej.

Dziecko? – powracała wciąż natrętna myśl,
bez pozwolenia i wciąż na nowo – jak do
porzygania popularny szlagier.

Tula i dziecko? Ta Tula? Ta, którą Rita
znała, jako wiecznie artystyczną duszę,

niezależną,

skaczącą

od

wernisażu

do

wystawy, z wystawy na imprezę, a z imprezy na performans? Ta Tula, która tańczyła taniec

brzucha, paliła hasz i całe jej życie można było

scharakteryzować za pomocą dwóch słów:

relaks i niezależność.

Rita rozejrzała się teraz uważniej –

kuchnia była oddzielona od salonu jedynie

podłużnym blatem, więc Rita z łatwością

przewertowała

wzrokiem

przedmioty

znajdujące się w pokoju dziennym. Owszem,

wszystko

było

urządzone

z

sercem

i artystycznym wyczuciem, ale stało się jakieś

bardziej uporządkowane i przytulne. Gdy Rita

była w tym mieszkaniu ostatnim razem,

w salonie nie znajdował się ani jeden mebel –

jedynie porozrzucane po podłodze miękkie,

kuliste pufy – worki wypełnione kaszą

i kolorowe szmaty. Za stolik do kawy robiła sterta książek. Było to typowe mieszkanie

obywatela Eskultor – miasta artystów, stolicy sztuki.

A

teraz?

Sofa

przykryta

płachtą

z jedwabiu, regał pękający w szwach od

spoczywających na nim książek. Prawdziwy

stół do jadalni – przecież Tula jadła, tylko siedząc na podłodze! I – jako gwóźdź do

trumny – wielki, tłusty kot, który wylegiwał się

sennie na jednym z foteli i co jakiś czas otwierał swoje zielone ślepia, by skierować je

z kpiną wprost na Ritę.

Kiedy to wszystko się tu pojawiło, kiedy się

zmieniło? Gdzie Rita była przez ten czas? Czy

minęły dekady? Czy to sen, czy wręcz

przeciwnie

–

pobudka

po

wieloletniej

hibernacji?

Z

zamyślenia

wyrwało

Ritę

dziwne

gulgotanie. Ocknęła się i zdała sobie sprawę z tego, że w salonie, na jednym z foteli budzi się właśnie Matyllda. Z typowym po goi odurzeniem zaczęła najpierw mówić coś przez sen, potem pokrzykiwać, aż wreszcie otwierać oczy, mrugając nimi zawzięcie, by pojąć swoje przebudzenie.

Z kuchni wybiegła Tula.

– Czy można ją trochę uciszyć? Obudzi małą.

Rita podeszła szybko do Matylldy, zakryła jej usta dłonią i szepnęła:

– Spokojnie, spokojnie. Budzisz się. Już się obudziłaś.

Niestety, było za późno – lekki sen

niemowlęcia został zaburzony i w chwilę

potem dało się słyszeć jego zawodzenie. Tula zniknęła za drzwiami, by wziąć dziecko na ręce. Matyllda w tym czasie otworzyła oczy na dobre i zaczęła rozglądać się uważnie dookoła.

– Tu jestem – skierowała jej wzrok na

siebie Rita. – Obudziłaś się.

– Gdzie jestem? – spytała Matylda.

– W mieszkaniu mojej siostry – odparł

Cornelius.

– Minęło kilka godzin – dodała Rita.

Matylda przypomniała sobie, co zaszło,

i

całkiem

już

rozbudzona

spytała

podkscytowana:

–

Przeszukałaś

je?

Przeszukałaś?!

Widziałaś, co wymyśliłam? Zorientowałam się,

Rito! Poznałam go, poznałam! To był pierścień

Stelli! I widziałam cię – zrozumiałam twoją reakcję, wiedziałam!

– Óóóóó – przyłożył palec do ust Cornelius.

– Nie ma potrzeby krzyczeć.

– Zamknij się, Mati – odparła Rita,

mimowolnie rozbawiona pobudzeniem swojej

siostry. – Tak, przeszukałam je. Nie znalazłam
żadnej wskazówki, poza tym, że mają przy
sobie tyle biżuterii, że starczyłoby na
wyposażenie
niezgorszego
salonu
jubilerskiego.

– Ach, tak? – spytała podekscytowana
Matylda. – W takim razie, może faktycznie
obrabowały jakiegoś jubilera. Jeśli tak, to
przecież możemy się dowiedzieć jakiego,
a jeśli tak, to możemy go zapytać, skąd ma ten
pierścień! Musimy je śledzić, Rito! Nie
możemy tu zostać ani chwili dłużej. Gdzie one
są?

Rita wsparła dłonie na ramionach siostry,
która podnosiła się właśnie gorączkowo
z fotela, i usadziła ją w nim z powrotem.

– Wyluzuj, Columbo. Na razie nie musimy
się specjalnie spieszyć, bo władowałaś w nie tyle goi, że śpią nadal w pokoju obok.

Matylda przykryła dłonią usta.

– Co?! Wzięliście je ze sobą?! Rita,
oszałałaś?! Przecież to jest porwanie! To już jest zupełnie co innego, niż...

–

Uśpienie

podejrzaną

substancją

psychoaktywną i przeszukanie?

– Tak, chociażby. – Matylda wzruszyła

ramionami. – Co ty sobie wyobrażasz, Rito?

Co zrobisz, gdy się obudzą?

– Zadam im kilka pytań.

– Przecież... Mogą potem pójść na policję!

Rozpoznać nas, rozpoznać to mieszkanie! To

jest przestępstwo, Rito! Czy nie rozumiesz?

Rita westchnęła.

– To tyle, jeśli chodzi o twoje zapędy

detektywistyczne?

– Tak! Co innego jest podążać za

wskazówkami, a co innego porywać ludzi!

Rita wzruszyła ramionami.

– Tak czy inaczej, nas mogą rozpoznać, to

pewne.

Ale

tego

mieszkania

nie,

bo

zawiązałam im oczy.

Matylda złapała się za głowę.

–

Może

jeszcze

je

związałaś

i zakneblowałaś, co?

Rita przytaknęła od niechcienia.

– Ja zemdleję! – krzyknęła Matylda. – Ja

się na coś takiego nie pisałam!

– Nie, wcale, idiotko. Gdybyś im dała trochę mniej tego gówna, obudziłyby się już dawno temu – na parkingu – i nie musiałabym

ich zabierać ze sobą. Ile goi wsypałaś do tej butelki?

Matylda odwróciła wzrok.

– Ze dwie łyżeczki. Stołowe.

– Dwie stołowe łyżki?!

Rita okręciła się wokół własnej osi,

odeszła dwa kroki. Zakryła dłonią oczy.

– Nie rozmawiam z tą idiotką – szepnęła

do siebie. – Nie zamienię z nią ani jednego słowa – po czym odwróciła się do Matyldy.

– Kretynko, ciesz się, że w ogóle żyją!

Taką ilością mogłabyś powalić konia!

Matylda uniosła ręce w geście obrony.

– Adalena zawsze mówiła, że to bardzo

bezpieczne.

– Jeśli się wie, ile tego używać!

– Dziewczyny, dosyć kłótni o zabawki –

wtrącił się Cornelius. – Bo obie dostaniecie szlaban. Lepiej wymyślcie, co teraz zrobić, bo

nie mam ochoty obciążać mojej siostry

towarzystwem

dwóch

skrępowanych,

odurzonych poszukiwaczek skarbów. Skoro

Matylda się już ocknęła, to z pewnością i one zaraz się obudzą.

Matylda chrząknęła.

– No, nie do końca.

Rita rzuciła w nią gniewnymi piorunami

wściekłego spojrzenia.

– No, bo ja... tak naprawdę tylko

udawałam, że piję. Dawka, która do mnie

dotarła, pochodziła jedynie z zanurzenia ust, a one... Cóż... nie żałowały sobie. Zawsze

powtarzałam, że picie alkoholu prowadzi do

zguby, i oto się potwierdziło!

Rita czuła, że ręce ją swędzą. Jeszcze

moment i wyrwie Matyldzie wszystkie kudły.

Wyciągnęła w stronę siostry ręce. Do pokoju weszła Tula z córką w ramionach – już

uspokojoną, lecz wciąż rozbudzoną i ani

myślącą o ponownym zaśnięciu.

– Dobry wieczór państwu – uśmiechnęła

się Tula, przemawiając za niemowlę.

Przez rdzeń kręgowy Rity przeszedł

porażający prąd. Kluska – różowa kluska,

którą Tula trzymała na rękach. To było

dziecko. Rita odczuwała pewien niewyjaśniony

lęk w towarzystwie małych dzieci. Niby była to mniejsza wersja istoty „człowiek”, postać larwalna tego, co później będzie myślało

i działało, a jednak wzbudzało „to” w Ricie pewną nieufność.

Zawsze miała nieodparte wrażenie, że

małe dzieci grają z człowiekiem w jakąś

niepokojącą grę, wiecznie sarkastyczne, lekko kpiące, traktują świat z góry i każą sobie usługiwać z pełną premedytacją, choć tak

naprawdę same mogłyby sobie ze wszystkim

radzić.

Wiecznie

rzucają

człowiekowi

wyzwania i stawiają retoryczne pytanie – czy dasz mi zapanować nad sobą? Bo ja wiem, że

tak. Z dziećmi było trochę tak, jak z kotami –

Rita przypisywała im znacznie więcej, niż

przeciętny

człowiek,

pomyślunku,

ale

i niejasnych intencji. Nie rozumiała na przykład, jak można podejść do obcego kota i tak po prostu go pogłaskać. To zupełnie jakby podeszła na ulicy do obcego człowieka i zaczęła go drapać za uchem. Podobnie nie pojmowała, o co chodzi w tym dziwnym zwyczaju, że gdy do pomieszczenia wnoszone jest niemowlę, wszyscy go dotykają i chcą je brać na ręce, przełamując barierę tak silnie dla Rity zaznaczoną.

Zgodnie

z

protokołem

zachowania,

o

którym

właśnie

myślała

przerażona

dzieckiem Rita, Matylda, ujrawszy niemowlę, uśmiechnęła się, jakby Tula właśnie wniosła do salonu wielką watę cukrową, i podeszła do dziecka, popiskując w wysokich tonach.

– Ojej, a kto tu nas odwiedził? – skomlała Matylda. – Jaka śliczna dziewczyneczka.

Dobry wieczór.

Tula uśmiechała się, prezentując córkę

i bujając ją lekko w ramionach.

– Ile ma? Dziewięć, dziesięć miesięcy? –

spytała rzeczowo Matylda.

– Dziewięć – przytaknęła Tula.

– Ale ze mnie duza dziewczynka –

skomentowała Matylda.

Rita opanowała odruch wymiotny. Przecież

to było niedorzeczne. Jakie jest uzasadnienie tego, że dorośli przemawiają do dzieci w taki sposób, jakiego one później, dorastając, będą się musiały oduczyć? Spojrzała na Corneliusa, próbując znaleźć oparcie, lecz i on wydawał

się wniebowzięty. Podszedł do Tuli i złapał jej córkę palcami za rączkę.

– Nie wierzę, Tula, czym ty ją karmisz?

Gdy ostatni raz ją widziałem, była chyba

o połowę mniejsza. Cześć, mała, dasz całusa wujkowi?

– Niemowlęta rosną w okamgnieniu –

przytaknęła Matylda.

– Dokładnie. Kiedy ty ją ostatnio widziałeś,

młody? Cztery miesiące temu?

Matylda wydała z siebie sapnięcie, mające

oznaczać: „No, to kawał czasu!”. Rita czuła się osaczona. Z jednej strony miała bandę

obląkańców,

którzy

rozwodzili

się

nad

organizmem

nierobiącym

niczego

poza

żarciem, sraniem i ryczeniem, z drugiej zaś spoglądał na nią kpiąco kot Tuli. Teraz Ricie wydawało się, że zwierzę to wyjątkowo mocno

się z niej naigrawa, jakby wiedziało, o czym Rita myśli. Do tego jeszcze strasznie chciało się jej palić! Tak, pójdzie sobie kupić fajki. Tym samym ucieknie na moment z tego wariatkowa

i zapewni sobie zapas używki.

Spojrzała na drzwi wyjściowe, obeszła

kółko adoracji niemowlaka i już chciała wyjść,

gdy Tula zapytała:

– Rito, chcesz ją potrzymać?

– Co? – Rita odwróciła się.

– Moją córkę.

Jak to – potrzymać? A po co?

– Eee... nie, dzięki, Tula, ale...

– No, chodź, jesteś w zasadzie jej

przyszywaną ciocią.

Rita zawstydziała się. Dziecko patrzyło na

nią tymi swoimi rybimi oczyma i naśmiewało

się z niej w duchu.

– Nie, Tula, naprawdę, to bez sensu. –

Zaczęła wycofywać się do drzwi. – Pójdę sobie

kupić fajki, zaraz wracam.

Tula

uśmiechnęła

się

rozbawiona,

podeszła do Rity i postawiła ją przed faktem dokonanym

–

wcisnęła

jej

niemowlę

w ramiona, operując nimi tak, by trzymały dziecko poprawnie.

– Przytrzymaj tu, tu i tutaj – poinstruowała

ją, zupełnie jakby Rita miała właśnie rozbroić bombę.

I zostawiła ją tak – sam na sam z kluską owiniętą w żółte śpioszki z różowym słoniem.

Wszyscy troje patrzyli teraz z niekrytym

rozbawieniem na Ritę, która najpierw miała

wrażenie, jakby dziecko parzyło ją w ręce

i chciała je czym prędzej oddać „właścicielce”

– jak w myślach nazywała jego matkę.

Lecz po chwili stało się coś bardzo

dziwnego. Rita poczuła, jakie niemowlę jest

ciepłe.

Trochę

ciężkie.

Zapadało

się

w ramiona, jakby było do tego specjalnie

wyprofilowane. Miękkie. Żywe. I takie... małe.

Ta dziwna mieszanka ciepłej, żywej ciężkości niemowlęcia była niepokojąco przyjemna. Rita

poczuła, jak rozluźniają jej się plecy, mięśnie ramion, jak czuje na swojej klatce piersiowej oddech dziecka, jego nieznaczne ruchy.

Niemowlę pachniało słodko i ciepło. Różowo.

Było w tym coś biologicznego, coś ponad

logiczne rozumowanie, i choć Rita nadal była zdania, że niemowlę spogląda na nią kpiąco, nagle pojęła, „o co w tym chodzi”, choć nie potrafiła tego wyjaśnić.

Dziecko złapało ją za włosy i boleśnie pociągnęło, ujawniając swoją sporą – jak się okazało – siłę. Rita jęknęła, ale rozbawiło ją to.

– Kpisz sobie ze mnie? – spytała córkę

Tuli. – Jawnie ze mnie kpisz. Udajesz

niewiniątko – zaśmiała się i zupełnie tego nie planując, jakby nie kontrolując, zaczęła bujać w ramionach ciepły organizm zawinięty

w wielką pieluchę.

Tula szturchnęła łokciem Corneliusa,

wskazując z rozbawieniem Ritę. Ale on nie

uśmiechał się. Obserwował tę scenę przez

jakiś czas, lecz później odwrócił wzrok. Nagle

spoważniał, oświadczył, że pójdzie zrobić

herbatę. Matylda splotła dłonie w geście

zachwytu.

– Jak to rozkosznie wygląda – zapiała

zachwycona, patrząc na swoją siostrę.

– Co? – ocknęła się Rita.

Spojrzała na zdradziecką kluskę.

– Eee... Dzięki, Tulo. No, fajne masz to dziecko. Czy nie wiem, co tam się mówi matkom niemowląt – oświadczyła, po czym pospiesznie oddała Tuli jej córkę i szybciej, niż nakazywał rozsądek, odwróciła się na pięcie i wyszła z mieszkania, rzucając tylko: „Idę po fajki”.

Zbiegła po schodach, czując, że jest cała spocona. Rito, przecież to niedorzeczne. To tylko niemowlę. Pamiętała, że niedaleko mieszkania Tuli znajduje się sklep nocny, w którym postanowiła kupić wagon fajek. Wiedząc, że nie będzie mogła zapalić w mieszkaniu z powodu dziecka, łapczywie rzuciła się na papierosy już na dworze.

Odpalając kolejną fajkę, rozejrzała się wreszcie dookoła. Znowu była w Eskultor. Mimo późnej pory, czy może z jej powodu, miasto tętniło życiem.

Rita stanęła na brzegu rzeki, która przepływała przez Eskultor niczym wielka, tętniąca

arteria,

przenosząca

zarówno

życiodajną siłę, jak i cały syf, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Nad miastem unosiła się luna świateł

i dźwięków. W nieskończonej liczbie lokali

bawiono się, tańczono, rozmawiano.

Przeszła się kawałek, przypominając sobie

szlaki, jakie kreślili tu kiedyś... nie, nie chciała o tym myśleć. Minęła solidny most nad rzeką,

do którego tkwiły przytwierdzone niczym

ptasie gniazda kamienice – zawieszane wysoko

nad taflą wody. W jednym z mieszkań ktoś grał

na pianinie, jakaś kobieta przejmująco pięknie

śpiewała do tego akompaniamentu.

Rita poczuła przyływ obezwładniającego zmęczenia. Uświadomiła sobie, od jak wielu

dni nie zaznała prawdziwego snu. Poczuła

w kieszeni pierścień Stelli. Stello, gdzie

jesteś? Co się z tobą teraz dzieje? Ucisk

w żołądku odebrał jej wyczerpanie. Dodał

energii – pełnej niepokoju i bolesnej, ale wciąż

kalorycznej.

Co ja tu, do cholery, robię? Szlajam się

brzegiem rzeki, bawię z niemowlakami, gdy

moja siostra przebywa z psychopatą, który –

nie wiadomo, co jej teraz robi. Rito, skup się na swoim celu! Nie trać go z pola widzenia!

Ugasiła peta butem, odwróciła się na

pięcie i pozwoliła pospiesznemu tupaniu

zaprowadzić się do mieszkania Tuli. Wydawało

jej się, że przechadzka nad rzeką trwała

ledwie kilkanaście minut. Musiała się jednak mylić, bo gdy weszła do przedpokoju, całe

mieszkanie, wraz z domownikami, pogrążone

było w głębokim śnie. Sennie kołysały się

ściany,

okna

brały

wdech

i

wydech

uwidaczniany wybrzuszoną lub zapadniętą

zasłoną.

Drzemały

lampy,

fotele.

Spał

kamiennym

snem

puchaty

dywan.

Rita

spojrzała na Matyldę owiniętą kocem na kanapie w salonie. Przeszła na palcach do pokoju dziecięcego, gdzie zastała córkę Tuli w łóżeczku, a ją samą na rozłożonym obok łóżku polowym.

Corneliusa nigdzie nie było.

Zakradła się do sypialni Tuli i jej męża,

gdzie

w

małżeńskim

łóżu

spali

dwie

skrępowane kobiety, z zawiązanymi ściśle czarnymi przewiązkami na oczach. Spojrzała

na nie i po raz pierwszy je ujrzała. Pierwszy raz w życiu musiała przyznać Matyldzie rację.

Dopiero teraz, gdy zobaczyła te kobiety –

bezbronne dziewczyny, a nie kryminalistki –

skrępowane jak ofiary na rzeź, z przegubami naznaczonymi zapewne czerwonymi odciskami od sznura – dopiero teraz dotarło do niej, że to

już przesada. To samo mówił jej wcześniej

Cornelius, ale on... W jakiś niepojęty sposób, nawet jeśli krytykował poczynania Rity, to i tak je akceptował. Był względem niej tak bardzo tolerancyjny, iż można by pomyśleć, że nadal...

Nie, nic z tych rzeczy.

Rita podeszła do łóżka z zakładniczkami,

które ułożyły się tak, jakby chciały się

przytulić. Zachciało jej się płakać. Poczwała niemoc, żal, współczucie i jednocześnie jakiś rodzaj beznadziei. Beznadziei, która gna ją

z kąta w kąt, a wciąż nie pozwala jej odnaleźć

tego, czego Rita szuka – drogi do swojej

siostry.

Powstrzymała

łzy,

które

nachalnie

wciskały jej się w kąciki oczu. Usiadła na łóżku

obok swoich ofiar. Była tak zmęczona...

Zakręciło jej się w głowie. Nagle przypomniała

sobie o Adalenie. Próbowwała się z nią przecież

skontaktować, a ona do tej pory nie

oddzwoniła. Nie udzieliła żadnej odpowiedzi –

ani odnośnie tego krwawego snu, ani

jakiegokolwiek

innej

sprawy.

Choć

Rita

wstydziała się tego, bardzo potrzebowała teraz

jakiejs wskazówki od Adaleny. Tak wiele by

dała za jedno jej zdanie, za niewielką radę lub
choćby słowo wsparcia.

– Adaleno, co mam robić? – szepnęła.

Rita spojrzała na swoje dłonie – od spodu,
od wierzchu. Dłonie poruszyły palcami.

Dotknęły ramienia Noy. Przejechały po

nim

jak

miękkie,

organiczne

żelazko,

wygładzając

materiał

jej

ubrania.

Powędrowały do jej szyi, objęły ją dookoła jak

naszyjnikiem z palców. Podjechały wyżej – do policzków kobiety. Zatoczyły na nich kółka,

wsunęły się za uszy, zza uszu na potylicę. Tam

rozsupłały węzeł trzymający przepaskę na

oczach Noy. Odjęły ją, ułożyły kciuki na

zamkniętych powiekach kobiety, pozostałe zaś

palce na jej skroniach.

– Noa – szepnęły usta Rity. – Noa.

Kobieta poruszyła się nieznacznie, lecz nie ocknęła.

– Skąd wzięłyście ten pierścień? Skąd

wzięłyście całą tę biżuterię? – szeptały dalej usta Rity.

Brak odzewu. Rita poczuła, że robi jej się

ciepło, ciężko. Ułożyła się obok kobiety, nie zmieniając pozycji swoich dłoni. Zasnęła.

Znalazła się na rdzawoczerwonej prerii.

Wiatr sypał piachem. Pachniało rozgrzаныmi

roślinami pustynnymi i ciepłymi futerkami

zwierząt, które chowały się za kamieniem, pod

krzewem, w podziemnej norze. Aż po horyzont

pusto – żadnego budynku, żadnego drzewa.

Rita

usłyszała

za

plecami

powolne

chrzęszczenie piasku pod czyimiś stopami.

Odwróciła się. Przed nią stała Noa. Patrzyła na Ritę spokojnie – widać było, że nie rozumie

tej sytuacji, ale jednocześnie nie dziwi się jej.

Rita wyciągnęła zza pleców fotel bujany.

Postawiła go pośrodku, pomiędzy nimi dwiema.

– Usiądź sobie, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję – odparła Noa, rozglądając się dookoła.

Rita schowała fotel – fotel zniknął.

Zachodziło

słońce.

Preria

zrezygnowała

z rdzawego odcienia, pozostała tylko głęboka,

majestatyczna

czerven.

Kobiety

stały

w odległości pięciu metrów od siebie –

nienaturalnie

daleko

jak

na

dwie

rozmawiające osoby. Mimo to obie szeptały

i doskonale słyszały się nawzajem.

– Noa, skąd wzięłyście ten pierścień? –

spytała Rita.

Jej czarne, długie włosy powiewały teraz
na wietrze, który zerwał się od zachodu.

– Jaki pierścień? – spytała nieprzytomnie

Noa.

– Ten – odparła Rita, unosząc w dłoni
pierścień Stelli.

– Oddała nam go pewna stara kobieta.

Razem z całą resztą biżuterii.

– Oddała wam? – zdziwiła się Rita. –

Opowiedz mi o tym.

– Dawno temu obie uciekłyśmy z maleńkiej

wsi, w której się wychowałyśmy. Szukałyśmy

swojego miejsca na świecie, błakając się od miasta do miasta. W końcu przeprowadziłyśmy

się do... – Wiatr z zachodu zagłuszył jej słowa.

–

Początkowo

obie

pracowałyśmy

jako

kelnerki w pewnym lokalu. Szybko jednak

straciłyśmy tę pracę. Głodowałyśmy. Wkrótce

straciłyśmy też dach nad głową. Nie miałyśmy

gdzie się podziać. Szszszzzzzzz – odezwał się wiatr, nie pozwalając Ricie usłyszeć słów

rozmówczyni.

–

I

wtedy

właśnie

zawędrowałyśmy tam. Stałyśmy na ulicy, chcąc, naprawdę chcąc to zrobić. Obie

ubrałyśmy się tak, jak trzeba. Z okna

wychyliła się ta stara kobieta. Wyglądała

naprawdę strasznie. Ja się jej bałam, Arila nie.

Była tak mocno ucharakteryzowana – z białym

pudrem nałożonym na twarz, czerwonymi

ustami, które wyglądały jak pokryte krwią,

z czarnymi obwódkami nakreślonymi kredką

wokół oczu. „Won spod mojego okna, kurwy!”

– krzyknęła. „Nie chcę tu mieć żadnej

prostytcji”. Mówiąc to, rzuciła Arili w głowę czymś ciężkim. Podniosłyśmy to z ziemi. Złota

bransoleta

wysadzana

perłami.

Kobieta

uśmiechnęła się upiornie w swoim oknie. „To wam się podoba, co? Macie, macie! Żryjcie!

Zeżryjcie mnie wszyscy razem z tym całym

gównem!” – krzyczała i znikła co chwilę

w swoim oknie, by powrócić z nową porcją

ciężkiej biżuterii, którą w nas ciskała.

„Zezryjcie

mnie!

Macie!

Przepijcie

to

i rozdrapcie moje ciało! Moją młodość! Moją urodę!” Zniknęła na dłużej i wróciła z wielką, pięknie zdobioną szkatułą, której zawartość

po prostu wytrząsnęła na ulicę, po czym

rzuciła samą szkatułą, rozbijając szybę

stojącego obok samochodu. Włączył się alarm.

Nie mogłam przestać patrzeć na tę kobietę –

tak straszna i fascynująca zarazem mi się wydawała. Arila jednak chciała, żebyśmy

zebrały wszystko, co damy radę, i uciekały

czym

prędzej.

Tak

też

zrobiłyśmy

–

pozбираłyśmy to, co spadło na chodnik, do

kałuż, do śmietników, na maski samochodów.

Wypełniłyśmy tym kieszenie, torebki, zagięcia ubrań, pięści. Gdy nie było już w co tego wszystkiego chować, Arila zaczęła łykać co

mniejsze przedmioty w jakimś gorączkowym

szale. Kobieta zaś, wystawała z okna

i krzyczała przeraźliwie, obrzydliwie, śmiejąc się z nas, gardząc nami, ale też mając wielką rozrywkę z naszego zachowania.

– Gdzie to było? – spytała Rita. – Jak się nazywało to miasto?

Noa odpowiedziała. Rita otworzyła oczy.

Obudziła

się.

Obok

niej

leżała

Noa.

Z otwartymi oczyma. Spojrzała na Ritę i nic nie powiedziawszy, zamknęła je z powrotem.

Rita usiadła na łóżku. Wstała. Poszła do

salonu, obudziła Matyldę.

Trzy kroki – znalazła się w kuchni.

Otworzyła

szufladę.

Wyciągnęła

z

niej

ogromny, ostro zakończony nóż. Do salonu, do

sypialni. Stała nad skrępowanymi kobietami.

Ostrze noża lśniło w bladym blasku latarni, który wpadał do pokoju przez okno. Trzy

zamachnięcia. Podeszła do drugiej kobiety, kolejne trzy szybkie, wprawne ruchy.

Z nożem w garści stała nad tym, czego

dokonała. Na małżeńskim łożu Tuli spoczywały

dwie

kobiety.

Obok

nich

pajęczyny

poprzecinanych sznurów. Rita zawołała cicho

Matyldę, której nie pozwoliła dokończyć

zadanych pytań.

– Pomóż mi – powiedziała. – Ja za barki, ty

za nogi.

– Rito...

– Ja za barki, ty za nogi – rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Matylda posłusznie wykonała polecenie.

Wniosły Noę do samochodu. Potem Arilę,

której pozostało jeszcze odwiązać przepaskę

z oczu.

– Wsiadaj do środka – rzuciła Rita

i pobiegła do mieszkania Tuli raz jeszcze.

Wróciła

z

torbą

podróżną

wypełnioną

biżuterią. Podawała ją Matyldzie. Usiadła za

kierownicę, ruszyła.

– Rito, dokąd...

– Cicho. Spójrz na nie. Zaraz się obudzą.

Nie pomagaj im w tym.

Nocne miasto pozwoliło im bez trudu

i szybko dotrzeć na dworzec kolejowy. Rita

zaparkowała przy tylnym wejściu, gdzie o tej

porze nie było prawie nikogo. Wniosły do windy Noę, wjechały na piętro, usadziły ją

w poczekalni. Wróciły po Arilę. Oparły ją

o towarzyszkę. Na kolanach Noy Rita ułożyła torbę podróżną.

Spocone, dyszące, skrajnie zmęczone,

wróciły do windy. A gdy ich oczy znajdowały się już na poziomie podłogi poczekalni, Rita rzuciła przez szybkę w windzie krótkie

spojrzenie na Noę. Miała otwarte oczy. Być

może przez cały czas.

– Rito, zwolnij trochę. Rito! Zwolnij!

Matylda? Coś mówi? Ach, tak, racja.

Przecież jadą samochodem. Przecież Rita

prowadzi.

– Rito!

Były na pasie o przeciwnym kierunku

ruchu. Ale to nic. To nic, Rita już z niego zjechała. Wróciła. Już jest – świadoma.

Matylda złapała ją za kolano – za kolano? Po co? Co by zrobiła, gdyby teraz – właśnie w tej chwili Rita zwariowała – wpakowała je

w

samochód

jadący

z

naprzeciwka?

Wyrwałaby

jej

rzepkę?

Śmieszne.

Rita

roześmiała się.

– Podaj mi papierosy. Torebka na tylnym siedzeniu.

Matylda sięgnęła za fotel, nie spuszczać

wzroku z Rity. Wyciągnęła papierosa z paczki,

wsadziła go Ricie w usta, podała zapalniczkę.

Rita zaciągnęła się – raz, drugi, trzeci. Bez wydechu. Ktoś na nie trąbił.

Dotarły pod dom Tuli. Rita zahamowała

gwałtownie. Matyldą rzuciło nieco do przodu.

– Wyjdź z wozu – rzuciła do Matyldy.

– A ty?

Rita zwróciła wzrok na Matyldę.

– Natychmiast wyjdź z samochodu.

– Nie zostawię cię tu samej. – Matylda uniosła brodę.

Rita pomasowała czoło w miejscu, gdzie zaczyna się nos.

– Wrócisz teraz do mieszkania Tuli.

Zadzwoń do Adaleny. I zapytasz ją, co masz z sobą począć. Ona z pewnością ci powie.

– Nie zostawię cię samej.

Rita zamknęła oczy – szczypiące, jakby ktoś nasypał jej pod powieki piasku. Dawno już ich nie zamykała. Nie dawała im odpocząć.

– A potem poczekasz na Corneliusa. Jesteś mi bardzo potrzebna, Matyldo. Musisz to zrobić – odezwała się Rita dziwnym tonem – tonem, którego Matylda nigdy u niej nie słyszała. Nie rozkazu. Prośby.

– Corneliusa nie ma w mieszkaniu.

Podejrzewam, że o tej porze mógł wyjść tylko po to, żeby odnowić dawne znajomości, odnaleźć ludzi, o których wspominał. Tych, którzy mogą coś wiedzieć. Ale wkrótce wróci.

Nie może wrócić do mieszkania, z którego po

prostu zniknęliśmy. Nie tym razem.

– W takim razie dlaczego na niego nie
zaczekasz?

– Nie mogę. Nie mam czasu. Wiem to.

Jesteś mi potrzebna, Mati. Musisz poczekać

na jego powrót i powiedzieć mu, że nie

uciekłam. Że wrócę. Dowiem się tylko jednej rzeczy – zбочę z drogi tylko na chwilę
i wrócę. Najszybciej, jak będę mogła. Musisz mu to powiedzieć.

Matylda spojrzała na nią podejrzliwie.

– Dobrze, w takim razie zostawimy mu

kartkę, notatkę, list – cokolwiek. I pojedę z tobą.

– Nie. Muszę jechać sama.

– Martwię się o ciebie, sestro – szepnęła Matylda.

Zbliżyła się do Rity i przytuliła ją. Ta zaś, z początku jakby kwadratowa w ruchach,
sztywna, w końcu jednak odwzajemniła uścisk.

– Choć raz posłuchaj tego, co mówię, ty

uparty dzieciaku – chuchnęła Rita we włosy swojej siostry. – Zaufaj mi.

Rozdział 42

Pierwsza obudziła się Satriz. Spała na

podłodze w salonie, skulona jak zwykle przy kominku.

Z

pogrzebaczem

w

dłoni

rozluźnionej fazą REM.

Dzwonek telefonu. Satriz wstała z podłogi,

przerzuciła niedbale długie włosy, które

zasłoniły jej niemal całą twarz. Podeszła do wydającego

nieznośny

dźwięk

aparatu.

Przyglądała mu się z nieufnością przez kilka sygnałów. Telefon jednak nie dawał za

wygraną. Wspięła się po schodach do sypialni Ide, której jednak nie musiała budzić – ona także się ocknęła. Siedziała na brzegu łóżka.

Gdy

Satriz

weszła,

podniosła

się

niespiesznie, zarzuciła na ramiona szlafrok

i zeszła na dół do jedynego w domu telefonu.

Spojrzała na niego z pewną obawą. Rzuciła

zaniepokojone spojrzenie w stronę Satrizy.

Westchnęła ciężko i odebrała.

– Ciocia? – zapytała rozmówczyni, nie

czekając na to, aż Ide odezwie się pierwsza.

– Nie, tu Ide, Matylido.

– Och! Ide, przepraszam, że dzwonię

w

środku

nocy.

Muszę

porozmawiać

z Adaleną. Wybacz mi, ale czy mogłabyś ją obudzić?

Ide jęknęła.

– Obawiam się, Matylde, że to niemożliwe.

Cisza w słuchawce. Ide rozplakała się.

– Adalena odeszła od nas.

– Nie rozumiem.

–

Dziś

wieczorem.

Chciałyśmy

was

poinformować o tym dopiero rano, żeby was

nie niepokoić.

Matylde milczała długo, dopóki na powrót

nie zaczęła trzeźwo myśleć.

– Ide, w jakim sensie „odeszła”?

– Nie wiemy. Ostatnio całymi dniami leżała

w łóżku. Bardzo słabo się czuła. A dziś

wieczorem po prostu zniknęła.

– Zabrała ze sobą jakieś rzeczy? – spytała

rozsądnie Matylda.

– Nie. Wszystkie suknie, buty są na swoim

miejscu. Tylko...

– Tylko co?

– Kuferek z jej specyfikami zniknął.

Matylda znowu zamilkła.

– Co to może oznaczać, Ide? Dokąd ona się

wybrała?

Ide rozplakała się na dobre.

– Zostawiła kartkę. Napisala na niej tylko:

Fabulas finem, fama in aeternum.

– Chyba... Ide, chyba nie sądzisz, że ona odeszła, żeby...? No, wiesz – zasnąć na

zawsze?

– Nie wiem – kwiliła Ide. – Naprawdę nie

wiem. Odchodziłyśmy z Satrizą od zmysłów,

dopóki twoja mała nas nie uspokoiła. Ona ma w sobie tyle siły...

– Ofelia?

– Tak. Nawet nie wiesz, jak wielkim jest

dla nas wsparciem. Jest taka spokojna, taka dojrzała. Zachowuje się ciągle tak, jakby miała

dostęp do czegoś, do jakiejś wiedzy, o której my nie mamy pojęcia. Wciąż powtarza nam, że

to nie ma znaczenia, w jaką podróż wybrała się Adalena – z pewnością zrobiła to, co

musiała. Matyldo? Matyldo, jesteś tam?

– Zostawiła nas same – szepnęła Matylda.

– Zupełnie same.

Rozdział 43

Noc broniła się jeszcze zaciekle przed
jakimkolwiek światłem poza tym, które dają
gwiazdy
i
księżyc,
gdy
Rita
jechała
w
zaplanowanym
kierunku.
Zmęczenie
kilkudniowym brakiem prawdziwego snu już
w zasadzie nie dawało jej się we znaki –
osiągnęła poziom, w którym senność stała się tylko
stanem
ducha,
umysłu,
nie
zaś

organizmu. Pierścień Stelli zdawał się ją palić
z czeluści kieszeni, pulsować, dawać jej znaki.

Zupełnie

jakby

bawiła

się

w

tę

grę

z dzieciństwa: ciepło – zimno. Teraz właśnie, z każdym pokonanym kilometrem, czuła, jak
pierścień staje się coraz gorętszy, coraz
cięższy – pulsował w jej kieszeni gęstym
gorącym niczym rozżarzony węgiel.

Gdyby ktoś później zapytał ją o jakikolwiek
szczegół z drogi, jaką pokonała, nie potrafiłaby
mu
odpowiedzieć.

Mknąc

przed

siebie

rozklekotanym samochodem, popadła w stan
dziwnie świadomej katatonii. Mogła prowadzić
auto,
potrafiła

przestrzegać

przepisów,

podejmować mechaniczne decyzje. Jednak jej

umysł był nieobecny.

Pokonawszy

całą

drogę,

odniosła

wrażenie, że doświadczyła teleportacji, że

cała podróż trwała mgnienie oka. Dotarcie tu pozbawione było płynności – wszystkie ruchy

jawiły jej się jak rwane lampą stroboskopową.

Droga,

światła,

zakręt.

Pstryk.

Autostrada. Zjazd. Pstryk. Wjazd do miasta.

Właściwa ulica, którą odnalazła natychmiast.

Pstryk. Swąd przepalonej żarówki. Pstryk.

Rita ocknęła się.

Zastał ją świeży świt, gdy podjeżdżała pod

kamienicę, o której we śnie powiedziała jej Noa. Wysiadła z samochodu i poczuła ucisk

w

żołądku.

Zawładnął

nią

strach.

Nieuzasadniony,

niezrozumiały.

Pierścień

w kieszeni palił ją żywym ogniem. Rita była pewna, że wie, na którym piętrze mieszka stara kobieta. Wiedziała, że mieszka sama.

Czuła, z którego okna wyglądała, by rzucać

w

Noę

oraz

Arilę

swoją

bizuterią.

W niepokojący sposób była przekonana, że zna

tę staruchę. Nie wiedziała jednak skąd. Rita zapaliła, by dodać sobie odwagi, choć zabieg ten zakończył się fiaskiem – cel nie został

osiągnięty.

Rozejrzała

się

po

parkingu,

który

znajdował się pod oknami upiornej, choć

przepięknej, zabytkowej, bogato zdobionej

kamienicy. Spośród kilkunastu samochodów jeden zwrócił jej uwagę. Była to przepiękna czarna limuzyna. Tak zaniedbana, zakurzona –

od tak dawna nieużywana, że sprawiała

upiorne wrażenie. Na jej przedniej szybie od wewnątrz ktoś wypisał krwiście czerwoną szminką

wszystkie

znane

Ricie

obelgi

i przekleństwa. Na przednim siedzeniu,

w miejscu kierowcy spoczywała dostojna,

opróżniona butelka po szkockiej. Na siedzeniu

pasażera – po martini.

Pomiędzy fotelami liczne puste flaszki po

różnorodnych alkoholach. Na tylnym siedzeniu

pończochy. Buty na obcasie. Ogromne okulary

przeciwsłoneczne. Biała apaszka. I jeszcze

więcej butelek. Rita była pewna – wiedziała, do kogo należy ten wóz.

Stojąc tam, obok niego, czuła jego

samotność, dawną świetność. Wiedziała, jak

bardzo jest teraz porzucony, jak bardzo jest mściwy. Bałaby się wsiąść do takiego

samochodu – z pewnością dokonałby szybkiego

i podstępnego samobójstwa, spadając wraz ze

wszystkimi pasażerami w przepaść, po tym jak

niespodziewanie popsułyby mu się hamulce.

Lub wpakowałby się w drzewo, przypadkowo
myląc polecenia wydane przez kierownicę
i zamiast w prawo, skręciłby w lewo. A może
wybuchłby zupełnie bez powodu, ujawniając niespodziewanie nieszczęlny bak.

Rita obawiała się nawet dotykać tego
porzuconego,
rozgoryczonego
wehikułu,
podejrzewając, że poraziłby ją za to prądem z
uruchomionego
w
tajemniczy
sposób
akumulatora.

Poczuła, że dobrnęła już do filtra – nie dało
się palić dłużej tego papierosa, a przecież był
on jej jedyną wymówką – jedynym, co jeszcze powstrzymywało ją przed wejściem na drugie
piętro, gdzie, jak była pewna, znajduje się duże, lecz zimne mieszkanie starej kobiety.

Spojrzała w okna, jakby spodziewała się ją
tam zastać. W jednym z nich tkwiła
w martwej, bezwietrznej atmosferze wnętrza
mieszkania ciężka złota kotara. W drugim
kotarę zerwano. Okno było gołe, obnażone,
upokorzone.

Rita czuła strach od samego spoglądania

w te okna, a myśl, że ma tam wejść,

paraliżowała ją od środka. Włożyła rękę do

kieszeni, w której poczuła pierścień Stelli.

Ciskała go najmocniej, jak potrafiła, dodając sobie tym samym odwagi. Czego się w ogóle

bała? Dlaczego czuła tak potężny strach?

Kogo lub co spodziewała się zastać w tym

mieszkanu?

Wzięła

głęboki

oddech,

czując

jednocześnie, że jej klatka piersiowa nie chce się rozprężyć, zachowuje się, jakby ktoś

wykonał ją z grubej, nieelastycznej gumy,

która potrafi jedynie stawiać opór.

Podeszła do wejściowych drzwi klatki

schodowej. W ich centrum znajdowała się

stara mosiężna kołatka, której zapewne nikt

już nie używał, by wezwać dozorcę budynku.

Cóż to za dziwna kołatka? Rita nigdy

wcześniej takiej nie widziała. Nie wyobrażała pyska zwierzęcia lub bestii, lecz młodą, piękną

kobietę przytrzymującą w zaciśniętych zębach

gruby, solidny pierścień, którym należało

pukać do drzwi. Jej smutną twarz wykrzywił

drobny grymas – nie bólu nawet, ale emocji, które czuje ktoś, kto czyni coś wbrew własnej woli. „Nic dziwnego – pomyślała Rita – ktoś chciałby tu tkwić przez dekady, trzymając tę kołatkę w zębach?”

Rita zebrała wszystkie pokłady swojej odwagi i starając się nie myśleć o niczym, uchyliła potężne drzwi, które, zgodnie z tym, co przypuszczała, nie były zamknięte na zamek. Ciężkie drewno zajęczało na starych zawiasach, a jęk ten odbił się wielokrotnym echem po ścianach ciemnego wnętrza klatki schodowej.

W środku wydawało się tak pusto... Nie tylko przez nietypową porę dnia czy też nocy – co trudno było stwierdzić – ale także przez nieprzeniknioną ciszę, martwy spokój, który sprawiał, że Rita uznała niemal za pewnik, że poza starą kobietą nikt inny nie mieszka w tej kamienicy.

Weszła do środka i odniosła wrażenie, że stare mury gapią się na nią, dziwiąc się, że ktoś jeszcze żyje na świecie – ktoś poza ich jedyną mieszkanką. Podeszła do szerokich schodów i powoli zaczęła wspinać się na górę, kierując się jedynie dotykiem, wzrok bowiem zawodził ją w tych ciemnościach. Pozwalała palcom delikatnie gładzić ściany, które stanowiły teraz jedyny drogowskaz. Język

poruszał jej się w zamkniętych ustach, gdy

liczyła bezgłośnie kolejne schody.

Pierwsze piętro. Ścisnęło jej gardło.

I wspinała się dalej. Ostatniego stopnia nie pokonała – to on pokonał ją.

I stanęła tam – na drugim piętrze.

Z sercem zamienionym w małego ptaka, który

trzepocze skrzydłami po suficie – uwięziony po

raz

pierwszy

w

życiu

w

zamkniętym

pomieszczeniu. Wiedziała, które to drzwi.

W ciemnościach klatki schodowej szpara pod

nimi niemal raziła w oczy. Do mieszkania

musiało wpadać światło wschodzącego dnia, które przenikało tędy na klatkę schodową.

Rita

poczuła

się

niepokojąco

klaustrofobicznie. Jakby ściany próbowały

schwytać ją w pułapkę, przydusić, wycisnąć

z niej soki. Jej złożona w pięść ręka zapukała do drzwi. Przeraziła się tą czynnością. Chciała

ją cofnąć, zamazać, jak napis wykonany kredą.

Ale nie dało się.

A zatem uciec. Po schodach. Na dole

czeka na nią jej bezpieczny rzęch. Dwie

godziny i będzie znowu w Eskultor. Znowu

przy Corneliusie, przy Matyldzie. Sięgnęła do kieszeni – ścisnęła pierścień Stelli.

Zapukała znowu. Nikt się nie odezwał, ale

w środku mieszkania coś zaszurało. Tak się

przynajmniej Ricie wydawało. Puk, puk – tym razem śmieiej. Szurnięcie, jakby stuknięcie.

I nic poza tym.

– Wiem, że tam jesteś – powiedziała krtań

Rity. – Jeśli mnie nie wpuścisz, wejdę sama. –

„Błagam, już wolę żeby mnie wpuściła” –

pomyślała Rita. „Bo to przynajmniej będzie

poza moją decyzją”.

Szurnięcie. I nic poza tym. Przepona Rity

ścisnęła wnętrzości, pociągnęła za sobą

płuca. Wzięła głęboki oddech. Ręka Rity

wyprostowała się, położyła dłoń na klamce. Ku

przerażeniu Rity jej ciało otworzyło drzwi i wcisnęło swoją obaloną władczynię do

środka.

Matowy blask wczesnego poranka wpadał

do pomieszczenia, w którym się teraz

znajdowała. Było ono znacznie wyższe, niż się

spodziewała, zaś sufit pomalowany na czarno
sprawiał wrażenie jeszcze odleglejszego niż
w rzeczywistości. Rita odnalazła tu upiornie intensywne kolory, które nie pozwalały nie
zwracać na siebie uwagi. Pod stopami Rity –
złoty dywan, na ścianach – intensywna, choć ciemna zieleń. I zdjęcia – mnóstwo czarno-białych
zdjęć
w
szerokich,
czerwonych
ramach.

Rita zrozumiała, że niemal całe, bardzo
przestronne mieszkanie jest tym jednym
pokojem. Ściany wyburzono, zatarto granice
między pomieszczeniami. Pozostał tylko salon.

Bez żadnych mebli, ale z zatrzesieniem tych czarno-białych zdjęć na ścianach. Chciała
przyjrzeć się któremuś z nich, lecz serce
podskoczyło jej nagle do gardła. Zmysły
zarejestrowały coś w przeciwległym kącie
pokoju.

Kształt człowieka. Leżącego na ziemi. Rita
rzuciła się instynktownie do włącznika światła,
który odnalazła bez problemu. Wcisnęła go,
lecz okazało się, że nie zapala on żarówki w żyrandolu, tylko podświetla wszystkie
wiszące na ścianach ramy ze zdjęciami.

Dawało to jednak wystarczająco dużo światła,
by dojrzeć postać leżącą w najdalszym punkcie
pomieszczenia.

Była to kobieta – spoczywająca na
brzuchu, z twarzą ku podłodze. Jej obleczone w czarne pończochy nogi znajdowały się
w nieładzie i lekkim rozkroku. Na jedną stopę
wciśnięto but w kolorze ultramaryny, na
bardzo wysokim obcasie, druga stopa była
bosa – ultramarynowa szpilka spoczywała tuż
obok niej. Resztę ciała kobiety ubrano
w krwistoczerwoną suknię, podwiniętą teraz
na tyle wysoko, że widać było pas do
pończoch. Była bardzo zgrabna. Ręce miała
zgięte w łokciach, a jej głowę pokrywały duże
loki w kolorze białego blondu.

Rita stanęła nad nią przerażona, nie mając
pojęcia, co czynić. Cofnęła się o kilka kroków do wyjścia.

– Kto tam? – usłyszała.

Chwyciła za klamkę.

– Nie odchodź.

Zmrużyła oczy. Dopiero teraz zdała sobie
sprawę z tego, że zwłoki kobiety właśnie do niej przemawiają.

– Kto tam? – powtórzyły, nie zmieniając pozycji.

– Rita – odparła bezsensownie.

– Nie odchodź – powiedziały raz jeszcze

zwłoki.

– Czy wszystko w porządku? – spytała

Rita, ganiąc się od razu za tak głupie pytanie.

– Nie – odparły zwłoki. – Czy gdyby było

w porządku, leżałabym w ten sposób całymi

dniami, udając trupa?

Rita zbliżyła się.

– Czekam, aż ktoś przyjdzie mnie zabić lub

umrę sama.

– Jak mogę ci pomóc? Podnieść cię?

– Nie – wymruczała kobieta w podłogę

i we własne włosy. – Nie chcę, byś widziała moją twarz. Co cię tu sprowadza? Przyniosłaś

rachunki? Ulotki? Nakaz eksmisji?

– Nie. Chcę cię o coś zapytać.

– Nie lubię pytań.

– To drobna rzecz, a ja bardzo potrzebuję

odpowiedzi. Chodzi o pierścień...

– Czy wiesz, kim jestem? – spytały zwłoki,

przerywając Ricie.

– Nie.

– Jestem Carmen. Tak na mnie mówiono.

Carmen. Obejrzyj fotografie, które wiszą na

ścianach.

Rita zawała się. Odeszła od leżącej na podłodze Carmen i spojrzała na czarno-białe

zdjęcia. Przedstawiały przepiękną młodą

kobietę – tancerkę rewiową. Na każdej

fotografii ta sama kobieta na pierwszym

planie, zmieniały się tylko liczne, wyjątkowo bogato zdobione kostiumy oraz scenografia.

Kobieta szczerzyła się na każdym ze zdjęć

swoim

wyśmienitym,

białym

uśmiechem

okolonym rubinowymi, pełnymi wargami.

– Tak, to ja – odezwała się Carmen.

–

Musisz

być

naprawdę

dobra

–

skomentowała Rita, widząc podpisy: „Paryż”,

„Mediolan”, „Rio de Janeiro”, „Chicago”.

Carmen prychnęła w podłogę.

– Też mi coś! Oczywiście, że byłam.

Byłam! Byłam najlepsza! Doskonała. Byłam

Carmen. Ile masz lat?

Rita otworzyła usta.

– Nie! Nie chcę wiedzieć! – przerwała jej

Carmen. – Po głosie poznaję, że jesteś młoda.

– Chciałabym cię o coś zapytać – podjęła

kolejną próbę Rita.

– Kiedyś – zignorowała ją Carmen –

tancerki rewiowe to była klasa. Byłyśmy

artystkami i pokarmem dla zmysłów. Dziś nie docenia się tancerek rewiowych, bo mężczyźni

nie muszą czekać na widok pończoszki. Gołe

dupy mają na wyciągnięcie ręki.

Rita przerzucała wzrok z jednej fotografii

na drugą. Gdy tak rozglądała się po pokoju, jedno tylko słowo cisnęło się jej na usta: megalomania.

– Carmen, chcę tylko zapytać o pierścień.

Informacja na jego temat jest dla mnie bardzo

ważna. Czy mogłabyś na niego zerknąć

i powiedzieć mi, skąd go masz?

– Dlaczego miałabym odpowiadać na

jakikolwiek twoje pytania?

Rita wzruszyła ramionami.

– Na przykład dlatego, że cię o to proszę.

Carmen wybuchła upiornym śmiechem.

Odbite od podłogi powietrze uniosło na

moment jej włosy.

– Też mi odpowiedź. Czy gdy prosiłam

czas, by przestał biec, wysłuchał mnie? Czy gdy chciałam, by moja tchórzliwość nareszcie pozwoliła mi skończyć ze sobą... Zaraz... Jaki

pierścień? Opisz go.

– Złoty pierścień z rubinem.

Carmen zastygła w bezruchu. Wstrzymała oddech.

– Adalena? – spytała.

Rita zgłupiała. Obecność tego imienia,

które zawisło teraz w zupełnie obcym

pomieszczeniu, zbiła ją z tropu. Carmen

poruszyła się. Wsparła się na wyprostowanych rękach i usiadła na podłodze, skierowawszy swoją twarz po raz pierwszy w stronę Rity, która omal nie krzyknęła.

Spodziewała się, że kobieta jest młoda.

Dużo młodsza. Jej ciało było bardzo zgrabne, szczupłe, ale twarz... To była twarz staruszki –

i to bardzo wiekowej. Zmarszczki przykryte

grubą warstwą białego jak mąka pudru

sprawały upiorne wrażenie. Krwistoczerwona

szminka i niezwykle mocny makijaż oczu

wybijały się z tej bladości, jak znaki

ostrzegawcze.

Kobieta zaśmiała się kpiąco.

– Tak, dobrze widzisz. Jestem starą

kurwą. A ty... ty jesteś Adaleną.

Rita zawahała się.

– Skąd ci to imię przyszło do głowy? Kim

jesteś?

– Za dużo pytań – zaśmiała się Carmen.

Wstała z podłogi. Była dość wysoka,
zwłaszcza gdy włożyła na nogę drugą szpilkę.

Podeszła

do

przeciwległego

kąta

pomieszczenia i podniosła z podłogi długą
lufkę, w którą wetknęła papierosa. Nie mogła
znaleźć zapalniczki. Rita podała jej swoją,
milcząc w bezkresnym zdziwieniu.

– Znasz Adalenę? – spytała w końcu.

– Znam, znam... – zakpiła. – A co to, twoim zdaniem, znaczy „znać kogoś”? Powinnaś
zresztą wiedzieć, czy ją znam, bo przecież
jesteś Adaleną. Inną jej wersją. Tak samo, jak
ona – szukającą odpowiedzi.

– Skąd znasz Adalenę?

Carmen machnęła na Ritę niechętnie.

– Nie znam żadnego powodu, dla którego
miałabym

odpowiadać

na

twoje

liczne,

wścibskie pytania, Adaleno.

– Nie jestem Adaleną. Mam na imię Rita.

Carmen uniosła oczy ku niebu.

– Wiem, wiem. Tak tylko mówię. Bo

przyszedł tu w tym samym celu. Zabawne –

zaśmiała się, podchodząc do Rity i patrząc na pierścień z rubinem. – Zabawne, że do mnie wrócił.

– Czy Stella tu była? Skąd masz ten

pierścień? Czy widziałaś Stelle?

– Jaką Stelle? Nie podobają mi się te

pytania. – Pogroziła jej palcem. – Męczą mnie.

– Stelle. Ten pierścień należy do niej.

W jaki sposób do ciebie trafił?

Carmen spojrzała na Ritę rozbawiona, po

czym wybuchła szczerym śmiechem.

– Ten pierścień, powiadasz, należał do

jakiejś Stelli? A to dobre!

W Ricie wezbrała złość. Ta dziwna

starucha stała jej na drodze do odnalezienia Stelli. Nie dość, że nie odpowiadała na

pytania, to jeszcze sprawiła, że w głowie Rity pojawiły się setki nowych. Spojrzała jej w oczy,

uniosła w jej kierunku palec wskazujący.

– Powiesz mi teraz, skąd masz ten

pierścień! Natychmiast.

Carmen

uniosła

wysoko

poczernione

kredką brwi, zdziwiona tym, co usłyszała.

– Ciekawe – szepnęła. – Bardzo ciekawe.

Kim jest dla ciebie Adalena?

Rita,

zdziwiona

brakiem

reakcji,

powtórzyła władczym głosem:

– Natychmiast mi powiedz, skąd masz ten

pierścień.

Carmen zmarszczyła brwi.

– Natychmiast to ty odpowiesz na moje

pytania, dziecko. Co cię łączy z Adaleną?

Rita, ku własnemu zdziwieniu, odparła:

– Jest moją przyszywaną ciotką.

Carmen zmrużyła oczy.

– Przyszywaną, powiadasz? A co ją do

ciebie przyszywa?

– Odpowiedź za odpowiedź, Carmen. Skąd

masz pierścień Stelli?

Carmen uśmiechnęła się upiornie.

– Po pierwsze to nie ty tu ustalasz reguły, mała. A po drugie wcale nie interesuje cię odpowiedź na pytanie, skąd ja mam ten pierścień. Ciebie ciekawi, skąd ma go ta twoja Stella, kimkolwiek jest. Siadaj.

Rita poczuła, że kolana jej się uginają.

Usiadła na podłodze, pod ścianą. Carmen podała jej poniewierające się nieopodal poduszki i sama także spoczęła obok.

– Jestem znudzoną, starą kobietą –

odezwała się Carmen. – Staruchą, która

w

samotności

nieraz

otarła

się

już

o szaleństwo. Całymi dniami rozpamiętuję

swoją młodość i urodę. Nie mam żadnych

atrakcji, aż tu nagle zjawiasz się ty. Bezczelnie świeża i młoda, piękna jak ja kiedyś.

I z ciekawostkami w zanadrzu. Zrobimy tak –

to ty odpowiesz na wszystkie moje pytania,

a

jeśli

uznam,

że

odpowiedzi

mnie

usatysfakcjonowały i dostarczysz mi choć

trochę

rozrywki,

rozważę

ewentualne

propozycje i pytania z twojej strony.

Rita nie miała siły się sprzeciwić.

Rozdział 44

W nocy padało. Nie, nie padało. Lało. Zerwała

się chmura, zawisła nad miastem i zapłakała.

Umarła i rozpruto jej wnętrzności. Z tych

wnętrzności wyleciały pioruny, gęsta para

wodna, duszna atmosfera. Wyleciała ciepła,

lepka woda, wyleciał piach i brudy, grzmoty i lśnienia.

Cornelius czuł, że rozumie tę chmurę

doskonale. Obserwował ją jeszcze przed jej

śmiercią, leżąc w mieszkaniu Tuli, która

poruszała bezgłośnie ustami. Odkąd Matylda

wróciła z informacją o odejściu Rity, Cornelius

stracił słuch i nie docierało do niego nic, co wydawało

dźwięk.

Widział.

Czuł

także

zapachy. Pozostał mu również zmysł dotyku.

Wiedział zatem, że leży na miękkiej sofie, że ona ugina się pod jego ciężarem, gdy przewraca się z boku na bok podczas długich godzin leżenia. Widział swoją siostrę i czuł zapach parzonej kawy. Ta woń wzmacniała się, gdy Tula przynosiła mu ją na kanapę.

Pił i jadł, owszem. Mył się nawet. Ale poza tym głównie leżał i patrzył przed siebie. Nie rozmawiał z nikim, bo nie słyszał ani cudzych słów, ani własnych myśli. Po pewnym czasie zostawiono go w spokoju. I to właśnie mu odpowiadało.

Pogrążony w świecie bez dźwięków, zdziwił się, gdy ciszę nagle przerwano. Gdy ją przełamano. Gdy – kropla po kropli – wracał mu słuch. Pierwsza spadła na parapet i Cornelius się ożywił, bo rozpoznał dźwięk – woda o metal. Druga na szybę – woda o pionowe szkło. Trzecia wleciała przez okno – to woda o dywan.

Podniósł się do pozycji półleżącej i spojrzał za okno. Słyszał tylko ten deszcz – śmierć tej chmury. Krzątanie w kuchni, rozmowy Tuli i Matyldy wciąż pozbawione były fonii.

Współczuł chmurze. Nikt inny poza nim nie

wiedział, że obłok umiera. Gdy pierwszy
grzmot rozerwał jej trzewia, Cornelius
uświadomił sobie, dlaczego słyszy ten deszcz.
Takie deszcze, takie burze – to były ich burze.
Rita je uwielbiała. Kiedyś, dawno temu, tysiące
lat temu, zanim człowiek ujarzmił ogień,
a może jeszcze wcześniej – gdy świat był gadzi
i paprociowy. Bo musiało to być przecież
w innej erze, skoro on i Rita byli wtedy razem.
Leżeli w łóżku. Gdy było ciepło, Rita otwierała
okno, żeby mokre, ciężkie powietrze mogło
wślizgnąć się do środka.

Uwielbiała

te

odgłosy

deszczu.

„To

najlepsza perkusja” – mówiła. Wsłuchiwała się

w nie i próbowała odgadnąć, o co uderzały

krople.

Rozdzielała

dźwięki

w

głowie

i sumowała je. Miarowość deszczu zamieniała ją w przytulną kotkę. Toteż leżeli wtedy w łóżku i kochali się, a deszcz wygrywał Ricie usypiającą melodię.

Były to jedyne momenty, gdy Rita potrafiła usiedzieć dłużej w jednym miejscu. Gdy nie padało, ciągle chciała coś robić, wciąż dokąds

biegła, pragnęła działać, zamiast beczynn timer tkwić w nieróbstwie. Świat był niebiesko-

szary. I te kolory pasowały do ich miłości najbardziej. Nie były ogniste, jak charakter Rity, bo ich miłość nie była przelotną emocją.

Była koloru szyby z dziecięcych snów. Drżącą pod każdym naporem, ale jednak zadziwiająco wytrzymałą. Ich miłość była osadzona w takie

ramy, że Cornelius nie wierzył wtedy, by cokolwiek innego mogło ją zastąpić. Na

obojęczykach Rity ustawione było przecież rusztowanie świata i nic nie mogło tego

zmienić. Poza samą Ritą.

„Nie odeszła. Nie uciekła” – powtarzała

Matylda tuż przed tym, jak Cornelius stracił

słuch. Ale to w niczym nie pomogło. „Wróci.

Wróci, jak tylko zrobi to, co musi zrobić” –

dodała Matylda. Ostatnie „wróci” Cornelius jednak odczytał już tylko z ruchu jej ust. Słuch się poddał.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – spytała

Tula, ścierając banana dla córki. Matylda
zapatrzyła się w tę mechaniczną czynność.

Chciałaby, żeby teraz i nią ktoś tak
mechanicznie pokierował.

– Nie wiem. Nie mam najmniejszego

pojęcia. Powinnam czekać, tak? To właśnie
poleciała mi Rita. Ona coś załatwi, ja

przekazuję Corneliusowi, że nie uciekła i że wróci niedługo. A potem – co? Też czekam? Ta
cała wyprawa, Tulo... Sama nie wiem...

Dopiero to do mnie dociera. To jakiś absurd.

Bez sensu. Bez czasu, bez miejsca. Ale Rita w to wierzyła i ja chciałabym jej jakoś pomóc,
jakoś to kontynuować.

– Więc kontynuuj. – Tula spojrzała na nią.

– Ale... co? Twój brat... Sama widzisz, co

się z nim stało. A ja? Ja się ani trochę nie znam na tym całym półprzestępczym świecie,

w którym obracali się Rita i Cornelius. Nie mam zielonego pojęcia, jak odnaleźć Stellę, nie
wiem, gdzie jej szukać i jakich sztuczek

używać.

–
Matylda

pstrykała

nerwowo

paznokciami. – Prawda jest taka, że ja się na niczym nie znam. Jedyne, co umiem, to
przespać swoje życie snem zimowym.

Tula starła banana.

– Opowiedz mi o swojej córce – poprosiła,
idąc jednocześnie nakarmić swoje dziecko.

– Moja córka... Ofelia. Jest zagubiona.

Chyba. A może nie? Jest też silna. Choć tak młoda. Jest... spragniona kontaktu z kimś, kto
ma wszelkie cechy, jakich ja nie posiadam.

Z kimś, kto potrafi być przewodnikiem dla
młodego człowieka. I jednocześnie wsparciem.

Ja nigdy taka nie byłam.

– Nie wierzę. – Tula usadziła córkę na
kolanach. – Wyglądasz mi na kogoś zupełnie
innego, niż ci się wydaje.

Matylda zamyśliła się.

– Mam czasem wrażenie, że Ofelia zna
niektóre moje uczucia. Że przeżywa to samo, co ja kiedyś. Ale po pewnym czasie
uświadamiam sobie, że ona przechodzi
przeciwieństwo tego, co ja. Ja zawsze czułam,
że muszę się przeciwstawić czemuś, co

próbuję mnie zdobyć. Że muszę odwrócić się

od tego, co zostało mi dane, i tego, jaka jestem. Stworzyć nową siebie.

– A Ofelia dąży do tego, od czego ty

uciekałaś – zgadła Tula, patrząc jak bananowa breja znika w pulchnych czeluściach jej dziecka.

Rozdział 45

– Czego ode mnie chcesz, Carmen? –

spytała Rita, równie wściekła na to, że musi wykonywać polecenia starej tancerki, jak ciekawa tego, co nadejdzie.

W

poleceniach

Carmen

było

coś

znajomego. Coś władczego, czemu nie można

się sprzeciwić. Rita obawiała się, że zna

dokładnie ten rodzaj władzy nad innym

człowiekiem. Tyle że od strony rozkazującego,

nie zaś poddającego się rozkazom. Carmen

układała fryzurę przed swoim gwiazdorskim

lustrem z lampami świecącymi dookoła niczym

szczerbata paszcza. Tylko niektóre z nich

działały, co potęgowało upiorny wygląd twarzy

Carmen.

– Będę cię informowała na bieżąco –

zaśmiała

się

okropnie

–

o

swoich

oczekiwaniach względem ciebie. – Tymczasem

rozbierz się.

Rita spojrzała na nią buntowniczo, na co

starucha prychnęła ze wzgardą.

– Nie bój się, dziecko. Chcę tylko ocenić

twoje ciało. Muszę wiedzieć, z kim mam do

czynienia. Nie da się tego zrobić, jeśli

rozmówca jest ciągle w ubraniu.

– Większość ludzi jakoś sobie z tym radzi –

burknęła Rita.

– Ale nie ja. Przywykłam do tego.

Wszystkie moje koleżanki przebierały się

razem ze mną za kulisami. Przyjaźniłam się

bowiem tylko z innymi tancerkami. Zaś

wszyscy znani mi mężczyźni byli moimi

kochankami. A co – sapnęła ironicznie – masz coś do ukrycia?

– Nie – odparła Rita dumnie i rozebrała się
jak u lekarza.

Rozłożyła ręce na boki i obróciła się
dookoła własnej osi – poddawana oględzinom,
jakby była prosiakiem na dzisiejszy obiad.

Carmen siedziała przy swojej gwiazdorskiej
toaletce, paląc papierosa z lufką i bez cienia zażenowania przyglądała się dokładnie ciału
Rity. Zaśmiała się poważnie do siebie.

– Niesamowite – powiedziała w końcu. –

Jak ten świat jest skonstruowany. Żyjesz po to
tylko, by kiedyś ktoś ci to życie odebrał.

Przychodzi po wszystko, co masz. Po ciebie.

Mało tego! Jest częścią ciebie. Zabiera

wszystko to, co było kiedyś twoje. Twoje ciało,

twoje kształty, twoją gładkość i jędrność. I to ma być dziedzictwo?! A co ja mam mieć

z tego? Odejść w cień? Pogodzić się? Jak –

powtarzam – jak to się dzieje – jak to jest, do cholery, możliwe, że tysiące ludzi godzą się na
to każdego dnia?

Rita stała przed nią naga. Przestała się
kręcić i, nie rozumiejąc do końca, o czym mówi
starucha, przyglądała się jej krytycznie.

Carmen machnęła na nią ręką, co miało
znaczyć: „ubierz się”.

– Dlaczego nie wszyscy wariują – tak jak

zwariowałam ja? – spytała Ritę. – Powiedz mi,

wytłumacz – dlaczego? Wyobraź sobie, że

masz coś, co jest najcenniejsze w twoim życiu.

Nie wiem, co dla przeciętnych ludzi jest cenne.

Niech to będzie – powiedzmy – bogactwo.

Niezmierzone bogactwo. I nagle ktoś do

ciebie przychodzi i odbiera ci wszystko!

Wszystko, co posiadałaś, rozumiesz? I wiesz, że już nigdy tego nie odzyskasz. Dla mnie

najcenniejsze było ciało. Moja młodość, moja witalność. Nie obchodziły mnie dzieci, rodzina,

nawet bogactwo i luksus były dla mnie jak

beknięcie po dobrym obiedzie. Oczywiście

następstwo czegoś doskonałego. Spójrz na

mnie – właśnie to mi zabrano. Właśnie to, na czym mi zależało. Jak można się z tym

pogodzić – że nagle przychodzi starość

i pozwala ci patrzeć na to, jak wszystko

w tobie umiera? Że wszystko staje się

obrzydliwe, śmierdzące, obwisłe?

Rita poczuła coś dziwnego – żal wobec tej

starej, nieszczęśliwej kobiety. Żal zaś był

uczuciem, którego Rita niemal nigdy nie

dopuszczała do swojego serca, i teraz dziwnie

się z nim czuła.

– Co jest dla ciebie naprawdę ważne? –

spytała Carmen.

– Czy ja wiem? – zapięła stanik Rita. –

Może muzyka?

Carmen zajrzała jej głęboko w oczy.

– Bzdura. To dla ciebie rozrywkowa forma spędzenia życia. Nie jest dla ciebie naprawdę ważna.

– W takim razie nic nie jest dla mnie naprawdę ważne. – Odwróciła wzrok.

– Kłamstwo!

Carmen przyglądała się twarzy swojej rozmówcy. Przewiercała ją wzrokiem tak intensywnie, że Rita poczuła, jakby skóra na policzkach płonęła jej żywym ogniem. W końcu na starej twarzy pojawił się upiorny uśmiech.

– Wiem, co jest dla ciebie naprawdę ważne. Inni. Inni ludzie. Twoi bliscy.

Rita prychnęła lekceważąco.

– Chyba coś ci się pomyliło. Każdy ci powie, że z natury jestem egoistyczna i nikt mnie nie obchodzi.

Carmen śmiała się w najlepsze.

– Idiotka. Kogo ty chcesz oszukać? No dobrze... A zatem wyobraź sobie, że żyjesz szczęśliwie, wiedząc, że twoi bliscy są bezpieczni, aż tu nagle nadchodzi dzień, w którym ktoś odbiera ci ich wszystkich –

jednego po drugim. Zabija ich, a z ciebie czyni

szkielet człowieka. Co ty na to?

Rita

nie

odpowiedziała.

Patrzyła

w kłębowiska kurzu przytulające się do siebie

w jednym z kątów mieszkania.

– No właśnie! – ucieszyła się Carmen. –

I to samo przeżywałam ja, gdy na mojej

twarzy, jak cięcie po nożu, pojawiały się

kolejne zmarszczki. Moja skóra – jędrna jak na świeżym owocu – zrobiła się jakby za duża,

wstrętna, obrzydliwa. Jak można to przeżyć

i nie oszaleć? Jak?!

– Normalnie – zdenerwowała się Rita. –

Tak samo jak to, że przychodzisz na świat

i z niego odchodzisz. Tak samo jak to, że ktoś

daje ci życie, ale wiesz, że pewnego dnia

będziesz musiała się z nim pożegnać. Jeśli nie

potrafisz się z tym pogodzić, to tylko świadczy

o tym, że jesteś głupia.

– Nie. – Carmen uśmiechnęła się rewiowo.

– To świadczy o tym, że wszyscy inni są głupi.

Ja się z tym nie godzę i kim jestem? Wariatką!

A to dobre!

Rita była zmęczona. Rozejrzała się po mieszkaniu.

– Carmen – przemówiła łagodnie. – Proszę, powiedz mi, skąd miałaś ten pierścień, co wiesz o Stelli, co o Adalenie.

Stara tancerka zaśmiała się.

– Tak łatwo ci nie pójdzie. Wiem o was wszystko, mimo że nie wiem niczego. Nie mam pojęcia, kim jest ta cała Stella, ale wciąż twierdzę, że znam odpowiedź na każde twoje pytanie.

Rozdział 46

Matylda leżała na wznak i wsłuchiwała się w przebudzenie miasta. Światło wstającego

leniwie

słońca

prześwietlało

zasłony

mieszkania Tuli. Padało na twarz Matyldy,

raziło ją w oczy. Na dole po chodniku szła para

młodych ludzi. Śpiewali po cichu – raz jedno, raz drugie. Miękkie mruczando na dwoje.

Matylda podniosła się z łóżka, wyjrzała

zza ciężkich krat zasłon, zza krat więzienia, które sama sobie tu wybudowała. Jedno oko

wpuściła w szparę między zasłonami – niech
sobie pobiega po prawdziwym świecie na dole.

A światem tym było Eskultor. Miasto,
które nigdy się nie poddaje, nigdy nie tonie, zawsze na wierzchu, zawsze zalewane przez
tłumy kolejnych artystów, wiecznie odkrywczę,
nieskończenie rozmaite.

Matylda wypuściła na spacer również swój
nos – włożyła go w szparę uchylonego okna.

Niech sobie powącha. Zamknęła oczy. Świeże
pieczywo – piekarnia obok. Zapach pobliskiej rzeki. Perfumy dwóch eleganckich kobiet
przechodzących
pod
oknem.

Rozgrzana
powierzchnia
owoców
i
warzyw
sprzedawanych
na
straganie.

Kwiaty
obnoszone dumnie przez kwiaciarkę.
Odwraca wzrok w stronę mieszkania

i wzbierają w niej mdłości. Ile już czasu
spędzili tu z Corneliusem? Ile dni przeczekali?

Rita wciąż nie wracała, a oni? Po prostu
odpuścili? Matylda chwyciła głowę w dłonie.

– Potrzebuję pomocy – szepnęła. –

Adaleno,
potrzebuję
twojej
pomocy.

Niemożliwe, że nas zostawiłaś. Nigdy byś tego
nie zrobiła. Pomóż mi, Adaleno. Potrzebuję
twojej rady.

Wysłuchiwała się w ciszę. Nic.

– Przecież potrafiłaś mi radzić nawet na
odległość.

Nawet
nie
wiedząc
o
tym.

Potrzebuję cię, proszę.

Rozbolał ją brzuch. Nagle odniosła bardzo
silne wrażenie, że coś zostało przed nią
ukryte.

Coś

skrywa

się

w

tej

całej

zagmatwanej sprawie. Musi być jakiś klucz,

który

Matylda

powinna

zdobyć,

żeby

zrozumieć. Jeśli jej się uda, zrozumie wszystko

– nie tylko Stellę, nie tylko ich ojca, Ritę, Adalenę. Zrozumie siebie. Coś musi być –

jakaś pierwotna zasada, która łączy to

wszystko ze sobą. I teraz Matylda musi ją

znaleźć.

– To wszystko jakoś dziwnie się ułożyło.

Przeszłam obok tego obojętnie, jakby życie było zbiorem wydarzeń. A przecież to nie jest

zbiór. To jest ciągłość – w tę czy inną stronę.

Matylda

przewinęła

w

myślach

wydarzenia ostatnich tygodni. Nagle poczuła,
że one wszystkie mają ze sobą coś wspólnego.

– Po kolei – powiedziała do siebie
spokojnie, masując skronie. – Najpierw zginął
tatuś. Zginął. Umarł. W wypadku. Jakim?

Samochodowym...?

Adalena

mówiła

coś

o wypadku samochodowym. Chyba. Dlaczego
nie znam żadnych szczegółów jego śmierci?

Był sam? Z kochanką? Jaką? Dlaczego tego nie
wiem? Dlaczego Adalena nam tego nie

opowiedziała?

Dalej.

Co

się

wydarzyło

później? Adalena dostała jego ciało, zaczęła organizować pogrzeb. Stella zadzwoniła do

Rity. Rita przyjechała do mnie. Skąd Rita знаła

mój adres? Skąd... Matylda poczuła, że

w głowie wrze jej lepka substancja. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?! Skąd Rita

mogła wiedzieć, gdzie mieszkam? Przecież

uciekłam od nich, nie dawałam znaku życia.

A jeśli znałaby mój adres od zawsze, to czy...

faktycznie uciekłam? Czy rzeczywiście się

ukryłam? Czy może wiedziały o wszystkim

przez cały czas? Obserwowały mnie? Nie,

Matyldo, to już paranoja. Dobrze, dalej. Co

wydarzyło się potem? Przyjechałyśmy na pogrzeb. To była najdziwniejsza ceremonia

pogrzebowa w moim życiu. Ale nieważne,

tatuś spoczął w ziemi. Dalej... Stella. Ten typ.

Przyjechał po nią. Zabrał ją. Ona z nim

pojechała. I ten atak Adaleny. Dziwne

zachowanie Ide i Satriz... Dlaczego niczego

nam nie wyjaśniły? Dlaczego Adalena nie

reagowała, gdy ten typ przyjechał po Stellę?

Wszystko to działo się tak szybko? Nie było czasu, żeby się zastanowić. Później te dwie kobiety – skąd miały pierścień Stelli?

–

Matyldo,

rozmawiasz

z

kimś

niewidzialnym? – spytał Cornelius, stając

w progu pokoju, w którym znajdowała się

Matylda – chodząca w tę i z powrotem

i szepcząca gorączkowo.

Podniosła wzrok. Cornelius był blady,

policzki miał zapadnięte, oczy podkrążone.

A jednak ten lekki, leciuteńki uśmieszek ironii

wciąż błdził po jego ustach.

– Cornelius. – Matylda zerwała się

z miejsca i chwyciła go łapczywie za bluzkę. –

To wszystko jest ze sobą powiązane. Dopiero teraz to do mnie dotarło. Nie szukamy we

właściwym miejscu! Chociaż... może Stelli

szukamy w odpowiednim. Ale jest coś więcej, jest coś, czego się nie spodziewaliśmy, coś

większego – jakieś powiązanie.

Cornelius wyswobodził się delikatnie z jej

uścisku.

– Matyldo, mnie też już odbija, ale ty masz

oczywiste objawy schizofrenii.

Kobieta spojrzała mu w oczy.

– Wiem, że tak jest. Intuicja mi to

podpowiada.

Nastąpiła chwila ciszy, którą zakłócały tylko

splątane myśli Corneliusa, szumiące w jego

głowie.

– Cornelius, muszę wyjaśnić te sprawy,

zanim wezmę się do następnych. Muszę to

zrozumieć – nie wiem jeszcze co, ale wiem, że

muszę.

– Aha, fajnie. I co w związku z tym

zamierzasz? – spytał sceptycznie.

– Musimy się rozdzielić – odparła Matylda,

wizjonersko zapatrzona w dal. – Ty będziesz kontynuował poszukiwania Stelli, pojedziesz w kierunku tego... Casa...

– Sacerdotal.

– Właśnie. A ja... wrócę do domu Adaleny.

Muszę dowiedzieć się, co to dokładnie

oznacza, że ona zniknęła, że odeszła...

Odeszła umrzeć? Wyniosła się? Poszła na

wygnanie? Biegła sto nocy i sto dni przez

pustynię, aż dotarła do wesołego guźca

i surykatki? Na Boga, co to wszystko oznacza?!

Cornelius spojrzał na nią z niepokojem.

– Matyldo, martwi mnie twój stan. Widzę,

że najlepiej zrobiłoby ci kilka dni odpoczynku.

W jakimś miłym kaftanie bezpieczeństwa.

– Być może – odparła, niepodatna na ironię

– ale nie mam na to czasu. Muszę jechać. Ty też.

Nie

możemy

zawalić

sprawy

z poszukiwaniami Stelli. Rób to, co do ciebie należy. Spróbuj odnaleźć to miejsce, odkop

dawne znajomości, zrób coś.

Cornelius westchnął.

– Nie wiem, czy pamiętasz, że to nie moja wyprawa. Wszedłem w nią po to tylko, by pomóc Ricie, by pomóc jej zrozumieć, że to bez sensu. Nie ma żadnej „misji ratunkowej” dla Stelli – czy ty też tego nie rozumiesz?

Matylda

znowu

poczuła

ten

ucisk

w brzuchu. Znowu mdłości. Znosiła je jednak coraz lepiej. Zebrała wszystkie siły.

– Cornelius, proszę. Musisz spróbować.

Zrób to dla Rity.

Mężczyzna parsknął.

– Dla Rity? – spytał po raz pierwszy

rozniewany. – Dla jakiej Rity? Widzisz tu

jakąś? Tak się składa, że Rita nawiała. I nie wiadomo, gdzie jest. Może sama kontynuuje swoją „misję”.

– Nie – odparła poważnie Matylda. –

Uwierz mi. Ona potrzebuje twojej pomocy –

teraz bardziej niż kiedykolwiek. Musisz to

kontynuować. Każde z nas musi teraz ruszyć

w inną stronę, bo ma wyznaczony inny cel. Ale

zobaczysz, spotkamy się znowu. Wszystko tak

się zajął, że znowu ruszymy. I uda nam się.

– Wybacz, Matyldo, ale czy nie przyszło ci do głowy, że mam w dupie całe te poszukiwania? Że nie zamierzam ruszać w „swoją stronę”, żeby dogonić obłąkańcze plany Rity?

– Nie. – Matylda uśmiechnęła się poważnie. – Nie przyszło mi to do głowy. Bo tak nie jest. Zrobisz dla Rity wszystko. Ona dla ciebie też. Tylko jeszcze o tym nie wie. Ale zobaczysz – przekonasz się.

Cornelius zamilkł, zdziwiony nagłą powagą i wieszczą mocą słów Matyldy. Nie spodziewał się, że drzemią w niej pokłady kogoś tak... zdecydowanego. Niemal jej uwierzył.

–

Ty

także

na

tym

skorzystasz,

Corneliusie. – Uśmiechnęła się znowu. – Jeśli tylko nam się uda.

– Podmienili cię, Matyldo? – zdołał tylko wydukać.

– Tak. – Uniosła wzrok. – Wyruszamy jeszcze dziś.

Rozdział 47

– Co o tym myślisz, moja mała? – spytała

Ide.

Ofelia zamyśliła się.

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że mama
jest już w drodze.

Ide zasmuciła się.

– Masz świadomość, że Matylda bywała
przez ostatnie lata raczej... oporna?

Ofelia zaśmiała się.

– Tylko taką ją znałam, Ide.

Usłyszały za plecami kroki. W zasadzie to
nawet nie usłyszały ich, a jedynie wiedziały, że
po sprężystej trawie stąpa bosymi stopami
Satriz. Zbliżyła się do nich, przerzuciła
kruczoczarne, długie włosy za ramię. Ofelia
spojrzała w jej ogniste oczy.

– Myślisz, że się uda?

Satriz

wzruszyła

ramionami.

Stały

wszystkie trzy przed niedużym wybiegiem

z kuropatwami.

– Którą wybierzemy? – spytała Ofelia.

– Tę, która się jeszcze nigdy nie niosła. To

najważniejsze kryterium – odparła Ide,

spoglądając

fachowym

okiem

na

ptaki

przechadzające

się

ufnie

po

wybiegu,

nieświadome tego, w jakim celu się je tu

przetrzymuje.

– W takim razie mama musi się pośpieszyć,

prawda?

– Zgadza się – odparła Ide, spoglądając

porozumiewawczo na Satriz. – I to bardzo.

Rozdział 48

Matylda wsiadła w pierwszy pociąg, który miał

ją zabrać w kierunku domu Adaleny.

Cornelius cedził przez zęby najgorsze
przekleństwa, klnąc na przewrotność życia,
nakazującego mu ruszać na bezsensowną
i karkołomną wyprawę, w którą nie wierzył.
Wąskie uliczki obrzeży Eskultor dawno już
przystały być urokliwe. Cały urok został
daleko za Corneliusem – tam, w centrum,
gdzie uliczni grajkowie raczą wszystkich
swoim talentem. Tam – daleko, gdzie malarze i poeci zarabiają na okruch starego chleba.
Tam – w pięknym, żywym Eskultor, które tutaj
–
w
swoich
zapomnianych
dzielnicach
pokazywało nie tyle nawet kły, co bezzębną
paszczę bezdomnego, który nie miał już
niczego do stracenia.
To właśnie tu – jak doszedł do wniosku
Cornelius – jest największa szansa na to, by odświeżyć trochę starych kontaktów, które
pozwolą mu być może ruszyć dalej. To tu mógł
zaczerpnąć trochę informacji, podać się za
starego, godnego zaufania, kumpla. A jeśli
nawet nie o zaufanie chodziło, to chociaż

o pieniądze, które mógł zaoferować za kawałek użytecznej informacji.

To tu ryzykował własnym życiem –

a z pewnością zdrowiem – podając się za

znajomego z dawnych lat. W dzielnicach takich

jak ta wszystko płynęło w innym tempie. Życie

spływało powolną, dziurawą gondolą wzdłuż

leniwej rzeki. Jedynie śmierć miała przywilej podążania pod prąd, wzdłuż nurtu i w poprzek.

Błądził przez szemrane dzielnice, mijał

zakazane twarze ludzi, którzy cofnęli się nie tylko

w

czasie,

ale

i

we

własnym

człowieczeństwie.

Tkwili

na

etapie

śmietnikowej ery kamienia łupanego, walcząc

o ogień z koksowników. Z czerwonymi

mordami

nowo

narodzonych

trupów

wykrzywiali się w grymasie bólu istnienia.

To tutaj Cornelius będzie musiał na jakiś

czas – dłuższy dla niego od wieczności – stać się jednym z nich.

Dla ciebie, Rito.

Rozdział 49

Carmen zaprzęga Ritę do pracy. Tak fizycznej,

jak i psychicznej.

Zadaniem Rity było wysprzątać dokładnie

całe mieszkanie starej tancerki – tak, by

w żadnym kącie niepodobna było odnaleźć

choćby i jednego kłębka kurzu. Musiała trzy razy dziennie polerować wszystkie zdjęcia

Carmen – a było ich niemało. Wymieniła

żarówki w lampkach, które podświetlały

poświęcone jej samej prywatne sanktuarium

Carmen. Odświeżyła jej toaletkę – pozbyła się

wypalonych lampek w jej gwiazdorskim lustrze

i zastąpiła je działającymi.

Czesła Carmen, masowała ją. Depilowała

woskiem jej ciało. Wyskubywała jej brwi aż do

łysego

łuku

brwiowego,

który

potem

zaznaczała pojedynczym pociągnięciem kredki

– tak jak życzyła sobie tego starucha.

Balsamowała jej ciało różnymi kremami

i wklepywała je w skórę. Tarła ją szczotkami, gąbkami, nakładała maseczki. Farbowała

Carmen włosy, nakładała hennę na rzęsy.

Ale nie tylko. Do zadań Rity należało także

odpowiadanie na wszelkie pytania starej

tancerki.

– Opowiedz mi o swojej ostatniej miłości. –

Carmen uśmiechnęła się złośliwie, podczas

farbowania włosów.

Wyglądała

teraz

jak

blada

żółwica

z workiem na głowie.

– Nigdy nikogo nie kochałam – odparła

gładko Rita, podpalając papierosa dla staruchy

i dla siebie samej.

– Kłamstwo. I to kiepskie – prychnęła

pogardliwie Carmen.

– No jasne. Kocham Stellę. Adalene.

– Oczywiście, że mówię o mężczyźnie. Nie udawaj głupszej, niż jesteś.

Rita sprawdziła na opakowaniu farby przepis, by upewnić się, ile jeszcze czasu preparat ma się utrzymywać na bawełnianych kudłach staruchy.

– Nie kochałam nigdy żadnego mężczyzny.

To była zawsze domena Stelli. Ona kochała wszystkich swoich kochanków. Mnie chodziło tylko o seks.

Carmen rzuciła na Ritę szybkie spojrzenie i trzasnęła ją z całej siły w czoło.

– Au! Cholerna idiotko! Dlaczego to zrobiłaś?!

– To kara za kłamstwo. Jeżeli jeszcze raz skłamiesz, opuścisz moje mieszkanie i nigdy nie dowiesz się niczego o pierścieniu ani o czymkolwiek.

Rita burknęła coś pod nosem, wściekle rozmasowując rumiany ślad na czole.

– Wiem, że kochałaś. I kochasz nadal. Nie pytam cię po to, by się tego dowiedzieć, głupie dziecko, ale po to, abyś dowiedziała się o tym ty sama.

– Bo co? Z zawodu jesteś tancerką ze

szrota, a z zamiłowania psychoterapeutą

altruistą? – prychnęła Rita.

– Niczego nie rozumiesz – zdenerwowała

się Carmen. – Jesteś ślepa jak kret! I tak głupia, że aż się wstydzę. – Wymachiwała

rękoma tak zamazyście, że worek foliowy na

jej głowie szeleścił gniewnie.

– Dlaczego miałabyś czuć wstyd za mnie,

stara wiedźmo?

Carmen uśmiechnęła się złośliwie.

– Gdy się rozebrałaś, wtedy podczas

pierwszego dnia twojego pobytu... nie zdjęłaś

butów, prawda?

– Być może. – Rita wzruszyła ramionami. –

No i co z tego?

– A mimo to wiem, że na najmniejszym

palcu stopy nie masz paznokcia. Czy to

prawda?

Rita

spojrzała

na

staruchę

z zainteresowaniem.

– Zgadza się. No i?

– Założę się, że twój ojciec też nie miał paznokci na najmniejszych palcach stóp.

Rozdział 50

– To niemożliwe. – Cornelius oparł czoło o mur.

W Eskultor nie powinien pojawiać się przez najbliższe pięć lat. O ile w ogóle jeszcze kiedykolwiek może tu zawitać. Był cięższy o trzy tony zmartwień. Chudszy o wszystkie swoje oszczędności i pieniądze skradzione z Depressive. Starszy o jedno obicie nerek i cztery obicia mordy. Był przekonany, że posiwiały mu włosy, a świat umarł.

– To niewykonalne. Nikomu nie uda się tam dostać. Ani mnie, ani Ricie. Jeśli nawet Stella tam jest... to już dla nas przepadła.

Mówią, że Sacerdote jest w istocie łagodny.

Coś jednak musi być z nim nie tak. Potrafi bowiem jedną ręką pielęgnować ukochaną roślinę, drugą zaś bezwzględnie wydawać

wyroki na ludziach, jak żądny rozrywki Cezar

na krwawych igrzyskach. Tyle że dla

Sacerdote'a zabić człowieka to nie jest

rozrywka. To jest interes, biznes. Wymaga

przemyślanych decyzji, planowania, strategii.

Silnych przeciwników wspiera się, dopóki ci nie

zagrażają.

Słabych

się

zmiata.

Niebezpiecznych eliminuje.

Sacerdote opisywany jest jako wielki

miłośnik zwierząt, jeszcze większy może

nawet – roślin. Wspaniały kurator sztuki,

mecenas wielu uzdolnionych artystów.

Mówią, że Sacerdote ponad wszystko

miłuje spokój. Kocha ciszę, a nad nią

przedkłada jedynie dobrą muzykę.

Powiadają, że w jego domu nie ma ani

jednego sprzętu elektronicznego, że nie

ogląda telewizji, nie słucha radia, gardzi

komputerami, telefonami.

Sacerdote

—

mówią

–

nienawidzi

okablowania i żył wodnych. W gruncie rzeczy to spokojny człowiek – powiadają.

– Dlaczego wszedłeś w moje rośliny? –

spytał Sacerdote, siedząc w swoim fotelu.

Mężczyzna, któremu zadał pytanie, stał

twarzą do niego. Przytrzymywany był jedynie

przez jedną z westalek, jak nazywał je

Sacerdote. Nie potrafił jednak wyswobodzić

się z uścisku jej szczupłych palców. Sława

bezwzględności Sacerdote'a i jego świty nie

pozwaliała mu wykonać choćby jednego

fałszywego ruchu.

– Sacerdote, ja...

Starzec uniósł nieznacznie brwi, co wyrażało dezaprobatę, i westchnął. Nie lubił, gdy ktoś się jękał. Nie przepadał za tymi, którzy nie potrafią jasno sformułować myśli.

A nade wszystko – nie znosił tchórzy.

– Nie pytałem, kto zniszczył moje rośliny,

tylko dlaczego zrobiłeś to właśnie ty. Lub –

jeśli wolisz – dlaczego zrobiłeś właśnie to.

– Sacerdote, ja... – wyjąkał spocony

mężczyzna.

Starzec spojrział na niego ze zdwojonym

niesmakiem. Dzięki niemu przypomniał sobie,

że nie znosi jeszcze jednej rzeczy na świecie.

Potu. I towarzyszącego mu smrodu. To

w zasadzie dwie rzeczy. A przesłuchiwany

przez niego człowiek był zarówno spocony, jak

i śmierdzący.

Sacerdote czuł do niego silną niechęć.

Westchnął jak sprawiedliwy ojciec, który

zmuszony jest wymierzyć synowi niechcianą

karę.

– Skoro podeптаłeś moje rośliny –

powiedział, zdjawszy pyłek kurzu ze swojego

biurka – to ja, niestety, muszę podeптаć ciebie.

Mężczyzna zaczął jęczeć, co wywołało

jedynie ten efekt, że westalka zakryła mu usta

kneblem.

– Przypomniałeś mi dziś o tak wielu

sprawach, których nie lubię. Teraz doszła jeszcze jedna. Nie znoszę, gdy ktoś się przede

mną płaszczy. – Chwycił w dłoń złotą konewkę

w kształcie lampy Alladyna i podlał stojący obok kwiat. – Nieomal straciłem wątek.

A mówiłem przecież, że będziesz musiał

zostać podeптany za to, że zniszczyłeś moją rabatkę. Musisz wiedzieć, że była dla mnie

bardzo cenna. Przywiózł mi ją pewien

człowiek, którego później musiałem zabić. Ta rabatka więc to jedyne, co mi po nim

pozostało. Bardzo rzadkie kwiaty, musisz

wiedzieć. Skradzione z lasów deszczowych.

Przez nie zginęło troje kolejnych ludzi –
przemytnik przez rzekę, przemytnik przez
granice i dostawca. Bardzo wymagające
kwiaty, które jednak – jak zapewne zauważyłeś
– rosły w moim ogrodzie bez szklarni, bez
specjalnego nawadniania. Nie lubiły tylko
jednej rzeczy. Gdy się po nich depcze.

Mężczyzna zaczął po cichu płakać. Chciał
ukłknąć na kolana, lecz westalka go
powstrzymała. Sacerdote spojrzał na niego
z niesmakiem.

– Czy tak bardzo nudzi cię moja opowieść,
że aż się mazgaisz? – Przeszedł parę kroków,
trzymając luźno skrzyżowane ręce za plecami.

– Podeptałeś te kwiaty, ponieważ byłeś pijany.

Bawiłeś się w moim Salonie Gier. Tam się schlałeś, jak licealista. Wyszedłeś z mojego domu i,
odurzony etanolem, podeptałeś moje
rabatki. Za to wymierzam ci karę. Zostaniesz
podeptany. I na zawsze wydalony z kręgu
przyjaciół Casa Sacerdotal.

Mężczyzna

nie

dał

się

dłużej

przytrzymywać westalce. Opadł na kolana

i począł rzeźić przez knebel.

– Moja droga, bądź tak łaskawa i zabierz

go stąd – odparł ze spokojnym niesmakiem

Sacerdote, jakby prosił kogoś o wywabienie

plamy.

Sacerdote trzymał się doskonale, jak na swój

wiek. Jakikolwiek by nie był. Nikt bowiem nie

potrafił stwierdzić, ile starzec ma lat. Twarz jego poorana była licznymi zmarszczkami,

jednak ciało pozostawało żylaste, jak u starego

tygrysa. Nigdy nie widziano go w jakimkolwiek

ubraniu

poza

garniturem.

Czarnym

–

eleganckim. Lub białym – lnianym.

Nie rozstawał się także ze swoim

kapeluszem – czy też kapeluszami, które
wyglądały jak staroświeckie nakrycia głowy
dżentelmenów

z
najwyższych

sfer
towarzyskich.

Dom jego był w istocie dużym dworem,
w którym przestrzeń mieszkalna samego
Sacerdote'a zajmowała stosunkowo niewielką
część. Nikomu „z zewnątrz” nie wolno było
budowli tej ujrzeć z bliska. Do Casa

Sacerdotal zbliżyć się mógł tylko ten, kto
otrzymał od starca zaproszenie. A zaproszenie
takie upoważniało delikwenta do ujrzenia
drzwi wejściowych od zewnątrz. I do niczego ponadto.

Zabawiała go tam rozmową urocza
westalka. Mógł powąchać krzewy róż, które
w wielkiej obfitości kwitły przed wejściem.

Mógł komentować piękno budowli, rozmach,
z jakim ją wykonano, styl, z jakim urządzono jej otoczenie.

Ci, którzy wzbudzili szczególne zaufanie
w
konserwatywnej

psychice

starca,

otrzymywali pozwolenie na przekroczenie

progu. Mogli tu oczekiwać, aż dostąpią

zaszczytu

zaproszenia

do

dalszych

pomieszczeń.

Tego

zaproszenia

jednak

zdecydowana

większość

nigdy

się

nie

doczekała. Ich jedyną rozrywką pozostawało

wtedy przesiadywanie w obszernym korytarzu

i rozmowa z kolejną westalką – tym razem

zabawiającą gości w korytarzu.

W tym pomieszczeniu rozrywki gościa były jednak

znacznie

rozleglejsze.

Przede

wszystkim – na specjalnym drągu siedziała tu przepiękna, czerwona ara, która zagadywała

gościa uprzejmymi zwrotami, zachęcana przez

westalkę dającą jej w zamian krakersy. Po

drugie mógł podziwiać ogromnych rozmiarów

choinkę bożonarodzeniową – przystrojoną

najprawdziwszymi szlachetnymi kamieniami

oraz

ozdobami

wykonanymi

ze

złota

najwyższej

próby.

Choinka

ta

stała

w korytarzu przez cały rok i nikt – nawet westalka, która przebywała w korytarzu – nie

potrafił powiedzieć, dlaczego Sacerdote tego

właśnie sobie zażyczył, mimo że nigdy nie

obchodził Bożego Narodzenia, podobnie jak

nie obchodził żadnych świąt poza własnymi

urodzinami.

Większość

gości

oczekujących

w korytarzu siadało prędej czy później na antycznej, wyjątkowo wygodnej kanapie, którą ustawiono tu naprzeciwko gadającej papugi.

Niektórzy czuli się dziwnie lub nieswojo, ponieważ, gdy odpoczywali na owej kanapie, dotykali niemal głową starych sanek, które zawieszono tu na ścianie tuż nad sofą i zarazem obok wielkiego miecznika – wypchanego i lśniącego. Westalka opiekująca się papugą, pytana o historię sanek oraz miecznika, informowała

chętnie

z wystudiowaną uprzejmością, że:

–

Sanki

te

należały

do

wielkiego

Sacerdote'a, gdy ten był jeszcze małym chłopcem. Rybę tę zaś złowił, ukończywszy lat dwanaście.

– Dwanaście?! – mówili zwykle goście. –

Przecież

to

bydlę

jest

większe

od

jakiegokolwiek dwunastolatka czy nawet

piętnastolatka.

Westalka uśmiechała się z uprzejmym

dystansem i z chęcią informowała:

– A jednak tak było.

Znudzony

długotrwałym

oczekiwaniem

w korytarzu gość często wstawał w końcu

z kanapy. Wykończony jazgotem papugi

i uprzejmością westalki. Zmęczony patrzeniem

na przeciwległą ścianę oraz „bezcenne dzieło sztuki namalowane przez jednego z artystów,

którego patronem jest wielki Sacerdote” – jak

dowiadywał się od westalki.

Nawet najmniej spostrzegawczy gość po

pewnym czasie zauważał, że w korytarzu –

poza drzwiami wejściowymi – znajdują się

jeszcze dwie inne pary. Jedne prowadzące do pomieszczenia znajdującego się po lewej

stronie, drugie – do tego po prawej.

W korytarzu lśniły również wypolerowaną gładkością schody prowadzące na piętro

budynku. Tam jednak nie wchodził niemal nikt

poza samym Sacerdotem.

Naprzeciwno

drzwi

wejściowych

znajdowało się ogromne, wypełniające całą

dostępną ścianę, okno wychodzące na tyły

dworu. Przez okno to pozwalano ciekawskim

gościom

wyjrzeć.

Widzieli

wtedy

najpiękniejsze zaplecze dworu, jakie mogli

sobie wyobrazić. Patrzyli na błyszczącą tafelę stylowego

basenu,

na

środku

którego

znajdowała się wysepka. Na niej zaś piły wodę

trzy kamienne smoki. Tu też znajdowały się

poходnie, które – jeśli gość wykazywał

wystarczającą cierpliwość i zostawał do nocy –

płonęły pomarańczowym, drgającym ogniem.

Przy basenie znajdowała się obfitość

najpiękniejszych, najbardziej egzotycznych

roślin, które zresztą pięły się przed oknem tak

gęsto, że gość nie dostrzegał zza nich zbyt wielu widoków poza fragmentem pięknego,

stylowego basenu oraz kilkoma kamiennymi

ławkami usadowionymi dookoła niego wraz ze

starorzymskimi rzeźbami.

Niektórzy spośród gości wyglądali na tyły

domu akurat wtedy, gdy tętniło tam życie.

Widzieli wtedy pięknych ludzi – bawiących się

doskonale w basenie i przy nim. Popijających wykwintne drinki i jedzących ekskluzywne,

małeńkie posileczki roznoszone przez piękne

Westalki. Goście ci wtedy – choćby mieli

psychikę ze stali – czuli gdzieś na dnie swoich

potrzeb – z drugiej strony dziecięcych

pragnień, że chcieliby tam właśnie teraz być.

Tak właśnie teraz się bawić – z tymi pięknymi

ludźmi, którzy muszą być od nich po stokroć lepsi, skoro dostąpili takiego zaszczytu, by bawić się doskonale tam – nad tym basenem –

skryci za bujną roślinnością przesłaniającą

gościowi znaczną część widoku. Goście ci czuli

się w takich chwilach bardzo źle – wiedzieli, że

są ludźmi gorszej kategorii, że nie zasługują na to, co właśnie ukazuje się ich oczom.

Większość z nich dziękowała wtedy westalce

oraz jej papudze i wychodziła, by nigdy nie wrócić.

Inni postanawiali, że poświęcą swoje

życie, godność i honor, by stać się tymi, kim byli piękni ludzie znad basenu. Mimo iż

przybywali do Casa Sacerdotal w wiadomym

celu – by grać i zostać włączonymi do turnieju

– to jednak tam, w tym korytarzu, nagle

jedynym, na czym zaczynało im zależeć, było dołączenie

do

tych

pięknych

ludzi.

W jakimkolwiek celu. Ci zapraszani byli

najczęściej

do

drzwi

prowadzących

do

pomieszczenia po prawej stronie korytarza.

I nigdy już później nie było im dane ujrzeć innego pomieszczenia.

Tu, gdzie trafiali, znajdował się pokój

nazywany

przez

westalki

Salonem

Artystycznym.

Zapychał

on

ambicję

zaproszonych tu gości, jak balon z powietrzem

zapycha żołądek chorobliwie otyłej osoby. Jego

piękno i ekskluzywność pozwalały gościowi

przekonać samego siebie, że w zasadzie

zawsze pragnął dostać się właśnie tu – nigdzie

inziej. Został przecież zaproszony gdzieś

dalej niż do korytarza.

Osoby

te

nigdy

nie

spotykały

się

z Sacerdotem twarzą w twarz. Zwykle do końca swego życia pozostawali nieświadomi, jak ten człowiek w ogóle wygląda.

W swoich kręgach mogli jednak szczyścić się tym, że mają otwarte zaproszenie do Casa Sacerdotal, że nie muszą siedzieć w korytarzu, że sam Sacerdote liczy się z nimi.

Salon Artystyczny był właśnie wizytówką Sacerdote'a, jego oficjalną twarzą. Maską, co do której nikt nawet nie trzymał się, by przylegała jak należy. Nie miało to bowiem znaczenia.

Oficjalnie

Sacerdote

był

mecenasem

sztuki. Toteż i Salon Artystyczny stanowił

manifestację

architektoniczną

jego

powierzchowej osobowości.

Gości zabawiała tu uprzejma, piękna
westalka o niezwykle rozległej wiedzy na
temat rozmaitych dziedzin sztuki – od
malarstwa, przez fotografię, aż po muzykę.

Jeśli tylko gość miał ochotę, grała na pięknym
i ogromnym fortepianie, a wydawało się, że
potrafi zagrać wszystko. Chętni mogli tu
malować na oczekujących płótnach lub po
prostu
przesiadywać
przed
kominkiem
i wsłuchiwać się w muzykę westalki przy
akompaniamencie – lub bez – mieszkającej tu papugi,
białej
kakadu,
która
chętnie
odśpiewywała kawałki muzyczne za ciastko.

Również z okien tego pomieszczenia gość
mógł przypatrywać się dostrzegalnym zza
bujnej roślinności zabawom pięknych ludzi nad

basenem. Nie mógł już jednak ludzić się, że kiedykolwiek do nich dołączy. Przejście do

Salonu

Artystycznego

oznaczało

bowiem

decyzję o ukazaniu mu oficjalnej wersji Casa Sacerdotal. I tylko jej.

Nachalni goście pytali czasami westalkę

grającą na fortepianie, dlaczego nie mogą

wejść do pomieszczenia po lewej stronie

korytarza. Lub bawić się nad basenem.

– W czym tamci ludzie są ode mnie lepsi? –

dopytywali się.

Westalka uśmiechała się ze służbową,

przesłódką uprzejmością i odpowiadała:

– Ależ ci ludzie nie są w niczym lepsi od pana. Nad basenem przebiega kameralna

uroczystość,

którą

wielki

Sacerdote

organizuje dla najbliższej rodziny.

Było to kłamstwo tak jawne, że westalka

nie wysiłała się nawet, by ukryć kpiący

uśmieszek.

– A dlaczego w takim razie nie wpuścicie

mnie do Salonu Gier? Tam chyba nie bawi się

jego „najbliższa rodzina”?

– Jeśli nie podoba się panu gościnność
wielkiego Sacerdote’a, proszę opuścić jego
dom.

To

by

było

wszystko,

jeśli

chodzi

o dyskusowanie z westalkami na tematy inne
niż sztuka, filozofia lub wystrój wnętrz.

Pośród

zapraszanych

do

progu

Casa

Sacerdotal gości wyróżnić można było jeszcze

jeden ich typ. Byli to po pierwsze ci, co do których Sacerdote żywił jakiegokolwiek –

najskromniejsze nawet, ale realne – nadzieje dotyczące przyszłych wspólnych „interesów”.

Po drugie zaś ci, którzy po wielokrotnym odwiedzeniu korytarza Casa Sacerdotal wciąż i wciąż na nowo tam przychodzili. Nie marzyli jednak o basenie z pięknymi ludźmi. Nie dawali się zwieść jego zwodniczemu urokowi. Ludzie ci mieli wytyczony cel. I jego się trzymali – przejść przez drzwi prowadzące do pomieszczenia po lewej stronie korytarza.

Przejść do Salonu Gier.

Ci

najwytrwalsi

zapraszani

byli

do

pomieszczenia, którego pragnęli od lat: do

przedproża Piekieł, które im zdawało się być bramą samego Raju. Dopuszczonych do tego

niebывałego

zaszczytu

gości

zapraszała

kolejna westalka, kłaniająca się szczęśliwcom przy samym wejściu. Chętnym oferowała

wybór

dowolnego

drinka

—

a

znała

prawdopodobnie tysiące przepisów na napoje z całego świata. Zaplecze będące istnym alkoholowym rogiem obfitości pozwalało jej przyrządzać drinki wedle życzeń najbardziej wybrednych gości.

Wchodzących do Salonu Gier urzekała niespotykana cisza. Przebywająca tu westalka nie zabawiała ich już rozmową. Nie było gadającej papugi. Tylko kominek i gry. Zapach trzaskających drewn uzupełniała cudowna woń wypolerowanej drewnianej podłogi oraz ciemnoczekoladowych ścian wyłożonych jednolitymi płytami drewna.

Grano tu w bilard na dostojnym stole

wyłożonym

czerwonym

materiałem

i wykończonym złotem. Grano w madżong,

w tobę, w szachy, w co tylko sobie zażyczono.

Zasady były tylko dwie. Po pierwsze –

wszystkie

gry

obstawiane

są

wysokimi

stawkami

w

gotówce,

kosztownościach,

nieruchomościach, żonach lub kochankach. Po

drugie – zabroniona jest gra w pokera.

Oczywiście

wszyscy

pragnęli

tylko

jednego: rozegrać wreszcie turniej pokera,

który tu – w Casa Sacerdotal – oznaczał

znacznie więcej niż to, co kryje się za zwykłą karcianą

rozgrywką.

Poker

stanowił

kwintesencję pragnień przybyłych tu graczy, to

dla niego brnęli przez trudności, to przez

niego

tracili

majątki

w

Salonie

Gier,

przegrywali tu swoje życiorysy i starzeli się –

tracąc czas na pozwolenie – pozwolenie

przejścia

do

ostatniego

pomieszczenia

osiągalnego dla prawdziwych graczy.

Do Klubu Pokera.

Tymczasem

pozwolenie

nadchodziło

opieszale

albo

nie

nadchodziło

nigdy.

Najczęściej gracze Salonu Gier pozostawali

w nim aż do utraty wszelkich środków. Tracili wszystko, co mieli. Tracąc to zaś, nie mogli dłużej grać. Byli zatem wypraszani po to, by już nigdy nie dostąpić zaszczytu gościny

w Casa Sacerdotal. Część z nich – byli to głównie

gracze

niezwykle

majątni

–

przychodzili do Salonu Gier przegrywać lub

wygrywać swoje pieniądze aż po kres swoich

dni. Oczekiwali w ten sposób na zaproszenie do Klubu Pokera, które nigdy nie nadchodziło.

Grając w Salonie Gier, przegrywali swoje

własne

życie,

aż

w

końcu

uzyskiwali

zaproszenie

od

najbardziej

cierpliwej

i konsekwentnej spośród wszystkich westalek

tego świata – od śmierci.

Zdarzało

się

zatem,

że

po

latach

odwiedzania Salonu Gier gracze starzeli się

przy swoich rozgrywkach, życie uchodziło

z nich stopniowo, aż w końcu, bywało, umierali

przed płonącym kominkiem Salonu Gier,

usadowieni na wygodnej kanapie sprzed pięciu

wieków. Niekiedy oddawali ducha podczas gry,

wsparci policzkiem o stół do madżonga. Nie

rezygnowali – nigdy nie odchodzili z własnej woli. Jeśli zaszli tak daleko – nie tyle nawet nadzieja, co pusta ambicja i próżność, kazały im czekać na zaproszenie w dalsze progi – aż

do śmierci lub utraty wszelkich środków. Nikt

z pozostałych graczy nie zauważał jednak śmierci. Była stosunkowo częstym gościem

tego dworu, toteż potrafiono tuszować jej

ślady niezwykle szybko.

Zaskakująco silne, jak na swoją posturę,

westalki przychodziły, by odprowadzić gościa

w ostatnim pochodzie, i nikt niczego nie

zauważał.

Pozostali kontynuowali swoje rozgrywki,
spoglądając co jakiś czas w stronę drzwi,
przez które – jak wiedzieli – wychodziło się z Salonu Gier i zarazem wkraczało do Klubu Pokera.

Były

to

jedyne

drzwi

dolnej

kondygnacji dworu, przy których nie stała
uprzejma westalka, ale strażnik. Człowiek
niemal martwy. Nie ruszał się bowiem, nie
drgnął nawet palcem. Zdawało się – nie
oddycha. Oddychać jednak musiał. Kiedy
bowiem do drzwi zbliżył się ktoś, kto nie został
zaproszony, strażnik wymierzał mu zasłużoną
karę. Na tyle srogą, że wieści o niej roznosiły
się niewiadomymi drogami wśród wszystkich
chętnych do odwiedzenia Casa Sacerdotal.

A jednak byli i tacy, do których w pewnym
– najpiękniejszym, jak sądzili, dniu ich życia –
podchodziła dyskretnie westalka, nachylała się
i szeptała wprost do ucha:

– Czy zechce pan przyjąć zaproszenie do
Klubu Pokera?

Gracz
przestępował
próg
Rajskiego
Ogrodu,
gdzie
–
urzeczony
zapachem
przywodzącym na myśl najpiękniejsze chwile
dzieciństwa,
oczarowany
muzyką,
która
płynęła gładko po całym pomieszczeniu –
witany był przez westalkę oczekującą przy
samym wejściu z wielką księgą gości,
rezerwacji oraz propozycji.

Nad rajem tym sprawował władzę jeden

tylko pan na Olimpie – osamotniony, antyczny bóg tego domu – Sacerdote. To właśnie jego pomieszczenia mieściły się na piętrze Casa

Sacerdotal, na które wchodziło się schodami

strzeżonymi tak pilnie, że w ciągu roku bywało

tu ledwie kilka osób.

Całą prawą stronę piętra zajmowała

największa prywatna biblioteka w kraju –

licząca więcej zbiorów, niż przeciętni ludzie zdołają przeczytać za życia. Na środku

biblioteki

ustawiono

zabytkowy

stół

z ciężkiego, naturalnie pociemniałego ze

starości drewna, a wokół niego obijane

muślinem krzesła.

Sacerdote

przyjmował

tu

niezwykle

rzadko

swoich

nadzwyczaj

znamienitych

partnerów

w

interesach

–

wtedy,

gdy

konieczne było odbycie narady lub ustalenie,

kogo tym razem należy „usunąć z pola widzenia”.

Pozostałą

część

rozległego

piętra

zajmowały dwa prywatne pokoje Sacerdote’a,

do których nie wpuszczano niemal nikogo.

Pierwszym z nich był gabinet wyposażony

w rzadko używane w takich pomieszczeniach

sprzęty.

Obok

staroświeckiego

biurka

spoczywała na drągu ogromna albinotyczna

ararauna. Niedaleko niej prężyło się dumnie

wyższe od człowieka, rozległe i niezwykle

zdobne terrarium, w którym zapalało się

niebieskie bądź czerwone światło. Trwała

susza lub spadał delikatny opad – w zależności

od wymaganych warunków. Terrarium to – tak

ogromne – w istocie wydawało się być puste.

Jedynie Sacerdote wiedział, co w nim mieszka

i cenił to „coś” bardzo wysoko. Przedziwną

atmosferę

tego

miejsca

uzupełniał

miniaturowy

ogród

botaniczny,

który

Sacerdote

nazywał

oazą.

Fontannę

przedstawiającą

naturalnych

rozmiarów

antyczną Dianę, wylewającą z naczynia wodę,

otaczały egzotyczne rośliny tak dorodne, iż

wydawało się, że są sztuczne.

Z gabinetu Sacerdote'a wejść można było

już tylko do dwóch pomieszczeń: na prywatny

taras oraz do ogromnej łaźni, w której starzec

uwielbiał przebywać.

Sypialni Sacerdote nie posiadał.

Rozdział 51

Matylda obserwowała pociąg, który wjeżdżał
właśnie na peron. Wraz z nim do oczekujących
podróżnych dotarł silny powiew powietrza.

Zawładnął

na

moment

lekkimi

włosami

Matyldy, objął jej oblicze, zmusił do zmrużenia

oczu.

Pociąg

lśnił

w

pełnym

słońcu.

Był

majestatyczny i masywnie doskonały. Brudny

po bokach – lśniący przy dachu. Z próżną

dumą spoglądał na podróżnych swoimi dużymi

szybami. Matylda podziwiała go nie jak środek

transportu, ale jak wektor przeznaczenia. Za moment wyznaczy jego bieg, kierunek i zwrot.

Ubrana była niemal jak bohaterka starego

westernu – w długą kiecę z falbaniastą halką, którą dostała od Tuli, i lśniące sznurowane botki za
kostkę. Brakowało jej tylko kapelusza

wiązanego pod brodą i podróżnego kufra.

Podciągnęła materiał sukni, by wsiąść do pociągu, obejrzała się po raz ostatni za siebie.

Wiedziała, że teraz nie ma już odwrotu.

Rozdział 52

Ofelia leżała na wznak w sadzie za domem

Adaleny, czując, jak trawa pod dłońmi

przyjemnie łaskocze ją w skórę.

Nagle poczuła dziwny zapach. Dziwny, bo inny – nie była to ani woń dojrzewających nad nią jabłek, ani trawy, ani pobliskiej rzeki.

Jakby

garażowa

woń...

smaru?

Zapach

pociągu.

Specyficzny

zapach

wszystkich

pociągów tego świata.

Z drzwi prowadzących do sadu wyjrzała

Ide. Ofelia podniosła głowę, spojrzała na nią.

Stara

kobieta

patrzyła

pytająco

na

dziewczynkę, która dopiero po chwili jakby
zrozumiała. Jej usta wykrzywiły się w uśmiech.

Przytaknęła.

– Jedzie – powiedziała Ofelia.

Ide zatarła ręce.

– Zła wiadomość dla kuropatw – odparła.

Szarobrunatne pióra ptaka lśniły w zniżającym

swój lot słońcu. Drobne, bystre oczka

kuropatwy

obserwowały

stojące

przed

zagrodą kobiety. Samica spoglądała na nie to

jednym, to drugim okiem – zaciekawiona dużym, metalicznie połyskującym narzędziem

trzymanym w dłoni przez starą kobietę.

– Czy nie da się tego zrobić jakoś...

bardziej humanitarnie? – jęknęła Ofelia,

zerkając na tasak.

– Nie ma nic bardziej humanitarnego, moje

dziecko.

Ide wkroczyła do kuchni, trzymając za szyję

zwisającą martwo kuropatwę.

– Śpiewaj coś pięknego i pomóż mi –

poleciała Ofelii.

Stara kobieta i dziewczynka były już tak

przyzwyczajone do wspólnego gotowania, że

poruszały się w kuchni jak jeden organizm

o

dwóch

ciałach

–

miarowym

ruchem

wielokrotnych przemieszczeń, nigdy sobie

nawzajem niewadzących.

Ofelia nie musiała już pytać, co ma

pokroić, co wycisnąć, których ziół dodać, jaki słoik wyjąć ze spiżarni. Posługując się swoją własną intuicją, przewidywała każde kolejne

polecenie Ide.

Ide oparzyła i oskubała kuropatwę, nie

pozwalając Ofelii robić przerwy w śpiewaniu.

Dziewczynka

wydobywała

przyprawy

z wonnych strąków roślin przywiezionych

dawno

temu

jeszcze

przez

Adalene,

przygotowywała rabarbar, wyciskała sok

z cytrusów, wytapiała masło, prażyła migdały.

Do rozgrzanego piekarnika należało najpierw

wrzucić pióro kuropatwy i małą kępę

włosów. Gdy palony swąd rozniósł się po

kuchni,

Ofelia

zmieszała

łyżkę

miodu

z imbirem, ugniotła je na plastyczną kulkę. Nie

czekając już na pozwolenie Idy, wrzuciła

zlepek

do

piekarnika.

Zasyczało,

zaśmierdziało. I zamieniło się w przepiękną

woń.

– Nie płacz – śmiała się Ide.

– To ty się nie śmieję – łkała Ofelia, wiedząc,

że reakcja obu kobiet jest normalna. Dopiero teraz można było rozpocząć pieczenie.

Ofelia zebrała dwie łyży – potarła nimi

brytfannę z kuropatwą, do której napchały

wcześniej

gorzkawej

masy

kakaowej

z migdałami. Ide przed wstawieniem do

piekarnika raz jeszcze natarła kuropatwę

miodem. Spojrzenia niespokrewnionych ze

sobą przedstawicielek tej samej rodziny

spotkały się – wyrażały zgodę i zdecydowanie.

Obie chwyciły brytfannę i wstawiły ją do

rozgrzanego, wonnego brzuszyśka piekarnika.

Usadowiły kuropatkę w wygodnej pozycji i zamknęły wrota. Ofelia spojrzała na swoją przyjaciółkę z pytającą niepewnością.

– Będzie dobrze, zobaczysz. – Ide

uśmiechnęła się.

Usiadły razem przy stoliku kuchennym,

ocierając pot z czoła i obserwując kuropatkę przez szybkę w drzwiach piekarnika. Do

kuchni weszła bosa Satriza, paląca wonny

tytoń. Przytaknęła z aprobatą i postawiła na stole flaszkę piołunówki. Ide rozlała ucziwe porcje do trzech kieliszków. Westchnęła

ciężko.

– Przynajmniej jedna z nas musi wytrwać

do samego końca pieczenia – zaśmiała się

nerwowo.

Ofelia i Satriza spojrzały na siebie

nawzajem.

– A co, jeśli mamie się nie uda? – spytała Ofelia.

Satriza syknęła na dziewczynkę jak

zdeenerwowana kocica.

– No co? To chyba możliwe...

– Nie wolno nam tak nawet myśleć –

odparła smutno Ide.

Rozdział 53

Matylda czuła na twarzy powiew wiatru.

Wyglądała przez uchylone okno pociągu, który

powoli zwalniał, zbliżając się do stacji – jednej z wielu – w niewielkim miasteczku, w którym wysiada niewiele osób.

Dla Matyldy była to jednak stacja

docelowa – jej cel i zarazem największe

wyzwanie. Wystarczyło przymknąć oczy, by

przypomnieć sobie, jak wiele lat temu jeździła

takim samym pociągiem i wysiadała na tej

samej stacji.

Matylda jest dzieckiem, jest nastolatką,

jest młodą kobietą. Wsiada do pociągu nieco zdziczała, jakby zdrętwiała – niedostępna. Wie

jednak, że gdy z niego wysiądzie, spotka

otwarte ramiona Adaleny. Dotknie miękkich

włosów swoich przyrodnich sióstr, łyknie

lemoniady, położy się na trawie, odetchnie

wakacjami, słońcem i rodziną. Zamieni się

w inną osobę.

Miarowy turkot pociągu przemierzającego

kolejne kilometry torów to dla Matyldy droga do własnej tożsamości – furtka do serca, które

na co dzień spoczywa pod tonami gruzu.

Wyjazd na wakacje do domu Adaleny był

przecież jedynym, na co warto było czekać.

Tylko święta spędzone z siostrami miały

jakikolwiek sens. Tylko tu Matylda czuła, że żyje naprawdę.

Dlaczego pozbawiła tego wszystkiego

Ofelii? Dlaczego skazała ją na normalność,
która w dodatku nie wypaliła? Jak mogła
odebrać swojej córce to wszystko, co miało dla
niej samej tak wielką wartość? Przecież nie odeszła, żeby uciec. Tak naprawdę zrobiła to,
by ukarać Adalenię i swoje siostry. By zemścić
się za własne cierpienie. Jakie to małoduszne,
Matyldo... Chciałaś odejść tak, jak odszedł
twój ojciec – chciałaś, by ktoś poczuł ten sam cios, który zranił ciebie.

– Brawo, zemściłaś się na tych, którzy cię
kochali – szepnęła Matylda. – I na swojej
niewinnej córce.

Zamknęła

oczy

–

słońce

ogrzewało

chłodzoną

powiewem

twarz.

Matylda

poznawała śpiew pociągu, który przypominał

pieśń mechanicznego wieloryba. Rozumiała

również jego treść – zbliżają się do celu.

Jeszcze kilka obrotów stalowego cielska

i będą na miejscu. Wbiła paznokcie w udo.

Pociąg zwolnił i zaskrzypiał.

Wstała ze swojego miejsca, podeszła do

wyjścia. Przez otwarte drzwi wskoczył na Matyldę promyk światła i powiew miasteczka

Adaleny.

Postawiła

niepewnie

stopę

na

schodku, zawahała się.

– Dalej, Matyldo. Dalej – szepnęła do

siebie.

Lecz

niepewność

zatrzymała

ją

na

peronie. Przełknęła ślinę i nagle... na końcu języka... Nie, wydawało jej się.

Zakrzuszyła się. Coś drapało ją w gardło.

Kaszlnęła. Miała coś małego i drażniącego

w ustach. Chrząknęła raz jeszcze i wypluła na

dłoń niewielkie coś. Ze zdziwieniem podniosła

to wyżej, by lepiej mu się przyjrzeć. Było to małe piórko. Było to piórko kuropatwy.

Matylda spojrzała w kierunku domu Adaleny.

I puściła się do niego biegiem. Przebierała prędko nogami, wiedząc, że jest to konieczne.

Że musi dotrzeć na miejsce jak najszybciej.

Po chwili zza horyzontu wyłoniło się
niewielkie wzgórze, na którym znajdował się
dom Adaleny. Ogródek przed wejściem,
drzewa sadu za domem. Ganek, fotel bujany.

Matylda pozwoliła niespodziewanym łzom
spływać po policzkach i biegła dalej, aż
usłyszała własne kroki na drewnianej podłodze
ganku.

W bujonym fotelu spała jak kamień Ide,
wokół której unosiła się odurzająca woń piołunówki. Matylda weszła do domu, skręciła
bez wahania do kuchni i zastała tam swoją
córkę.

Ofelia
stała
przed
piekarnikiem
w fartuchu kuchennym i dwóch rękawicach
chroniących
przed
gorącym
wyciąganej
właśnie brytfanny z pieczenią. Wydoroślała

przez ten czas o co najmniej kilka pokoleń.

Posiadła mądrość starości i narodziła się na nowo. Jej córka – Ofelia.

Podniosła jasny wzrok na swoją matkę

i uśmiechnęła się dokładnie tak, jak czyniła to

Adalena. Otworzyła ramiona gestem swojej

przyszywanej

babki

i

przyjęła

w

ich

schronienie Matyldę. Obie kobiety kołysały się

wzajemnie przez długi czas. Matylda chciała ją

przeprosić, chciała z nią porozmawiać,

wytłumaczyć jej. Zrozumiała jednak, że to było

bezcelowe. Jej córka rozumiała teraz więcej, niż Matylda kiedykolwiek byłaby w stanie jej wyjaśnić.

Nikt nie mógł oprzeć się pobyтови w domu

Adaleny. Matylda nie miała pojęcia, czy to

kobiety

wytłumaczyły

wszystko

Ofelii,

pozwoili jej zrozumieć, czy też dziewczynka sama do wszystkiego doszła, ogrzewana

cieplem tego miejsca. Nie miało to żadnego

znaczenia. Jedyne, co w tej chwili liczyło się

dla Matyldy, to gorące policzki jej córki.

– Siądźmy do obiadu, mamó – szepnęła

w końcu Ofelia we włosy swojej matki. –

Musisz zjeść, a potem trochę odpocząć.

– Tak, masz rację – odpowiedziała

i pomogła jej przygotować stół.

Ofelia zawołała Satrizę i Ide, która, ledwo

trzymając się na nogach, przyczłapała do

jadalni. Kobiety przywitały Matyldę z radością

i ulgą.

– Nawet nie wiesz, ile wysiłku nas

kosztowało sprowadzenie cię tu – czknęła

piołunówką Ide.

Ofelia

wniosła

parujące

tańczącymi

obłokami potrawy i ustawiła je na stole

w konfiguracji, do której przywiązywała tak

dużą wagę, jakby to były konstelacje gwiazd, a nie półmiski obiadowe.

– Gdzie jest Adalena? – spytała Matylda,

nakładając sobie porcję na talerz.

– Adalena odeszła. Nie ma jej. Nie ma jej –

tak jakby nigdy jej tu nie było – odparła poważnie Ide.

– Co masz na myśli? – dociekała Matylda. –

Co to znaczy: „odeszła”?

– Jedz, mamó – szepnęła Ofelia.

– Po prostu – odparła Ide. – Odeszła.

Zaginął po niej wszelki ślad. Jakby nigdy jej tu

nie było – powtórzyła Ide, nakładając również i sobie.

Matylda zacisnęła pięść na widelcu.

– Nie mogła tak po prostu odejść.

Potrzebuję jej. Potrzebuję jej rady – bez tego nie potrafię ruszyć dalej.

Matylda wzięła pierwszy kęs. Kuropatwa

była... tak doskonała, że kobieta, nie bacząc ani na maniery, ani na brak głodu, zaczęła pochłaniać coraz większe kawałki, łykając je niemal w całości.

–

Czy

jesteś

pewna,

że

Adalena

kiedykolwiek tu była? – spytała Ofelia,

uśmiechając się.

– Nie pleć bzdur, kochanie. Oczywiście, że

jestem pewna. Co to za głupoty...?

Ide przełknęła swoją porcję.

– Czy jesteś absolutnie pewna? Że ona tu

kiedykolwiek mieszkała?

– Tak. Co wy próbujecie ugrać? –

parsknęła Matylda z pełnymi ustami.

– Jak wyglądała? – Ide uśmiechnęła się.

Matylda

nie

zdążyła

przełknąć

poprzedniego kęsa, a już wkładała do ust

kolejny.

– Była... stara.

– Ale jak wyglądała? – podchwyciła Ofelia.

– Miała jasne oczy – rzuciła z poczuciem

triumfu Matylda.

Nagle jednak... doznała wrażenia, jakby

nie była tak do końca pewna, jak wyglądała twarz Adaleny. Te jasne oczy – tak, to pewne.

Ale twarz... cała twarz... Poczowała się nagle

wyjątkowo zmęczona. Ofelia przytaknęła.

– Musisz chwilę odpocząć.

– Tak, chyba tak – zgodziła się Matylda,

czując, jak ciepłe jedzenie osiada na dnie jej żołądka i rozchodzi się po całym ciele

przyjemnym uczuciem zmiękczającego gorąca.

Ofelia wstała od stołu i podprowadziła swoją matkę powoli, po schodkach na górę, do

sypialni. Ułożyła tam Matyldę w wygodnej

pozycji, nachyliła się nad nią i szepnęła coś niezrozumiałego do jej ucha.

Matylda czuje, jak jej powieki stają się

coraz cięższe. Coś je zalepia – gęsta

substancja wciska się w oczy, przepływa przez

czoło, uciszając myśli, budząc zaś emocje,

osiada na skroniach, przejmując na siebie ich pulsowanie. Matylda leży zanurzona w lepkiej

substancji, nieświadoma swojego położenia

w przestrzeni. Na języku czuje czerwony pył.

Rudy piach, gorzki kurz. Kaszle. Dławi się

przez chwilę, kurz wciska się jej w gardło, w oskrzela, zabiera dech. Matylda jest pewna,

że zaraz się udusi, gdy nagle... przychodzi

ukojenie – płuca przyjmują kurz, jakby był

łagodnym powietrzem. Wdychają go coraz

sprawniej. Pył mniej łaskocze, aż w końcu

staje się zupełnie przyjazny.

Wtedy Matylda otwiera oczy. Jest w jakimś

obcym

pomieszczeniu.

Dookoła

panuje

ciemność, dociera tu niewiele światła. Matylda

czuje się tu bezpiecznie, bo wie, że choć

doświadcza tego pomieszczenia, nie ma jej tu naprawdę.

– Niemożliwe – słyszy. Znajomy głos.

Znajomy. Rita!

– Adalena by nam powiedziała, jestem

pewna – powtarza Rita.

Matylda ma tylko wzrok i słuch. Chce

przejsć do pomieszczenia, w którym toczy się rozmowa, ale nie potrafi. Próbuje użyć nóg, ale jej nóg tu nie ma. Chce napiąć mięśnie, lecz i one są zupełnie gdzie indziej. Napinanie

nic nie da, Matyldo.

Wzrok Matyldy sięga dalej i głębiej. Widzi

z bliska drzwi do pomieszczenia, w którym

siedzi Rita. Wyteża oczy, lecz to nie one mają

jej pomóc. Skupia wzrok i wreszcie dostrzega

wnętrze pokoju. Panuje tu miękki półmrok. Na

podłodze siedzi Rita. Ma zdruzgotaną minę.

Na granicy pola widzenia Matylda dostrzega

zarys sylwetki starszej kobiety. Adaleny?

Nie, to nie Adalena. Matylda chce spojrzeć na staruszkę, ale znowu próbuje użyć oczu,

zamiast wzroku. Skupia się i w ułamku

sekundy dociera do niej migawka. Twarz

starej wiedzmy uśmiechającej się pewnie.

I ciemność. Pośród ciężkiej czerni do

Matyldy zaczyna docierać cichy głos. Nie jest

to szept, lecz normalna rozmowa, tylko

płynąca z oddali.

Znowu głos Rity – Matylda skupia się –

słyszyc już wyraźniej. Rita mówi z inną kobietą,

ale Matylda nie rozumie z tego ani słowa z ich rozmowy. Jest prowadzona jakby w innym języku. W inny sposób – jakby od innej strony, z użyciem odmiennego oddechu, obcej melodii.

Po chwili do słuchu dołącza węch. Matylda czuje upał – rozgrzaną wysokim słońcem ziemię suchych, piaszczystych wzgórz. Słyszy szuranie stóp po suchym podłożu i dźwięk toczenia czy też pocierania czegoś. I miarowy, powtarzający się ze stałą częstotliwością odgłos – jakby deptania.

Wysila zmysły, by rozpoznać, gdzie jest, i po chwili ze zdziwieniem dociera do niej, że znajduje się pod gołym niebem w jakimś upalnym, egzotycznym kraju. Przed czymś domem pokrytym rdzawą dachówką. Czuje zapach psiej sierści, lecz nie widzi nigdzie zwierzęcia – za domem natomiast dostrzega sylwetkę Rity.

Kieruje się w tamtą stronę. Rita rozmawia z pracującą przy kole garncarskim kobietą, która jest do Matyldy odwrócona plecami.

Matylda wysila zmysły ze wszystkich sił, lecz nie potrafi zrozumieć ani słowa z ich rozmowy. Zbliża się do obu kobiet i nagle dostrzega twarz garncarki. Jest uderzająco podobna do Satrizy, ale zachowuje się, jakby w ogóle nie znała Rity – ich dialog przypomina rozmowę obcych sobie osób.

Garncarka wstaje i znika na chwilę we
wnętrzu swojego domu. Po chwili wraca
i wręcza Ricie prostokątny przedmiot. Obraz.
Matylda czuje, że za moment się obudzi –
przygląda się więc obrazowi, by dokładnie
zapamiętać, jak wygląda.
Lepka substancja wylewa się z jej uszu,
odsłania ponownie skronie i czoło. Rozkleja jej
powieki.
Matylda budzi się.

Rozdział 54

Carmen usiadła w szpagacie, który wprowadziłby
Ritę w prawdziwe osłupienie nawet wtedy,
gdyby
jej
rozmówczyni
była
dwu-
lub
trzykrotnie młodsza. Następnie, śmiejąc się,
wykonała pokazową gwiazdę. Teraz Rita
pojęła, dlaczego w jej mieszkaniu sufity
znajdowały się tak wysoko. Stała na rękach,

po czym wybiła się i ponownie opadła

w

szpagat.

Sprawiała

wrażenie,

jakby

podobne

ewolucje

nie

kosztowały

jej

najmniejszego wysiłku – jakby każdy człowiek na tym świecie, rodząc się, potrafił ssać pierś matki i robić szpagat z wyskoku.

Carmen zaciągnęła się papierosem przez

lufkę i zarechotała kpiąco, patrząc na minę Rity.

– Nie masz pojęcia, co to znaczy być

tancerką kabaretową. W dzisiejszych czasach

nikt już tego nie wie.

Rita nie na tę opowieść czekała. Przez ten

czas, który spędziła z Carmen, zdążyła się

jednak nauczyć, że nie należy jej ponaglać

w odpowiadaniu na pytania – mogło to

wywołać jedynie odwrotny skutek.

– Może dzisiejsi mistrzowie baletu... Może oni są w stanie w niewielkim stopniu

zrozumieć. Ale balet i kabaret nie mają ze sobą wiele wspólnego. Tancerka kabaretowa
sprzedaje swoje ciało oczom widzów – wraz
z
uśmiechem,
ze
swoją
sprawnością,
kosztownościami,
makiżem,
strojami,
piórami, puchami. Ale te kabarety, w których występowałam ja... – westchnęła. – Byłam
kimś więcej niż gwiazdą. Byłam boginią.
Gwoździem każdego programu. To na mnie
czekała cała widownia. Tancerka kabaretu
jest połączeniem drogiej dziwki i mniszki
najsurowszego zakonu. Kto chce z nią spędzić
wieczór przy jednym stoliku – po udanym
występie – musi nie tylko oferować wszystko, co osiągalne na tym ziemskim padole – od
pięknej biżuterii i kosztowności po wykwintne
jedzenie i najdroższe trunki. Musi ponadto być
„kimś”. Wpływowym, potężnym, z pozycją –
współczesnym herosem. – Carmen zamilkła na
moment, pociągając elegancko z lufki. – A co mogła mu zaoferować taka gwiazda, jak ja?
Wspólną kolację, parę zdjęć do gazet,

pogadankę o urodzie, talencie i uroku nocy.

Potem buzi i dobranoc – ogórki na powieki, maseczka na twarz i spać. Zakon kabaretu

tego wymagał. Nie mogłam sobie pozwolić na

opuchnięte powieki, zmęczone mięśnie, szarą cerę. Moje życie było poukładane i rozsądne.

Jedynymi osobami, jakie znałam, były moje

„siostry” ze sceny, mój menedżer oraz kolejni możni i wpływowi tego świata, z którymi

jadłam wspólne kolacje lub chadzałam do

teatru. Z gorsetów scenicznych przebierałam

się w gorsety do snu. Zwłaszcza po tym, jak zorientowałam się, że moje łono dziwnie się wybrzusza, zaokrągla i chełboce. Im bardziej się wybrzuszało, tym mocniej ściągałam gorset

i pewnie nigdy nikt nie dowiedziałby się

o niczym, gdyby nie to, że pewnego wieczoru,

gdy szykowałam się w swojej garderobie do

wyjścia z pewnym dżentelmenem, poczułam

się słabo.

Wiedziona

pierwotnym,

zwierzęcym

instynktem rannej samicy, schowałam się we

własnej

szafie

ze

scenicznymi

strojami

i wypłułam ze swojego łona hektolitry płynu, krwi i śluzu. Nie pierwszy i nie ostatni raz moje

wciśnięte w okowy gorsetów ciało
reagowało w sposób, który normalnego
człowieka wprawiłby w przerażenie. Ale nie
mnie. Żyło się, by tańczyć. Tańczyło – by być podziwianą. Gdy trzeba było – piło się i jadło.
Gdy przybywało kilogramów – rzygało się
dalej, niż wzrok sięgał.

Także i tym razem wyszłam więc z szafy, martwiąc się jedynie o to, jak moja
garderobiana wywabi te plamy, wzięłam
szybki prysznic i konając z bólu, zacisnęłam gorset. Nie miałam pojęcia, że wśród śluzu, krwi i
płynów w mojej szafie spoczywało
magiczne dziecko. Spędziłam bolesny wieczór
z zaciśniętą w uwodzicielskim uśmiechu
szczęką, nie mogąc niemal siedzieć z bólu.

Porządny gorset ścisnął mnie jednak tak, jak trzeba. Magiczne dziecko w tym czasie
umierało.

Pozwoliłam
dżentelmenowi
na
ucałowanie dłoni – ale tylko w rękawiczce.

Przyjęłam kwiaty, naszyjnik i szampana.

Poleciłam mu, by wysłał podarunki do mojego apartamentu.

Zamówiłam
taksówkę
i powiedziałam kierowcy, by prędko zawiózł
mnie do moich ogórków i maseczek. Czuję,

że skonom z bólu, nim dojedziemy na miejsce,
chciałam więc czym prędzej zasnąć, by o nim zapomnieć.

Dotarwszy

do

swojego

apartamentu,

wzięłam kąpiel, która wydusiła ze mnie kolejne

litry krwi i nie mając pojęcia o tym, że

magiczne dziecko kona w mojej własnej szafie,

zasnęłam. Rankiem obudził mnie telefon.

Dzwoniła garderobiana, którą zbeształam, na

czym świat stoi za to, że budzi mnie

przedwcześnie,

co

może

mieć

fatalne

konsekwencje dla mojej cery.

– Panno Carmen – łkała przeproszającym

tonem. – Najmocniej przepraszam, ale coś...

ktoś... włamał się w nocy do pani garderoby.

– Czy zginęły moje stroje lub biżuteria?! –

spytałam rzeczowo.

– Nie... – zawahała się. – Ale są

zniszczone.

– Proszę więc je naprawić – fuknęłam.

– Panno Carmen... musi to pani zobaczyć.

Powiedziałam jej, że jest najgorszą

garderobianą,

jaka

w

życiu

miałam,

i oświadczyłam, że zwolnię ją natychmiast po zakończeniu tego sezonu. Mimo to wstałam,

ubrałam się w dzienny gorset, ściskając ciało klatką bólu, ubrałam stosowny strój codzienny

bogini boleści i zamówiłam kierowcę.

Gdy dotarłam na miejsce i przekroczyłam

próg drzwi na zaplecze teatru, moją uwagę

przykuł ściszy sztucznie gwar, który nigdy w tym miejscu nie gościł o tak wczesnej –

popołudniowej porze.

Po chwili dotarło do mnie, że hałas ów

wydobywa się z mojej własnej garderoby.

Ruszyłam przed siebie wściekłym stukotem

obcasów, by wywalić garderobianą na zbity

pysk już teraz, skoro wpuszcza obcych ludzi

do mojej świątyni.

Stanąwszy w progu swojej garderoby,

zamilkłam jednak. Wszystko – cała podłoga,

meble, krzesło przed toaletką, szafa, klamki i blaty – wszystko to unurzane było w zastygniętej krwi i śluzie. Wyglądało tak, jakby jakaś bestia dopadła w tym miejscu swoją ofiarę i rozszarpała ją na strzępy tak dokładnie, że nie zostało dla niej już nic, czym mogłaby się posilić.

W środku tłoczyły się wszystkie moje koleżanki z kabaretu – wszystkie moje naśladowniczki, moje podwładne, ubóstwiająco mnie za to, że stanowią tło dla moich występów.

Zgromadziły się wokół garderobianej, trzymającej w rękach kawałek dziwnego mięsa.

Zszokowana tą sytuacją, nie miałam nawet siły wygonić ich z mojego prywatnego pokoju.

Zbliżyłam się powoli do mięsa, śledzona uważnie wzrokiem przez wszystkie tancerki.

–

Panno

Carmen...

–

wydukała

garderobiana. – Nie wiemy, kto to zrobił... Tak

mi przykro.

Pochyliłam się nad krwistym tworem,
który trzymała w rękach. To nie było mięso. To
było magiczne dziecko.

Magiczne dziecko było trzy razy mniejsze
od normalnego dziecka. Cztery razy bardziej od niego zakrwawione, czerwone i o dziwnym
kształcie. Ale żyło. I to było w nim najbardziej
magiczne.

Prędzej niż inne dzieci, magiczne dziecko
zmieniło kształt ze śluzowatego zawiniątka
w małego chłopca. Nabrało ładnego koloru
skóry. Przestało być śluzowate i zakrwawione.

Urosło.

I stało się magicznym chłopcem. Nikt
nigdy nie ustalił, kto włamał się do mojej garderoby. Nie wkładano w to jednak zbyt
wielu starań. Sprawa taka jak ta nie mogła wyjść na jaw. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że
największy kabaret na świecie ma problemy
z krwawiącymi włamywaczami.

Magiczny chłopiec zamieszkał za sceną.

Był maskotką wszystkich tancerek – wspólnym
pupilem

przynoszącym

trochę

radości

i złudzenie rodziny do naszego zakonu. Tulili go charakteryzatorki, ubóstwiały służące,
adorowały i przytulały w perfumowanych
objęciach wszystkie tancerki. Poza mną.

Tylko

ja

nie

mogłam

wybaczyć

magicznemu chłopcu, że przyszedł na świat. Ja

jedna nigdy go nie przytuliłam. Był zbyt

podobny do mnie. Bałam się fizycznego

kontaktu z nim. Przepędzałam go sprzed

siebie jak niesforne kocię.

W

magicznym

chłopcu

było

coś

niepokojącego – jakaś pradawna siła, która

sprawiała,

że

zawsze

wychodził

ze

wszystkiego cało. Przenoszony z rąk do rąk, z kolan na kolana – otoczony był kobietami, które go pieściły i karmiły słodkimi słówkami.

Innego życia nie znał.

Magiczny chłopiec dorastał inaczej niż

wszystkie dzieci. Gdy miał dziesięć lat,

wszyscy rozmawiali z nim jak z dorosłym, choć

jednocześnie nigdy nie traktowano go jak

mężczyznę.

Spędzał

długie

godziny

w przebieralniach z tancerkami, słuchając ich żalów, patrząc jak się przebierają, zaciskając im gorsety.

Dorastał tak szybko – dużo szybciej, niż ja

chciałam, by płynął czas. Miał wstęp do każdej

garderoby – poza moją. Nie pozwalałam mu

wchodzić do środka, pomagać w dopinaniu

kostiumu,

przytrzymywać

spinek,

gdy

czesaałam włosy. Nieproszony o to, magiczny

chłopiec nigdy nie przychodził do mnie.

Spędzał

czas

Z

innymi

tancerkami.

Odizolowana od niego, odwracałam wzrok od jego dorastania. Nie chciałam go dostrzegać – tak jak nie mogłam się pogodzić z tym, że dla mnie czas biegnie równolegle.

Pogrążona w szklanym śnie, zaczęłam dostrzegać, że moje ciało się zmienia. Wraz z tymi zmianami przychodziły coraz gorsze angaże.

Szczególnie gdy do kabaretu przyjęto nijakie dziewczę, które miało połowę mojego talentu. Było jednakże o połowę ode mnie młodsze. Moje życie powoli zamieniało się w ruinę. Przestałam spływać na widzów jak błogosławieństwo, na które oczekują przez cały wieczór – zaczęłam występować wraz z innymi tancerkami. W coraz większym tłumie. Aż w końcu zrozumiałam... Teraz to ja stanowię tło.

Pewnego wieczoru upiłam się samotnie we własnej garderobie. Nikt nie zaprosił mnie ani na kolację, ani do teatru. Byłam sama – po raz pierwszy od wielu lat. Usłyszałam śmiech dochodzący z garderoby obok – z garderoby

mojej największej rywalki. Postanowiłam

pobiec do niej i wydrapać jej oczy, wyrwać wszystkie włosy, poharatać jej twarz i połamać nogi – tak by cierpiała podobnie jak ja.

Odurzona alkoholem, ledwie wstałam z miejsca. Wparowałam do jej garderoby bez pukania i zapowiedzi. I wtedy go zobaczyłam.

Magiczny chłopiec. Nie był już chłopcem.

Miał około piętnastu lat, ale od dawna był już mężczyzną. Coś w jego spojrzeniu, w jego ruchach sprawiało, że dzieciństwo zostawił już dawno za sobą. Zapinał haftki w sukni mojej największej rywalki. Robił to od zawsze – odkąd tylko przyszedł na świat, pomagał tancerkom w ubieraniu się, poprawiał ich rozkroki, przyklepywał włosy, pudrował nosy.

Ale tym razem coś się zmieniło. Ten ruch –

jego charakter – sposób, w jaki ruszały się jego nadgarstki, w jaki jego dłoń spoczęła na plecach tancerki po zapięciu ostatniej haftki...

To

były

gesty

dorosłego

mężczyzny.

Dostrzegłam wtedy coś jeszcze. O ile jego

ruch

był

całkiem

neutralny,

niemal

mechaniczny, o tyle reakcja tancerki... Gdy

wpadłam do jej garderoby, oboje odwrócili się

zaskoczeni w moją stronę. On – spokojny,

opanowany. Bezwstydy – tak obeznany

w damskich garderobach, że żadna kobieta

nigdy nie byłaby go w stanie onieśmielić. I ona

–

zarumieniona.

Spłoszona.

Podniecona.

Zwykłym zapięciem sukni. Niczym więcej,

byłam tego pewna.

Piętnastoletni chłopiec obezwładnił ją

najprostszym gestem, który wyszedł mu tak

naturalnie, z taką wprawą, że...

Wpadłam w prawdziwą furję. Dotarło do

mnie, że wszystkie te kobiety czerpały z niego

jakąś biologiczną moc, że przez kontakt z nim stawały

się

piękniejsze,

sprawniejsze,

młodsze. Tylko ja – ja jedyna na całym świecie

starzałam się coraz bardziej, umierając

każdego dnia wraz z moją młodością.

Wygnałam magiczne dziecko. Przeklęłam

je i jego losy. Przysięgłam mu wieczne

nieszczęście i rozpacz, wieczne poszukiwania.

Oddałam je na pastwę świata, zaklinając, że nie chcę już nigdy, przenigdy ujrzeć go na oczy.

I odszedł. Nigdy więcej go nie ujrzałam.

Rita spoglądała pustym wzrokiem na starą

tancerkę.

Chciała

coś

powiedzieć,

ale

zabrakło jej słów. Pragnęła coś poczuć, lecz w gąszczu emocji nie potrafiła skupić się na żadnej z nich.

Carmen wypaliła papierosa. Uniosła brwi –

bezwstydnie – jakby gardziła sobą tak bardzo,

że czyjekolwiek potępienie nie było w stanie zrobić na niej najmniejszego wrażenia.

– Myślę, że w tej kwestii nie muszę ci już

niczego

tłumaczyć.

Chyba

wszystko

rozumiesz.

Rita, pogrążona we własnych myślach,

spoglądała przed siebie otępiełym wzrokiem.

– Wiele lat temu – odezwała się znowu

Carmen – odwiedziła mnie Adalena. Była taka

sama jak ty – poszukiwała odpowiedzi na

nurtujące ją pytania. Chciała zrozumieć.

Opowiedziałam jej tę samą historię, którą

usłyszałaś dziś ty. Jej reakcja była dokładnie taka sama. Milczała. Długo milczała. Potem

wstała z miejsca. Powiedziała, że już wszystko

rozumie. I chciała odejść. „Poczekaj” –

powiedziałam

wtedy.

Zgodnie

z

dziwną

potrzebą tworzenia więzi chciałam, by coś

między nami pozostało.

– Już nigdy cię nie odwiedzę – powiedziała

wtedy Adalena. – Nie mogłabym cię znieść.

– Wiem – odpowiedziałam jej. – Jestem

skazana na wieczną samotność. Za to, co

zrobiłam i co robię nadal. Ale przyjmij ode mnie choć jeden przedmiot, który pozwoli ci zapamiętać,
że – bądź co bądź – jesteśmy

w pewien sposób rodziną.

– W pewien sposób – odpowiedziała.

Wtedy właśnie dałam jej pierścień – taki sam jak ten, z którym ty, Rito, przyszłaś do mnie.

Taki sam. Lecz nie ten sam. Oba pierścienie były prezentami od człowieka, z którym poszłam na kolację w dniu narodzin magicznego dziecka. Darczyńca miał poczucie humoru – wciąż powtarzał, że wszystko powinno mieć swoją kopię – na wypadek zagubienia lub zniszczenia. Zabawne. Kopię. Pierścień, z którym do mnie przysłaś, nie należał do twojej Stelli. Nie mógł bowiem należeć do Adaleny. Był kopią należącą do mnie, którą wraz ze wszystkimi kosztownościami wyrzuciłam jakiś czas temu na ulicę, ciskając biżuterią w dwie dziwki sprzedające się pod moim oknem. Widocznie Adalena podarowała swój pierścień tej Stelli – swojej... kopii. Rita poczuła ucisk w żołądku, gdy z ust

starej tancerki padło imię jej siostry. Stella. Co się z nią dzieje? Gdzie jest? Jak sobie daje radę? Poczwała złość. Była wściekła na samą

siebie. Jak mogła spędzić tyle czasu w domu jakiejś wariatki... niezależnie od tego, kim ta wariatka dla niej była, skoro Stella potrzebuje

pomocy?! Jak mogła utracić swój cel z pola widzenia?

– Od początku wiedziałaś... – wycedziła

wściekle. – Od samego początku.

– O czym?

– O tym, że nie masz dla mnie żadnych

przydatnych informacji.

Carmen roześmiała się.

– A to dobre. Czy nie rozumiesz, że

historia, którą ci opowiedziałam, jest także twoją historią?

– To nie ma w tej chwili znaczenia,

starucho! Szukam mojej siostry, a ty od

samego początku wiedziałaś, że pierścień nie należał do niej, że wcale nie jest wskazówką przydatną przy poszukiwaniu jej! Wiedziałaś,

a mimo to trzymałaś mnie tu przez tyle dni! Po

co?!

– Z czysto egoistycznych pobudek.

Rita

podeszła

do

starej

tancerki

i spoliczkowała ją z całej siły.

– Nie możesz przeżyć życia za swoich bliskich, Rito – odparła beznamiętnie Carmen, nie zważając na zadany jej cios. – Nie możesz ich wyciągnąć z każdej opresji. Nosicie wszystkie ciężkie brzemie. Podobnie jak ja.

Rita rzuciła starej kobiecie wściekłe spojrzenie. Chciała zrobić jej krzywdę, sprawić ból, upokorzyć ją. Lecz nie potrafiła. Odwróciła się na pięcie i wyszła z jej domu.

Rozdział 55

Znalazłszy się na ulicy, Rita poczuła się najbardziej samotną osobą na świecie. Nikt nie był w stanie jej pomóc. Samotna była jej przeszłość i przyszłość. Samotność czekała wszystko, co było z nią w jakikolwiek sposób związane. Samotne będą przyszłe pokolenia tej rodziny i tego świata. Poczula się tak bezsilna, że nie zważając na nic, opadła na kolana i zaczęła płakać. Łkała tak, jak nigdy dotąd – wszystkie jej wnętrzości były płaczem, a ona sama zamieniła się w ulewę łez. Opadła na świat nieszczęśliwą wilgocią, wdarła się w jego wszelkie szczeliny i w samą siebie. Wyła, kwiliła i jęczała. Nie znajdując siły na jakiegokolwiek inne działanie, dała tylko radę wczołgać się do zaparkowanego grata i bez poczucia sensu, bez świadomości istnienia, położyła się na tylnym siedzeniu, skulona w pozycji embrionalnej, płacząc, płacząc, płacząc.

Jej wykończony łkaniem organizm zapadł
w końcu w kamienny sen. Pod powiekami
znalazła inny świat – równie pozbawiony
sensu, jak ten, z którego próbowała uciec, ale
cieplejszy, jaśniejszy, bardziej miękki.

Rita błądzi ulicami jakiegoś miasta. Zna je
dobrze, lecz nie może go rozpoznać. Mija
artystów, zboczeńców, studentów. To Eskultor
– uświadamia sobie, lecz nie widzi w mieście niczego znajomego. Wszystko tu jest inne,
choć takie samo. Rita nie rusza nogami,
a jednak kroki stawiają się same. Prowadzą ją
w nieznane miejsce.

Wraz z dziwnie pachnącym podmuchem
wiatru Rita dociera pod budynek, w którym
znajduje się coś ważnego, coś, czego szuka.

Wchodzi do środka.

Wewnątrz

zastaje

wernisaż

znanej

garncarki. Musi ją odszukać, choć nie wie,
w jakim celu. W głównej sali ludzie tłoczą się,
komentując dzieła artystki. Rita, wiedziona
intuicją, odnajduje garncarkę tak samo, jak

metal zawsze odnajdzie magnes, a kropla
deszczu ziemię. Widzi jej sylwetkę od tyłu – jej

długie,

ciemne

włosy

kogoś

Ricie

przypominają. Podchodzi do nich, nachyla się przez ramię garncarki i powoli składa
pocałunek na jej szyi.

–

Czego

chcesz?

–

pyta

kobieta,

odwróciwszy się.

Rita ją poznaje – jest uderzająco podobna
do kogoś, kogo zna. Nie może sobie jednak
przypomnieć do kogo.

– Jestem Rita. Masz coś dla mnie?

Garncarka przygląda się jej twarzy
z wyrazem rosnącego zrozumienia.

– Znasz mnie? – pyta Rita.

– Być może. Ale nie znam twego imienia.

– Masz coś dla mnie? – powtarza Rita.

Garncarka zastanawia się przez chwilę.

– Tak – odpowiada, chwyta Ritę za rękę

i prowadzi na zaplecze. – Ale nie będziesz mogła tego zabrać ze sobą.

– Dlaczego?

– Bo to już u was jest.

Wchodzą do ciemnego pomieszczenia,

które pachnie jak czyjś strych – czyj? To

drewno, te prześwity światła... Rita zna je tak

dobrze, ale nie może sobie przypomnieć.

Podchodzą

do

dużej

skrzyni,

zdobionej

przepięknymi okuciami, z desek dębowych

pokrytych bordową bejcą.

– Tam w środku – mówi garncarka. Ściąga

z szyi złoty łańcuszek, na którym wisi

zaskakująco masywny klucz. Wkłada go

w zamek skrzyni. Otwiera ją. Przeciągle

skrzypienie ujawnia wnętrze kufra.

– Obraz? – pyta Rita.

– Tak. Spójrz na niego i zapamiętaj, bo nie

mogę ci go dać.

Rita skupia przytłumione zmysły. Chce dostrzec wszystkie szczegóły, ale to bardzo trudne. Na obrazie jest... kobieta odwrócona do malarza plecami. Nagimi plecami. Ma czarne włosy.

– Kto to? – pyta Rita.

Lecz leży już na tylnym siedzeniu starego rzęcha.

Rozdział 56

Matylda
usiadła
na
łóżku
–
obudzona
z głębokiego snu. Podniosła wzrok i nagle
wszystko ujrzała: Ofelia, Rita, Stella – one wszystkie wraz z wydarzeniami z jej życia
stanowiły oczywiste elementy klarownej,
jasnej sytuacji. Chwile, które wyświetliły się Matyldzie przed oczyma, jakby ktoś uruchomił
dla niej projektor wspomnień, nabrały sensu
i znaczenia.

Matylda niczego nie rozumiała, lecz nie
musiała – wiedziała, co ma robić.

– Rito – szepnęła. – Gdzie jesteś? Rito.

Przez uchylone okno sypialni wleciał

niewielki, zdeorientowany ptak – okrążył

pokój dwukrotnie, zderzając się ze wszystkimi

ścianami,

wpadł

na

szafkę

nocną,

uruchamiając stojącą na niej pozytywkę

z

tancerką.

Pozytywkę,

którą

Adalena

odtwarzała Matyldzie przed snem. Matylda

wstała z łóżka, by pomóc ptakowi opuścić

pokój. Odchyliła firanę, otworzyła na oścież okno. Chciała łagodnym gestem przepłoszyć

go z sypialni, by odnalazł właściwy kierunek ucieczki.

Rozejrzała się po pokoju. Ale ptaka już w nim nie było. Pochyliła się nad kręcącą

wciąż piruety tancerką. Jedna z jej nóg była ugięta w kolanie – stopa niemal dotykała

wyprostowanej łydki. Pomiędzy tą stopą

a drugą nogą tancerki wciśnięta była maleńka

karteczka, tak delikatna i drobna, jak wróżba

wyciągnięta z ciastka.

Matylda

z

zaciekawieniem

wysunęła

notatkę

spod

stopy

małej

tancerki.

Zanotowano na niej ciąg cyfr.

– Wyspałaś się już? – usłyszała.

Podniosła wzrok. W drzwiach sypialni

stała Ofelia.

– Tak, kochanie. Chodź, usiądź ze mną.

– Co ci się śniło? – zapytała, patrząc

z zaciekawieniem na swoją matkę. Czy Ofelia zawsze miała takie jasne oczy?

– Dziwne spotkanie – zamyśliła się

Matylda.

– Jakie?

– Spotkałam... garncarkę uderzająco

podobną do kogoś, kogo znam. Ale inną.

W pewien sposób zupełnie inną, jakby

w innych realiach – odparła Matylda, bawiąc się bezwiednie włosami swojej córki. – Dała mi

obraz.

– Obraz? – zdziwiła się Ofelia. – I to

wszystko, co ci się śniło?

– Tak – odparła Matylda, próbując

przypomnieć sobie coś jeszcze.

– Czy w tym śnie nie występowała Rita?

Albo Stella?

– Nie – odparła pewnie.

Ofelia zdawała się być zawiedziona.

Zwiesiła lekko głowę.

– No, to co w takim razie było na tym

obrazie?

Matylda zamknęła oczy, usiłując sobie

przypomnieć. Lecz nie mogła.

– Nie wiem. Albo go nie widziałam, albo za

nic nie mogę go odtworzyć.

Nagły powiew wiatru szarpnął oknem.

Matylda wstała, by je zamknąć. Usłyszała

dzwonek telefonu.

– Odbierzesz? – poprosiła córkę.

– Co? – zdziwiła się Ofelia.

– Telefon. Dzwoni na dole.

Ofelia wsłuchiwała się w ciszę.

– Nic nie dzwoni, mamó.

Matylda spojrzała na córkę zdziwiona.

Wyszła na korytarz, by posłuchać uważniej.

Faktycznie, nic nie dzwoniło. A może jednak?

Zeszła po schodach do pokoju dziennego.

Podeszła do starego aparatu telefonicznego,
dotknęła jego tarczy. Telefon milczał. Matylda
uniosła słuchawkę, przyłożyła ją do twarzy.

Uniosła dłoń, w której wciąż trzymała maleńką
karteczkę. Z ciekawością wkładała palec

wskazujący

w

kolejne

otwory

tarczy

numerycznej, wybierając numer zapisany na

kartce.

Rozdział 57

Rita podniosła się na tylnym siedzeniu grata.

Oczy szczypały ją od płaczu. Cała twarz

spuchła od jej słonych łez. Nagle usłyszała nachalny dźwięk. Telefon. Rozejrzała się

dookoła. Na końcu uliczki, przy której

zaparkowała,

stała

staroświecka

budka

telefoniczna. Rita nie zauważyła jej wcześniej.

Również i teraz wyglądała zresztą, jakby

w

ogóle

nie

działała.

Ładne,

lekko

przyciemniane szybki były w większości

powybijane, a napis nakreślony zdobnymi

literami, częściowo zatarty. Mimo to telefon nieznośnie dzwonił.

Rita rozejrzała się po ulicy, lecz była ona całkowicie opustoszała. Wyglądała tylko, jakby

wszystko się zatrzymało, jakby ustał nawet

ruch powietrza. Powoli otworzyła drzwiczki

i wyszła z samochodu. Podchodziła do budki

powoli,

jak

do

dzikiego

zwierzęcia

napotkanego nagle na środku leśnej ścieżki.

Chwyciła chłodną klamkę kabiny i weszła do

środką. Dotknęła czarnej, ciężkiej słuchawki

i podniosła ją do ucha.

– Rita? – usłyszała.

– Matylda?!

Po drugiej stronie słuchawki rozległ się

szczery, radosny śmiech.

– Jak dobrze cię słyszeć.

Rita pociągnęła nosem.

– I ciebie, Mati.

Zapadła chwila ciszy.

– Rito...

– Jestem.

– Co przedstawiał ten obraz...?

Rita zawahała się. Otworzyła usta.

Zamknęła. Znowu otworzyła. Uśmiechnęła się.

– Kobiętę. Odwróconą plecami do malarza

kobietę.

Z

nagimi

plecami

i...

złotym

łańcuszkiem.

– Czarne włosy – przypomniała sobie

Matylda.

– Tak.

– Rito. Przyjedź tu po mnie. Wyruszymy
znowu.

Rita nie pytała, dokąd ma jechać. Otarła
nos wierzchem dłoni.

– Będę za dwie doby.

Rozdział 58

Matylda odłożyła słuchawkę telefonu.

– To była... Rita – powiedziała.

Ofelia spojrzała na nią z dumą.

– Mamo, tak się cieszę.

– Z czego?

– Z tego, że ci się udało. Że ci się udaje. Ze
wszystkiego.

Matylda uśmiechnęła się w zamyśleniu.

–

Ten

obraz

przedstawiał

kobietę.

Siedzącą tyłem do malarza. Z nagimi plecami,
złotym łańcuszkiem. Czarnymi włosami –

upiętymi wysoko.

Ofelia otworzyła szeroko oczy.

– Siedzącą w wiklinowym fotelu?

Matylda

przyskoczyła

po

chwili

zastanowienia.

– Tak, rzeczywiście. Tak.

–

Mamo!

–

krzyknęła

dziewczynka

i chwyciła Matyldę za rękę. – Chodźmy,

szybko.

– Dokąd? – zdziwiła się, lecz Ofelia już

ciągnęła ją za sobą.

Wbiegły po schodach na piętro i dalej

w górę – aż do drzwiczek prowadzących na

strych. Ofelia otworzyła je, zaskrzypiały stare zawiasy, i wspięła się do środka, pomagając wejść także swojej matce. Matylda, znalazłszy

się na strychu, zaciągnęła się zapachem, który

tak dobrze знаła z dzieciństwa. Znowu stała się

dziewczynką

–
małą

dziewczynką

przyjeżdżającą tu na wakacje, by broić

z siostrami.

– Tutaj – wskazała Ofelia.

Podeszły do starej, potężnej skrzyni

pomalowanej bordową bejcą. Była zamknięta.

– Tu w środku – wydyszała Ofelia. – Tutaj

widziałam ten obraz.

– Ten ze snu? – zdziwiła się Matylda.

– Tak, ten, właśnie ten. Dalej, mamo,

musimy to rozwalić.

Matylda nie wahała się ani chwili.

Zaczęła szarpać wieko skrzyni, lecz to nie

przynosiło żadnego efektu. Pod jedną z kolumn

coś kusząco zalsniło – siekiera.

– Odsuń się – poleciała Matylda i usiłowała wbić ostrze w wieko skrzyni, lecz ono opierało

się z isticie niezwykłą, jak na drewno, mocą.

Matylda spociła się i zadyszała. Czuła, że

ze skrzyni emanuje dziwne gorąco, które

pociągało ją i wabiło, jak światło wabi ćmę.

Zamachnęła się raz jeszcze – uderzyła

w wieko z całą siłą, na jaką było ją stać.

– Mamo, to nic nie da – odezwała się rzeczowo Ofelia, lecz Matylda wpadła w szal – uderzała skrzynię raz za razem, krzyząc przy tym, jakby to na nią samą spadały ciosy.

– Zrzucamy ją z okna – oświadczyła z szeroko otwartymi, błyszczącymi obłędem oczyma.

– Mamo, zwariowałaś? A co jeśli w skrzyni jest coś jeszcze, co może się zniszczyć?

– Nie ma w niej nic poza obrazem.

I gwarantuję ci, że on się nie zniszczy.

Pomożesz mi czy nie?

Ofelia, nie mogąc uwierzyć w to, jak wielką metamorfozę przeszła jej matka, przytaknęła niemrawo i pomogła jej pchać skrzynię w kierunku półkolistego okna.

Matylda

otworzyła

oba

jego

skrzydła

z rozmachem, spojrzała w dół, by upewnić się, że nikogo nie zabije, i rzuciła komendę.

– No, dalej.

Ofelia popchnęła z całych sił kufer, który

teraz zdawał się stawiać opór, jak żywa istota

bojąca się skoku z wysokości.

– Trzy, czte-ry! Trzy, czte-ry!

Skrzynia z jękiem dała się zepchnąć na

krawędź okna, wychyliła ciężkie cielsko,

zawahała się i spadła z wysokości trzech

kondygnacji. Ofelia zamknęła oczy, obawiając

się tego, w co zamienił się stary kufer.

Matylda wystawiła głowę przez okno i zakląła

siarczyście.

– Mamo! – zdziwiła się Ofelia, bardziej

zafascynowana niż oburzona.

Idąc w ślady matki, spojrzała niechętnie

w dół i ku własnemu zdziwieniu odkryła, że stara uparta skrzynia nie nosi śladów

najmniejszego zadrapania. Stoi spokojnie na

trawie pod domem Adaleny, zupełnie jakby

czekała tam od lat.

Matylda rzuciła się biegiem schodami

w dół. Ofelia wystawiła nogę przez okno

i zeszła po drabince dla bluszczu, robiąc to dokładnie w ten sam sposób, w jaki czyniły to

trzy siostry, będąc w jej wieku.

Zszedłszy na dół, stwierdziła, że istotnie –

skrzynia nadal lśni bordową bejcą, nie nosząc

na sobie ani śladu upadku.

– Ide! – usłyszała głos swojej matki

dobiegający z parteru domu. – Ide! Czy

Adalena miała gdzieś piłę motorową? Ide!

Gdzie jesteś?

Ofelia chwyciła się za głowę. Nie

wiedziała, czy niepokoić się bardziej o siebie, czy o Matyldę. Nagle, nie tyle usłyszała kroki, co zorientowała się, że ktoś skrada się za jej plecami.

Odwróciła głowę. Zmierzała ku niej Satriza. Wyglądała niemal tak jak zawsze, tyle

że nosiła teraz inne ubranie i była czymś lekko

umazana. Gliną? Spojrzała z rozbawieniem na

Ofelię sterczącą nad skrzynią.

– Ide! Gdzie jesteś? – krzyczała Matylda,

tym razem z sadu za domem.

– Próbujemy ją otworzyć – wyjaśniła

Ofelia.

Satriza przytaknęła ze zrozumieniem,

ukłęknięła obok dziewczynki, ucałowała ją

w czoło, dotknęła pieszczotliwie wieka skrzyni

i sięgnęła w czeluść swojego posągowego

dekoltu. Na jej szyi załśnił złoty łańcuszek, który zawsze nosiła. Uniosła jego koniec,

dotychczas

tkwiący

gdzieś

między

jej

piersiami, skryty pod materiałem sukni. Na

delikatnym,

cienkim

łańcuszku

wisiał

zaskakująco masywny klucz. Satriz zdjęła

ozdobę z szyi, złapała za lśniący klucz

i wsunęła go z tajemniczym uśmiechem

w zamek solidnej kłódki.

Ofelia

otworzyła

szeroko

oczy

ze

zdziwienia. Nie mogąc się oprzeć, chwyciła

w dłoń klucz i przekręciła go w zamku, który kliknął

chętnie,

jak

metalowe

zwierzę

w odpowiedzi na pieszczotę.

– Pasuje! – ucieszyła się Ofelia. – Skąd

masz ten klucz, Satriz? Satriz? – Ofelia obróciła głowę w kierunku przyjaciółki.

Lecz nikogo nie zobaczyła.

– Satriz?

Ofelia wstała i rozejrzała się uważnie.

Pusto.

– Kochanie, nie mogę znaleźć Ide,

pomyślałam, że mogłybyśmy... – Matylda

wyszła z za tyłów domu i zamilkła, widząc

córkę stojącą nad skrzynią, której kłódka

była... otwarta?

– Jak to zrobiłaś?

– To nie ja. – Ofelia wzruszyła ramionami.

– To Satriz. Miała klucz do kłódki.

Matylda rozejrzała się odruchowo.

– Przed chwilą tu była... Przed chwileczką

– musiała wejść z powrotem do domu albo...

schować się za drzewami.

– Nie mogę znaleźć Ide – poinformowała
podejrzliwie Matyllda.

Spojrzenia matki i córki skrzyżowały się
na moment w poszukiwaniu rozwiązania.

– Otwórzmy ją – ocknęła się Matyllda
i uklękła przy kufrze.

Zdjęła kłódkę i uchyliła wieko. W środku
znajdował się obraz, którego szukały. Matyllda
poczuła dziwne wzruszenie. Nagle zdało jej
się, że zna ten obraz od dawna – że pamięta
go, tylko umknęło jej to wspomnienie – jakby malowidło zawsze było obecne gdzieś w domu,
tyle że wcześniej nie miało dla niej większego
znaczenia.

Ofelia chwyciła obraz delikatnie i uniosła
go, by mogły mu się przyjrzeć z bliska.

– Mamo, ta kobieta... Wygląda jakoś
znajomo.

Matyllda poczuła ucisk w żołądku.

– Ma dokładnie taką samą bliznę nad lewą
łopatką jak ty. I ten pieprzyk przy szyi. Plecy, ramiona... mamo... – zamilkła na moment

Ofelia. – To ty jesteś na tym obrazie.

– Niemożliwe – szepnęła Matyllda.

Nie mogła się jednak nie zgodzić – kobieta
na obrazie była odwrócona tyłem, więc nie

sposób było przyjrzeć się jej twarzy, ale linia pleców, kręgosłupa, znamiona, kolor skóry, postawa – wszystko to wskazywało na fakt, iż na malowidle rzeczywiście znajdowała się ona sama. Poza jednym szczegółem. Kobieta na obrazie miała czarne włosy, tymczasem włosy Matyldy były jasnokasztanowe.

– To niemożliwe – to nie mogę być ja.

– Ale to jesteś ty – zaśmiała się Ofelia.

– Nigdy nikt nie malował mi portretu.

– Może o tym nie wiedziałaś – uniosła

brew jej córka.

Matylda zawahała się. Przyjrzała się tłu malowidła. Znajdująca się na nim kobieta,

siedząca

tyłem

w

wiklinowym

fotelu,

wypełniała niemal całą przestrzeń płótna –

jednak ponad jej ramionami można było

dojrzeć

pomieszczenie,

w

którym

się

znajdowała.

– Nigdy w życiu nie byłam w takim miejscu. Spójrz – Wskazała fragment rzeźby będącej reprodukcją Wenus z Milo widoczny nad prawym ramieniem modelki. Obok niej kawałek kamiennych wrót prowadzących gdzieś...

na

zewnątrz,

wśród

koron

obsypanych kwieciem drzew. Nad lewym ramieniem dostrzec można było ogromne okno przysłonięte ciężkimi, kremowymi kotarami, wielki wazon z białymi kwiatami, będący pewnie wzrostu człowieka i... wannę?

– To jakaś kamienna łaźnia czy coś w tym

stylu – oceniła Ofelia. – Czy jesteś absolutnie pewna, że nigdy nie byłaś w takim miejscu?

Rozdział 59

Świat miał dziwny kolor. Niebo było szaro-granatowe, w całości – jak się zdawało – przysłonięte. Ale światło było koloru jasnego złota.

Cornelius błąkał się z miejsca w miejsce.

Wszystko straciło dla niego sens. To, czy

Cornelius

kochał

Ritę,

przestało

mieć

jakikolwiek znaczenie. To pytanie utraciło

smak, uległo odkształceniu w wynaturzonym

świecie jego kulawych uczuć. To, kim Rita była

dla niego, stało się zarazem oczywiste, jak i niejasne. Te ich gierki, te wahania – czy okazać uczucie, czy je w sobie zdusić... Jakie to miało znaczenie?

Świat przestał być tajemniczym miejscem,

w którym trzeba odnaleźć swój szlak, ale

krzywą rzeczywistością prostowaną przez

codzienne wybory.

Cornelius

poczuł

się

zwierzęco.

Pierwotnie

–

jak

przedstawiciel

ludu

zbiierackiego, który nie zastanawia się, czym jest sztuka, miłość i magia. Zamiast tego

odczuwa głód i chce go zaspokoić. Zamiast

waleczności czuje strach – uczucie tak

naturalne dla człowieka prymitywnego.

Cornelius

porzuci

wszystko.

Dotychczasowe życie i miasta. Odnajdzie nową

drogę, w której nie będzie się doszukiwał

sensu. Znajdzie sobie zajęcie. Jakiegokolwiek.

Miał dosyć bycia barmanem. To narzucało

kontakty z ludźmi. A Cornelius dość miał ludzi.

To wiązało się z koniecznością orientowania

się we wszelkich niuansach, a on i tego miał

dość.

Jest mężczyzną, a dla mężczyzny zawsze

znajdzie się lepsza lub gorsza robota.

Fizyczna – im prostsza, tym lepsza. Zarabiał

będzie na jedzenie i ubrania. Na co komu te wszystkie płyty i książki? Po co mu kolejne bilety do kina i na koncerty? Po co babrać się

w kolejnych opracowaniach losów ludzkich?

Co z tego, że zawsze gdzieś czeka jakaś

historia, którą ktoś może opowiedzieć, ktoś

inny może jej posłuchać? Co człowiekowi

przyjdzie z tego, że pozna część z nich?

Cornelius pomyślał, że ludzie tak wiele

rzeczy robią zupełnie bez sensu – głównie

dlatego, że inni czynią to samo. Po co dążyć do

czegoś więcej niż buty na nogach i żarcie

w żołądku? Po co się kochać? Po co mieć

dzieci, domy, aspiracje? Wszystko to są tylko drogi prowadzące od łona matki do zimnej

i mokrej ziemi.

Czym jest los człowieka, jeśli nie głupotą

wymyśloną

na

potrzeby

naiwnych

lub

nadgorliwych? Po co piąć się po jakichkolwiek

schodach? Z wysokiego szczybla jest droga na

jeszcze wyższy, a z tego zawsze można wejść jeszcze dalej. A nawet zakładając, że

w jakiegokolwiek dziedzinie zejść można tak

daleko, że w końcu dotrze się na sam szczyt, to co takiego czeka człowieka na samej górze,

jeśli nie jeszcze większa samotność niż

dotychczas i jeszcze bardziej przejmująca

ciemność?

Prędzej

czy

później

zgaśnie

każda

gwiazda, a razem z nią – jej odbicie.

Rozdział 60

Stella była w tak fatalnym stanie, że wiedziała o sobie tylko tyle, że umiera. Z każdym wybiciem zegara rozumiała wszystko coraz gorzej i bliższa była upadku na dno najgłębszego dna.

Gdyby jeszcze miała w sobie tyle siły i jasności umysłu, by móc analizować swoje wspomnienia, przypomniałaby sobie pewnie, że Holdem przekraczał z nią kolejne drzwi, kolejne korytarze, zestawiał ją w grze z coraz to nowymi ludźmi. Padało mnóstwo słów. Stella nie rozumiała niczego. Żaden z jej dni nie zaczynał się, a noce nie miały końca.

Nie mogła teraz pamiętać, że na początku ich podróży Holdem upajał ją jeszcze miłością do siebie i zwierzęcym strachem, który wobec niego czuła. Mówił coś o jakimś domu gry,

o

jakichś

tajemniczych

machlojkach.

O przekrętach, o hazardzie, pieniądzach.

I o „czymś większym”, czymś ważniejszym –
nigdy nienazwanym, nieokreślonym.

Mówił bardzo wiele o intuicji Stelli i o tym,
że da się ją łatwo wykorzystać, że ona pomoże

im obojgu, że jak osiągną to, czego on tak

bardzo pragnie, będą mieli już tylko siebie i zapadną się w swoje ciała i w swoje istnienia.

Wtedy połączy ich coś wielkiego – tak

potężnego, że aż obrzydliwego.

Tak jej powtarzał od początku, ale Stella

była wtedy zaślepiona miłością i pożądaniem, teraz zaś żyła w niej jedynie cząstka dawnego

biologicznego

respiratora,

któremu

nie

starczało sił na obracanie myślami Stelli.

Tak wiele jej tłumaczył, jeszcze więcej od

niej

wymagał,

wymuszał

całkowite

posłuszeństwo, które Stella z chęcią mu

dawała.

Gdy

była

już

tak

osłabiona

wielodobową bezsennością, że nie miała siły

ani protestować, ani myśleć, zaczął odurzać ją

wszystkim, co udało mu się znaleźć, by tylko podtrzymać jej intuicję, by mogła nadal grać i wygrywać. Wyzierał z umęczonego ciała

Stelli jej umiejętności, jakby oddzierał mięso z żywej jeszcze istoty, a potem jadł je na jej oczach.

Stella

zachowywała

tyle

tylko

świadomości, by bezwolnie wykonywać jego

polecenia, stając się ucieleśnieniem jego woli.

Przyklejał

Stelli

sztuczne

wąsy,

charakteryzował ją tak, by wyglądała jak

młody mężczyzna, co przychodziło mu z wielką

łatwością, bo Stella pod wpływem swojego

otępienia instynktownie naśladowała jego wolę i stawała się tym, kim chciał, by była.

Zamieniał ją w młodą kobietę,

ponieważ do Casa Sacerdotal wpuszczano

tylko mężczyźni. Tylko oni mogli grać i być gośćmi. Grali razem, jako partnerzy. Stella nie musiała nawet znać reguł kolejnych gier, do których ją sadzano. Po prostu wiedziała, co ma robić, mimo że nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, gdzie się znajduje.

Mijały dni bez snu, bez odpoczynku, bez trzeźwości. Stella chudła w oczach, umierała za życia, nie potrafiła spać, nie umiała też utrzymać ciała na jawie. Wkrótce nie była nawet w stanie utrzymać rozwartych powiek. Holdem zakładał jej więc ciemne okulary – jak ślepcowi, który żebrze na ulicy z papierowym kubkiem po kawie.

Ich niezwykle dobra passa zostawała powoli doceniana i Holdem oraz „pan Van der Bilt” pięli się do góry po szczeblach chorej hierarchii wewnętrznego świata Sacerdote’a, z którym Holdem za wszelką cenę chciał porozmawiać, rozpocząć z nim swoje interesy.

Stanović jego podnóżek, jeśli będzie to konieczne, a potem kąsać go coraz bardziej dotkliwie, aż w końcu – połknąć go w całości.

Stella zaś, ponieważ stanowiła tylko drogę do celu, miała zostać porzucona wtedy, gdy stanie się całkiem bezużyteczna – czyli bardzo niedługo, zważywszy na jej trupioblada egzystencję biologicznej maszyny tracącej każdego dnia kolejne kilogramy tkanki.

Holdem był jednak naiwny, sądząc, że Sacerdote pozwala mu się piąć w górę w tak zawrotnym tempie tylko dlatego, że gra idzie im tak doskonale. Wykazywał on znacznie

większe zainteresowanie biologiczną machiną

do wygrywania, niż tym, kto nią kierował.

Jeśli miała umrzeć, Sacerdote chciał to

zobaczyć. Chciał na własne oczy ujrzeć tę

śmierć,

ponieważ

„pan

Van

der

Bilt”

niepokojąco

przypominał

mu

pewnego

człowieka, który niegdyś bywał częstym

gościem w jego świątyni. Był łudząco podobny

do kogoś, kto kiedyś był jego współnikiem.

A stał się nim, mając ledwie kilkanaście lat.

Wiele lat temu Sacerdote był zupełnie innym

człowiekiem niż dziś. W tamtych czasach

nikomu nie przyszłoby do głowy, by tytułować go w jakikolwiek sposób. Kręcił jeden z wielu szemranych

interesów,

prowadząc

lokal,

w którym można było tanio wypić i wygrać coś

lub przegrać w pokera. Stali bywalcy grali przeważnie skradzionymi fantami. Gotówka

rzadko bywała w obrocie, ponieważ niewielu

gości nią dysponowało. Miejsce było mało

ekskluzywne, ale średniej klasy złodziejaszki, wyrosnięte dzieci ulicy i utracjusze o barwnej

przeszłości traktowali je jak własny dom. A co

ważniejsze – jak punkt wymiany informacji.

Sacerdote

pamiętał

dokładnie

dzień,

w którym do jego knajpy zawitał ten dzieciak.

Był odrapany jak mało kto, głodny i bez grosza

przy duszy, ale miał w sobie coś, co sprawiało,

że potrafił zjednać sobie każdego. Nawet

śmierdząc ulicznymi rynsztokami, wydawał się

mieć w sobie klasę, której brakowało

wszystkim innym bywalcom. Wyróżniała go

jakaś

szczególna

niepospolitość

i samodzielność połączona z biernym uporem,

które sprawiały, że nigdy nie trafiał do ślepej uliczki.

Wkroczył

do

knajpy

ówczesnego

Sacerdote'a z tym swoim rozbrajającym

uśmiechem, który nie schodził mu z ust niemal

nigdy. Był wiecznym dzieckiem, które jednak

już w momencie przyjścia na świat miało

w sobie więcej dorosłości niż starcy na łożu śmierci. Był niepospolity. Potrafił niemal

wszystko, choć nie umiał niczego. We

wszystkim, do czego się zabierał, mógł być dobry.

Miał jednak dwie szczególnie mocne

strony, w których nie potrafiłby mu dorównać absolutnie nikt. Kobiety i hazard. Ten

kilkunastoletni szczeniak potrafiłby oczarować

każdą kobietę, która znalazłaby się w zasięgu

jego wzroku. Potrafił być dla nich synem

i

ojcem.

Poddawał

się

im

bezwolnie

i rozkazywał im jak bezwzględny dyktator.

Sprawiał, że przy nim czuły się jak królowa i dziwka zarazem.

Do tego miał niezawodną intuicję. Nie było

rozgrywki, w której by przegrał, jeśli tylko zależało mu na wygranej. Sacerdote szybko

zrozumiał, że niewygodnie mieć takiego gościa

w swoim lokalu. Bezpiecznie za to będzie

uczynić go swoim wspólnikiem. Obszarpanego

dzieciaka wprost z ulicy zaprosił do siebie, nie

kierując się ani krztyną dobrej woli. Wiedział

po prostu, że inwestycja w Dzieciaka będzie wygraną na loterii.

Nie mylił się. Intuicja chłopca sprawdzała

się nie tylko w grze, ale również podczas

podejmowania

ważnych

decyzji.

Knajpa

Sacerdote'a szybko przestała być podrzędnym

lokalem, w którym spotykają się miejscowe

złodziejaszki.

Zaczęła

zmieniać

kształty

i ewoluować, jak żywy organizm.

Zaplecze codzienności, jej ciemna wersja

działa jak świat po drugiej stronie lustra – na pierwszy rzut oka wszystko jest podobne, ale obowiązuje tu inna fizyka.

Miejscom takim jak to, które tworzyli

razem Sacerdote i Dzieciak, niepotrzebna była

reklama. Nikt nie potrzebował ogłoszeń

w prasie ani wielkich, świecących neonów

zachęcających do wejścia do środka. W tej

sieci jedynym źródłem informacji jest szept, który z ucha do ucha rozchodzi się szybciej niż odór zgnilizny.

Z zaplecza szemranych dzielnic szybko

zaczęli przenosić się na główne ulice.

Z zatęchłych dziur z grzybem na ścianie – do zabytkowych budynków. Im więcej gości ich

odwiedzało, tym więcej zarabiali, im większą kasą obracali, tym wyższy stawał się ich

prestż. Bardzo szybko lokal, w którym można

było

zażyć

hazardu,

wymienić

ważne

informacje i towary oraz dobrze wypić, stał się

uniwersalnym centrum podziemnego światka.

Każdy z nich zajmował się tym, do czego

najlepiej się nadawał. Sacerdote pełnił rolę przywódcy – to on pokazywał się publicznie

i robił wokół siebie dużo szumu, to z nim rozmawiano, to jego pytano o zdanie. Kiedy

jednak

nadchodził

czas

na

podjęcie

jakiegokolwiek istotnej decyzji, zawsze zwracał

się do Dzieciaka, który z tą samą naiwnością i bez troską wzruszał ramionami i zgodnie

z tym, co mu podpowiadała jego intuicja,

mówił, co należy robić.

Sacerdote szybko zorientował się, że

Dzieciaka należy bezwzględnie słuchać. Jeśli

mówi, że w danym miejscu nie warto stawiać nowego lokalu, to z pewnością niedługo uderzy

tam

piorun.

Jeśli

twierdzi,

że

trzeba

przygarnąć bezdomnego kundla, który zesrał

się na wycieraczkę, to z pewnością okaże się,

że pies ten połknął worek z pieniędzmi. Pytany

o to, skąd o tym wszystkim wie, odpowiadał:

„Nie wiem. Ale po prostu czasem czuję, że

historia mojego życia została już dawno
spisana i czasami mam wrażenie, że ktoś
kiedyś czytał mi tę historię”.

Sacerdote nie interesował się tymi jego
bzdurami. To był Dzieciak – zawsze gadał od rzeczy i nie należało przykładać do tego
większej wagi. Liczyło się tylko to, co można było osiągnąć, słuchając jego rad.

Z Dzieciakiem były jednak dwa problemy.

Po
pierwsze
–
był
niepoprawnym
kobieciarzem.

Po
drugie
–
nigdy
nie

wydoroślał. Niespotykane u jakiegokolwiek
innego mieszkańca Ziemi uwielbienie dla kobiet nie oznaczało wcale, że Dzieciak je po prostu
zaliczał. On się nimi bez przerwy
otaczał. Wszystko, co robił, lubił dzielić
z kobietami. Uwielbiał je zabawiać, zdobywać
i oddawać się pod ich opiekę. Zawsze miał
przy sobie kilka dziewcząt, które chichotały lub wzdychały, czegokolwiek by nie zrobił.

Kochał kobiety młode i stare. Biedne i bogate.

Mądre i głupie. Ze wszystkimi łączyła go jakaś

dziwna nić porozumienia – tak jakby szukał

w nich czegoś, co dawno temu utracił, a one pragnęły, by ktoś próbował w nich to odnaleźć.

Drugim problemem, którym Sacerdote

martwił się nawet bardziej, była jego

niepoprawna niedojrzałość. Jego partner

w biznesie po prostu nie nadawał się do tego,

by siedzieć w miejscu i doglądać interesów.

Miał typowo dziecięce poczucie wolności.

Ciągle gdzieś go gnało, wciąż musiał dokąś biec, by zużytkować swoją niewyczerpaną energię.

Życie Dzieciaka upływało na ciągłych

wyjazdach i niekończących się podbojach.

Wydawało się, że w każdym mieście, w każdej

wsi tego świata miał jakąś kobietę. Uwielbiał

je zadowalać, sprawiać im prezenty i słuchać ich babskiego chichotu. Lubił czuć ich bliskość

i aprobatę. Czasami zachowywał się tak, jakby jego celem było zdobycie i utrzymywanie

wszystkich kobiet na planecie Ziemia.

Wspólne interesy Sacerdote'a i Dzieciaka

sprowadzały się do tego, że pierwszy doglądał

wszystkiego i pełnił rolę króla dżungli, drugi zaś zjawiał się na miejscu od czasu do czasu po to tylko, by Sacerdote mógł zapytać o jego

zdanie na temat tej czy tamtej inwestycji,

takiego czy innego posunięcia.

Nikt nie zauważył, kiedy dokładnie – na przestrzeni tych wszystkich lat – Sacerdote stał się „tym Sacerdotem”, a lokal, który prowadzili z Dzieciakiem, został mianowany Casa Sacerdotal, podczas gdy Dzieciak pozostał „po prostu Dzieciakiem”.

Po pewnym czasie Sacerdote zaczął przemykać oko na nieustanne wyjazdy i pogonie Dzieciaka. Zaczęło być mu to nawet na rękę, ponieważ lubił upajać się niepodzielną władzą.

Dopiero kiedy Dzieciak, po powrocie z jednej z niekończących się wycieczek, oświadczył: „Ożeniłem się” – dopiero wtedy pomyślał, że sprawy zaczynają zbaczać na złoty.

Przyjął Dzieciaka w swojej prywatnej części Casa Sacerdotal, mieszczącej się na piętrze. Z korytarza – strzeżonego przez podejrzanego typa – wchodziło się do jego gabinetu, z gabinetu zaś do dziwnej, ogromnej

łaźni, która zapewne została wybudowana po to, by ugasić pragnienie megalomanii, na które chronicznie cierpiał wielki Sacerdote. Było to rozległe pomieszczenie wyłożone kamiennymi kaflami, którego stylistyka nawiązywała do antycznych łaźni. W samym jej centrum znajdowała się ogromna kamienna balia pełniąca rolę zarówno wanny, jak i jacuzzi. Spod ścian spoglądały na kąpiącego się reprodukcje antycznych rzeźb i ogromne bukiety białych kwiatów. Sacerdote przepadał bowiem za roślinami, dla których miał o wiele więcej troski niż dla ludzi, którymi gardził.

– Widzę, że nieźle się urządziłeś –

skomentował Dzieciak, cały zlany potem, jako że Sacerdote urządził sobie właśnie gorącą kąpiel i siedział rozparty w swojej kamiennej balii.

– Chyba mówisz o samym sobie – odparł bez cienia emocji. – Ja zapewniłem sobie jedynie znośne warunki w miejscu, w którym nieustannie przebywam, doglądając naszych interesów, podczas gdy ty... żenisz się. Czy to prawda?

– Tak. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się rozbrajająco.

Sacerdote pomasaował się po skroniach.

– Czy ty raczysz ze mnie kpić?

– Nie w tej sprawie. Ożeniłem się. No i co z tego? Co w tym złego?

– Wszystko, wszystko, wszystko. Za kogo ty mnie masz? Za sprzedajną dziwkę, która po latach ciężkiej pracy budzi się w rynsztoku?

Dzieciak roześmiał się szczerze i wesoło.

Rozbawiła

go

wizja

jego

partnera

w interesach jako dziwki.

– Przecież masz setki kobiet. Dlaczego wymyślasz takie głupoty?

Dzieciak otworzył usta, lecz Sacerdote uniósł dłoń, nakazując mu milczenie.

– Czego ty się spodziewasz? Że zaczniesz teraz żyć tak jak wszyscy? Twoja ciepła żonka

urodzi ci syna, który przyjdzie tu, oczekując, że oddam mu cokolwiek z tego, co osiągnąłem swoją ciężką pracą?

– O czym ty mówisz? – zdziwił się.

– To nie jest zabawa. Wbrew temu, co ci się wydaje. Zabraniam ci tego.

– Od kiedy to ty możesz mi na coś

pozwalać lub czegoś mi zabraniać? – Dzieciak

zmrużył oczy.

– Odkąd przygarnąłem cię jak bezdomnego

kundla. Wciąż nim jesteś, nie łudź się.

Dzieciak parsknął.

– Wydawało mi się, że to wszystko jest

nasze wspólne, choć, w przeciwieństwie do

ciebie, ja nie mam tu antycznej łaźni ani

„biblioteki aleksandryjskiej”.

– Jest wspólne. Dopóki ja się na to godzę.

Nic tu nie znaczysz beze mnie.

– Popelniasz błąd.

– Być może. Ale zaszedłem już tak daleko,

że małe błędy nie są w stanie mi zaszkodzić.

Zresztą – wracając do twojego nowego

nabytku – nie muszę ci oczywiście mówić, że gdybym chciał, kazałbym ją znaleźć i usunąć z twojego pola widzenia. Na zawsze. Wiem

jednak, że nie będę musiał. Tym razem

zrobiłeś głupotę, Dzieciak. Dobrze znam twój charakter i twoją naturę. Coś ci się tam

w głowie na moment przestawiło, ale wrócisz do starych obyczajów. Wrócisz do wszystkich

dziwek tego świata, bo taki po prostu jesteś.

Zawsze taki pozostaniesz.

Mierzyli się wzrokiem przez jakiś czas.

Było to pierwsze poważne nieporozumienie,

które zrodziło się pomiędzy nimi, odkąd
zdecydowali się współpracować.

Dzieciak zacisnął pięści i opuścił Casa
Sacerdotal, zostawiając swojego współnika
z przeświadczeniem, że osiągnął to, o co mu
chodziło.

Przez kolejne lata Casa Sacerdotal
kształtowane było pod dyktando Sacerdote'a,
który nieustannie trzymał rękę na pulsie,
czyniąc ich interes coraz bardziej mrocznym
i powiązany z coraz większą liczbą ciemnych
spraw, o których Dzieciak starał się nie
myśleć.

Hazard i picie stały się już tylko
formalnością, sentymentalnym wspomnieniem
przeszłości. Sacerdote zbudował wokół siebie
imperium, którego korzenie sięgały głębiej
i dalej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Dzieciak odsunął się od interesów na
bezpieczną odległość. Coraz rzadziej bywał
w Casa Sacerdotal, pochłonięty własnymi
problemami i skłonnościami.

W końcu Sacerdote uznał, że jest już
całkowicie niezależny. Poziom, jaki osiągnął, zwalniał

go

z

konieczności

ciągłego

konsultowania się z Dzieciakiem. Jako dobry

strateg zdawał sobie sprawę z tego, że

optimum osiąga się dzięki oszczędności.

Dzieciak ze swoimi kolejnymi utrzymankami,

z rosnącymi wydatkami, ze swoją żalosną

moralnością,

którą

czasami

karmił

Sacerdote'a, odradzając przyłączenie się do

poważniejszych przedsięwzięć – z całym tym

bagażem Dzieciak stał się niewygodny. A jako taki wymagał usunięcia z interesów. Na

zawsze.

– Przypominam panu, że musi pan to

zrobić z prawdziwą finezją. W rękawiczkach

i bez najmniejszych śladów. Proszę go

potraktować

poważniej

niż

kogokolwiek

przedtem.

–

Sacerdote

złożył

dłonie

w piramidkę, siedząc przy swoim biurku obok

albinotycznej ary. Mężczyzna stojący przed

nim przytaknął.

– Nie takich jak on...

Sacerdote uniósł dłoń, nakazując mu

milczenie.

– Wiem. – Spojrzał mu w oczy. – I właśnie

dlatego to panu mówię. Macie go potraktować

bardzo poważnie. On nie wygląda na groźnego

przeciwnika. I właśnie dlatego nim jest. Musi pan przygotować sobie kilka rozwiązań, kilka opcji, bo wiele z nich może udać mu się

ominać, choć panu będzie się to wydawało

niemożliwe.

Sacerdote cenił dość wysoko człowieka,

z którym właśnie rozmawiał. Właśnie dlatego

to

jemu

zlecił

subtelne

zadanie

wyeliminowania

z

gry

swojego

współpracownika. Liczył się jednak z tym, że może stracić nie partnera w interesach, ale najemnika, któremu płaci. Spodziewał się po Dzieciaku wielkich trudności – z tym jego psim instynktem, z tą jego intuicją, która zawsze pozwalała mu wybrać właściwie...

Wszystko miało wyglądać na wypadek – to

oczywiste. Pozostała jeszcze kwestia, jakiego rodzaju wypadek. Najemnik zdecydował, że

będzie to wypadek samochodowy. Plan był

nieco skomplikowany. Samochód, co dość

typowe, miał wypaść z drogi. Nie jest jednak wcale łatwo sprawić, by komuś nagle zsunęła się noga z odpowiedniego pedału i by wjechał

tak po prostu w przepaść.

Tak, tak... To już nie te czasy co kiedyś.

Wystarczyło w odpowiedni sposób ogłuszyć

delikwenta

albo

tak

przygotować

jego

samochód,

by

wszystko

wyglądało

wiarygodnie. Teraz wszystko się wyda.

Wszystko.

Najemnik, śledząc swoim samochodem

ofiara jadącą przed nim, podpalił papierosa.

Miał już swoje lata. Znał się na robocie

i wiedział, że podstawa to cierpliwość.

Narwana gówniarzeria robi to za szybko, zbyt

nerwowo, bez pomysłu. I dlatego właśnie

narwana gówniarzeria często jest łapana.

A najemnik szczyił się niezsarganą opinią.

Ofiara jechała ładnym samochodem –

szkoda go będzie. Najbardziej najemnik

żałował właśnie rekwizytów. Zawsze żał mu

było pięknego domu, który trzeba było

podpalić lub zabytkowej bryki, która trafiała na złom. W gruncie rzeczy był miłosierny.

Najemnik przyjrzał się kobiecie, która

jechała z ofiarą – całkiem nieźle trzymająca się starsza babka. Niewygodnie. Dobrze by

było poczekać, aż sobie pójdzie. Zawsze

powtarzał sobie w myślach tę zasadę – dwie ofiary to nie „problemy razy dwa”, tylko „do potęgi drugiej”. Ofiara rozmawiała o czymś

z kobietą. Oboje machali żywo rękoma.

Najemnik nie był oczywiście tak głupi, by

jechać bezpośrednio za nimi – ludzie jakoś

zawsze zorientują się, że są śledzeni. Trzeba wmieszać się w tłum samochodów. No

i podstawa – mieć byle jakie, przeciętne auto.

Strój turysty, niemrawy uśmiezek na twarzy.

Nikt nie zaufa facetowi w ciemnych okularach

i garniturze wysiadającemu z czarnego

samochodu i skrywającemu coś za plecami.

Nagle stało się coś dziwnego. Kobieta podczas

rozmowy z ofiarą spojrzała w lusterko

wsteczne i jej wzrok spotkał się ze wzrokiem

najemnika. Niby nic, ułamek sekundy. A jednak poczuł dziwny dreszcz. Oczy kobiety były tak jasne...

To spojrzenie tak klarowne...

Nie, przecież odległość była zbyt duża, by

w ogóle mógł dostrzec kolor jej oczu. Owszem

– spojrzała tu przez przypadek, ale to tylko jemu

się

wydawało,

że...

Kobieta

się

rozpłakała. Prosiła o coś ofiarę, zaczęła ją pociągać za rękaw. Ofiara kręciła przecząco

głową.

Najemnik poczuł, że robi mu się gorąco.

Miał dość na dziś. Chciał się wycofać. Jutro znowu go wyśledzi i rozpocznie wszystko od nowa. Wiedział jednak, że w tej robocie najważniejsze jest opanowanie. Nie może tak po prostu zjechać z drogi i zwrócić na siebie ich uwagi. Skoro już ktoś na niego spojrział, musi zachowywać się dokładnie tak, jakby reagował przeciętny człowiek na jego miejscu – robić dalej swoje, jechać i nie przejmować się.

Dziwne – ofiara jechała dokładnie w stronę tego urwiska, o którym myślał najemnik.

Samochody zaczęły się przeredzać. Zostali niemal sami. Najemnik pomyślał, że najwyższa

pora się wycofać – jeśli zostanie tylko auto ofiary i jego, zwróci na siebie ich uwagę.

Był jednak tak ciekawy... Po raz pierwszy w życiu był czegoś tak ciekawy, że nie potrafił

zrezygnować. Pomiędzy ofiarą a kobietą o jasnych oczach wywiązała się kłótnia,

drobna szarpanina. Kobieta ewidentnie o coś błagała, a ofiara nie chciała się zgodzić.

Kobieta znowu zerknęła w lusterko wsteczne

i tym razem najemnik zrozumiał – jej spojrzenie było błagalne. Ofiara chciała jej coś

zrobić. To dlatego jechała nad tamto urwisko.

Nie wolno mu się angażować. Nie wolno

mu się mieszać, tym bardziej teraz. Właśnie teraz musi zawrócić. Wybierze inne urwisko, wymyśli inny plan.

Ale niepokój i ciekawość nie pozwoliły mu
zawrócić. Zachowywał się teraz, jakby po raz
pierwszy miał do czynienia z jakimś zleceniem.

Zostały ich dwa samochody, a on nadal jechał.

Chyba postradał zmysły. Ale ta kobieta... ten błagalny, jasny wzrok.

Zbliżyli się do miejsca, w którym – jak
planował wcześniej – najwygodniej byłoby
zrzucić samochód. Potem już wszystko działo
się tak szybko, że ledwie zdołał zanotować, co
stało się najpierw, a co później.

Ofiara spojrzała w lusterko wsteczne
i zajrzała najemnikowi tak głęboko w oczy, że
aż go zemdliło. Pisk opon – gwałtownie skręcił,
otworzył drzwi pasażera, wyrzucił przez nie
kobietę.

Jeszcze

raz

zdążył

spojrzeć

najemnikowi prosto w oczy i... zjechał

w przepaść.

Najemnik poczuł, że serce stanęło mu

w

miejscu.

Usłyszał,

jak

samochód

roztrzaskuje się o skały, jak fale uderzają o reszkę jego pogniętej karoserii. Jak wszystko wybucha – świat i sens.

A na poboczu leży płacząca kobieta.

Rozdział 61

Rita przybyła do domu Adaleny po dwóch dobach jazdy. Zajeżdżając gratem na podjazd, poczuła ucisk w gardle.

Na ganek wyszła Matylda. Matylda – jej siostra. Rita wysiadła z samochodu i stanęła bezwolnie przed gankiem.

Z

rękoma

opuszczonymi wzdłuż ciała, ze skrajnym zmęczeniem malującym się na twarzy. Matylda

rozplakała się ze szczęścia, zbiegła z trzech schodków i objęła Ritę jak własne dziecko.

Dwie siostry, które jeszcze nie tak dawno

nie znaczyły dla siebie nic, teraz czuły się sobie bliższe niż syjamskie rodzeństwo.

– Rita, tak się cieszę, tak się cieszę –

powtarzała Matylda, tuląc ją.

– Ja też. – Rita otarła oczy.

– Chodź, wejdź – ocknęła się Matylda. –

Musisz coś zjeść, odpocząć, odespać jazdę.

– Nie trzeba. – Machnęła ręką. – Przez

dwie

doły

żywiłam

się

resztkami

pokarmowymi spod foteli samochodowych.

Zaśmiały się.

– Rito, założę się, że podczas twojego

pogrzebu wszyscy żałobnicy usłyszą jeszcze

jak sypiesz żartami spod ziemi.

– Obejrzyjmy ten obraz – zmieniła temat

Rita.

Weszły na ganek, a z niego do pokoju

dziennego.

– Jak tu pusto – zauważyła Rita.

– Bo nikogo tu nie ma poza nami –

odezwała się Ofelia, wychodząc z kuchni.

Rita otworzyła usta.

–

Jak

ty

wyrośłaś!

Wydoroślałaś

o piętnaście lat, słowo daję!

Ofelia uśmiechnęła się.

– Przygotuję coś do jedzenia – powiedziała

i zniknęła w kuchni.

Rita z Matyldą usiadły przy stole w jadalni.

– Ofelia ma rację. Nikogo tu nie ma.

Adalena zniknęła dawno temu. Satriz i Ide

w dniu odnalezienia obrazu.

Rita zamyśliła się.

– Odeszły. Stopniowo odeszły – zostawiły

to wszystko nam. Teraz nasza kolej, my

musimy poradzić sobie same.

Matylda

spojrzała

na

siostrę

ze

zdziwieniem. Mimo wszystko nie mogła

zrozumieć, skąd w niej nagle tyle opanowania,

zdecydowania, spokoju. Gdzie podziała się

dawna Rita?

– Ale jeszcze rankiem, w dniu znalezienia
obrazu, rozmawiałam z Ide, a Ofelia z Satrizą.

A potem nagle zniknęły? Rozpłynęły się?

– Odeszły. – Rita uśmiechnęła się smutno. –

Tak jak odeszła Adalena. Musimy być teraz
samodzielne.

Nasza

odskocznia

–

mały

wszechświat stworzony tylko dla nas odegrał

już

swoją

rolę.

Nierealnie

beztroskie

dzieciństwo – na wyciągnięcie ręki – zawsze gdy tu przyjeżdżałyśmy, robiłyśmy, co tylko

przyszło nam do głowy, prawda? Zawsze

znajdowałyśmy

tu

pochrzepienie,

dobro,

ukojenie.

Wszystko

to,

czego

potrzeba

osamotnionym

dzieciom.

No

i

siebie

nawzajem. Gdyby nie dom Adaleny, nigdy nie

poznałybyśmy swoich sióstr – wyobrazasz to

sobie? Nigdy nie wiedziałybyśmy nawet

o swoim istnieniu. *Fabulas finem, fama in aeternum* – przypomniała sobie sentencję wiszącą nad wejściem do domu Adaleny. –

Historie się kończą, opowieść trwa wiecznie –

czy nie to zawsze powtarzała nam Adalena?

Matylda zamyśliła się.

– Pokażę ci obraz.

Wstała z miejsca i sięgnęła po płótno

oparte o ścianę.

– Ofelia twierdzi, że znalazła je już dawno

temu, przed... wyjazdem Stelli. Adalena była

wtedy na nią bardzo zła.

– Adalena zła? – zdziwiła się Rita.

– Tak... – odparła Ofelia, wchodząc do

jadalni z parującą wazą pełną zupy z muli. –

Jedz, Rito. To cię natychmiast postawi na nogi.

– Dzięki. Jak myślisz, dlaczego była zła?

– Sprawiała wrażenie, jakby to nie było
przeznaczone dla mnie... Albo jakby było na to
jeszcze za wcześnie.

Rita przyjrzała się obrazowi.

– Rzeczywiście, Mati, to wypisz wymaluj
ty. Widać na pierwszy rzut oka. Tylko włosy w innym kolorze.

– Ofelia twierdzi, że wtedy, gdy go
oglądała, to wcale nie było takie oczywiste.

– To prawda – przytaknęła dziewczynka. –

Tak jakby... Wtedy to była po prostu „jakaś”
kobieta. A teraz to jest konkretnie mama.

– Jesteś pewna? – zamyśliła się Rita.

– Jasne, że nie. Ale jestem prawie pewna,
że poznałabym wtedy od razu, gdyby obraz
przedstawiał mamę. Tak jak poznałam ją
teraz, gdy go znalazłyśmy. Zupełnie jakby...
ten obraz wtedy jeszcze nie wiedział, kogo ma
przedstawiać.

– To już nadinterpretacja – zauważyła

Matylda.

– Ale podyktowana przeczuciem – odparła

Rita i zabrała się do jedzenia.

– Co teraz będzie? – spytała Ofelia.

Rita wzruszyła ramionami.

– Wyruszamy znowu. Musimy odnaleźć

Stellę. I to szybko. Wiem, że u niej bardzo źle.

– Jesteśmy w punkcie wyjścia – zauważyła

Matylda. – A nawet gorzej. Bo wtedy

mogliśmy przynajmniej zwrócić się po radę do

Adaleny. A teraz? Jesteśmy same, zupełnie

same.

– I właśnie dlatego teraz już jesteśmy

samodzielne – odpowiedziała Rita pewnie.

– Nie wiemy jednak niczego więcej.

– Zgadza się – siorbnęła Rita. – Ale

zaufałyśmy samym sobie. I teraz już wiemy,

jak szukać. Nie odpuszczę tego, Mati. Musimy

ją znaleźć, i to szybko.

– Wiem – szepnęła Matylda.

– Będziemy jechać przed siebie, aż

stwierdzimy, że należy skręcić w prawo.

A potem znowu – aż uznamy, że należy skręcić

w lewo. I znowu prosto. W ten sposób

będziemy się poruszać.

– Po omacku – zauważyła Matylda.

– Nie, nie po omacku. Tym razem

otworzymy oczy.

Rozdział 62

Zapakowały trochę jedzenia przygotowanego

przez Ofelię. Mała przejęła zdolności Ide,

jakby się z nimi urodziła. Siostry były nawet zdania, że już w tym wieku przewyższała ją pod względem wyczucia – smaku i potrzeb

tego, kto będzie jadł.

– To niewiele – powiedziała Ofelia. –

W końcu to tylko jedzenie. Ale gdy trzeba wam

będzie pokrzepienia, zjedzcie trochę – doda

wam sił i animuszu.

Rita pakowała potrzebne rzeczy do

bagażnika. Matylda stanęła naprzeciw swojej

córki i spojrzała na nią ze wzruszeniem.

– Kochanie, czy muszę ci mówić, że...

– Nie, mamo. Chyba nawet wolałabym,

żebyś nie mówiła. – Uśmiechnęła się skromnie.

Matylda objęła ją.

– Jak to możliwe, że ty byłaś ode mnie

dojrzała, odkąd tylko przyszaś na świat?

Dlaczego

ja

do

wszystkiego

musiałam

dochodzić, jakby to były jakieś prawdy

zakazane w królestwie zakłamania, a ty

wszystko wiedziałaś od dziecka? Już jako

niemowlę miałaś takie spojrzenie... Jakbyś

chciała mi powiedzieć: „Spokojnie mamó, nauczę cię wszystkiego”.

Obie roześmiały się serdecznie. Ofelia

wykręciła

się

z

objąć

matki,

nieco

zawstydzona.

– Kochanie, poradysz sobie w tym wielkim

domu... zupełnie sama?

– Tak, mamó. Nie przejmuj się. Zadbam

o dom. Czuję się tu dobrze i bezpiecznie.

A wy... po prostu przywieźcie Stellę.

Matylda westchnęła ciężko.

– Tak. Nie mamy innego wyjścia.

Rita trzasnęła klapą bagażnika. Odpaliła

sobie papierosa i kiwnęła na Matyldę, która ucałowała raz jeszcze córkę i usiadła na

miejscu pasażera.

– Trzymaj się, młoda. – Rita uśmiechnęła

się.

– Opiekuj się moją mamą. – Ofelia

odwzajemniła uśmiech.

– Jasne. A ty nie rozbestwiał się za bardzo

z powodu wolnej chaty. Wrócimy szybciej, niż się obejrzysz.

Rzęch wydał z siebie jęk, który brzmiał jak

postawiony warunek: „Tym razem jeszcze

ruszę, ale niech to będzie ostatnia wielka

wyprawa w moim życiu”.

Ofelia stała na ganku pod słynnym *Fabulas*

finem, fama in aeternum, przyglądając się, jak stary grat wyjeżdża z podjazdu, jak jej ciotka i matka wyruszają w absurdalną wyprawę – po

raz drugi. Miała dziwne wrażenie. Tak jakby tamto to była tylko próba, jakby miały się przystosować i przygotować. A dopiero teraz

mogą naprawdę osiągnąć swój cel.

Również Matylda, siedząc znowu na

miejscu pasażera, czuła się dziwnie. Trochę

tak, jakby coś odtwarzały, ale z drugiej strony,

jakby każda z nich była teraz kimś innym. O ile

wcześniej Matylda czuła, że sens tej wyprawy

jest,

delikatnie

mówiąc,

wątpliwy,

że

odnalezienie Stelli na własną rękę jest

absurdalnym pomysłem, o tyle teraz sądziła,

że to nie ma tak naprawdę znaczenia. Nie

chodziło oczywiście o to, że los Stelli był jej obojętny. Czuła raczej, że wyprawa ta musi się

odbyć – niezależnie od tego, czy jej cel ma sens i czy zostanie osiągnięty.

Rita uparła się żeby usiąść za kierownicę,

mimo że prowadziła przez minione dwie doby.

Zupa przygotowana przez Ofelię – twierdziła –

postawiła ją na nogi i Rita chciała wykorzystać

swoją świadomość do granic możliwości, by

zamienić się miejscami z Matyldą dopiero

wtedy, gdy już nie będzie w stanie dalej

prowadzić.

Palila spokojnie papierosa, jechała przed siebie. Jej poważne oblicze stanowiło teraz

zagadkę dla Matyldy. Wyciszona Rita to było coś nowego, z czym jej siostra nie potrafiła sobie do końca poradzić. Chcąc zaspokoić

potrzebę robienia „czegoś” – czegokolwiek –

otworzyła schowek samochodowy i zabrała się

do

przeglądania

rzeczy,

które

w

nim

spoczywały.

Jakaś mapa, latareczka, gumy do żucia,
chusteczki i... rzeczy schowane tu przez
Corneliusa. Matyldzie zrobiło się nagle głupio.

Gdzie mógł być teraz Cornelius? Czy Rita

o nim myśli? Tych dwoje łączyło z pewnością coś szczególnego. To nie był zwykły „kochanek z przeszłości”. Czy więc Rita zastanawia się, co się z nim stało? Jak bardzo musiała się czuć osamotniona, skoro nie miała przy sobie Stelli, z którą przecież była tak zżyta. Cornelius zaś sprawiał wrażenie kogoś naprawdę ważnego w jej życiu...

– Co ty tam przeglądasz? – spytała Rita.

– Nic takiego – oglądam rzeczy ze
schowka. Są tu twoje zdjęcia.

– Nagie? – zaśmiała się resztkami
poczucia humoru.

– Nie tylko. Są też ubrane.

– Ależ jestem zboczona. – Zaciągnęła się.

– Cornelius miał kiedyś brodę? – zaśmiała się Matylda, przeglądając zdjęcia.

– Tak. Gdy przegrał ze mną zakład.

Założyliśmy się o zapuszczenie brody.

– A ty co miałaś zapuścić?

– To już moja słodka tajemnica – zaśmiała
się Rita, spoglądając ukradkiem na zdjęcia,

które przeglądała Matylda.

Fotografie wydawały się szczególne, choć przedstawiały zwykłe, codzienne sytuacje. Ale

sposób, w jaki Cornelius i Rita patrzyli na siebie na tych zdjęciach, uchwycone przez aparat gesty – wszystko to sprawiało, że

Matylda

instynktownie

zapra gnęła

mieć

podobne

zdjęcia.

Widać

było

na

nich

nieuchwytną

nić

porozumienia,

wspólnie

dzieloną tajemnicę – niedostępną dla reszty

świata. Tak jakby tych dwoje ludzi znało jakiś

sekret – nieznanym innym, odkryty tylko przez nich.

–

Czasami

myślę

–

westchnęła

melancholijnie Rita – że ze zjechaną psychiką człowiek się po prostu rodzi. A potem tylko z wygody pogłębia swoje wady, bo nie ma siły

konfrontować się z inną rzeczywistością.

– Może. A może to należy traktować jak

wyzwanie. Im bardziej skopiesz swoje życie,

tym większa motywacja, by dalszą jego część

uczynić lepszą.

– Ta – prychnęła Rita. – To by było pięknie.

Ale zdarza się chyba tylko w Stumilowym

Lesie. Już gdy przychodzimy na ten świat,

niesiemy na plecach wielki garb, który

z czasem tylko rośnie i rośnie. Sami na to pozwalamy.

Matylda zamyśliła się.

– Myślisz... że to dziedziczne?

– Co?

– No, wiesz... jakaś taka... niezdolność do

budowania, jak by to nazwać, normalnych,

zdrowych relacji.

– Na pewno wygodnie jest tak sądzić.

– Adalena zawsze powtarzała, że życie to

jedyna rzecz na świecie, która dzieli się na większą i mniejszą połowę. Zawsze można

uznać, że od dziś rozpoczynasz tę większą

i ważniejszą.

Rita westchnęła.

– Adalena mówiła różne rzeczy.

– Co to za zdjęcie?! – zdziwiła się nagle Matylda. – Co się stało Corneliusowi?

– Jakie zdjęcie? – Podpaliła kolejnego
papierosa.

Matylda wyciągnęła dziwną fotografię –

wykonaną

w

tonacji

nieodpowiadającej

rzeczywistym kolorom – jakby zamgloną,

niewyraźną, do tego niewymiarową.

Zdjęcie przedstawiało bezdomnego –

uderzająco podobnego do Corneliusa. Jego

twarz była potwornie zniekształcona przez

zadane rany i fioletową opuchliznę. Leżał

półprzytomny w ciemnym miejscu, gdzieś

pomiędzy śmietnikami, kartonami a jakimś

brunatnym ściekiem.

Rita przyhamowała gwałtownie.

– Skąd ty to wytrzasnęłaś?!

– Ze schowka samochodowego. – Matylda

unosła dłonie w obronnym geście. – Czy to ty

robiłaś to zdjęcie?

– Oczywiście, że nie. Nie mam pojęcia,

kiedy Cornelius był w takim stanie.

Matylda zbliżyła fotografię do twarzy, by

przyjrzeć się jej szczegółom.

– Rita... – jęknęła. – To mi się nie podoba.

Wskazała palcem róg zdjęcia. Widać na

nim było fragment samochodu... Siedziało

w nim dwóch pasażerów, a w zasadzie – dwie

pasażerki.

– Przecież ten samochód to nasz rzęch –

zauważyła Matylda.

Rita

zjechała

na

pobocze,

wyrwała

Matyldzie fotografię i sama się jej przyjrzała.

– Jasna cholera. No jasne, że to nasz

rzęch. Co więcej, siedzimy w nim właśnie my.

Zdjęcie było bardzo niewyraźne, ale faktycznie – dało się rozpoznać przerażoną

twarz Matyldy i Ritę siedzącą za kierownicą.

– Gdzie to mogło być zrobione? – spytała

Matylda.

– Nie mam pojęcia. Ale musimy tam

jechać.

– Rita – wykrzywiła się nagle Matylda –

czujesz ten...

– Straszny smród? – Wciągnęła powietrze.

– Nie da się go nie czuć.

– Co tak capi? – Matylda otworzyła okno.

Rita

spojrzała

smutno

przed

siebie

i odpaliła silnik.

– Siarkowodór.

– Jedźmy stąd, bo padnę.

– To nic nie pomoże. – Rita uśmiechnęła

się. – To zapach ścieków – chwyciła fotografię

w dłoń – tych ścieków.

Rozdział 63

Eli, trzymaj się. Wytrzymaj, błagam cię.

Zapomnimy o tym wszystkim. Już nigdy nie

będę robiła tego, co robiłam kiedyś.

Tak się nie da, Rito. Zawsze będę o tym

pamiętał. Już nie potrafię położyć się do
wieczornego łóżka bez lęku, że mi uciekniesz.

Nawet wtedy, gdy kładę się sam.

Proszę cię, zostań ze mną. Nie poddawaj
się. Dalej – to jest najważniejsze – by ciągnąć
wszystko dalej.

Nie chcę iść dalej. Tamto już minęło,
a nowego nie chcę.

Nie poddawaj się. Zrobię wszystko, oddam
ci tamten czas, zobaczysz.

Wszystko kiedyś się kończy.

Nie, Eli. Kończą się tylko historie.

A opowieść trwa wiecznie.

Rozdział 64

– Rita! Jedziesz pod prąd!

Ocknęła
się.

Musiała
przysnąć

za
kierownicą.

– Zamieniamy się. Teraz ja prowadzę.

– Nie, Mati. Jesteśmy już blisko. Wiem,

gdzie on leży.

Matylda zamilkła. Usiadła tak, by patrzeć
na siostrę bez chwili wytchnienia, by pilnować,
czy nie zaśnie, czy nie odpłynie wraz ze
wszystkimi zmartwieniami, które wozila ze
sobą od dłuższego czasu.

– Ty się nigdy nie poddajesz – powiedziała
cicho Matylda.

– Teraz będę musiała. Inaczej nic się nie
uda. Po raz pierwszy w życiu będę musiała
odpuścić.

Wjechały

na

przedmieścia

Eskultor.

Zapach siarkowodoru był już nie do zniesienia.

Matylda zatkała nos.

– To nie pomoże. – Rita uśmiechnęła się
smutno.

Tutejszy

świat

sprawiał

wrażenie

owiniętego kokonem dymu, ciemności – jakby

słońce nie chciało oddawać swojego blasku

w to zapomniane przez wszystkich miejsce.

Ścieki chłonęły cały jego blask, pasma

przepełnionych śmietników wciągały całe

świeże powietrze. Rześka woda uciekała stąd

z

fizyczną

awersją.

Wszelki

śpiew

i westchnienie ginęły tu, nim powstały.

Grat toczył się powoli. Rita przyglądała się

uważnie każdemu bezdomnemu leżącemu

w rynsztoku, każdemu ograbionemu z życia,

wszystkim, którzy zabłądzili tu w drodze do swojej ziemi obiecanej.

Most. To pod nim. Podjechały rzęchem

najbliżej, jak się dało. Rita zgasiała silnik, wybiegła z samochodu. Matylda odczuwała już

tak

silne

mdłości,

że

bliska

była

zwymiotowania wszystkiego, co zdążyła zjeść

przez całe swoje życie. Rita krążyła od
kartonu do kartonu, podnosząc kolejne
śmierdzące sterty śmieci. Nagle przestała
biegać. Wyprostowała się. I spojrzała w stronę
górk
usypanej
z
gruzu,
przysłoniętej
makulaturą i złomem.

– Eli – szepnęła.

Podeszła do uwypuklenia śmieci, odkryła
jeden z kartonów i zawyła z bólu, który
wydawał się jej własnym. Rozplakała się
gorzko, widząc mężczyznę, którego pewne
cechy
wyglądu
przypominały
Corneliusa.

Corneliusa sprzed wielu wieków, sprzed epoki światła i miłości. Corneliusa utrapionego,
martwego na duszy, okaleczonego na ciele,
broczącego tym, co pozostało po biologicznym
stworzeniu, jakim niegdyś był.

Matylda podbiegła do siostry. Dostrzegłszy

jej znalezisko, zakryła usta dłońmi i, nie potrafiąc inaczej, również rozplakała się, pozwalając, by łzy niezrozumienia, bólu i niemocy zmoczyły jej całą twarz.

Kto i dlaczego zrobił mu coś takiego? Rita

szeptała coś do siebie, a może do niego... Ale czy on mógł żyć? Czy mógł być żywy – w takim stanie? Od jak dawna tu leżał? Kto go tak urządził? Kto?!

Rita odkryła karton, pod którym leżało

poranione ciało Corneliusa. Uklękła przy nim, dotknęła jego chłodnej dłoni, przyłożyła ją do swojej twarzy.

– Rito – szepnęła Matylda przez łzy. – Rito,

Rito...

Jej siostra położyła się obok Corneliusa

i przykryła się jego kartonem.

– Jestem tu – szepnęła. – Jestem przy

tobie.

– Rito, musimy... Musimy... – Matylda nie

mogła się wysławić.

A Rita szeptała coś bez przerwy, leżąc

w śmierzdzącej stercie gruzu, przykryta kartonem, z twarzą mokrą od swoich łez,

umorusaną zaschniętą krwią, która odpadła

z jednej z ran Corneliusa.

– Rito, czy on... Rito...?

Kobieta odwróciła na moment twarz

w stronę swojej siostry i wyszeptała coś spod kartonu.

Matylda nachyliła się, by lepiej słyszeć.

– Jedź, Mati. Przysięgnij mi, że zrobisz wszystko, by odnaleźć Stellę. Musisz teraz starać się za nas dwie. Za nas dwie, Mati. A ja starałam się bardzo, uwierz mi.

– Daj spokój, Rita. Nie zostawię cię pod kartonem z...

– Jedź, Matyldo. Musisz odnaleźć Stellę.

– Proszę, Rita. Nie wygłupiaj się.

Zadzwońię po pomoc. Poczekam.

– Jedź. Dalej.

Rozdział 65

Rita wtuliła się w chłodne ciało leżące obok niej. Gdy już zostali sami, wyciągnęła z kieszeni maleńki flakonik, który dawno, bardzo dawno temu dała jej Adalena. Zdjęła drobny koreczek, wypila pół zawartości. Oblizwała usta. Pocałowała chłodne wargi Corneliusa.

Rozdział 66

Jestem malutka. Maleńka, Eli. Najmniejsza, jaką możesz sobie wyobrazić. Ziarnko maku to mój dom, pyłek kurzu to moja dusza. Jestem najmniejsza na świecie, Eli.

Jestem

mniejsza

niż

wspomnienie

najdrobniejszej chwili. Tak malutka, że mogę wejść przez twoje ucho i odnaleźć twoje myśli.

Błądzą między nimi i przewijam je między

palcami. Jestem maleńka – mogę je przeplatać

jak na krosnach. Potrafię je łątać. Potrafię zebrać je w jedną całość.

Jestem malutka, Eli. Potrafię wypłynąć

z twojego oka razem ze łzą. Spływam w niej po twojej twarzy, błądzimy po zagięciach

twojej skóry i po opuchliznie twoich ran.

Zatrzymamy się w kąciku twoich ust.

Poczekam tam na twój wdech, Eli.

Teraz nie oddychasz, ale wiem, że wciąż

jeszcze możesz. Jestem tak malutka, że

potrafię to rozpoznać. Czekam na twoich

ustach, aż je otworzysz. Nie masz już na to siły, wiem. Ale ja mam czas. Poczekam, aż

zmęczy cię śmierć i odżyjesz. Poczekam, bo

jestem tak malutka, że czas płynie dla mnie

inaczej.

Weź

wdech,

Eli.

Kiedy

nieśmiało

wciągniesz trzy cząstki powietrza, ja dam się porwać razem z nimi.

Jestem w twoich płucach, Eli, i słyszę, że one chcą oddychać. Wiem, że tu mieszka twoja dusza. Skurczyła się, bo ty umarłeś. Ale ja też

jestem maleńka. Znajdę ją i ogrzeję.

A kiedy to nastąpi, przegryziemy się do

twojego serca, Eli – ja i twoja dusza. W nim ubroczymy się czerwienią życia i nakłonimy

twoje serce, by biło. Twoja dusza dobrze mnie

zna – poznała mnie, mimo że jestem tak

malutka.

Jest przezroczysta – tak bardzo się

skurczyła. Ale wciąż może mi pokazać, gdzie boli cię najbardziej. A ja jestem maleńka, Eli.

Tak maleńka, że dotrę do miejsca, które boli cię najmocniej. Wiem, że to nie rany. Wiem, że

to ja kiedyś wygryzłam w tobie największe

dziury. Ale teraz jestem tak malutka, że uda mi

się je połatać, Eli. Ja i twoja maleńka

duszyczka razem naprawimy to wszystko, co

kiedyś popsułam.

A teraz czas na wydech. I niech twoje

serce

zabierze

mnie

do

najdalszych

zakamarków twojego ciała.

Oddychaj, Eli. Twoje serce już bije.

Rozdział 67

Matylda nie ocierała łez – pozwoliła im żyć własnym życiem. Chciały płynąć, to płynęły.

Chciały kapać, to kapały.

Coś się stało – coś zmieniło się we wnętrzu

Matyldy – coś tak zdecydowanego, że mogłaby

teraz zarazić tym zdecydowaniem cały świat.

Była spokojna jak nigdy, w jej głowie

siedziała miękka pustka, która izolowała myśli

jak wata. Nic, żaden niepokój czy niepewność

nie miały dostępu do świadomości Matyldy.

Jedzie, bo jechać musi. Stelle odnajdzie,

bo tak postanowiła.

Jechała dzień, noc, znowu dzień. Mijała po

drodze domy, ludzi, zwierzęta, pory roku,

śmierć i narodziny.

Nie

zatrzymywała

się.

Samochód

napędzała jej determinacja. Rzęch i ona to

teraz jeden organizm, który dotrze, gdzie ma dotrzeć, bo wszystkie drogi prowadzą teraz

w jedno miejsce. Do *axis mundi*, którym jest Casa Sacerdotal.

Matyldą wstrząsnęły mdłości. Nie myślała
o niczym, lecz wiedziała, że jest blisko. Bardzo
blisko.

Rozdział 68

Z dala od gwaru i zamieszania świata
wypiętrzyło się z roślinnej równiny wzgórze.

Każdy jego oddech trwał tyle co ruch płyty tektonicznej, a każde jego westchnienie było epoką w
dziejach ludzkości. Żwir i piach
osypywały się z niego jak naskórek ze
zwierzęcia, z nieustępliwą częstotliwością.

Wzgórze trwało i tkwiło. I czuło coś, o czym nie wiedzieli jeszcze przebywający na jego
szczycie ludzie.

Rozdział 69

Matylda
podjechała
do
podnóża
góry.

Wiedziała, że cokolwiek się teraz będzie
działo, ona wejdzie na jej szczyt. I zejdzie z niej razem ze Stellą.
Zostawiła grata na dole i zaczęła wspinać
się na piechotę. Z każdym pokonanym metrem

powietrze stawało się rzadsze, ale Matylda nie

musiała oddychać. Nie musiała jeść, pić. Życ.

Musiała tylko załatwić tę jedną sprawę.

Wspięła się na sam szczyt. Jej oczom

ukazał się okazały pałac, pięknie zdobiony

z zewnątrz, otoczony bujną roślinnością,

rzeźbami, owiewany delikatnym podmuchem

wiatru. Słowem – Eden.

Matylda wyglądała teraz jak zbłąkany

kolonizator na nowej ziemi – obszarpany

i bezbronny, lecz wciąż zdecydowany osiąść

ten ląd. Dzierżyła w dłoni jeden tylko

przedmiot – obraz w zdobnej ramie.

Westalka oczekująca gości przed wrotami

wejściowymi ożywiła się, widząc nowego

przybysza. Zawahała się przez moment,

dostrzegłszy, że jest to kobieta. Matylda

stanęła naprzeciw niej z obliczem bestii

zagonionej w kozi róg.

– Zechce pani poczekać – odezwała się

westalka, lecz Matylda przerwała jej, unosząc

dłoń.

– Otwórz wrota – powiedziała i pokazała

westalce obraz.

– Zechce pani poczekać i... – Westalka

uśmiechnęła się służbowo.

Matylda prychnęła.

– Jak myślisz, kto na nim jest? Jak myślisz, gdzie to było namalowane? Ty sama nigdy tam nie weszłaś, nędzne zwierzę, więc nie psuj mi nerwów i otwórz wrota.

Westalka w osłupieniu wpatrywała się w płótno. Czyżby to była słynna łaźnia Sacerdote'a? A w niej ta kobieta? Matylda odruchowo spojrzała na obraz, który wprowadził w takie oszołomienie dziewczynę, i sama musiała powstrzymać się od krzyku. Owszem, przedstawiał Matyldę siedzącą w wiklinowym fotelu. Owszem – w ogromnej łaźni. Ale tym razem modelka siedziała przodem do malującego, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do tego, kim jest. Twarz

Matylda spoglądała wyzywająco z płótna na

tego, kto oglądał malowidło. Dzięki temu, że siedziała przodem, można było teraz dostrzec przedmiot, który trzymała w złożonych na

kolanach dłoniach – była to duża, woskowa gromnica, której jednak nie zapalono.

Westalka bez słowa spojrzała na Matyldę

z podziwem i lękiem. Skłoniła się delikatnie i otworzyła ciężkie wrota.

Matylda postawiła stopę w korytarzu,

czując, że nie ma już odwrotu.

Rozdział 70

Wzgórze czuło w swych starych, kamiennych

kościach, co wydarzy się w mgnieniu jego

jaskiniowego

oka.

Czuło,

jak

wilgotne

powietrze wznosi się wyżej i wyżej. Miękko je

otulająca para wodna skrapla się powoli,

kondensuje i głaszcze przyjemnym ciepłkiem.

Rozdział 71

Matylda też to poczuła. Nie wiedziała co. Ale poczuła pod stopami to mgnienie, ten prąd,

które dały jej do zrozumienia, że musi uczynić

to, co jest konieczne teraz. Nigdy więcej nie nadarzy się bowiem podobna szansa.

Spojrzała w oczy siedzącej na drążku
papudze korytarzowej. Zobaczyła w nich
niepokój i uśmiechnęła się smutno – zwierzęta
lepiej to wyczuwają niż my.

Ptak – jak za dotknięciem magicznej
róźdzki – zaczął wydierać się ze wszystkich sił, trzepotać skrzydłami, sprawiał wrażenie, jakby
oszalał: wznosił się w powietrze i miotał
się od ściany do ściany, uderzając ciałem
o sufit.

Nie było czasu do stracenia. Wszystkie

zwierzęta

trzymane

przez

Sacerdote'a zareagowały w tym samym
momencie podobnym oblędem, wprawiając
świadków tego poruszenia w osłupienie.

Rozdział 72

Wzgórze rozchyliło wszystkie skalne szczeliny,
czując jak otaczające powietrze unosi się
gwałtownie, potem opada, oziębione nagłym
skokiem do góry.

Wzgórze wyprężyło rosnące na nim
krzewy i drzewa. Teraz będzie wiało.

Rozdział 73

Nagły podmuch wiatru otworzył wszystkie,
uchylone wcześniej z powodu upału, okna.

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, krzyk
ludzi, wrzaski przerażonych zwierząt.

– Burza – szepnęła Matyllda.

Otworzyła

drzwi

prowadzące

do

luksusowego

pomieszczenia,

w

którym

wichura, wpadając przez okna, przewracała

niemal wszystkie meble. Znajdujący się tu

ludzie kulili się na podłodze pomiędzy

krzesłami i stolikami. To nie tu – pomyślała Matyllda. Dalej.

Przeszła do następnego pomieszczenia.

Przez okna w jednej chwili wpadły litry wody, zupełnie jakby przy każdym z nich stał ktoś z
wiadrem. Rozległ się grzmot, tak potężny, że

nawet wzgórze, na którym się znajdowali,

przymknęło na moment swoje jaskinie. Ktoś

wrzasnął przerażony.

Zgasły światła. Pośrodku zamieszania

stała Matylda – rozglądając się dookoła,
szukając Stelli.

Wrzaskliwe ptaszysko, które wleciało tu
za nią, wpadło przez przypadek na twarz

jednej z westalek, okaleczając ją boleśnie. Nie tu – pomyślała Matylda. Jeszcze dalej.

Znalazła schody na górę. Spływał po nich

strumień wody, jakby burza ta trwała nie od kilku sekund, lecz od wielu lat. Przebrnęła przez
ciemności, krzyki i wrzaski. Była na

pierwszym piętrze. Włamanie do Edenu miało
zaburzyć równowagę tego świata i obrócić go
w Piekło.

W świetle kolejnej błyskawicy Matylda

dostrzegła sylwetkę mężczyzny siedzącego na

podłodze pod ścianą. Nie mogła wiedzieć, że był to Holdem. A jednak zapytała go:

– Gdzie jest Stella?

Nie

otrzymała

odpowiedzi,

Holdem

zwrócił jednak twarz w jej stronę. Wydawało się, że cicho i upiornie się zaśmiał. Matylda zbliżyła
się do niego. Był jakiś dziwny – cały zmoczony deszczem, który tu wtargnął, jakoś

dziwnie spokojny. Trzymał dłoń na jamie

brzuszej i ciężko dyszał.

Rozbłysło światło kolejnej błyskawicy

i Matylda dostrzegła, że spod jego ręki

wypływa gęsta, ciemna ciecz.

– To był podstęp – szepnął z cichą kpina. –

On doskonale wiedział. Od samego początku.

Matylda uniosła wzrok i spojrzała na

zamknięte drzwi, jakby chciała uczynić je

przezroczystymi. Za nimi czekał jej strach i jej cel.

Sacerdote włożył ciało Stelli do swojej

kamiennej wanny. Była już tak bezwolna, że

myślał o niej jak o martwej. Powinien był może

wcześniej ją zabić – spodziewał się, że jako córka jego dawnego współnika i wroga

przybyła tu po zemstę lub po to, co uważała za

swoje – po spadek po ojcu.

Był jednak zbyt pewny siebie, aby zabijać

ją od razu. Na swoim terenie, otoczony własną

próżnością. W jaki sposób ta dziewczyna

mogłaby go zaskoczyć? Poza tym, skoro bez

trudu pokonał jej ojca, dlaczego miałby mieć jakiegokolwiek trudności z jego córką? Zabije ją,

oczywiście, że ją zabije. Ale najpierw chciałby

się jej odrobinę przyjrzeć. Bądź co bądź, to dość ciekawe zjawisko. Ujrzeć swojego
dawnego rywala odrodzonego w damskim
ciele. A ta mała była do niego szalenie
podobna.

Zajmie się nią zaraz, najpierw trzeba

okiełznać

zamieszanie

wywołane

tą

niesamowitą burzą. Ogarnąć korytarz, na

którym konał dostarczyciel Stelli. Sacerdote

przyglądał mu się od początku. Zbyt długo trzymał łapę na tym biznesie, by nie zauważyć

błysku szaleńczej ambicji w oczach Holdema.

Raz na jakiś czas zdarza się idiota, któremu marzy się, by wspiąć się na szczyt i na nim dokonać

obalenia

dotychczasowego

przywódcy. Takim osobnikom trzeba pozwolić

dojść jak najwyżej, by ich poznać. By

zrozumieć ich mocne i słabe strony, a także by

przekonać się, czy nie mają czegoś jeszcze

w zanadrzu.

Dopiero gdy – nakarmieni fałszywą

pewnością siebie – stają się ufni, dopiero

wtedy należy w nich uderzyć. Takie kwestie to

podstawa i Sacerdote postępował w tych
sprawach według schematu, który sam kiedyś
opracował.

Przez okna, które wyleciały niemal
z futryn przez gwałtowny powiew wiatru,
wlewało

się
teraz

do
łazienki

Sacerdote'a
mnóstwo

wody.

Ten
zaś

przyglądał się pogrążonemu w ciemnościach
ciału Stelli i zastanawiał się przez chwilę, czy
stanowi dla niego jakiegokolwiek zagrożenie.

Może lepiej nie zabijać jej pochopnie? Jest interesująca. I rzeczywiście, przejęła po ojcu ten
szczególny talent.

Może

należy

teraz

wezwać

jedną

z westalek – niech przygotuje samochód –

i odjechać do jednej z letnich rezydencji?

W

tym

czasie

służba

uprzątnie

Casa

Sacerdotal, wymieni okna, posprząta trupy.

A Sacerdote z tą małą... z jej ciepłym, żylastym

ciałkiem... Pojechaliby na jakiś czas gdzieś

w

odludne

miejsce.

W

głowie

Sacerdote'a rozblęła chora fantazja... Jak

długo udałoby się utrzymywać tę małą w takim

stanie? Jak długo jej ciało by żyło?

Nagle stało się coś dziwnego. Dziewczyna

podniosła głowę, spojrzała w stronę drzwi

wejściowych do łaźni i szepnęła:

– Nareszcie... Ratuj.

Jej głowa ponownie opadła na brzeg

kamiennej wanny, a ciało sprawiało wrażenie

sztucznie

podtrzymywanego

w

stanie

agonalnym. Sacerdote zawahał się. Czyżby

ktoś miał czelność przybyć tu i odbić jego zakładniczkę? Niemożliwe, żeby przebił się

przez wszystkie wrota, przez wszystkich

pilnujących, przez westalki... A jednak...

Sięgnął po broń. Ukrył się za jedną

z rzeźb i czekał. Jeśli rzeczywiście ktoś był na

tyle dobry, by przebić się przez szczelną

zaporę Casa Sacerdotal, Sacerdote nie będzie

zadawał żadnych pytań. Po prostu – strzeli do

tego, kto wejdzie przez te drzwi.

Usłyszał pukanie: trzy szybkie, dwa wolne.

Jego westalka – jedyna, której wolno było

wchodzić do łaźni. Nie odpowiedział. Mimo to

drzwi się uchylły. To wbrew regułom – coś jest

nie tak.

W panującym po awarii prądu mroku

Sacerdote dojrzał swoją westalkę wchodzącą

nieśmiało do łaźni. Czarna peruka, którą kazał

nosić wszystkim swoim służącym, lśniła

w ciemności nocy.

Rozpoznał swoją sługę – mimo to uniósł
zza rzeźby broń, wycelował w ciemność
i strzelił. Nie warto ryzykować.

Ciało westalki uderzyło o ziemię. Przez
chwilę Sacerdote pomyślał, że może za bardzo
spanikował – na stare lata stał się chyba

bardziej
drażliwy.

Może

westalka,

nie

usłyszawszy

odpowiedzi,

weszła,

żeby

sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku?

Powoli wyszedł z rzeźby, by obejrzeć

ciało służącej. Podeszedł do miejsca, w którym upadła. Lecz nikt tam nie leżał. Jego głowa zapłonęła

paniką

i

zaszumiała

szybką

sekwencją myśli. Jest tu – strzelać – zabije.

Wymierzył

w

ciemność

i

strzelił

kilkakrotnie. Nie był tak głupi, by w chwili zagrożenia życia troszczyć się o to, na czym mu jeszcze przed chwilą zależało – o ciało

Stelli leżącej w wannie.

Wycofać się, wycofać.

Błysnęło, rozległ się grzmot. Burza była

tuż nad nimi. W blasku błyskawicy dostrzegł

westalkę skrytą za jedną z rzeźb. Przez

moment ujrzał jej twarz – nie była to żadna z jego służ.

Tym razem wycelował dokładniej. Strzelił.

Trafił w rzeźbę. Włamywaczka zrobiła coś, co

wydawało mu się w takiej chwili zupełnie

irracjonalne. Przeczołgała się za rzeźbę Hery

– żony gromowładnego – i otworzyła wtopioną

w jej podstawie skrytkę. „Skąd wiedziała?” –

błysnęło w głowie Sacerdote’a.

Nie zdążył już zastanowić się, dlaczego

włamywaczce zależało na bezwartościowym

przedmiocie, który Sacerdote schował tam

wiele lat temu – na gromnicznej świecy –

jedynym rekwizycie, jaki został mu po

Dzieciaku.

Dzieciak miał te swoje przesady – niby

w to nie wierzył, niby się z tego śmiał, a jednak zawsze miał w zanadrzu jakieś głupie numery.

W czasach gdy jeszcze bywał w Casa

Sacerdotal między jedną a drugą eskapadą,

trzymał tę ogromną gromnicę z wosku

pszczelego w bibliotece, gdzie nocował

zawsze podczas swojego pobytu.

Kiedy sprawa z Dzieciakiem została zamknięta, Sacerdote uświadomił sobie, że nie

zostało mu po nim absolutnie nic poza tą

świecą. W zasadzie nie był sentymentalny

i z początku chciał wyrzucić stary rupieć,

który tamten zawsze zapalał w oknie w czasie

burzy – rzekomo po to, by oddalić od siebie pioruny. Lecz w ostatniej chwili coś go tknęło.

Pomyślał, że skoro jego współnik miał tak

dobrą intuicję do interesów, a do tej świecy przywiązywał tak wielką wagę, to czemu

w zasadzie miałby jej sobie nie zostawić na pamiątkę?

Gromnica tkwiąca w oknie biblioteki

byłaby może zbyt bezczelnym wspomnieniem

tego, którego wyeliminował, postanowił więc

schować ją w bezpiecznym miejscu.

Prawdę mówiąc, w ostatnim czasie

Sacerdote wyjątkowo często zaglądał do

skrytki u stóp posągu Hery. Wciąż wydawało

mu się, że gromnica nosiła jakieś symbole,
których nie zapamiętał, że zaznaczono na niej
jakiś klucz, że coś przydatnego mógłby na niej
znaleźć.

Zawsze jednak okazywało się, że jest to
najzwyklejsza świeca gromniczna.

Gdy teraz – pośród ciemności, grzmotów
i ulewy – ujrzał, jak włamywaczka sięga po
gromnicę,

poczuł

dziwny

strach.

Przed

nieznanym, lecz spodziewanym. Jakby czuł, że
za coś przyjdzie mu zapłacić.

Strzelił

raz

jeszcze,

lecz

chybił.

Włamywaczka wstała, dzierżąc świecę niczym
oręż. Zapaliła jej płomień i spojrzała znad niego
na

Sacerdote'a,

uśmiechając

się

upiornie.

– Bój się. Bój się okropnie – powiedziała.

Mimo ulewy, mimo hektolitrów wody

wpadających do łaźni przez wyłamane okna

świeca płonęła, jakby deszcz jej nie dotyczył.

Włamywaczka zaśmiała się okrutnie.

– Ty szczurze! – wrzasnęła.

W dach Casa Sacerdotal uderzył piorun – na parterze rozległ się pisk i krzyki – odgłosy

jeszcze większego zamieszania niż dotychczas. Sacerdote skoczył z miejsca.

Drugi piorun – zawalił się dach nad biblioteką. Matylda roześmiała się złowrogo,

bestialsko. Płomień świecy dodawał jej twarzy nieziemskiego wyrazu.

Sacerdote chciał strzelić, ale zabrakło mu już nabojów.

– Do kogo strzelasz, gnido?! – wrzasnęła Matylda.

– Do burzy? Do piorunów?

Zbliżała się do niego powolnym krokiem.

Sacerdote chciał się wycofać, ale jakiś magnetyzm sprawiał, że musiał pozostać w miejscu.

Trzeci piorun – zawalił się dach nad jego gabinetem, obnażając drogę ucieczki.

Wodospady ulewy zacinały w jego twarz, lały mu się pod nogi, wymywając plugawość

i oszustwa gromadzone tu przez lata. Matylda podeszła do niego bardzo blisko – wciąż trzymając świecę w garści. Pochyliła się w jego stronę i wyszeptała teatralnie:

– Uciekaj. Uciekaj, gdzie pieprz rośnie.

Sacerdote rzucił się do biegu. Minął trupa Holdema, znalazł resztki schodów.

Po zgliszczach Edenu zbiegł do samego Piekła.

Czwarty piorun. Sacerdote biegł do samochodu, by w nim znaleźć bezpieczne schronienie przed burzą i by nim uciec od Casa Sacerdotal, które próbowało teraz stać się jego więzieniem i grobowcem.

Przebiegając jednak obok jednego z pomników swej próżności – wysokiej kopii wieży Eiffla w skali jeden do dwudziestu – podzielił z nią energię wyładowania elektrycznego, które huknęło wraz z piątym piorunem w wierzchołek konstrukcji.

Czy w ostatniej chwili swojego życia przypomniał sobie słowa Dzieciaka, który na widok miniatury słynnej budowli powiedział:

„Takie bezguście jest zabójcze”?

Na zawsze pozostanie to tajemnicą strzeżoną przez zwęglone szczątki jego ciała.

Tej nocy zagrzmiało pięć gromów. I pięć piorunów uderzyło w ziemię.